

# GREGORY FUNARO

# RZEŹBIARZ

Przełożył Janusz Ochab  
Tytuł oryginału *THE SCULPTOR*



*Jak zawsze, dla mojej żony i mojego ojca;  
ale także dla mojego dziadka -  
jako dziecko byłem pewien, że posąg Dawida  
w jego ogrodzie ożywa nocą.*

*Najlepszy artysta dysponuje jedynie myślą,  
która zamknięta jest w marmurowej  
skorupie: tylko ręka rzeźbiarza może złamać  
zakłęcie i uwolnić postacie uśpione w  
kamieniu.*

Michelangelo Buonarroti

## Prolog

– Zbudź się ze snu, synu Jupitera!

Tommy Campbell, szybki jak błyskawica skrzydłowy futbolowej drużyny Boston Rebels, otworzył oczy pewien, że zobaczy przed sobą pole punktowe. Słyszał krzyki tłumu – ten znajomy głuchy pomruk, dobiegający z trybun – serce biło mu w oszalałym rytmie, czuł, jak pompuje krew do jego nóg, gdy pędził przed siebie. Tak, był pewien, że złapał piłkę, czuł ten elektryzujący dotyk w palcach i dłoniach, słyszał triumfalny okrzyk: Przyłożenie!

Lecz krzyki kibiców wkrótce ucichły, a kiedy mleczna mgiełka przed oczami Toma zamieniała się w kulę światła, natychmiast zrozumiał, że tylko śnił. Tak, leżał na plecach, na czymś zimnym i twardym jak stal. Czuł się oszołomiony, jakby odurzony narkotykami, a jednocześnie wypełniony energią. Wydawało mu się, że już rozpoznaje ten świetlisty przedmiot, zawieszony nad jego głową.

„Z filmu? Albo ze szpitala. Kiedy operowali mi...”

– Otóż to – rozbrzmiał jakiś głęboki głos po jego prawej ręce. – Wyjdź z kamienia.

– Proszę, panie doktorze, tylko nie kolano – szepnął ochryple Tommy, z trudem wydobywając głos z wyschniętego gardła. – Proszę nie mówić, że to znowu kolano...

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, ale poczuł lekkie ukłucie w przedramieniu. Serce waliło mu jak szalone – jeszcze mocniej niż przed jego debiutanckim meczem na pierwszym roku w Boston College, szybciej niż w czasie pierwszego występu w drużynie Boston Rebels. Ale to było całkiem inne uczucie. Tommy miał wrażenie, że we wnętrzu jego ciała toczy się walka: jedna część próbuje wciągnąć go ponownie w sen, sprawić, by jeszcze raz przeżył te niesamowite chwile z meczu z Dolphins, druga zaś chce przywrócić mu świadomość, nakłonić do powrotu do rzeczywistości – do miejsca, w którym naprawdę teraz przebywał.

– Gdzie ja jestem? – wyszeptał Tommy. Światło nad jego głową było już nieco wyraźniejsze, przyjęło postać białego prostokąta, jakby ekranu zawieszzonego metr, może półtora nad jego twarzą, otoczonego nieprzeniknioną ciemnością. Tak, coraz szybciej odzyskiwał przytomność, krew pulsująca w skroniach przywracała sprawność jego zmysłom i

odświeżała pamięć.

Popijał piwo na werandzie nad plażą. Wcześniej świętował w Bostonie zwycięstwo swojej drużyny, ale nie zabawił tam zbyt długo – chciał spędzić trochę czasu z rodzicami w Watch Hill w stanie Rhode Island, wkrótce miał bowiem polecieć do Tamy, by przygotowywać się do finału Super Bowl z drużyną Giantsów. Był sam – „Tak, Vicky wyjechała, a mama i tata poszli spać”. Było zimno, blask styczniowego księżycy tańczył na lodowatych wodach Foster Cove – tych samych wodach, w których ulubiony syn Rhode Island pływał niegdyś ze swoim ojcem.

– Tato? – wychrypiął Tommy. – Jesteś tu, tato?

Potem przypomniał sobie osę – „Osa w styczniu?” – cichy syk i kłujący ból, jakby coś ugryzło go w szyję, prosto w żyłę. Tommy Campbell natychmiast poderwał się z miejsca i wyprostował swoje niemal dwumetrowe ciało pewien, że uderzy głową w niski sufit werandy. Nie pamiętał jednak ani uderzenia, ani chwili, gdy upadał na drewnianą podłogę, choć przecież wciąż miał w pamięci znacznie wcześniejszy upadek z meczu z Texansów – ów *niesławny* upadek, który potem stacje telewizyjne odtwarzały bez końca i który – jak ujęły to te dupki z programów sportowych – kosztował jego drużynę mistrzostwo AFC.

Ale teraz trwał już kolejny sezon, a twardy jak skała dwudziestosześcioletek szybko wrócił do zdrowia. Po kontuzji, która niemal zakończyła jego karierę, Tommy „Soup” Campbell<sup>1</sup> przechwycił rekordową liczbę podań w jednym sezonie. Nieważne, że miał problemy osobiste, że rozstał się z narzeczoną – „Do diabła, w pewnym sensie zawdzięczam to właśnie Vicky!” – liczyło się tylko to, że ukochany skrzydłowy wygrał z przeciwnościami losu, wrócił triumfalnie do NFL i doprowadził swoją drużynę do wielkiego finału. „Do finału, który te same dupki z programów sportowych nazywają już *Souper Bowl*”.

Ale teraz działo się z nim coś niedobrego. Czuł to w klatce piersiowej, w palcach u nóg i rąk – gwałtowne, *bolesne* pulsowanie krwi. Tommy próbował rozejrzeć się dokoła, odwrócił się od tego jaśniejszego białego prostokąta, ale coś więziło jego głowę, zaciskało się na jego czole i skroniach, nie pozwalało się poruszyć. Tommy instynktownie próbował sięgnąć do góry i natychmiast uświadomił sobie, że jego ręce także są unieruchomione. Choć nie widział swojej klatki piersiowej, ud ani kostek, nagle poczuł dokuczliwy ucisk także w tych miejscach.

– Tato, jesteś tu? – zawołał ponownie. – Upadłem na werandzie, tak? Podwiesili mnie na wyciągu? – Mówił teraz pełnym, nieco drżącym głosem, wszystkie jego zmysły działały

---

<sup>1</sup> Aluzja do popularnych w Stanach Zjednoczonych puszkowanych zup (ang. *soup* – zupa) Campbella.

normalnie. Nagle ekran nad jego głową zamigotał i ożył.

Tommy ujrzał posąg, marmurową postać na czarnym tle, która wisiała w ciemności tuż nad jego twarzą. Przedstawiała nagiego mężczyznę – Tommy pomyślał, że to zapewne jakiś grecki bóg, choć nie był tego pewien, nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej go widział. Jednocześnie miał wrażenie, że skądś go zna. Znajoma wydawała mu się nie tyle dziwna poza – biodra wypchnięte lekko do przodu, prawa ręka z miseczką w dłoni uniesiona do toastu – ani kręcone włosy („A może to były winogrona?”) otaczające twarz boga. Nie, chodziło raczej o jego twarz, a właściwie o ciało...

Kiedy jego rozgorączkowany umysł usiłował sobie przypomnieć, zrozumieć, posąg zaczął się obracać wokół własnej osi, jakby stał na płycie gramofonowej. Dopiero teraz Tommy zauważył, że za mężczyzną znajduje się inna postać – jakieś dziecko? – sięgająca mu ledwie do pasa. Dziecko – „Czy to naprawdę dziecko? Dlaczego ma takie dziwne nogi? I stopy?” – trzymało w dłoniach kiść winorośli i uśmiechało się psotnie. Zdawało się, że kryje się za mężczyzną, być może go podpira.

„Tak!” – pomyślał Tommy – „Ten facet z miseczką wygląda jak pijak, który ledwie trzyma się na nogach!”

Nie wiadomo dlaczego, pośród tych splątanych myśli, pośród oszołomienia i strachu, w umyśle Tommy’ego pojawiły się nagle fragmenty wspomnień ze studenckich balang; z nocy spędzonych z kumplami w Vegas; z tego dętego przyjęcia na Manhattanie, gdzie poznał Vicky...

„Tato od początku jej nie lubił. Pieprzone modelki. Miał rację. Musiało mi chyba całkiem odbić, kiedy się oświadczyłem tej...”

– Otóż to – powtórzył tajemniczy głos. – Otrząśnij się ze snu, synu Jupitera.

Tommy próbował odwrócić głowę, przebić wzrokiem ciemności, lecz wciąż widział jedynie dziwny obraz, wyświetlony na ekranie. Teraz zamiast całej postaci widniało tam zbliżenie głowy posągu. Tak, to winogrona i liście otaczały twarz boga – twarz o zamglonych oczach i rozchylonych lekko ustach.

– Kim jesteś? – zawołał Tommy. – Co ja tutaj robię?

Wpadł w panikę, zaczął się szarpać, gdy obraz przed jego oczami ponownie uległ zmianie. Obserwował bezradnie, jak przesuwają się w dół piersi mężczyzny, po jego nieco wydętym brzuchu, aż na pozbawione włosów krocze – w miejsce, gdzie *powinien być* jego penis.

Tak, ten dziwny facet czy też bożek *nie miał fiuta* – między jego nogami wisiały tylko opuchnięte jądra.

– Co tu się dzieje, do cholery? – wrzasnął Tommy.

Pocił się obficie na całym ciele, serce waliło mu młotem, więzy wrzynały się w ciało niczym sznurki w wielkanocną szynkę. Nagle obraz znów się zmienił, a Tommy Campbell zobaczył samego siebie, zobaczył na ekranie swoją twarz – siebie leżącego na stole, z głową obwiązaną paskiem. Tyle że nie widział samego paska: jego głowę otaczały kiście winogron i liście, podobnie jak twarz boga, którego przed chwilą mu przedstawiono.

– Co to ma, kurwa...

Tommy nagle zamarł, patrzył z przerażeniem, jak obraz zaczyna się powoli przesuwać w dół jego ciała. Kamera musiała wisieć gdzieś nad nim – za ekranem, nieco na prawo, mniej więcej w tym miejscu, z którego dochodził głos – chociaż Tommy nie widział ani kamery, ani trzymającego ją człowieka, lecz jedynie swoją własną muskulaturę. Zaczął gwałtownie drżeć, miał wrażenie, że nawet jego mózg wije się bezsilnie we wnętrzu czaszki. Ogarnięty grozą próbował się uwolnić, a ciało widoczne na ekranie szarpało się i skręcało w odpowiedzi na każdy jego ruch. Lecz choć był wyjątkowo silnym mężczyzną, nie miał najmniejszych szans; równie dobrze mógłby próbować się uwolnić z wnętrza marmurowego bloku. Co najgorsze, Tommy Campbell nie mógł oderwać wzroku od samego siebie, obserwował mimowolnie, jak na ekranie pojawia się jego opalona, pozbawiona włosów klatka piersiowa – tak, był na niej pasek! – a potem brzuch.

Dopiero wtedy Tommy Campbell zrozumiał.

– To nie może się dzieć naprawdę – skomlał. Natarczywe, ogłuszające bicie serca było niczym herold zwiastujący to, co kryło się jeszcze za horyzontem, co musiał ujrzeć za moment. – Ja jeszcze śnię!

– Nie, mój Bachusie – odpowiedział mu głos z ciemności. – W końcu się obudziłeś.

Gdy Tommy Campbell zobaczył w końcu to, czego się obawiał, jego ciałem zaczęły wstrząsać spazmatyczne drgawki, a serce przestało bić i zamarło na zawsze.

EKSPONAT PIERWSZY

BACHUS



## Rozdział 1

Rozwścieczona doktor Catherine Hildebrant wyrzuciła telefon komórkowy studenta przez okno, a potem obserwowała, jak aparat rozbija się na trawniku i wybuchą, wyrzucając w górę obłoczek dymu.

– Jeszcze raz zadzwoni na moich zajęciach komórka, a każę was wyprowadzić na zewnątrz i rozstrzelać!

Nagle Cathy znieruchomiała.

„Przecież pod moim oknem nie ma trawnika” – pomyślała. – „Właściwie w mojej sali w ogóle nie ma okna”.

Telefon wciąż dzwonił. Beethoven, *Dla Elizy*.

Cathy odwróciła się ponownie do swoich studentów, którzy zamienili się tymczasem w jej kolegów z trzeciej klasy szkoły podstawowej w Eden Park. Pani Miller patrzyła na nią ze zniecierpliwieniem, a Cathy uświadomiła sobie nagle, że nauczycielka czeka na jej prezentację. Natychmiast zapomniała o złości, którą zastąpił strach. Jej koledzy i koleżanki uśmiechali się złośliwie, niektórzy powtarzali scenicznym szeptem: „Żółtek, żółtek!” Czuła, jak robi jej się duszno, spojrzała za zdumieniem w dół, na gładką białą kulę, którą trzymała w dłoniach.

„Co to jest? Po co to przyniosłam i o czym miałam opowiedzieć klasie?”

Przy akompaniamencie śmiechów i gwizdów biała kula rozpadła się nagle na tysiące śnieżnych płatków, a szkolna klasa Cathy zamieniła się w jej sypialnię, wypełnioną porannym słońcem. Na nocnym stoliku leżała komórka, która wciąż wydawała z siebie dźwięki *Dla Elizy* Beethovena.

Cathy sięgnęła po aparat.

– Halo?

– Hildy? – Mówiła jej przełożona, doktor Janet Polk, szefowa Wydziału historii sztuki i architektury na Uniwersytecie Browna – jedyna osoba w Providence, która ośmielała się zwracać do Catherine Hildebrant per „Hildy”.

– Cześć, Jan – ziewnęła Cathy. – Boże, która to godzina?

– Dochodzi jedenasta.

– Jedenasta? Chyba musieli dosypać czegoś do wina. Zasiedziałam się wczoraj trochę, świętowałam te końcowe...

– Przepraszam, że zawracam ci głowę w niedzielę, Hil. Dzwonił już do ciebie ten facet z FBI?

– Kto?

– Mówił, że nazywa się Markham albo Peckham, nie jestem pewna. Robił wrażenie zdenerwowanego całą tą historią.

– O czym ty mówisz?

– Wyszedł stąd przed chwilą, zastał nas z Danem przy przekopywaniu grządek za domem. Mówił, że szuka informacji związanych z zaginięciem tego futbolisty.

– Tommy’ego Campbella? – spytała Cathy, siadając prosto.

Cathy była atrakcyjną kobietą, zdawała sobie jednak sprawę, że pod pewnymi względami odbiega od normy – nigdy nie lubiła sportu. Na studiach wolała raczej posłuchać wykładu o Donatellim, niż oglądać mecze uniwersyteckiej drużyny. Jednak nawet ona uległa urokowi ukochanego syna Rhode Island – tego olśniewającego, niebieskookiego i szybkiego jak błyskawica blondyna, którego nie mógł dogonić żaden inny zawodnik NFL. W minionym sezonie coraz częściej robiła coś, o co wcześniej nigdy by się nie posądzała: w niedzielę siadała przed telewizorem i oglądała mecze futbolu amerykańskiego.

– Tak – potwierdziła Janet. – Mówił o Tommym Campbellu, który przepadł bez wieści w styczniu.

– Dlaczego FBI chciało z tobą rozmawiać?

– Tak naprawdę ten facet chciał rozmawiać z tobą, Hildy. Mówił, że potrzebuje eksperta od sztuki renesansu, włoskiego renesansu, dokładnie rzecz biorąc.

– Niech zgadnę: znaleźli go gdzieś na plaży ze skradzionym obrazem Botticellego?

Odkąd przed niemal czterema miesiącami Tommy Campbell zniknął bez śladu i odkąd na początku lutego Boston Rebels przegrali w finale ligi z New York Giants, nieustannie mnożyły się teorie dotyczące zaginięcia słynnego skrzydłowego – było ich już zapewne tyle, ilu kibiców Boston Rebels. Najpopularniejsze mówiły o tym, że Tommy utopił się w zatoce, został porwany przez trenera przeciwnej drużyny lub po prostu zdecydował się na anonimowość, o co niektórzy podejrzewali niegdyś Elvisa Presleya. Cathy skłaniała się ku tej ostatniej wersji, gdyż do pewnego stopnia rozpoznawała siebie samą w tym spokojnym, skromnym „maminsynku”, który podobno przy każdej okazji odwiedzał swoich rodziców. Przypuszczała, że wcale nie zależało mu na sławie i pieniądzach, że chciał jedynie żyć z tymi, których kochał, i robić to, co naprawdę sprawiało mu przyjemność.

– Nie chciał mi zdradzić nic więcej – westchnęła Janet. – Kiedy mu powiedziałam, że to nie moja działka, i że powinien zgłosić się z tym do ciebie, odpowiedział, że wie o tym. Spytał, gdzie może cię znaleźć. Mówił, że był już u ciebie w pracy i w domu, ale nie zastał cię. Skojarzyłam wtedy, że chodziło pewnie o twój stary dom.

„Steve pewnie poszedł na noc do tej zdziry” – pomyślała Cathy. „Ciągłe nie chce się z nią bzykać w naszym łóżku. Pieprzony kabotyn. Pieprzony tchórzliwy palant”.

Cathy rozejrzała się po sypialni swojego nowego lokum – nowego dla niej, lecz zbudowanego na początku dwudziestego wieku. Architektura budynku zgrabnie łączyła w sobie wiktoriańską elegancję i nowoczesną praktyczność, podobnie jak wiele innych dwupiętrowych domów, stojących wzdłuż Upper East Side w Providence. Cathy mieszkała na parterze: wprowadziła się tam w tym samym dniu, w którym pojawiły się informacje o zaginięciu Tommy’ego Campbella – i niecały tydzień po tym, jak odkryła kompromitujące e-maile, a Steve przyznał się do romansu. Teraz, trzy miesiące później, pudła z okruchami jej minionego życia wciąż zagracały wszystkie pomieszczenia w dwupokojowym, horrendalnie drogim mieszkaniu. Musiała jednak jak najszybciej odciąć się od Stevena Rogersa i szczęśliwym trafem znalazła lokal do wynajęcia przy East George Street. Życie, które budowała ze swoim mężem, legło w gruzach, bo infantylny nauczyciel sztuki aktorskiej nie panował nad własnym fiutem, nie potrafił utrzymać rąk z dala od ledwie średnio ładnej studentki, by choć w ten skromny sposób uświetnić dziesięciolecie ich małżeństwa. To właśnie było najgorsze. Trzydziestoosmioletnia Catherine Hildebrant wiedziała, że jest bystrzejsza i ładniejsza od kochanki swojego męża, ale ta mała zdzira miała jedyną rzecz, której Cathy już brakowało: młodość.

– Hildy, jesteś tam?

– Przepraszam, Jan. Powiedziałaś facetowi z FBI, gdzie teraz mieszkam?

– Tak. Nie pamiętałam dokładnego adresu, ale podałam mu twój numer telefonu. Wybacz, Hildy, nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Nie jesteś na mnie zła, co?

– Oczywiście, że nie. Wezmę tylko prysznic i zadzwonię do ciebie, kiedy on już się odezwie. Dzięki za wszystko, Jan. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odparła Janet, kończąc w ten sposób rozmowę.

Cathy zamknęła komórkę i uśmiechnęła się do siebie. Naprawdę kochała Janet Polk, traktowała ją jak drugą matkę od chwili, gdy została jej asystentką na Harvardzie. To właśnie Janet zaledwie kilka dni po przejściu na Uniwersytet Browna dosłownie wykradła Cathy z jej Alma Mater. To Janet przedstawiła Cathy Stevenowi Rogersowi, choć oczywiście nie mogła wiedzieć, jak to się zakończy. To Janet pilnowała, by Cathy dawała z siebie wszystko i

zdobyła stały etat na uczelni. A przede wszystkim to właśnie Janet była przy Cathy, kiedy pięć i pół roku temu zmarła jej prawdziwa matka.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, kochana – wyszeptała Cathy do pudełek w rogu pokoju.

To powiedziawszy, wskoczyła pod prysznic.

## Rozdział 2

Cathy Hildebrant ściągnęła wilgotne kruczoczarne włosy w kucyk i z niesmakiem spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała tego ranka wyjątkowo kiepsko, jej skóra wydawała się ziemista, brązowe, na wpół azjatyckie, na wpół niemieckie oczy były podpuchnięte, a kurze łapki w ich kąciach wyraźniejsze niż zwykle. „Wino?” – zastanawiała się Cathy – „Czy po prostu się starzeję?” Nie pamiętała całego snu o nieudanej prezentacji w szkole podstawowej, ale miała świadomość, że ktoś się z niej śmiał, co teraz budziło w niej dziwny, dręczący niepokój. Pomyślała o Stevenie, o ich pierwszej randce i głupim żarcie z jej oczu, na który sobie wtedy pozwolił: „Och, jesteś pół-Koreanką? A ja myślałem, że cię usypiam!”

„Powinam była już wtedy dać sobie z nim spokój. Piękne dzięki, Janet”.

Drgnęła zaskoczona, gdy rozległ się dzwonek u drzwi, i odruchowo sięgnęła po komórkę leżącą na umywalce.

– Idiotka – mruknęła do siebie, po czym włożyła szybko ciemne okulary, spodnie od dresu i o dwa rozmiary za dużą koszulkę z Harvardu. Podeszła do drzwi, wyjrzała przez wizjer i zawołała:

– Kto tam?

Mężczyzna stojący za drzwiami wyglądał tak, jakby wyszedł prosto z katalogu sieci sklepów J. Crew – miał na sobie spodnie khaki, cienki sweter i wiatrówkę. „Miła odmiana od tych wszystkich niewydarzonych artystów z okolicy” – pomyślała Cathy. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był całkiem przystojny, miał krótko ostrzyżone ciemne włosy i wydatną szczękę. Cathy domyśliła się, że celowo odsunął się o krok od drzwi, by mogła mu się przyjrzeć. Gdy sięgał pod wiatrówkę, zrozumiała też, że facet z FBI, Markham, Peckham, czy jak mu tam było, postanowił wpaść do niej bez zapowiedzi.

– Agent specjalny Sam Markham – powiedział, podnosząc legitymację na wysokość wizjera.

„Więc jednak Markham” – pomyślała Cathy. – „Jeszcze nie czas odchodzić na emeryturę, Janet”.

– Pracuję w FBI, w sekcji behawioralnej. Chciałbym zadać pani kilka pytań, doktor

Hildebrant.

„Seksja behawioralna. Poważna sprawa”.

Cathy oglądała *Milczenie owiec* sześć razy. Widziała też wystarczająco dużo różnego rodzaju seriali kryminalnych, by wiedzieć, że seksja behawioralna to wydział FBI, który zajmuje się mordercami – szczególnie seryjnymi mordercami.

Otworzyła drzwi.

– Przepraszam, ale Janet mówiła, że będzie pan dzwonił.

– Doktor Polk dała mi numer pani telefonu, jednak odszukaliśmy pani nowy adres, nim zdążyłem zadzwonić. Biuro woli załatwiać tego rodzaju sprawy osobiście.

Agent uśmiechnął się lekko.

– Rozumiem – odparła Cathy zakłopotana. – Proszę wejść.

Zamknęła za nim drzwi i przez chwilę stała w wąskim korytarzu. Rozpoznała zapach wody kolońskiej Markhama – *Nautica Voyage*. Po raz pierwszy zetknęła się z nią zeszłej jesieni i natychmiast kupiła ją swojemu mężowi. Niemal błagała Stevena, by jej używał, ale ten samolubny kutas nawet nie rozpakował prezentu.

– Proszę wybaczyć – mówiła Cathy – ale wciąż się rozpakowuję i nie mam jeszcze zbyt wielu mebli. Może przejdziemy do kuchni? Chyba że woli pan siedzieć na pudłach w salonie...

– Możemy porozmawiać w kuchni.

Cathy poprowadziła go wąskim korytarzem w głąb mieszkania, na tyły budynku. Agent specjalny Markham usiadł przy stole.

– Wczoraj do późnej nocy poprawiałam prace. Nie zrobiłam jeszcze kawy, ale zaraz się tym zajmę.

– Nie, dziękuję pani. Nie piję kawy.

– Więc może sok pomarańczowy? Albo woda?

– Dziękuję. Nie chcę zajmować pani dużo czasu. – Cathy dosłyszała w jego głosie nutę jankeskiego akcentu, rozbrajającą i naturalną oficjalność, która budziła jej sympatię.

– No dobrze. – Usiadła naprzeciwko Markhama. – W czym mogę panu pomóc, agencie Markham?

– Przypuszczam, że doktor Polk powiedziała pani, dlaczego pani szukam?

– Tak, wspominała coś o włoskim renesansie i zaginięciu Tommy’ego Campbella.

– Zgadza się. – Markham wyjął z kieszeni kilka zdjęć z polaroidu. – To, co pani pokażę, objęte jest ścisłą tajemnicą, choć pewnie już niedługo. Najpierw wezwano na miejsce policję z Westerly, dziś wczesnym rankiem, zanim jeszcze dojechała tam policja stanowa i

zanim poinformowano nasz oddział w Bostonie. Choć Campbell zaginął w Watch Hill, ze względu na jego status ta sprawa od początku była nasza. Do tej pory udawało nam się utrzymać sprawę w tajemnicy, ale teraz, gdy wiedzą już o tym miejscowi, szczegóły wyciekną pewnie wkrótce do mediów. Najprawdopodobniej stanie się to jeszcze dziś po południu, chciałbym jednak, żeby obiecała mi pani, że do tej pory nie powie o tym nikomu, nawet doktor Polk.

– Zgoda, obiecuję.

Agent Markham sięgnął po pierwsze zdjęcie i położył je na stole.

– Rozpoznaje pani postać z tego zdjęcia?

– Oczywiście – skinęła głową Cathy. – To *Bachus* Michała Anioła.

– Jest pani pewna? Proszę przyjrzeć się temu uważnie, doktor Hildebrant.

Cathy spełniła jego prośbę, choć nie było to wcale potrzebne: mimo że zdjęcie posągu wykonano z pewnej odległości i pod kątem, doktor Catherine Hildebrant, być może najwybitniejszy amerykański znawca dzieł Michała Anioła, mogła opisać szczegóły *Bachusa* z zamkniętymi oczami. Po raz tysięczny patrzyła na kontrowersyjną i przełomową zarazem rzeźbę rzymskiego boga wina – pijanego, chwiejącego się na nogach. W podniesionej ręce trzymał czarę z winem, a przy boku skórę tygrysa i kiść winogron. Cathy widziała również satyra na kozłach nogach, który opierał się o Bachusa i z uśmiechem podjadał grona z ręki pijanego boga. Cathy знаła tę rzeźbę równie dobrze jak własne ciało – uczyła o niej na uniwersytecie, podróżowała do Włoch, by obejrzeć oryginał, o którym pisała również w swojej pracy doktorskiej na Harvardzie. Tak, jeśli agent specjalny Markham chciał dowiedzieć się czegoś o pocziwym starym Bachusie, to trafił pod właściwy adres, bo doktor Hildebrant napisała o nim całą książkę.

– Ale mogę panu powiedzieć, że to reprodukcja – odezwała się w końcu. – W tle widać jakieś krzewy, więc zdjęcie zostało wykonane na zewnątrz. Oryginał znajduje się w Muzeum Narodowym Bargello we Florencji. Trzeba przyznać, że ta kopia jest fantastyczna, dopracowana w każdym szczególe, łącznie z kolorystyką. Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z zaginięciem Tommy’ego Campbella.

Agent specjalny Markham milczał chwilę, po czym położył na stole kolejne zdjęcie. Było to zbliżenie głowy posągu – wieniec z winogron, rozchylone usta, oczy skierowane ku górze. Jednak w odróżnieniu od pierwszej fotografii, ta natychmiast wydała się Cathy *dziwna*.

Nagle wszystko zrozumiała, a ta świadomość była niczym uderzenie obuchem w głowę.

– O mój Boże – wyszeptała. – To on! To Tommy Campbell!

– Tak. Znalaziono go dziś rano w Watch Hill, w ogrodzie dyrektora pewnej firmy inwestycyjnej, zaledwie kilkaset metrów od domu jego rodziców. Tożsamość została już potwierdzona. Wygląda na to, że morderca zakonserwował jakoś jego ciało i ułożył je w takiej pozie – zadbał nawet o właściwy koloryt, jak pani zauważyła.

Cathy wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku. Z trudem wydobywała głos z gardła, wiedziała jednak, że musi się opanować.

– Kto...? Kto zrobiłby coś takiego?

– Mamy nadzieję, że właśnie pani pomoże nam się tego dowiedzieć, pani Hildebrant. Ekipa dochodzeniowo-śledcza prowadzi już badania, ale chcemy, żeby obejrzała pani miejsce zbrodni, zanim zabierzemy stamtąd ciała.

– *Ciała?* Ma pan na myśli satyra? To także prawdziwy człowiek?

– Tak, młody chłopiec – odparł Markham słabo. – Górna połowa jego ciała, dokładnie rzecz biorąc. Dolna to prawdopodobnie zad kozy.

– Dobry Boże... – jęknęła Cathy. Choć zbierało jej się na wymioty, choć łzy napływały jej do oczu, zdołała zapytać: – Kto to jest?

– Nie wiemy. Jeden z naszych agentów sprawdza właśnie wszystkie zaginione osoby, ale to może trochę potrwać. Widzi pani, twarz tego chłopca została w znacznym stopniu *zmieniona...* zniekształcona tak, by wyglądała dokładnie jak twarz satyra.

Cathy czuła, że robi jej się słabo, miała wrażenie, iż lada moment zemdleje.

– Może chciałaby się pani przebrać przed wyjściem? – spytał Markham. – Jest dość zimno jak na kwiecień, a nad wodą będzie jeszcze zimniej.

– Dlaczego ja? – spytała Cathy nieswoim głosem, wciąż kompletnie oszołomiona. – Na pewno macie swoich własnych ekspertów, ludzi, którzy rozpoznali tę rzeźbę, którzy wiedzieli, że to Michał Anioł. Nie jestem chyba w stanie powiedzieć wam nic więcej, niż sami możecie znaleźć w internecie.

Agent specjalny Markham bez słowa położył na stole ostatnią fotografię. Cathy wbiła przerażony wzrok w napis wyciosany starannie w kamieniu, na którym stało z mumifikowane ciało Toma Campbella. Napis ów brzmiał:

**DLA DR HILDEBRANT**



## Rozdział 3

Zewnętrzne mury powozowni zachowały swój pierwotny kształt i strukturę – zostały wzniesione z cegły w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku przez bogatą rodzinę producentów materiałów włókienniczych, w rolniczej wówczas części East Greenwich w stanie Rhode Island. Budynek znajdował się w odległości około trzydziestu metrów od głównego domu, a można było do niego dojść brukowaną ścieżką, prowadzącą od tylnego ganku, lub żwirową drogą, która odchodziła od głównego podjazdu i biegła między drzewami na zachodnim skraju gęsto zalesionej posiadłości.

Sam dom był rozłożystym dwupiętrowym budynkiem, do którego prowadził szeroki, okrągły podjazd z pozbawioną wody fontanną pośrodku. Drzwi „frontowe” w rzeczywistości znajdowały się z boku budynku, zwrócone ku linii drzew na wschodzie. Dlatego też większość gości (choć ostatnio było ich bardzo niewiele) wchodziła na schody prowadzące do sieni, za oknami biblioteki, wychodzącymi na podjazd.

Rzeźbiarz używał niemal wyłącznie tylnych drzwi, bo zawsze miał coś do zrobienia w powozowni i dopiero stamtąd wracał do ojca, do domu swojej młodości. Rodzina Rzeźbiarza mieszkała tutaj od 1975 roku – przeprowadziła się tuż po jego narodzinach. Powozownia znacznie wcześniej została przerobiona na garaż dla dwóch samochodów, nad którym znajdowała się kwatery dozorca posiadłości, zatrudnianego przez byłego właściciela. W dzieciństwie Rzeźbiarz całymi godzinami bawił się na pustym poddaszu lub po prostu ukrywał się tam, gdy rodzice się kłócili lub gdy pijana matka chciała go bić.

Matka często go biła, gdy ojciec wyjeżdżał w interesach lub grał w golfa w country clubie – ośrodku rekreacyjno-sportowym pod miastem. Kiedy był *wyjątkowo nieznośny*, nalewała lodowatej wody do wanny i trzymała go tam, dopóki nie zaczął się dusić. Czasami zamykała Rzeźbiarza w łazience, wylewała na podłogę wybielacz i kazała mu wdychać opary. Najczęściej jednak po prostu go biła – zawsze w tył głowy, by siniaki i guzy kryły się pod grzywą jego ciemnych kręconych włosów. Mówiła mu, że gdyby kiedykolwiek na nią doniósł, na pewno by umarła, a ojciec by się zabił. Przez długi czas Rzeźbiarz jej wierzył – kochał przecież swoich rodziców i gotów był zrobić wszystko, żeby ich chronić. Ojciec Rzeźbiarza nazywał go wtedy Christianem – nie miał problemu z zapamiętaniem jego

imienia. Ale to było dawno, dawno temu. Teraz ojciec Christiana nigdy nie mówił do niego po imieniu.

Christian również prawie nigdy nie nazywał siebie w ten sposób; myślał o sobie niemal wyłącznie jako o Rzeźbiarzu – posługiwał się swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem tylko wtedy, gdy nie dało się tego uniknąć, gdy podpisywał oficjalne dokumenty albo recepty dla swojego ojca lub też gdy kupował jakieś środki w internecie. Rzeźbiarz nienawidził internetu, ale dawno już zaakceptował go jako narzędzie niezbędne do realizacji jego dzieł. Dopóki komputer i internet pozostawały w zamknięciu, w powozowni, mógł je tolerować – bo w powozowni mieszkała technika, w powozowni tworzył wszystkie swoje rzeźby.

Ojciec Rzeźbiarza nie wiedział, co jego syn robi poza domem – w ogóle niewiele już wiedział. Większość czasu spędzał w swojej sypialni – na piętrze, nad kuchnią – skąd patrzył przez okno na karmniki dla ptaków, które jego syn przed laty umocował na jednym z wielkich dębów. Czasami Rzeźbiarz puszczał mu muzykę na starym gramofonie – głównie klasykę ze starych trzeczających longplayów, utwory, których jego ojciec lubił słuchać przed wypadkiem. Rzeźbiarz zamontował też odtwarzacz CD w obudowie starego radia Philco i odtwarzał płyty z programami radiowymi z lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku. Zdawało się, że sprawia to ogromną przyjemność jego ojcu, który godzinami siedział przy radiu i uśmiechał się do siebie.

Zwykle jednak ojciec Rzeźbiarza tkwił nieruchomo w swoim wózku przy oknie. Mógł ruszać głową i prawą ręką, rzadko się jednak odzywał, czasami tylko pytał o jakiegoś Alberta. Przez kilka pierwszych lat po wypadku Rzeźbiarz nie miał pojęcia, kim był ów Albert, pogrzebał jednak trochę w historii rodziny i dowiedział się, że jego ojciec miał starszego brata o takim właśnie imieniu, który jako młody jeszcze człowiek popełnił samobójstwo.

Kiedy Cathy Hildebrant i agent Markham skręcali na drogę 95, zmierzając do Watch Hill, odległego o wiele kilometrów od domu Rzeźbiarza, ten wyjmował igłę kroplówki z nadgarstka ojca. Zwykle sam go karmił – mieszanką owsianki i innych składników, tworzących optymalną substancję odżywczą. W ciągu lat przekonał się, że właśnie taka metoda najlepiej stabilizuje raniem organizm ojca, nafaszerowany barbituranami. Starszy pan leżał nieprzytomny niemal przez szesnaście godzin – kiedy jego syna nie było w domu, otrzymywał dożylnie stałą dawkę łagodnych środków uspokajających – wystarczyło jednak kilka prostych zabiegów, by przywrócić mu świadomość.

– Otóż to – powiedział Rzeźbiarz, ścierając ślinę z brody ojca. Wyrzucił chusteczkę do białego kosza z napisem BIELIZNA, jedną ręką podniósł ojca i przeniósł go z łóżka na

wózek. Uruchomił nawilżacz stojący obok posłania, bo czasami nozdrza ojca wysychały do tego stopnia, że sączyła się z nich krew. Właściwie wszystko, czego Rzeźbiarz potrzebował do opieki nad ojcem, znajdowało się w jego pokoju: sterty pudeł ze środkami medycznymi, prysznic przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych w przylegającej łazience, trzy stojaki na kroplówki, każdy z inną cieczą, stosowaną do różnych celów. Gdyby nie ciemnoczerwona tapeta, podłoga z ciemnego drewna i łóżko z czterema kolumnami, pomieszczenie to nie różniłoby się niczym od szpitalnej sali.

– Czas pooglądać ptaszki – powiedział Rzeźbiarz, ustawiając wózek przy dużym oknie w wykuszu. Potem położył na tarczy gramofonu płytę – *Sonatę d-moll* Domenica Scarlattiego – a gdy pokój wypełnił się muzyką, zszedł schodami dla służby do kuchni. Tam umył ręce i przygotował sobie napój wysokobiałkowy, który wypił wraz mieszanką witamin i suplementów. Był głodny, wręcz umierał z głodu po całonocnej pracy, oparł się jednak pokusie i wyszedł na tylny ganek. Tak, musi trzymać się diety, musi być w doskonałej formie, by sprostać ciężkiej pracy, która go wkrótce czekała.

Jeszcze w czasach, gdy znany był jako Christian, Rzeźbiarz zawsze trzymał formę. W wieku siedemnastu lat osiągnął wzrost prawie stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów i jeszcze przed wypadkiem zdobył odznaki Phillips Exeter Academy zarówno w futbolu, jak i w lacrosse. Od wypadku skupiał się jednak wyłącznie na budowaniu muskulatury, od początku wiedział bowiem, że będzie jej potrzebował, by opiekować się ojcem. Do tragedii doszło z winy jego matki. Christian nie znał wszystkich szczegółów – był wtedy poza domem, w szkole z internatem. Wiedział jednak, że wcześniej w country clubie miał miejsce pewien incydent. Prawnik ojca powiedział Christianowi tydzień po pogrzebie – w tym samym tygodniu Christian skończył osiemnaście lat i odziedziczył fortunę rodziców – że matka zdradzała jego ojca z pewnym młodym tenisistą, niewiele starszym od Christiana. Doszło do awantury, ojciec znokautował tenisistę i wyciągnął swoją żonę na zewnątrz za włosy. Wyjechali właśnie na drogę 95, kiedy w bok ich samochodu uderzyła ciężarówka. Matka Christiana zginęła na miejscu, ojciec przeżył – sparaliżowany od pasa w dół, pozbawiony władzy w lewej ręce i praktycznie zamieniony w warzywo.

Wcześniej Christian został przyjęty na Uniwersytet Browna – zamierzał studiować historię, jak jego matka – ale postanowił, że zapisze się do szkoły pielęgniarskiej, by jak najlepiej opiekować się ojcem. Prawnik rodziny wytoczył w imieniu Christiana sprawę firmie transportowej, do której należała feralna ciężarówka. Okazało się, że jej kierowca był tego dnia pijany, a sąd przyznał Christianowi odszkodowanie za śmierć matki i dość pieniędzy, by sfinansować opiekę nad ojcem. Werdykt ten nie stanowił dla młodego człowieka większego

pocieszenia, bo wcale nie potrzebował pieniędzy. Ojciec Christiana zarobił ich tyle, że wystarczyłoby na opiekę nad tuzinem inwalidów przez tysiąc lat. Początkowo Christian oddał ojca do zakładu opiekuńczego dla dorosłych, ale gdy tylko ukończył uczelnię pielęgnarską, zabrał go do domu i od tej pory zajmował się nim samodzielnie.

Poza tym wiedział, że nigdy nie będzie musiał pracować zarobkowo.

Nie, Christian pracował z zupełnie innych powodów – jego trud służył innemu celowi. Uświadomił sobie, co to za cel, dopiero w ostatnich latach, gdy zaczął w pełni rozumieć, dlaczego matka go biła i dlaczego zdradzała ojca, sprawiając w końcu, że ten zamienił się w warzywo. Tak, jego własne życie, jego osobista tragedia były tylko symptomem znacznie gorszej choroby. Teraz, gdy stał się Rzeźbiarzem, gdy zrozumiał swój cel, mężczyzna zwany niegdyś Christianem uzmysłowił sobie również, że tę chorobę można uleczyć; że może wykorzystać swoje objawienie, by pomagać innym, i że został zesłany na tę planetę, by uratować ludzkość przed duchowym zepsuciem. On sam po długich latach wyrwał się w końcu z uśpienia, a teraz zamierzał przebudzić również innych.

Rzeźbiarz zszedł z tylnego ganku i ruszył w stronę powozowni. Zaczął chichotać pod nosem, bo choć nienawidził internetu, z podnieceniem myślał o tym, co na niego czekało.

Tak, Rzeźbiarz niezachwianie wierzył, że uda mu się zrealizować swój plan.

I że pomoże mu w tym doktor Hildebrant.

## Rozdział 4

– Jak się pani czuje? Już trochę lepiej? – spytał agent specjalny Markham.

– Tak, dziękuję – skłamała Cathy, roztrzęsiona. Zwrócona ku oknu wpatrywała się w przestrzeń, nie zwracając uwagi na mijane budynki. Nagle uświadomiła sobie, że pomimo porannych wydarzeń nieświadomie wypatruje wielkiego niebieskiego robaka, umieszczonego na szczycie siedziby New England Pest Control. Cathy nienawidziła tego robala – monstualnej, tandetnej figury, która wyglądała tak, jakby zaprojektował ją i zbudował niezbyt rozbawiony czterolatek – ale zawsze mimowolnie szukała go na widnokręgu, gdy wjeżdżała do Providence od południa.

– I dziękuję za kawę – dodała po chwili.

– Nie ma o czym mówić. – Agent FBI zamówił dokładnie taką kawę, jaką lubiła – *grande* z odtłuszczonym mlekiem i dwoma opakowaniami słodzika – i nawet nie mrugnął okiem, gdy musiał zapłacić za podwójne miejsce parkingowe, które zajął jego wielki czarny Chevrolet trailblazer przed budynkiem Starbucks. „Muszą nieźle zarabiać. Dla takiej pracy warto zabić” – pomyślała Cathy i natychmiast zawstydziała się, że w takiej chwili pozwala sobie na podobne żarty.

– Czy mogłabym zadać pani kilka pytań, doktor Hildebrant? – spytała agentka FBI siedząca z tyłu samochodu. Nazywała się Sullivan, miała około trzydziestu lat, blond włosy i regularne, klasyczne rysy twarzy, których Cathy jej zazdrościła. Jak powiedział jej Markham, pracowała w oddziale FBI w Bostonie; czekała w chevrolecie, kiedy on wszedł do mieszkania Cathy.

– Proszę bardzo – odpowiedziała pani doktor.

Agentka Sullivan wyjęła z kieszeni mały cyfrowy dyktafon i przystawiła go do ust:

– Mówi agentka specjalna Rachel Sullivan, nagranie dokonane w samochodzie, w obecności agenta Markhama i doktor Hildebrant. Niedziela, dwudziestego szóstego kwietnia. Godzina dwunasta dwadzieścia.

Sullivan położyła dyktafon między przednimi siedzeniami. Czerwone, migające światelko urządzenia dziwnie krępowало Cathy.

– Doktor Hildebrant – zaczęła Sullivan. – Jest pani autorką książki o Michale Aniele,

zatytułowanej *Uśpiony w kamieniu*, zgadza się?

– Tak.

– Czy to jedyna opublikowana praca pani autorstwa?

– Nie, ale jedyna poświęcona wyłącznie rzeźbom Michała Anioła. I jedyna, która wyszła poza środowisko akademickie i zyskała sobie czytelników na szerszym rynku.

– Więc sprzedano ją w dużym nakładzie?

– Z pewnością nie był to bestseller „New York Timesa”, ale jak na pracę o tak specjalistycznej tematyce, to owszem, sprzedano sporo egzemplarzy.

– Co jeszcze pani wydała?

– Byłam współautorką tekstu i autorką wstępu do historii sztuki, którą napisałam wraz z moją byłą współpracowniczką z Harvardu, publikowałam też artykuły w różnych czasopismach akademickich.

– Rozumiem – odparła Sullivan.

Cathy nie podobał się ton agentki. Brakowało jej wdzięku Markhama, jego bezpośredniości. Mówiła jak adwokat z telewizyjnych seriali sądowych, które ostatnio tak bardzo wciągały Cathy – seriali stanowiących kolejną formę „bezmyślnej rozrywki”, jeszcze przed kilkoma miesiącami zupełnie jej obcej i niezrozumiałej.

– Ale *Uśpiony w kamieniu* to zdecydowanie pani najważniejsza praca – kontynuowała Sullivan. – Dzięki niej zyskała pani rozgłos, prawda?

– Można tak powiedzieć.

– Wymaga pani znajomości tej książki na swoich zajęciach?

– Tylko na seminarium magisterskim. – Cathy poczuła się nagle zagrożona, jakby Sullivan zastawiała na nią jakąś pułapkę. Rozejrzała się niepewnie dookoła, a jej wzrok padł na prędkościomierz. Markham jechał z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, ale trzymał kierownicę tak, jakby włókł się co najmniej trzy razy wolniej.

– Kiedy wydano tę książkę?

– Około sześciu lat temu.

– Zanim dostała pani stały etat czy już potem?

– Tuż przed.

– Od kiedy wymaga pani znajomości tej pracy na zajęciach?

– Jesienią minie pięć lat.

– Chciałabym, żeby zastanowiła się pani przez chwilę – powiedziała agentka Sullivan, świadomie zmieniając ton. – Proszę pomyśleć, czy w tym czasie miała pani studenta – właściwie czy kiedykolwiek miała pani takiego studenta – który wydawał się pani wyjątkowo

dziwny. Takiego, który powiedział, zrobił albo nawet napisał coś zaskakującego, coś, co wykraczało poza granice zwykłej kreatywności. Mam na myśli jakiś rysunek, esej czy nawet e-mail, który wzbudził pani niepokój.

Umysł Cathy zamienił się w kalejdoskop bezimiennych, rozmazanych twarzy. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie wie nawet, jak wyglądają jej obecni studenci.

– Nikt nie przychodzi mi do głowy – przyznała w końcu. – Przykro mi.

– A co z innymi wykładowcami z wydziału? Czy ktoś wspominał pani kiedyś, że czuje się zagrożony przez jakiegoś studenta?

– Nie przypominam sobie.

– A czy pani czuła się kiedyś zagrożona przez któregoś ze swoich współpracowników na Harvardzie albo na Uniwersytecie Browna? Kogoś, z kim nie mogła się pani porozumieć? Może kogoś, kto został zwolniony z uczelni i chował do pani urazę?

– Nie, na pewno nie.

– Czy któryś z pani studentów próbował panią podrywać? – wtrącił agent Markham. Choć samo pytanie było nieco krępujące, Cathy ucieszyła się z tej odmiany, miała już bowiem dość prokuratorского tonu Sullivan. – Czy którykolwiek z nich posunął się do czegoś, czego nie można już nazwać niewinnym flirtem? Do jakichś agresywnych zachowań?

Cathy zawsze była trochę nieśmiała, ale nigdy głupia. Choć przed małżeństwem spotykała się tylko z kilkoma mężczyznami, a na Harvardzie nie angażowała się w poważne związki, wyczuwała „wibracje” wysyłane przez niektórych studentów. Jednak w ciągu tych dwunastu lat, które spędziła na Uniwersytecie Browna, tylko dwóch z nich odważyło się zaprosić ją na kawę – w obu wypadkach oddana żona Stevena Rogersa grzecznie odmówiła.

„Ale były jeszcze te listy”.

– Owszem – skinęła głową. – Jakieś pięć i pół roku temu. Na początku semestru zimowego, tuż po śmierci mojej matki, zaczęłam otrzymywać anonimowe listy.

Cathy zauważyła, że Markham spogląda porozumiewawczo na swoją partnerkę w lusterku wstecznym.

– Listy miłosne? – spytała Sullivan.

– Niezupełnie. Początkowo były to tylko krótkie, jednowierszowe cytaty, które traktowałam jako wyraz wsparcia i pocieszenia po śmierci matki. Potem dostałam sonet.

– Sonet? – zdziwił się Markham. – Sonet miłosny? Szekspirowski?

– Nie, to był sonet autorstwa Michała Anioła. – Markham spojrzał na nią ze zdumieniem. – Michał Anioł był nie tylko malarzem i rzeźbiarzem, ale i uznanym, choć nie wybitnym poetą. Napisał setki wierszy na różne tematy. Najsłynniejsze z nich to sonety,

tworzone z myślą o pewnym młodym mężczyźnie, w którym Michał Anioł był zakochany. Mężczyzna ten nazywał się Tommaso Cavalieri. Sonet, który dostałam, powstał mniej więcej w tysiąc pięćset trzydziestym piątym roku, podczas pierwszych lat ich przyjaźni, gdy Michał Anioł miał około sześćdziesięciu lat, a Cavalieri zaledwie dwadzieścia kilka.

– Więc ile listów w sumie pani otrzymała? – spytała Sullivan.

– Cztery. Jeden sonet i trzy krótkie cytaty, również autorstwa Michała Anioła. Dostawałam je mniej więcej co drugi tydzień, przez półtora miesiąca. Pojawiały się o różnych porach dnia, ktoś zostawiał je w kopertach przed drzwiami mojego gabinetu. Potem przestały się pojawiać. Od tej pory nie dostałam ani jednego.

– Mówiła pani, że to były anonimy. Dowiedziała się pani kiedykolwiek, kto je wysłał?

– Nie.

– Ma pani jakieś przypuszczenia?

– Charakter pisma wyglądał na kobiecy. Ponieważ Michał Anioł darzył Cavalieriego miłością homoseksualną, zakładałam, że mój cichy wielbiciel to kobieta. Chociaż nierozstrzygnięte pozostaje pytanie, czy artysta miał *wyłącznie* skłonności homoseksualne.

– Rozumiem. – Agent specjalny skinął głową. – Jeśli wolno spytać... Czy sonet, który pani otrzymała, opisywał nieodwzajemnioną miłość?

– W pewnym sensie. Wszystko wskazuje na to, że Cavalieri odwzajemniał uczucie Michała Anioła, ale istnieją też dowody, że ten związek nigdy nie został skonsumowany. Dlatego sonet dotyczył raczej nieosiągalnej miłości duchowej niż cielesnych żądz: miłości, o której w czasach Michała Anioła nie wolno było nawet mówić, a co dopiero okazywać ją komuś otwarcie. I choć ci dwaj pozostawali bliskimi przyjaciółmi, relacje z Cavalierim aż do śmierci sprawiały Michałowi Aniołowi ogromny ból.

– Ma pani jeszcze te listy? – spytał Markham.

– Przechowywałam je przez jakiś czas – przyznała Cathy zawstydzona. – Ale kiedy pokazałam je mężowi, Doprosił, żebym je wyrzuciła. Zrobiłam to. Teraz wiem, że postąpiłam głupio. Nie powinnam była tego robić.

„Szkoda, że nie odmówiłaś mu jeszcze wcześniej, kiedy ci się oświadczył...”

– Pamięta pani tytuł tego wiersza? A może były ponumerowane, jak sonety Szekspira?

– Literaturoznawcy ponumerowali niektóre z nich, ale nie stworzyli jednego ogólnie przyjętego systemu, jak w wypadku Szekspira. Oczywiście, mogę się mylić, bo to nie moja dziedzina. Ale zapewniam, że w liście, który wtedy dostałam, nie było żadnego tytułu ani numeru. Pamiętam to dobrze. Jeśli chcecie, powiem wam, czego dokładnie dotyczył, mogę też zacytować fragmenty...



– Ale rozpoznałaby pani wiersz i cytaty, gdyby je pani zobaczyła?

– Tak.

Agent Markham wyłączył dyktafon.

– Sullivan, zadzwoń do swojego technika na miejscu przestępstwa. Dopilnuj, żeby miał laptopa z dostępem do internetu, może doktor Hildebrant znajdzie dla nas ten sonet. I spytaj, czy ktoś nie mógłby odszukać drukowanej wersji wierszy Michała Anioła.

– Tak jest.

– Będę też potrzebował listy studentów, którzy uczęszczali na zajęcia pani Hildebrant, oraz danych jej współpracowników z wydziału historii sztuki i architektury z ostatnich dziesięciu lat. Albo nie, przygotuj listy studentów ze wszystkich kursów, które miały w nazwie historię sztuki albo samą sztukę. Dziś jest niedziela, ale dopilnuj, żeby ktoś się tym zajął jutro z samego rana, gdy tylko otworzą biuro.

– Tak jest – odparta ponownie Sullivan i zaczęła wybierać numer na telefonie.

– Agencie Markham – zaczęła Cathy. Dyskusja o Michale Aniele przywróciła jej spokój i pewność siebie. – Moje nazwisko pojawiło się w kontekście tego okropieństwa, więc przypuszczacie zapewne, że mogę być w jakiś sposób powiązana z tym psychopatą. Ale czy naprawdę wierzycie, że osoba, która wysyłała mi te listy, mogła zamordować Toma Campbella i tego chłopca? Czy nie mógł to być jakiś wariat, który przeczytał moją książkę? Naprawdę wydaje wam się możliwe, że ten człowiek to jeden z moich byłych studentów?

– Nie wiem – odparł Markham. – Ale Tommaso to włoska wersja imienia Thomas, trudno nie widzieć dziwnego zbiegu okoliczności w fakcie, że otrzymała pani wiersz przeznaczony dla młodzieńca o tym imieniu i że teraz ktoś zadedykował pani posąg młodego człowieka, również noszącego to imię.

Cathy poczuła nagle strach i wstyd. Było jej głupio, że nie skojarzyła od razu tych dwóch imion, opowiadając o rzeźbie.

Przede wszystkim jednak było jej głupio, bo agent specjalny Markham od razu zauważył ten związek.

## Rozdział 5

Strych powozowni był wyłożony dźwiękoszczelną pianką, okrywającą zarówno ściany, jak i lekko pochyły dach. Okna już przed laty zostały szczelnie zasłonięte i nawet gdy paliły się wszystkie świetlówki, ciemna pianka wypełniała pomieszczenie przytłaczającą i bezkresną na pozór ciemnością. Podczas remontu Rzeźbiarz celowo odsłonił krokwie, by dodać pomieszczeniu nieco wysokości. Krokwie również zostały pomalowane na czarno, a po drugiej stronie strychu, gdzie była niegdyś zainstalowana winda towarowa, Rzeźbiarz zamontował system wciągarek. Dzięki temu mógł podnosić i opuszczać stół operacyjny przez klapę rodem z filmów o doktorze Frankensteinie, a czasami, kiedy był w jakimś głupawym nastroju, sam jeździł sobie między piętrami.

W rogu po drugiej stronie pomieszczenia, obok drzwi, znajdował się sprzęt techniczny Rzeźbiarza: biurko w kształcie litery L z dwoma komputerami, trzy monitory, drukarka, płaski telewizor, połączony z kablówką, kamery tradycyjne i cyfrowe oraz różne inne urządzenia, których Rzeźbiarz potrzebował od czasu do czasu, by wykonać swoją pracę. W drugim rogu przechowywał sprzęt medyczny – zupełnie inny niż ten, który znajdował się w pokoju jego ojca, i przeznaczony do zupełnie innych celów.

Rzeźbiarz uruchomił monitor przekazujący obraz z sypialni na piętrze domu. Jego ojciec siedział dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej go zostawił, i patrzył na ptaki za oknem. Mężczyzna zwany niegdyś Christianem włączył również dźwięk, a poddasze natychmiast wypełniło się słodką muzyką Scarlattiego. Następnie uruchomił oba komputery, sięgnął po pilota i włączył telewizor – Fox News, bez dźwięku. Nie podawano jeszcze informacji o jego pierwszej ekspozycji – a wiedział, że będzie to naprawdę spektakularny debiut – ale nie przejmował się tym. Był pewien, że wkrótce ta wiadomość przyćmi wszystkie inne. Uśmiechnął się na myśl, że dzień po dniu dziennikarze będą zdobywać coraz to nowe szczegóły, jak to zwykle działo się w tego rodzaju sprawach. To zawsze rozbudzało ludzką ciekawość, podsycalo apetyty.

Jednak najbardziej podniecająca była dlań świadomość, że doktor Hildy ujrzy jego dzieło – bo doktor Hildy była jedyną osobą, która mogła *naprawdę* zrozumieć jego *Bachusa*. A gdy ludzie dowiedzą się o napisie pod posągami, o powiązaniach pani doktor z tą sprawą,

na pewno zapragną poznać ją lepiej. Być może wszyscy ci słynni dziennikarze zechcą przeprowadzić z nią wywiad – to byłoby naprawdę coś! A jeśli nawet nie dojdzie do tego, to przynajmniej szeroka publiczność zainteresuje się jej książką o Michale Aniele. Wtedy wszyscy zaczną wreszcie rozumieć – zaczną się w końcu *budzić*.

Połączywszy się na obu komputerach z internetem – jeden z nich pokazywał stronę Drudge Report, drugi CNN – Rzeźbiarz wyjął z biurka jedyną książkę, którą przechowywał na strychu: egzemplarz *Uśpionego w kamieniu*. Przejrzał ją szybko – książka była już mocno sfatygowana, kartki pozaginane, opatrzone licznymi przypisami na marginesach i podkreśleniami – i zatrzymał wzrok na skrzydełku okładki. Znajdowało się tam zdjęcie doktor Catherine Hildebrant. Sześć lat temu nosiła krótsze włosy. „Wyglądała na troszkę pulchniejszą” – pomyślał. Być może dlatego, że fotografia była czarno-biała, a być może za sprawą okularów: „Tak, te czarne oprawki, które teraz nosi, bardziej do niej pasują niż stare, druciane”. Obiektywnie rzecz biorąc, Rzeźbiarz uważał Catherine Hildebrant za atrakcyjny materiał, lecz w gruncie rzeczy powierzchowność nie miała dla niego żadnego znaczenia. Dobrze wiedział, że podobnie jak w wypadku materiałów, których używał do tworzenia rzeźb, prawdziwe piękno doktor Hildebrant tkwiło w jej wnętrzu, *uśpione w kamieniu*.

Uśmiechając się z zakłopotaniem, Rzeźbiarz odłożył książkę do szuflady i zjechał prowizoryczną windą na parter. Koła zębate obracały się głośniejsz niż zwykle.

– Trzeba je będzie naoliwić – mruknął do siebie, odsyłając stół na górę. Zajmie się tym, gdy tylko uporządkuje pracownię.

Parter wyglądał zupełnie inaczej niż piętro. Tutaj okna także zostały zasłonięte, ale ceglane ściany zachowały swą pierwotną formę. Na jednej z nich wisiała półka z narzędziami, a na drugiej korkowa tablica z niepotrzebnymi już szkicami *Bachusa*. Niemal połowę przestrzeni zajmowała duża biała furgonetka, którą wjeżdżało się tu przez jedno z podnoszonych drzwi. Druga połowa stanowiła wyłącznie pracownię Rzeźbiarza. Znajdował się tutaj prysznic i zlew oraz mały otwór odpływowy w podłodze; kiedyś ojciec powiedział mu, że w dziewiętnastym wieku spuszczano tu krew upolowanych zwierząt. Po tej stronie znajdował się również cały sprzęt, potrzebny Rzeźbiarzowi do pracy, między innymi stół kreślarski i krzesło, spawarka, małe kowadło, kadź ze „specjalną farbą” i rozpylacz, lampy ultrafioletowe, rolki folii plastikowej, w samym zaś rogu duża wanna szpitalna z nierdzewnej stali. Wanna ta stanowiła chyba najbardziej skomplikowane urządzenie w kolekcji Rzeźbiarza, zaopatrzył ją bowiem nie tylko w hermetyczną pokrywę, ale i w agregat chłodzący oraz pompę próżniową. W małej przybudówce za powozownią leżały beczki z chemikaliami, które Rzeźbiarz przynosił z piwnicy, gdy zabierał się do preparowania

materiału.

Rzeźbiarz włączył monitor stojący na stole kreślarskim – ojciec przy oknie i barokowa muzyka, która teraz wypełniała już całą powozownię – po czym zdjął plansze z tablicy korkowej. Zwinął je w ciasny rulon, obserwując przy tym mimowolnie, jak pod skórą jego potężnych przedramion przesuwały się węzły mięśni. Pomyślał, że wieczorem rozpali w kominku, przyniesie z piwnicy butelkę wina Brunello di Montalcino i będzie się przyglądał płonącym arkuszom. „Czemu nie? Byłem grzeczny. Chyba należy mi się mała nagroda za tyle ciężkiej pracy”. Tak, z pewnością wiadomość o jego pierwszej ekspozycji dotarła już do mediów. A jeśli nie, to sam mógł je o tym poinformować – oczywiście, gdyby miał pewność, że doktor Hildy zobaczyła już jego dzieło; gdy miałby pewność, że dostała jego wiadomość z „podziękowaniami”.

„Być może właśnie tam jedzie” – pomyślał z uśmiechem.

Kiedy zabrał się do sprzątnięcia pracowni, doszedł do wniosku, że nie powinien sprawdzać tego osobiście, że podejmowałby zbyt wielkie ryzyko, śledząc doktor Hildy, jak robił to w przeszłości. Nie, z pewnością FBI spodziewało się czegoś takiego. Bezpieczniej będzie poczekać na wiadomości w mediach.

– Poza tym – powiedział głośno Rzeźbiarz – nie będę miał czasu, żeby szpiegować doktor Hildy. Jutro jest poniedziałek, a w poniedziałek zaczynam nowy projekt.

## Rozdział 6

Agent specjalny William „Buldog” Burrell z mieszanymi uczuciami myślał o tym, co przyniósł mu ostatnio los. Ponieważ od niedawna pełnił funkcję kierownika bostońskiego oddziału FBI, sprawa Tommy’ego Campbella od początku należała do niego – doglądał jej osobiście. Bill Burrell znał się na swojej robocie, pracował w Biurze już od dwudziestu dwóch lat, w oddziałach w Waszyngtonie, Chicago i Dallas, zajmował też wiele wysokich stanowisk – był między innymi szefem Strategicznego Centrum Informacji i Operacji w siedzibie głównej FBI, skąd trafił właśnie do Bostonu. Były komandos o krótko przyszytych włosach i imponującym, studziwiećdziesięciocentymetrowym wzroście nazywany był Buldogiem od czasów, gdy grał w drużynie futbolowej Uniwersytetu New Hampshire – nie tylko ze względu na swoją potężną sylwetkę, obwisłe policzki, groźne spojrzenie i krewki temperament, ale również ze względu na to, jak atakował swoich przeciwników: rzucał się na nich niczym rozwścieczony lew, po czym rozszarpał nieszczęśników na drobne kawałki.

Jednak w ciągu trzech miesięcy, które upłynęły od zniknięcia Tommy’ego Campbella, Buldog nie znalazł choćby cienia dowodu, którym mógłby się pochwalić. Zbadał wszystkie tropy, wyczerpał wszelkie możliwości i spędził wiele bezsennych nocy, łamiąc sobie głowę nad czymś, co oceniał jako swoją pierwszą poważną porażkę od czasu, gdy w listopadzie minionego roku przejął oddział w Bostonie – pierwszą poważną porażkę *od początku kariery*. Dziwnym zrzędzeniem losu ciało chłopca znaleziono właśnie w ten weekend, kiedy przyjechał agent specjalny Markham, by przygotować trzydniowe seminarium, dotyczące najnowszych technik dochodzeniowo-śledczych i tworzenia profili psychologicznych; dziwnym zrzędzeniem losu Markham dotarł na miejsce zbrodni wcześniej niż on; ten sam los sprawił, że Markham podjął pierwszy trop, jaki pojawił się w tej sprawie, gdy zniknięcie Campbella uznano w końcu za morderstwo.

Tak, teraz, gdy mieli do czynienia z *dwoma* ciałami i seryjnym mordercą, gdy wiedzieli już, że sprawa jest znacznie poważniejsza niż zwykle zabójstwo czy samobójstwo, Burrell, czy mu się to podobało, czy nie, potrzebował Sama Markhama. I choć od chwili, gdy w Watch Hill odkryto przerażającą białą rzeźbę, nie minęło jeszcze nawet sześć godzin, agent

specjalny William „Buldog” Burrell nie był ani trochę zadowolony z kierunku rozwoju śledztwa.

Nie chodziło bynajmniej o to, że Buldog miał coś przeciwko Markhamowi. Wręcz przeciwnie, podziwiał legendarnego psychologa, człowieka, który dopadł Jacksona Briggsa, zwanego Dusicielem z Sarasoty, sukinsyna, który zabijał starsze panie na Florydzie. Równie znana była oczywiście ta paskudna historia z Raleigh w Karolinie Północnej. O tak, nikt chyba nie mógł zapomnieć o tym, co się tam wydarzyło.

Co więcej, w Biurze coraz częściej mówiło się o tym, że Markham wcześniej czy później zostanie szefem sekcji behawioralnej w Narodowym Centrum Analiz Zbrodni. Bill Burrell wiedział jednak, że czterdziestoletni Markham wcale nie marzy o tym stanowisku. Nie, Markham był podobny do niego – wolał pracować w terenie, na pierwszej linii frontu. Skoro już uznano, że Tommy Campbell został zamordowany, a Burrell musiał pracować z kimś z Quantico, to cieszył się, że trafił właśnie na Sama Markhama.

Mimo to pięćdziesięcioletni agent czuł się oszukany przez los, nie mógł się pogodzić z myślą, że pierwszy i jedyny przełom w największej sprawie w jego karierze padł łupem Markhama, bo bez względu na to, jak bardzo go podziwiał, miał niezwykle rozwinięty instynkt terytorialny. Jak buldog. A to było *jego* podwórko.

To właśnie dlatego telefon od agentki specjalnej Rachel Sullivan, jego koordynatorki, doprowadził go do białej gorączki. Technicy z ekipy dochodzeniowej opowiedzieli mu pokrótce o rozmowie z Markhamem, gdy tylko dotarł na miejsce zbrodni – zbrodni, która zmusiła go do odłożenia wizyty u chorej matki w Hampshire; zbrodni, która wymagała, by pojawił się w Watch Hill *osobiście*. Choć Buldog był zadowolony z pracy swojej ekipy, po prostu nie mógł pogodzić się z myślą, że Markham wydaje polecenia jego ludziom.

Burrell stał na zwirowym podjeździe i rozmyślał, paląc powoli papierosa. Ośmielał się palić tylko w pracy, kiedy wiedział, że nie będzie go w domu jeszcze przez dłuższy czas i że żona nie poczuje od niego dymu.

„Jak on tu przewiózł posąg, do cholery?” – zastanawiał się Burrell, spoglądając na wypielęgnowany trawnik.

Posiadłość należała do bogatego dyrektora firmy inwestycyjnej, niejakiego Dodda, który spał jeszcze smacznie wraz ze swoją żoną, gdy jego dozorca odkrył posąg w południowo-wschodnim rogu ogrodu ze sztucznie kształtowaną roślinnością. Wysoki żywopłot oddzielał niemal całą posesję Dodda od sąsiadów – z wyjątkiem wschodniej części, która opadała łagodnym zboczem ku plaży. To właśnie tutaj podczas wstępnych oględzin miejsca przestępstwa ludzie Burrella znaleźli odciski w piasku ślady, biegnące od

sąsiedniej posiadłości do ogrodu i z powrotem. Jej właściciele mieszkali tutaj tylko w lecie, a nie przez cały rok, jak Dodd i jego żona. Człowiek, który zostawił ślady na piasku, musiał o tym wiedzieć. Był również na tyle przewidujący, że owinął czymś buty – prawdopodobnie workami foliowymi – bo w żadnym ze śladów nie udało się znaleźć odcisków podeszwy.

– Tak – wyszeptał Burrell, wypuszczając z ust obłok dymu. – Najpewniej zaparkował u sąsiada. Ale to oznacza, że *przeniósł* Campbella i tego chłopca przez plażę i na to trawiaste zbocze z tyłu ogrodu. To musi być naprawdę jakiś wyjątkowo silny i zdeterminowany sukinsyn.

Burrell rzucił niedopałek na podjazd, zgniótł go obcasem i przeszedł przez szeroki trawnik do ogrodu. Spojrzał na zegarek. Była dwunasta pięćdziesiąt osiem.

„Gdzie, do diabła, jest Markham?” – pomyślał, przesuwał spojrzeniem po szeregu niebieskich kurtek FBI.

Ogród miał kształt kwadratu o bokach długości około trzydziestu metrów. Dwie brukowane ścieżki dzieliły go na ćwiartki, a u ich zbiegu, pośrodku, znajdowała się marmurowa fontanna. Wzdłuż jednego z boków ciągnął się ponad trzymetrowej wysokości żywopłot, oddzielający posiadłość Dodda od sąsiadów, w pozostałych zaś, nieco niższych ścianach zieleni, okalających ogród, wycięto liczne „okna” i „drzwi”, przez które można było podziwiać zarówno posesję, jak i plażę oraz olbrzymią połąć Atlantyku. W prześwitach żywopłotu ustawiono klasyczne marmurowe rzeźby, a na ogrodzonym terenie stało kilka idealnie wyczelowanych figur, wyciętych w gęstych zielonych krzewach, między innymi niedźwiedź, słoń, żyrafa i koń.

Spoglądając na dzieło mordercy, ustawione w najodleglejszym zakątku ogrodu, Burrell nie mógł uwolnić się od myśli, że pomimo swej makabrycznej i odrażającej natury dziwnie pasuje do innych, marmurowych i roślinnych posągów. Był pewien, że morderca chciał, by wszyscy zobaczyli nie tylko Toma Campbella, nie tylko tę wyjątkową rzeźbę, ale i jej otoczenie.

– Ona już tu jest – szepnął ktoś za jego plecami.

Był to Sam Markham.

Burrell odwrócił się na pięcie i zobaczył drobną, atrakcyjną kobietę, która stała obok kryminologa z Quantico. Jej oczy, przesłonięte szklami okularów w czarnych oprawkach, natychmiast powiedziały mu, że jest z pochodzenia Koreanką – podobnie jak jego żona.

– Pozwoli pani, że polecę któremuś z moich ludzi przynieść pani kawę, doktor Hildebrant? – spytał od razu, nie bawiąc się w zbędne uprzejmości. Bill Burrell dobrze znał swój zespół; wiedział, że agentka specjalna Sullivan, która rozmawiała właśnie z technikiem

stojącym przy fontannie, poinformowała już historyczkę sztuki, czego może się po nim spodziewać.

– Nie, dziękuję. Chciałabym zobaczyć rzeźbę.

– Tędy – wskazał ruchem głowy Burrell, prowadząc ją przez dziedziniec. Jeśli Cathy Hildebrant nie wiedziała jeszcze do końca, kto kieruje całym tym cyrkiem, to widok funkcjonariuszy FBI, rozstępujących się przed Billem Burrellem, rozwiązał chyba wszystkie jej wątpliwości.

Zaraz po przybyciu na miejsce ekipa dochodzeniowo-śledcza FBI rozpięła jasnyniebieski brezentowy daszek nad Tommym Campbellem i jego młodym towarzyszem, więc Cathy nie widziała dobrze rzeźby, dopóki nie znalazła się tuż obok niej. Pomimo grozy całej sytuacji oraz świadomości, że patrzy na ludzkie zwłoki, czuła dziwny spokój i obojętność, gdy przyglądała się dziełu zabójcy. Co więcej, widok ten wzbudzał w niej coś w rodzaju podziwu; przypominał on ten, który odczuła przed piętnastu laty, gdy po raz pierwszy zobaczyła we Florencji oryginalnego *Bachusa*.

Tak, w rzeczywistości reprodukcja rzeźby Michała Anioła była jeszcze bardziej – Boże, jak okropnie brzmiało to słowo w takich okolicznościach! – *imponująca* niż na zdjęciach Sama Markhama. Ułożenie ciał, najdrobniejsze nawet szczegóły – tygrysia skóra, czarka, winogrona – były dopracowane w każdym calu, a Cathy musiała sobie nieustannie przypominać, że patrzy nie na rzeźbę, lecz na dwa pomalowane ciała. Mimowolnie zaczęła okrążyć posąg, wiedziała bowiem, że Michał Anioł chciał, by w taki właśnie sposób oglądano jego dzieło – tylko wtedy można było docenić pomysłowość artysty, który poprzez mnogość i wielorakość płaszczyzn po mistrzowsku oddawał chwiejność sylwetki pijanego boga. Cathy spojrziała na towarzysza Bachusa, nieznanego jeszcze chłopca, który w bestialski sposób został przemieniony w satyrę. Tutaj twórca tego przerażającego dzieła również doskonale oddał ducha oryginału – psotny stwór uśmiechał się szelmowsko, naśladując postawę boga i kradnąc jego winogrona.

Cathy okrążyła powoli posąg, zerkając mimowolnie na dedykację wykutą w jego podstawie, aż jej wzrok zatrzymał się na kroczu Bachusa. Pod warstwą białej farby – jeśli rzeczywiście była to farba – widać było zarys szwów pozostałych w miejscu, gdzie znajdował się wcześniej penis Tommy'ego Campbella. Kiedy przesunęła spojrzenie wyżej, na tors i twarz mężczyzny, uświadomiła sobie po raz kolejny, z jaką precyzją zabójca oddał najsubtelniejsze nawet niuanse oryginału. Wiedziała już, że człowiek, który stworzył to odrażające dzieło, zadał sobie naprawdę wiele trudu nie tylko po to, by zabić Campbella i tego biednego chłopca, ale także, by przemienić ich w samą esencję *Bachusa*.



– Widzi pani, doktor Hildebrant – przemówił ponownie Burrell – z naszych wstępnych badań wynika, że zabójca zakonserwował jakoś ciała i umocował je na wewnętrznej metalowej ramie. To oznacza, że umie nie tylko wypychać zwłoki, balsamować je i tak dalej, ale ma również pojęcie o spawaniu. Czy może to wskazywać na kogoś ze znanych pani ludzi? Może któryś z pani studentów zajmował się także metaloplastyką?

– Nie. – Cathy pokręciła głową. – Nie znam nikogo, kto mógłby to zrobić.

– I nie wie pani też, dlaczego ktoś chciał zadedykować ten posąg właśnie pani?

– Nie. Nie mam pojęcia.

Gdy po tym oświadczeniu zapadła krępująca cisza, Cathy uświadomiła sobie, że cała ekipa FBI – około dwudziestu pięciu osób – wpatruje się właśnie w nią. Czują, jak gorący rumieniec wypływa jej na twarz, nagle powróciły do niej echa niedawnego snu, znów słyszała szydercze okrzyki kolegów i koleżanek z podstawówki. Uratował ją Sam Markham.

– Doktor Hildebrant, czy mogłaby pani powiedzieć nam coś jeszcze o tym posągu, zanim zabierze go ekipa dochodzeniowa? Na przykład, dlaczego Tommy Campbell nie ma... hm... nie ma penisa?

Cathy podejrzewała, że Markham zna odpowiedź na to pytanie – że próbuje ją nakłonić, by mówiła o *Bachusie* tak, jak rozmawiała z nim w samochodzie o Michale Aniele, dzięki czemu udało jej się uspokoić. Była mu za to ogromnie wdzięczna.

– Cóż – zaczęła – oryginał również nie ma penisa, a uczeni wciąż spierają się, co jest tego przyczyną. Wiemy, że w pewnym okresie odłamano prawą rękę Bachusa, tę, w której trzyma naczynie z winem, by nadać rzeźbie pozór starożytności. W tym czasie posąg był częścią kolekcji rzymskich dzieł sztuki, należącej do niejakiego Jacopa Gallego. Rękę przymocowano ponownie w tysiąc pięćset pięćdziesiątym roku, ale co do penisa... Cóż, niektórzy uważają, że nigdy go tam nie było, albo że Michał Anioł odciął go tuż po ukończeniu pracy nad rzeźbą.

– Dlaczego? – spytał Markham.

– Zgodnie z tradycją mitologii rzymskiej i greckiej – Grecy nazywali tego boga Dionizosem – Bachus był nie tylko bogiem wina i dobrej zabawy, ale także bogiem teatru, posiadał więc wszelkie moce związane z wczesnymi rytuałami i obrzędami teatralnymi starożytnej Grecji. Choć uczeni wciąż zastanawiają się, jaka była prawdziwa natura tych obrzędów, niektórzy z nich uważają, że skoro seks był częścią dobrej zabawy, domeny Bachusa, to stanowił również część owych wczesnych rytuałów teatralnych. Dlatego też w mitologii oraz sztuce starożytnej Grecji i Rzymu Bachus często przedstawiany jest zarówno z genitaliami mężczyzny, jak i kobiety, co daje mu władzę nad pożądaniem seksualnym obu

plci. Od dawna już istnieje wśród uczonych przekonanie, że Michał Anioł celowo nadał Bachusowi nieco zniewieściałą, niemal obojnaczą naturę – nabrzmiałe piersi, wydęty brzuch – a niektórzy uważają również, że właśnie dla podkreślenia tej natury nie wyrzeźbił penisa. Ja jednak nie zgadzam się z tym poglądem.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego, Sam? – spytał Burrell.

– Nie. Seryjni zabójcy czasami układają ciała swych ofiar w określonych pozach – eksponują je, można powiedzieć – albo dla własnej chorej przyjemności, albo z myślą o tych, którzy zobaczą je później. Ale nie, nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– A brakujący penis? Mówi ci to coś, Sam? Zabójca ma problemy ze swoją płcią? Chce być kobietą czy co?

– Być może. A może próbuje tylko upodobnić rzeźbę do oryginału.

– To by tłumaczyło, dlaczego umieścił ją właśnie tutaj – wtrąciła Cathy.

– Co ma pani na myśli? – spytał Burrell

– Agencie Markham, mówił pan, że właścicielem tej posesji jest dyrektor naczelny dużej firmy inwestycyjnej, zgadza się?

– Tak jest. Nazywa się Dodd. Earl Dodd.

– *Bachus* Michała Anioła został zamówiony w 1496 roku przez kardynała Riari, który zamierzał umieścić go w swoim ogrodzie, obok rzeźb klasycznych. Nie przyjął jednak posągu – uznał go za obrzydliwy – który w 1506 roku trafił w końcu do ogrodu Jacopa Gallego, bogatego bankiera.

Burrell i Markham wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a Cathy nagle znów poczuła się zawstydzona.

– Przepraszam – powiedziała. – Wybaczenie, że próbuję się bawić w detektywa. Pewnie naoglądałam się za dużo CSI.

– Co o tym myślisz, Sam? – spytał Burrell.

– Pani Hildebrant, czy *Bachus* był pierwszym posągiem Michała Anioła? – zwrócił się do Cathy Markham.

– Nie. Michał Anioł miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy ukończył *Bachusa*, ale wcześniej stworzył już wiele innych rzeźb. Z drugiej jednak strony, był to jego pierwszy posąg naturalnych rozmiarów, dzieło, które zwróciło nań uwagę szerszej publiczności i dzięki któremu zyskał sobie opinię utalentowanego rzeźbiarza.

– Więc myślisz, że to tylko wstęp, Sam? – pytał dalej Burrell. – Pierwsze morderstwo z całej serii?

– Być może.

- Ale dlaczego właśnie Campbell? I dlaczego ten chłopiec?
- Sam do końca nie wiem – odparł Markham, kucając obok posągu. – Ale przypuszczam, że zabójca chce, by powiedziała nam to doktor Hildebrant.

## Rozdział 7

Motto wypisane na nowych radiowozach policji z Westerly brzmiało HONOR, PRAWOŚĆ, POŚWIĘCENIE – szef miejscowych stróżów prawa zawsze dodawał w myślach: „Dyskrecja”. Rzeczywiście, gdyby zapytać obywateli Watch Hill, za co najbardziej cenią miejscowego komendanta, odpowiedzieliby zapewne, że jak nikt potrafi zamknąć swoim ludziom usta. Ponieważ ta ustronna nadmorska społeczność z dawien dawna składała się z bogatych i sławnych ludzi, którzy szukali tu ciszy i wypoczynku, wśród policjantów obowiązywała niepisana umowa, że w tej okolicy będą używać syren, tylko gdy będzie to naprawdę konieczne. Przez lata funkcjonariusze opracowali nawet swego rodzaju „szyfr”, by nie ściągać na siebie uwagi miejscowych dziennikarzy, którzy bez ustanku prowadzili nasłuch na policyjnych częstotliwościach, licząc, że uda im się dzięki temu zdobyć jakąś sensacyjną wiadomość.

Jednak po zniknięciu Tommy’ego Campbella – co stanowiło sensację, o jakiej w Watch Hill nie słyszano od dziesięcioleci – jeden z miejscowych policjantów dał się skusić na pięćset dolarów, które miał dostać za jakąkolwiek „wiarygodną i interesującą” informację o losach skrzydłowego. Kiedy początkująca ambitna dziennikarka śledcza Kanału 9, Meghan O’Neill, odebrała telefon z wiadomością, że ciało Toma Campbella znaleziono w Watch Hill, wiedziała, że jej pieniądze zostały dobrze wydane.

W chwili gdy Cathy Hildebrant skończyła oględziny *Bachus* Rzeźbiarza, przed żywopłotem okalającym posiadłość Earla Dodda zatrzymał się wóz transmisyjny Kanału 9. Ulica przed rezydencją wydawała się podejrzanie pusta, O’Neill pomyślała więc najpierw, że została oszukana. Kiedy jednak dostrzegła dwóch policjantów, stojących na straży przed kutą bramą, oraz szereg nieoznakowanych samochodów FBI na podjeździe, sama zadzwoniła do Kanału 9, by potwierdzić, że informacja była jednak prawdziwa.

Tak, była prawdziwa i należała do niej. O’Neill upatrywała w tym swojej wielkiej szansy.

I choć szef policji z Westerly nigdy by w to nie uwierzył, choć tylko garstka jego ludzi wiedziała, co *naprawdę* stało się w ogrodzie bogatego dyrektora, nim przyjechała tam policja stanowa, gdy tylko dwaj policjanci zobaczyli ładną rudowłosą kobietę wysiadającą z

furgonetki, domyślili się natychmiast, że ktoś z miejscowych sypanął.

– Zaraz powiadomię centralę – powiedział jeden z nich. – Ty idź do Burrella.

Jego partner skinął głową i natychmiast ruszył na tyły domu, podczas gdy pierwszy ze strażników sięgnął po krótkofalówkę i wezwał wsparcie.

– Chcę być na antenie za trzydzieści sekund – powiedziała O’Neill, poprawiając bluzkę i sięgając po mikrofon. – Zaczniemy tutaj, na chodniku, a potem przejdziecie za mną do bramy.

Choć pracowała w Rhode Island zaledwie od roku, nauczyła się już, że zawsze należy jak najszybciej włączać kamery – że ludzie „zachowują się lepiej”, kiedy wiedzą, że są nagrywani.

Sądząc po minie policjanta stojącego na podjeździe, O’Neill i jej dwuosobowy zespół musieli się naprawdę pośpieszyć.

– W studiu są już gotowi! – zawołał kierowca z furgonetki, a kamerzysta zaczął odliczać.

– Sensacyjne wiadomości za dziesięć, dziewięć, osiem...

O’Neill ustawiła się przy jednej z kamiennych kolumn, strzegących wejścia na posesję Dodda. Jej chłodna, spokojna twarz nie zdradzała zdenerwowania i podniecenia, które buzowały w jej wnętrzu.

– Pięć, cztery, trzy...

W chwili gdy kamerzysta skończył odliczanie, w słuchawce O’Neill rozległ się głos prezenterki – słowa, na które czekała od momentu ukończenia studiów.

– ...sensacyjna wiadomość. Kanał 9 dowiedział się właśnie, że Tommy Campbell, zaginiony skrzydłowy drużyny Boston Rebels, nie żyje, a jego ciało znaleziono około półtora kilometra od miejsca, w którym zniknął trzy miesiące temu. Za chwilę połączymy się z naszą reporterką, Meghan O’Neill, która pierwsza dotarła na miejsce zbrodni i pierwsza opowie nam o tym tragicznym punkcie zwrotnym w śledztwie, które toczy się od dobrych kilku miesięcy. Co się tam dzieje, Meghan?

– Dzień dobry, Karen. Stoję właśnie przed posiadłością bogatego mieszkańca Watch Hill, Earla Dodda. Choć nie otrzymaliśmy jeszcze oficjalnego potwierdzenia ze strony policji lub przedstawicieli Campbella, anonimowe źródła, zbliżone do tego śledztwa, poinformowały nas dziś rano, że na posiadłości Earla Dodda znaleziono dwa ciała, i że jedno z nich zostało zidentyfikowane przez krewnych jako należące do zaginionego skrzydłowego Boston Rebels, Tommy’ego Campbella.

– Przepraszam, czy powiedziałaś *dwa* ciała?

– Zgadza się, Karen – odparła O’Neill, przechodząc do bramy. – Wiemy, że oprócz zwłok Campbella znaleziono jeszcze jedno ciało, choć nasze źródła nie potrafiły powiedzieć, do kogo należy to ciało i czy w ogóle udało się je zidentyfikować. Nie wiem, czy widzisz, co dzieje się za moimi plecami, ale wygląda na to, że na miejscu już od jakiegoś czasu pracują przedstawiciele władz lokalnych i federalnych. Pamiętajmy, że na razie dysponujemy tylko garstką informacji, a ponieważ nie wydano jeszcze żadnego oficjalnego komunikatu, nie możemy stwierdzić, czy doszło tu do jakiegoś przestępstwa.

– To naprawdę niezwykle wiadomości, Meghan. Czy twoje źródła przekazały ci jakiegokolwiek informacje o okolicznościach tego odkrycia? Gdzie i jak znaleziono ciała? Jak zginęły obie ofiary i czy ma to jakiś związek z właścicielem posesji, panem Doddem, zdaje się?

– Zgadza się, Karen. Właściciel nazywa się Earl Dodd, jest szefem dużej firmy, a jego rodzina mieszka tu od pokoleń. Na razie nie dysponuję takimi informacjami, nie mogę więc również powiedzieć, czy Dodd jest jakoś powiązany ze zniknięciem Campbella i odkryciem jego ciała. Jednak, jak już zapewne zauważyłaś, przed bramą posesji stoi funkcjonariusz policji stanowej Rhode Island, który być może zechce uchylić przed nami rąbka tajemnicy. Proszę pana, czy to prawda, że na terenie tej posiadłości znaleziono dwa ciała, i że jedno z nich należy do zaginionego skrzydłowego drużyny Boston Rebels, Tommy’ego Campbella?

Zanim skonsternowany policjant zdołał sklecić jakąś odpowiedź, zza jego pleców dobiegł stanowczy kobiecy głos:

– FBI wyda dziś po południu oficjalne oświadczenie – oznajmiła agentka specjalna Rachel Sullivan. – Poinformujemy państwa, kiedy zostanie zwołana konferencja prasowa.

Dwóch innych agentów FBI zawiesiło na bramie niebieską plandekę.

– Sama widziałaś, jak to wygląda, Karen – podjęła O’Neill niezrażona. – Śledczy wciąż nie chcą mówić o tym, co się tutaj wydarzyło. Nasi widzowie zdają sobie zapewne sprawę, jak ogromne zainteresowanie budzi ta sprawa od chwili, gdy słynny skrzydłowy zniknął w styczniu, tuż przed finałem rozgrywek ligowych. Wiedzieliśmy już od jakiegoś czasu, że ze względu na reputację Campbella i okoliczności jego zaginięcia od samego początku sprawą tą zajmuje się FBI. Sądząc po tym, co przekazały nam nasze źródła, oraz po liczbie agentów federalnych, obecnych w tym miejscu, możemy uznać z całą pewnością, że sprawa zaginięcia Campbella przybrała tragiczny obrót.

– Niestety, wszyscy musimy się z tobą zgodzić, Meghan. Wszyscy wspieramy teraz myślami i modlitwą rodzinę Campbella. Chylimy też czoła przed tobą i całym zespołem wiadomości Kanału 9 za to, że pierwsi przekazaliście te wstrząsające wiadomości.

Oczywiście, będziesz informowała nas na bieżąco o postępach w sprawie?

– Dziękuję, Karen. Tak, nasz wóz transmisyjny zostanie tutaj i *pierwsi* będziemy dostarczać wam wszystkie nowe wiadomości. Na razie tyle z sennego zazwyczaj, a dziś diametralnie odmienionego Watch Hill. Oddaję głos do studia, Karen.

– Dziękuję ci, Meghan. Proszę, wszyscy państwo słyszeliście. Meghan O’Neill pierwsza przekazała nam wiadomość, która może się okazać największą sensacją tego roku. Oglądajcie Kanał 9, a z pewnością nie przegapicie żadnych informacji dotyczących tragicznego zwrotu akcji w jednej z najdziwniejszych spraw ostatnich lat. Tym, którzy dopiero włączyli odbiorniki, przypominam...

Głos w słuchawce Meghan O’Neill ucichł dokładnie w momencie, gdy zza rogu wyjechała cała ławica radiowozów policji Westerly – z włączonymi syrenami i światłami.

– Będzie pani musiała odsunąć się od bramy – powiedział szef policji, wysiadając ze swojego samochodu. – I zabierzcie stąd tę furgonetkę, do cholery.

Podczas gdy stróże prawa z Westerly zaczęli odgradzać ulicę przed posiadłością Earla Dodda, a ekipa Meghan O’Neill zbierała swój sprzęt, producenci z Kanału 9 oraz kilku innych stacji telewizyjnych Nowej Anglii uruchamiali właśnie helikoptery ze sprzętem transmisyjnym.

Nie, teraz już nie da się utrzymać tej sprawy w tajemnicy.

## Rozdział 8

Tymczasem Bill Burrell zakończył rozmowę z ojcem Tommy'ego Campbella. Zadzwonił do niego, by uprzedzić pograżonych w żałobie rodziców, że media dowiedziały się już o sprawie, więc oni lada moment mogą spodziewać się tłumu żądnych sensacji dziennikarzy pod drzwiami. Zamierzał wysłać tam dwóch ludzi, którzy pomogliby Campbellom obronić się przed tą watahą, a później wybrać się do nich osobiście, by złożyć im kondolencje i sprawdzić, czy może coś jeszcze dla nich zrobić.

Tak, był im to winien.

Thomas Campbell senior i jego urocza żona Maggie wiele wycierpieli, odkąd w styczniu zniknął ich syn – najmniejszym z ich problemów był szturm reporterów, którzy początkowo śledzili każdy ich krok. Przez jakiś czas starszy Campbell był nawet podejrzany w sprawie zaginięcia swego syna – ten niefortunny i niedorzeczny element śledztwa wciąż budził wyrzuty sumienia Billa Burrella. W ciągu kilku miesięcy całkiem dobrze poznał Thomasa i jego żonę; często przesiadywał z nimi na werandzie, popijał gorącą czekoladę i patrzył na wody Foster Cove, w których nurkowie bezskutecznie szukali ciała Tommy'ego Campbella.

Teraz jednak wszystko to należało już do przeszłości. Tak, teraz, gdy zwłoki Tommy'ego w końcu się znalazły, Burrell miał wyrzuty sumienia, że nie był na posesji Dodda, kiedy przyjechali tam rodzice chłopca, by identyfikować to, co zostało z ich syna.

No właśnie, co takiego właściwie zostało z ich syna?

Burrell obserwował, jak jego ludzie przystępują do ponurego zadania, jakim było usunięcie Tommy'ego Campbella i jego młodego towarzysza z ogrodu. Od czasu do czasu zerkał na niebo, wypatrując helikopterów, które mogły się tu zjawić w każdej chwili. Trzeba było połączonych sił trzech mężczyzn, *dużych* mężczyzn, i niemal dziesięciu minut, by przenieść okrytą płachtą rzeźbę do furgonetki czekającej na trawniku przy ogrodzie.

„Cholera” – pomyślał Burrell, kręcąc głową. – „To musiał być jakiś naprawdę silny sukinsyn”.

Gdy zatrzasnęły się metalowe drzwi samochodu, który ruszył powoli do wyjazdu, Buldog odetchnął z ulgą, zadowolony, że udało się zabrać ciało, nim nad posesją pojawiły się



dziennikarskie sępy. Cóż, jak dotąd był to jego jedyny sukces w tej sprawie. Dzięki temu lekarz sądowy mógł pracować w spokoju, a biuro Burrella nie musiało komentować zdjęć prasowych z miejsca zbrodni aż do chwili, gdy przyczyna śmierci zostanie ustalona i podana do publicznej wiadomości.

Burrell zapalił papierosa i zadzwonił do swojej żony. Powiedział jej, że wróci do domu w nocy, a być może nawet dopiero następnego ranka. Skwitowała to jak zawsze – rutynowym stwierdzeniem: „Zostawię włączone światło” i spokojem, który wypracowała za sprawą dwójki dzieci i dwudziestu pięciu lat małżeństwa z agentem FBI. Kiedy Burrell dołączył do Markhama i Cathy, ukrytych w furgonetce Biura, kiedy zobaczył na wpół azjatyckie rysy ładnej pani doktor, oblane łagodną poświatą monitorów, natychmiast zapomniał o poczuciu winy wobec Campbellów i zatęsknił do żony.

Tak, Bill Burrell robił się ostatnio sentymentalny.

– Mówcie, co macie – poprosił, wypuszczając z ust chmurę dymu.

– Cóż – zaczął Markham, – naszym ludziom udało się znaleźć w bibliotece w Westerly wiersze Michała Anioła i egzemplarz *Uśpionego w kamieniu* doktor Hildebrant.

– I?

– Nie miałem jeszcze okazji przejrzeć tej książki, ale doktor Hildebrant znalazła już właściwy wiersz i cytaty.

– Te, o których mówiła mi Sullivan? Te, które prawie sześć lat temu ktoś zostawiał pod drzwiami doktor Hildebrant?

– Tak jest – odparł Markham, spoglądając na kartkę papieru. – Znaleźliśmy te trzy cytaty w internecie. Na pierwszy rzut oka potwierdza się to, co mówiła pani doktor – że to słowa, które miały ją wesprzeć po śmierci matki. Dzięki temu wiemy przynajmniej, że ten tajemniczy wielbiciel wiedział, co dzieje się w jej życiu osobistym. Cytaty pojawiały się w następującej kolejności: „Skorośmy życiu byli radzi, na śmierć się krzywić nie powinniśmy, bo obie z rąk tego samego pana pochodzą”. „Obietnice tego świata to złudne urojenia”, i na koniec „Sobie zawierzyć i z siebie stworzyć coś wartościowego i pożytecznego, to dzieło najlepsze i najbezpieczniejsze”.

– I co o nich myślisz, Sam?

– Cóż, autor bez wątplenia próbuje się zbliżyć do doktor Hildebrant, sugeruje też, że rozumie jej cierpienie i ból. W tym kontekście ostatni cytat wydaje się nieco dziwny, bo dwa pierwsze mówią o śmierci i życiu pozagrobowym, kontrastują ten świat z przyszłym. Jednak kiedy zbadaliśmy je z doktor Hildebrant nieco dokładniej, okazało się, że trzecie zdanie często cytowane jest jako kontynuacja drugiego. Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem

intencje autora, ale jeśli porównać te cytaty z sonetem, który przekazał pani doktor jako ostatni, można przypuszczać, że chciał jej w ten sposób powiedzieć nie tylko, jak radzić sobie ze smutkiem, ale i na czym należy się teraz skupić, na co skierować swoją uwagę i energię, przy czym ta zmiana nie dotyczy tylko doktor Hildebrant, ale i jej cichego wielbiciela.

– Nie rozumiem.

– Po tych trzech cytatach doktor Hildebrant dostała sonet – powiedział Markham, kartkując tomik poezji. – Wiersz, który pierwotnie został poświęcony młodemu Tommasowi Cavalieriemu, jest znacznie bardziej osobisty niż poprzednie fragmenty. Owszem, podobnie jak dwa pierwsze, sugeruje, że autor dobrze zna adresatkę, ale wydaje się, że tym razem przemawia zarówno ze swojego punktu widzenia, jak i z punktu widzenia doktor Hildebrant.

– Jak to?

– Pierwsze cztery wersy brzmią następująco:

Wiesz, że wiem, że ci wiadomo, mój panie,  
Że mnie chęć szczęścia k'twej bliży przywodzi,  
I wiesz, że jestem ten sam, więc skąd się rodzi,  
Że się ociągasz na me powitanie?

– Jak wyjaśniła mi doktor Hildebrant, Michał Anioł był homoseksualistą, a jego związek z Cavalierim – związek, który nie został fizycznie skonsumowany, ale angażował obie strony – przysparzał zarówno artyście, jak i jego ukochanemu wielu cierpień. Michał Anioł wypowiada się więc w imieniu ich obu, mówi, że wie, iż jego miłość jest odwzajemniona, i dlatego też chce, by Cavalieri otwarcie się do tego przyznał. Mając to na uwadze – znając historię, która kryje się za tym sonetem – możemy śmiało założyć, że za pośrednictwem Michała Anioła wielbiciel doktor Hildebrant chce powiedzieć: „Nie tylko wiem, co ty myślisz, ale wiem, że ty wiesz, co myślę ja”.

– Że mnie chęć szczęścia k'twej bliży przywodzi – powtórzył Burrell. – Więc autor tego listu chce powiedzieć, że przebywał w pobliżu doktor Hildebrant?

– Być może – odparł Markham. – Ale mogło też chodzić jedynie o metaforyczną bliskość, na przykład poprzez jej książkę, która została wydana mniej więcej pół roku wcześniej.

– Ale czy zdanie „wiesz, że jestem ten sam” nie jest też oczywistym stwierdzeniem? Czy autor nie chce w ten sposób powiedzieć, że doktor Hildebrant go zna?

– Być może – powtórzył Markham. – Ale i tym razem może to być jedynie przenośnia – szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę pierwotny kontekst tego wiersza – homoseksualny szyfr, oznaczający coś innego, duchową miłość, której nie da się nazwać. Gdybyśmy mieli odczytywać te pierwsze cztery wersy dosłownie, zdanie: „Więc skąd się rodzi, że się ociągasz na me powitanie?” oznaczałoby, że doktor Hildebrant świadomie unika czyichś zalotów. Ponieważ jednak, jak twierdzi pani doktor, nic takiego nie zdarzyło się w tamtym czasie, skłonny jestem przypuszczać, że te wersy mają jakieś inne, ukryte znaczenie, podobnie jak w wypadku Michała Anioła i Cavalieriego. Oczywiście, nie mam pewności, co chciał w ten sposób przekazać wielbiciel doktor Hildebrant, ale biorąc pod uwagę wymowę całego sonetu, podejrzewam, że miał to być swego rodzaju wstęp, duchowa uwertura, a nie prawdziwy list miłosny, wyraz podziwu dla jej duszy, nie fizycznej urody. – Markham odwrócił się do Cathy. – Mówiła pani, że autor listu nie próbował zmienić płci adresata, to znaczy zastąpić zwrotów w rodzaju „mój pan” na „moja pani”, zgadza się?

– Tak jest – potwierdziła Cathy.

– Byłoby to dość dziwne, gdyby wielbiciel pani doktor chciał jej wyznać w ten sposób miłość, nie uważasz, Bill?

– Przeczytaj mi resztę – odparł Burrell.

– Następna część, moim zdaniem, potwierdza tylko, że chodzi o metaforyczny, duchowy pociąg, a nie fizyczną żądzę. Brzmi tak:

Jeśli nadzieja ma prawdą zostanie,  
I ta tęsknota wzniosła, co się godzi  
Z twą wolą: runie ściana, co nas grodzi,  
Podwójnie boli cierpień ukrywanie.

Jeżeli kocham, drogi panie, w tobie,  
Co za najlepsze masz, niech cię nie gniewa,  
Że duch tak ducha do miłości kusi.

– Tutaj autor listu również zwracał się do doktor Hildebrant per „drogi panie”. Mamy też całkiem jednoznaczne stwierdzenie o miłości dusz. Jeśli jednak chcemy trzymać się tej interpretacji – czyli idei miłości duchowej, a nie fizycznej, seksualnej – trudno nam będzie dopasować do niej trzy ostatnie wersy, które brzmią następująco:

Czego się uczyć w twoich lic ozdobie,  
Niech się myśl ludzka pojąć nie spodziewa,  
Kto chce to poznać, wprzódy umrzeć musi.

W furgonetce zapadła głucha cisza.

– Mogę to zobaczyć? – spytał w końcu Burrell. Markham wręczył mu tomik poezji. – Kto chce to poznać, wprzódy umrzeć musi – przeczytał głośno Buldog.

– Właśnie. – Markham pokiwał głową. – Co najmniej dziwny zbieg okoliczności – w świetle ostatnich wydarzeń, oczywiście.

– Ale to nie ma sensu – zauważył Burrell. – „Czego się uczyć w twoich lic ozdobie, Niech się myśl ludzka pojąć nie spodziewa, Kto chce to poznać, wprzódy umrzeć musi”. Naprawdę myślisz, że wielbiciel doktor Hildebrant powiedział jej w ten sposób, że zamierza kogoś zabić? Że czekał aż pięć lat, żeby zrealizować ten plan?

– Nie wiem, Bill.

– A co ma na myśli Michał Anioł, kiedy mówi, że czego się uczy, ludzka myśl nie zdoła pojąć?

– Chce przez to powiedzieć, że ludzie nie rozumieją nie tylko jego, ale i miłości, którą darzy Cavalieriego – odpowiedziała mu Cathy. – Mówi też Cavalieriemu, że choć ich współcześni postrzegają jego uczucie jedynie jako lubieżne i grzeszne pożądanie, w rzeczywistości jest to coś znacznie głębszego, coś, co sięga w obszar boskości – miłość, którą można zrozumieć dopiero po śmierci, wraz z poznaniem Boga.

– Tego właśnie nie mogę zrozumieć – westchnął Markham. – Te ostatnie trzy wersy nie dają mi spokoju – to znaczy, jeśli ten wiersz rzeczywiście miał być tylko niewinną zachętą, duchowym zaproszeniem. Choć podwaliny miłości Michała Anioła do Cavalieriego to coś znacznie głębszego i poważniejszego niż fizyczne pożądanie, to, jak pani wspomniała, doktor Hildebrant, był w niej również element seksualny, homoerotyczny, prawda?

– Tak.

– Masz na myśli to zdanie o pięknych licach, tak? – wtrącił się Burrell. – Chcesz powiedzieć, że w połączeniu z resztą wiersza ma sens tylko wtedy, jeśli wielbiciel doktor Hildebrant ma skłonności homoseksualne? Jeśli jest kobietą?

– Być może. Oczywiście, tylko wtedy, jeśli ta osoba właściwie rozumiała cały sonet, jeśli znała jego kontekst, historię, która się za nim kryje. A opierając się na moim doświadczeniu w takich sprawach, mogę chyba bezpiecznie założyć, że tak właśnie jest.

– Ale to by oznaczało, że wielbiciel doktor Hildebrant i zabójca Campbella to dwie różne osoby. Sądząc po śladach, które ten człowiek zostawił w ogrodzie ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Są na wydziale jakieś lesbijki o takim wzroście, doktor Hildebrant?

– Raczej nie.

– Poza tym ta rzeźba ważyła chyba z tonę, a wszystko wskazuje na to, że ktoś wniósł ją do ogrodu w całości. Trzech moich ludzi musiało się męczyć ponad dziesięć minut, żeby załadować ją do furgonetki, a to znaczy, że człowiek, który przeniósł ją z sąsiedniej posesji, musi być wyjątkowo silnym sukinsynem. Zostawił wyraźne ślady, więc wiemy, że był sam, i że wchodził do ogrodu tylko raz.

– Zgadza się.

– Więc co o tym myślisz, Sam? Nadal uważasz, że człowiek, który wysyłał doktor Hildebrant te listy, i zabójca Tommy'ego Campbella to jedna i ta sama osoba? I że ma skłonności homoseksualne?

– Być może ma takie skłonności – wtrąciła Cathy – ale wcale nie musi być kobietą.

– Co pani ma na myśli? – spytał Markham.

– Powiedział pan, że wers dotyczący bliskości Michała Anioła i Cavalieriego, czy też tego człowieka i mnie, można rozumieć metaforycznie, prawda? Że być może mój wielbiciel odnosił się do mojej książki?

– Owszem.

– Cóż, więc niewykluczone, że ów człowiek nie miał na myśli mojej twarzy, lecz twarz kogoś innego.

– O czym wy mówicie? – zdumiał się Burrell, Cathy widziała jednak, że agent specjalny Markham ją zrozumiał. Natychmiast opuścił wzrok na książkę leżącą na jego kolanach, egzemplarz *Uśpionego w kamieniu*, którą przyniesiono mu z biblioteki w Westerly.

Na okładce widniała twarz najbardziej znanej rzeźby Michała Anioła.

Twarz *Dawida*.

## Rozdział 9

Rzeźbiarz wyszedł spod prysznicy, stanął na środku swojej pracowni i wytarł się do sucha. Jego skóra pachniała czystością, czystością przemysłową – jak szpitalny środek dezynfekujący, jak *dobrze wykonana praca*. Tak, jedynym niepożądanym elementem była teraz sterta brudnych ubrań. Nie zamierzał ich teraz wkładać, nie zamierzał ich nawet *dotykać* do chwili, gdy będzie musiał wrócić do domu. Wtedy wrzuci je do pralki i poda ojcu kolację. Nie chciał też wkładać świeżych ubrań, uwielbiał bowiem być nago – cieszył się, że będzie mógł pozostać tak do późnego wieczoru, kiedy to zasiądzie w salonie przed kominkiem i popijając brunello, będzie patrzył na płonące szkice Bachusa.

Najpierw jednak musiał skorzystać ze zniechęconej techniki, sprawdzić, czy w mediach pojawiła się już wiadomość o jego pierwszym eksponacie. Do tej pory był wyjątkowo cierpliwy, opierał się pokusie i nawet nie spoglądał w stronę monitorów, dopóki nie wysprzątał całej pracowni. Teraz mężczyzna zwany niegdyś Christianem wjechał stołem operacyjnym na piętro – przekładnie wyciągarki pracowały znacznie ciszej niż wcześniej, wyczyścił je bowiem dokładnie i naoliwił. Wyciszył też muzykę dopływającą z pokoju jego ojca – płytę z utworami Scarlattiego, odtwarzaną po raz czwarty z rzędu – usiadł nagi przy biurku i włączył dźwięk w telewizorze, w chwili gdy prezydent kanału Fox News oddawał głos do lokalnego oddziału stacji.

Rzeźbiarz nie znał ładnej młodej kobiety o rudych włosach i szmaragdowozielonych oczach – nigdy nie oglądał lokalnych wiadomości i rzadko kiedy w ogóle włączał telewizję – nie był więc wcale zaskoczony, gdy prezydent oznajmił, że to właśnie Meghan O'Neill z Rhode Island pierwsza przekazała sensacyjną informację. Oczywiście, podobnie jak wszyscy inni widzowie Kanału 9 nie miał pojęcia o anonimowym informatorze dziennikarki, funkcjonariuszu policji Westerly. Gdyby o nim wiedział, być może postanowiłby poczekać; być może pozwoliłby, żeby to właśnie znajomy O'Neill przekazał jej wszystkie istotne wiadomości. Z drugiej jednak strony, mogło jeszcze upłynąć sporo czasu, nim młoda dziennikarka pozna całą prawdę. Jej pięćset dolarów trafiło do podobnego jej nowicjusza, który pracował na obrzeżach śledztwa, w siedzibie głównej policji, zdobywał informacje z drugiej ręki i nie miał dostępu do szczegółów tej sensacyjnej sprawy.

Rzeźbiarz był więc nieco rozczarowany, gdy rudowłosa dziennikarka przekazała jedynie wiadomości o tym, że w Watch Hill znaleziono ciała Tommy'ego Campbella oraz drugiej, niezidentyfikowanej osoby, i że oba zostały przetransportowane w „nieznane miejsce”. Potem rozmawiała przez chwilę z prezenterem Fox News o możliwych związkach Campbella z Doddem – Rzeźbiarz wiedział jednak doskonale, że jedynym elementem łączącym te dwie osoby był ogród milionera. Wkrótce nabrał pewności, że przedstawiciele mediów w ogóle nie widzieli jego eksponatu – nie zrobili nawet jednego zdjęcia! Nie tak wyglądał jego plan – obawiał się, że minie co najmniej kilka dni, a może nawet cały tydzień, nim świat pozna prawdę o Bachusie. I choć Rzeźbiarz był bardzo, bardzo cierpliwym człowiekiem, nie potrafił pogodzić się z myślą, że media mogą coś przegapić.

Jednak to nie brak cierpliwości sprawił, że w końcu postanowił zadzwonić do stacji ładnej dziennikarki. Skłonił go do tego widok znajomej twarzy w tle, właściwie niewyraźna sylwetka na przednim siedzeniu nieoznakowanego samochodu FBI. Pojawiła się na ekranie tylko przez milisekundę, zapewne umknęłaby nawet uwadze swego byłego męża, ale nie mogła ukryć się przed czujnym okiem Rzeźbiarza. W chwili gdy Meghan O'Neill poleciała skierować kamerę na bramę przed domem Dodda, zza żywopłotu wyłoniły się trzy czarne chevrolety trailblazer. Rzeźbiarz był pewien, że dostrzegł sylwetkę Cathy Hildebrant na przednim siedzeniu pierwszego samochodu. Pomimo radości i podniecenia, wywołanych świadomością, że doktor Hildy w końcu zobaczyła jego dzieło, Rzeźbiarz zachował trzeźwy umysł i wpadł na pewien pomysł.

Postanowił, że zadzwoni z komórki z kartą z Wal-Martu, na której miał jeszcze mnóstwo minut. Jego numer i tak był zastrzeżony, ale jak zwykle stosował dodatkowe środki ostrożności. Nie musiał się też obawiać, że FBI lub policja namierzy sygnał z miejscowego przekaźnika. Rzeźbiarz sam zaprojektował i wykonał urządzenie szyfrujące, które skutecznie ukrywało wszystkie połączenia z powozownią. Tak, choć Rzeźbiarz nienawidził techniki, już dawno temu zrozumiał, że musi ją doskonale poznać, by zrealizować swój plan. Po krótkim poszukiwaniu w internecie – oczywiście, łączył się z siecią, korzystając z fałszywego adresu IP – wyciszył telewizor i wybrał odpowiedni numer.

– Dziękujemy, że zadzwoniliście państwo na gorącą linię Kanału 9 – odezwał się w słuchawce nagrany głos. – Państwa telefon jest dla nas bardzo ważny, ale ze względu na duże obciążenie linii muszą państwo poczekać na połączenie około siedmiu minut.

Rzeźbiarz odświeżył strony wyświetlone na monitorach: pogwizdując cicho sonatę d-moll Scarlattiego, czytał nagłówki serwisów Drudge Report i CNN.com. W czasie gdy sprzątał pracownię, rzecznik FBI potwierdził w rozmowie z dziennikarzem agencji

Associated Press, że ciało zaginionego skrzydłowego drużyny Boston Rebels, Tommy'ego Campbella, oraz innej, niezidentyfikowanej osoby znaleziono na posesji bogatego biznesmena w rodzinnej miejscowości Campbella, Westerly w stanie Rhode Island – ple, ple, ple – a szczegóły zostaną ujawnione podczas konferencji prasowej, która rozpocznie się o godzinie siedemnastej.

„To dobrze” – pomyślał Rzeźbiarz. – „Ponad dwie godziny, by zasiać ziarno; ponad dwie godziny, by dopilnować, żeby dziennikarze zadawali na konferencji prasowej właściwe pytania”.

Na ekranie telewizora pojawił się widok posesji Dodda z lotu ptaka, sprzed domu milionera odjeżdżała właśnie kolumna czarnych samochodów FBI. Rzeźbiarz dostrzegł kilku agentów i policjantów, którzy pozostali na terenie posiadłości. Jego Bachus jednak zniknął – z pewnością wieziono go już do lekarza sądowego. Rzeźbiarz zadrżał z podniecenia, czuł, jak twardnieją mu sutki na myśl o tym, że FBI będzie teraz analizowało jego dzieło, rozbierało je na części i szukało związków Bachusa z *Uśpionym w kamieniu* doktor Hildy. Tak, to tylko kwestia czasu, nim wszyscy zrozumieją, jakie przesłanie niesie ze sobą jego dzieło – nim zaczną się w końcu budzić.

Rzeźbiarz, oczywiście, zdawał sobie sprawę, że wkrótce media i FBI okrzykną go seryjnym zabójcą, bo podobnie jak w wypadku Michała Anioła, jego współcześni nie umieli jeszcze nazwać istoty takiej jak on; nie obejmowali rozumem głębi udręczonej duszy, tej fontanny miłości i cierpienia, piękna i boskiej przenikliwości, z których wypływał jego geniusz i z których pragnął się uwolnić jego sztuka. Tak, uznają go zapewne za potwora, będą przyrównywać go do innych potworów, uznają jego dzieło za wyraz szaleństwa i egoizmu, postawią go w jednym szeregu z ludźmi pokroju Dahmera, Gacy'ego czy Nilsena. Rzeźbiarz wiedział o tym od samego początku – dawno już pogodził się z myślą, że dopiero po jego śmierci, być może nawet kilkaset lat później, wszyscy zrozumieją prawdziwą głębię jego sztuki.

Jedynym wyjątkiem była doktor Catherine Hildebrant.

Tak, tylko ona potrafiła objąć rozumem jego dzieło, tylko ona dorównywała mu geniuszem. I to właśnie ona wkrótce miała stać się jego rzeczniką – narzędziem, które przekaze światu jego idee; narzędziem, które wyrwie świat z uśpienia.

– Gorąca linia Kanału 9 – rozbrzmiał w słuchawce głos dziennikarza, *męski* głos, który natychmiast wydał się Rzeźbiarzowi niezwykle ponętny.

– Witam – odparł Rzeźbiarz. – I gratuluję waszemu zespołowi refleksu, w końcu to wy pierwsi dowiedzieliście się o odnalezieniu ciała Tommy'ego Campbella. Sądząc po tym, jak



długo musiałem czekać na połączenie, macie mnóstwo telefonów dotyczących waszej operacji w Providence, zgadza się?

– Czym mogę panu służyć? – spytał mężczyzna ze zniecierpliwieniem, które wydało się Rzeźbiarzowi wyjątkowo urocze.

– Powinien pan raczej zapytać, czym *ja* mogę wam służyć – zaśmiał się Rzeźbiarz. – Widzisz, mój przyjacielu, w nagrodę za waszą dociekliwość i wytrwałość chciałbym wam zaoferować informacje dotyczące tej sprawy, pewne wskazówki, jak wy to nazywacie.

– Czy mógłby pan podać swoje nazwisko?

– Jeśli ci to nie przeszkadza, przyjacielu, wolałbym zachować anonimowość. Jestem pewien, że to normalne w dzień taki jak ten, kiedy ludzie dosłownie zalewają informacjami całą waszą stację. – Sposób, w jaki Rzeźbiarz wypowiedział te słowa, naśladując entuzjastyczny głos spikerów radiowych i telewizyjnych, niespodziewanie zirytował jego rozmówcę.

– Posłuchaj, koleś, mamy tu teraz prawdziwe urwanie głowy. Szkoda mi czasu na bzdury, które...

– I po co ta złość? Mógłbym przecież zadzwonić do waszej konkurencji, a pomyśl tylko, co powiedzieliby twoi przełożeni, gdyby dowiedzieli się, że odrzuciłeś być może największą sensację w historii waszej stacji.

– No dobrze – westchnął dziennikarz bez przekonania. – Co takiego masz mi do powiedzenia?

– FBI sprowadziło na miejsce zbrodni eksperta, który ma im pomóc w rozwiązaniu sprawy śmierci Tommy’ego Campbella. Nazywa się doktor Catherine Hildebrant – H-I-L-D-E-B-R-A-N-T – i wykłada historię sztuki na Uniwersytecie Browna.

– Chwileczkę, powiedział pan historię sztuki?

– Zgadza się. Może pan łatwo sprawdzić tę informację na stronie internetowej uczelni, a jeśli się pan pośpieszy – jeśli jest pan równie szybki i przebojowy jak ta ruda lala z waszego kanału – może pan też szybko potwierdzić udział doktor Hildebrant w tej sprawie. Wkrótce podwiezie ją pod dom nieoznakowany samochód FBI, czarny Chevrolet trailblazer. Jeśli przejrzycie uważnie ostatnie zdjęcia z miejsca zbrodni, zobaczycie właśnie takie auto, wyjeżdżające z posesji. O ile mi wiadomo, pani doktor opuściła Watch Hill niecałe dziesięć minut temu, a jeśli nasi przyjaciele z Federalnego Biura Śledczego nie mają dla niej jeszcze jakichś innych niespodzianek, powinna dotrzeć do domu przy 311 East George Street za jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu minut, w zależności od korków, oczywiście.

– Powiedział pan 311 East George Street?

– Tak właśnie powiedziałem.

– Dlaczego FBI miałyby korzystać z pomocy historyka sztuki?

– Ciała Tommy’ego Campbella i jego towarzysza, które znaleziono w ogrodzie tego bogatego bankiera, były pomalowane na biało, niczym marmur, i upozowane na wzór pewnej klasycznej rzeźby. *Bachusa* Michała Anioła, dokładnie rzecz biorąc.

– Przepraszam, mógłby pan powtórzyć?

– Przykro mi, ale nie mógłbym. Mam nadzieję, że szefowie Kanału 9 są na tyle rozgarnięci, że nagrywają te rozmowy. Proponuję więc, żebyście odtworzyli jeszcze raz tę rozmowę i nagranie sprzed domu Dodda, a potem wysłali kogoś do mieszkania doktor Hildebrant. Jeśli podjedzie tam czarny samochód FBI, zrozumiecie, że nie jestem jakimś głupim żartownisiem.

Rzeźbiarz zakończył rozmowę. Jego tętno wyraźnie przyśpieszyło – nie z obawy przed schwyтaniem ani nie dlatego, że ekscytowała go myśl o wszystkich tych dociekliwych pytaniach, które dziennikarze wkrótce zadadzą FBI. Nie, serce biło mu jak szalone z powodu tej rozmowy, flirtu z mężczyzną obsługującym gorącą linię – mężczyzną, którego głos ogromnie go podniecił.

Tak, Rzeźbiarz był już pobudzony, czuł, jak jego twardy penis napiera od dołu na blat biurka. Niczym zaróżowiony nagi Priap przeszedł wolnym krokiem do stołu, spod którego wyjął rozkładany trzyczęściowy wysięgnik, podtrzymujący niewielki płaski telewizor. Rzeźbiarz ustawił go tak, by zawisł mniej więcej metr nad powierzchnią stołu, potem zaś rozwinął przyłączone do wysięgnika kable. Ułożył je starannie na podłodze, po czym wetknął jedną z wtyczek do gniazdka w ścianie, inną zaś do monitora na biurku. Ekran zawieszony nad stołem natychmiast ożył, pokazując ten sam obraz, co podłączony doń monitor. Rzeźbiarz zmniejszył obraz strony CNN.com i kliknął dwukrotnie na jedną z ikon widocznych na tapecie – marmurową dłoń, podtrzymującą czarkę i opatrzoną napisem „Bachus 2”. Ekran zgasł na moment, a potem zaczęło się odliczanie – trzydzieści sekund, nieco rozmazane cyfry widoczne na białym tle, stylizowane na obraz ze starych, przedwojennych filmów.

30... 29... 28... 27... 26...

Rzeźbiarz włączył na powrót barokową muzykę z sypialni swojego ojca i wygasił wszystkie pozostałe monitory – oprócz tego, który wisiał nad stołem operacyjnym.

Potem zgasił także światło.

19...18... 17... 16...

Następnie przeszedł przez zaciemniony pokój i ułożył się na plecach pod monitorem – dotyk zimnego stalowego blatu przyprawił go o dreszcz. Cyfry nad jego głową, zmieniając

bezgłośnie kształt, odliczały upływające sekundy.

*11... 10... 9...*

Rzeźbiarz uśmiechnął się, objął penisa dłonią i czekał.

Po dwójce ekran na moment zgasł, a pokój pogrążył się w ciemności. Sekundę później Rzeźbiarz ujrzał niemal dokładnie to samo, co przed kilkoma miesiącami Tommy Campbell: szarobiały posąg na czarnym tle, który zdawał się unosić nad jego głową. Jednak podczas gdy Campbell oglądał oryginalne dzieło Michała Anioła, Rzeźbiarz miał przed oczami *swojego* Bachusa, *swoją* rzeźbę. Gdy powleczone białą postaci skrzydłowego Boston Rebels i jego towarzysza zaczęły się powoli obracać, w odróżnieniu od swego poprzednika, leżącego na stalowym stole, Rzeźbiarz nie czuł wcale zdumienia ani strachu.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy, które minęły od chwili, gdy odebrał życie Tommy'emu Campbellowi – szczególnie w ciągu ostatnich tygodni – Rzeźbiarz zajmował to miejsce wiele, wiele razy.

Zaczął poruszać dłonią, którą zaciskał na członku – początkowo powoli, nauczył się już bowiem, że tylko w ten sposób idealnie zgra wszystko w czasie. Podobnie jak Bachus oglądany przez Tommy'ego Campbella, obraz widoczny na ekranie nagle zamienił się w zbliżenie głowy posągu, ukazując winogrona, liście i kręcone włosy, okalające twarz skrzydłowego – lśniąca białą twarz o pozbawionych wyrazu porcelanowych oczach i na wpół otwartych ustach. Potem kamera przesunęła się niżej, na pierś Campbella, jego lekko wydęty brzuch i w końcu na krocze – miejsce, z którego Rzeźbiarz usunął penisa młodzieńca.

Potem, w idealnie dobranym momencie – za sprawą niemal *boskiego* zbiegu okoliczności, który nie mógł ująć uwadze Rzeźbiarza – gdy sonata d-moll Scarlattiego przeszła w sonatę e-moll, zmianie uległ również obraz widoczny na ekranie. Teraz widniała tam twarz Tommy'ego Campbella przywiązanego do stołu, sfilmowana za pomocą drugiej, nieruchomej kamery, którą Rzeźbiarz umocował nad stołem, nieco na bok od monitora.

*– Tato, jesteś tu? Upadłem na werandzie, tak? Podwiesili mnie na wyciągu?*

Skrzydłowy Boston Rebels zamilkł i spoglądał ze zdumieniem na obraz, który pojawił się nad jego głową. Wpatrzony w monitor próbował zrozumieć coś z tego przedziwnego spektaklu. Rzeźbiarz odruchowo skupił uwagę na szyi Campbella, przekonał się już w ciągu minionych miesięcy, że warto obserwować jego tętnicę szyjną i poruszać ręką w rytm bicia jego serca. Utrzymywał stałe tempo, dostosowując się do tętna skrzydłowego, podczas gdy ten obserwował obracającą się powoli rzeźbę, a potem zbliżenie twarzy Bachusa.

*– Otóż to – rozbrzmiał w tle głos samego Rzeźbiarza. – Otrząśnij się ze snu, synu Jupitera.*

Stracił na moment dech w piersiach, widząc, jak Tommy Campbell próbuje odwrócić głowę – poczuł dreszcz prawdziwej rozkoszy, serce młodzieńca wyraźnie przyspieszyło tempo.

*– Kim jesteś? Co ja tutaj robię?*

Rzeźbiarz oddychał coraz szybciej, gdy widoczny na ekranie młodzieniec wpadł w panikę, próbując uwolnić się z więzów. Wiedział, że monitor zawieszony nad jego więźniem pokazuje szyję Bachusa, przesuwa się w dół klatki piersiowej i brzucha, aż do pozbawionego zarostu krocza, w którym powinien znajdować się penis.

*– Co się tu dzieje, do cholery?*

Rzeźbiarz ponownie zwiększył tempo, poruszał ręką coraz szybciej – nie zwolnił w chwili, kiedy twarz Campbella przybrała nowy wyraz, gdyż młodzieniec ujrzał na monitorze siebie i winorośl okalającą jego twarz.

*– Co to ma, kurwa...*

Gdy Tommy Campbell zaczął gwałtownie dygotać na całym ciele, kilka ostatnich ruchów ręki Rzeźbiarza połączyło go z sercem jego Bachusa.

*– To nie może się dziać naprawdę. Ja jeszcze śnię!*

*– Nie, mój Bachusie. W końcu się obudziłeś.*

I tak po raz kolejny, dokładnie w chwili, gdy jego Bachus został w końcu wyswobodzony, Rzeźbiarz osiągnął stan boskiej rozkoszy i komunii ze swoim dziełem.

## Rozdział 10

Znów zostali tylko we dwoje, a kiedy agent specjalny Markham w końcu coś do niej powiedział, Cathy poczuła się tak, jakby przerwał jej oglądanie kryminału – jednego z tych topornie odgrywanych, pełnych trupów seriali, które tak ją wciągnęły, i które śledziła z zapartym tchem, choć wstydziłaby się do tego komukolwiek przyznać. Nawet wtedy, gdy usłyszała już głos Markhama i rozpoznała skrzyżowanie, na którym się zatrzymali – podświadomość podpowiedziała jej, że jadą w milczeniu już od dwudziestu minut – Cathy jakby nie do końca zdawała sobie sprawę, że film odtwarzany w jej głowie to rzeczywistość i że ona jest jedną z jego gwiazd.

– Była tu pani kiedyś? – spytał Markham.

– Słucham?

– Uniwersytet Rhode Island. Drogowskaz na skrzyżowaniu, na którym skręciliśmy w lewo. Wydawało mi się, że patrzyła pani na niego.

– Przepraszam. Nie robiłam tego świadomie.

– W miasteczku uniwersyteckim na pewno jest jakiś Starbucks. Ma pani ochotę na filiżankę kawy? Chce pani, żebym poszukał jakiegoś lokalu w GPS-ie?

– Nie, dziękuję.

Światło na kolejnym skrzyżowaniu zmieniło się na zielone, pojechali dalej.

– Tak – powiedziała po chwili Cathy.

– Zmieniła pani zdanie?

– Nie. Mówię o tym, że byłam kiedyś na Uniwersytecie Rhode Island. Raz. Wygłaszałam tam gościnnie wykład kilka lat temu, kiedy wyszła moja książka.

– Miała pani wtedy dużo takich spotkań? To znaczy po wydaniu książki? – Agent FBI nawet nie próbował zachować pozorów, nie krył się z tym, że szuka związku między doktor Catherine Hildebrant i zabójcą z filmu, który wyświetlał się w jej głowie. Nagle groza ostatnich godzin, cała ta przytłaczająca rzeczywistość, wróciła do niej z całą siłą. Oczy kobiety wypełniły się łzami.

– Przepraszam – mruknął Markham.

Cathy z wysiłkiem przełknęła ślinę i ponownie odwróciła się do okna. W samochodzie

znów zapadło krępujące milczenie.

– Ostatnio byłem tu prawie piętnaście lat temu – przemówił w końcu Markham. – To znaczy na Uniwersytecie Rhode Island. Niewiele z tego pamiętam. Podobnie jak pani, odwiedziłem to miejsce tylko raz. Z moją żoną, podczas jesiennego zjazdu absolwentów. Skończyła oceanografię. Uwielbiała tę uczelnię, choć mnie nieszczególnie się tutaj podobało – nawet stadion był mały i tandetny. Jednak w tamtych czasach ten wydział był chyba naprawdę dobry – mam na myśli oceanografię. Nie mam pojęcia, jak jest teraz. W ciągu piętnastu lat wiele może się zmienić.

Cathy uświadomiła sobie nagle, że agent FBI wybrał dłuższą drogę do Providence – trasę numer 1 zamiast autostrady I-95 – jakby chciał dać jej więcej czasu na dojście do siebie, na opanowanie emocji. Jednak tym, co osuszyło jej łzy, nie był sprytny wybieg agenta, próba wciągnięcia jej w rozmowę czy też wzmianka o jego życiu osobistym, lecz ton głosu Markhama – po raz pierwszy odrobinę niepewny, jakby zawstydzony. Dzięki temu nagle dostrzegła w nim *człowieka*.

– Stanowicie dość niezwykłą parę – zauważyła Cathy, zaskoczona własną ciekawością i tym, jak skwapliwie skorzystała z okazji, by porozmawiać o czymś innym, niż o wydarzeniach minionego dnia.

– Wtedy nie pracowałem jeszcze w Biurze. Kiedy poznałem moją przyszłą żonę, byłem nauczycielem angielskiego w szkole średniej.

– Ach, to wszystko tłumaczy...

– Co tłumaczy?

– Sonet.

– Sonet?

– Tak, pańska analiza sonetu Michała Anioła wydawała mi się nieco zbyt profesjonalna, zbyt wnikliwa, nawet jak na psychologa śledczego FBI. – Agent specjalny skinął głową z udawaną dumą. – Powinam się była tego domyślić już na początku, kiedy spytał mnie pan, czy sonety Michała Anioła zostały ponumerowane, jak sonety Szekspira.

– Mimo to dokonała pani właśnie świetnej analizy materiału dowodowego, doktor Hildebrant – rzucił Markham z uśmiechem.

Cathy również się do niego uśmiechnęła.

– Trochę mi wstyd – kontynuował agent specjalny – że nie wiedziałem o wierszach Michała Anioła. Może zresztą kiedyś wiedziałem, w tamtych czasach. Ale pracuję w Biurze już niemal od trzynastu lat, a kiedy człowiek nie zajmuje się takimi rzeczami na bieżąco, szybko wszystko zapomina.

– Zapomina, nawet jeśli zajmuje się nimi na bieżąco. Przynajmniej tak jest w moim wypadku od trzydziestu paru lat.

– Po czterdziestce wcale nie jest lepiej.

– Nie wygląda pan na tyle.

– Zostały mi jeszcze cztery miesiące.

– A mnie jeden rok, sześć miesięcy i dwadzieścia trzy dni.

Markham parsknął śmiechem, a Cathy, nieoczekiwanie dla samej siebie, dołączyła do niego.

– No tak... – westchnął agent FBI. – Pewnie kupię sobie kabriolet. Albo motocykl. Podobno to właśnie należy zrobić, kiedy skończy się czterdziestkę, tak?

– Ja się tego nie dowiem. Przestanę liczyć po trzydziestu dziewięciu.

– Niezły plan. Ale ja bez mrugnięcia okiem kupiłbym od pani dwadzieścia dziewięć lat.

Cathy nie wiedziała, czy Markham chciał w ten sposób powiedzieć, że daje jej nie więcej niż dwadzieścia dziewięć lat, czy też że gotów jest metaforycznie „odkupić” od niej wiek dwudziestu dziewięciu lat. Nagle poczuła się jak za studenckich czasów, podczas tych rzadkich, lecz krępujących randek, kiedy mężczyźni brali jej nieśmiałość za rezerwę, a intelekt za arogancję. Cathy czuła, jak się czerwieni.

Miała tylko nadzieję, że agent specjalny Markham tego nie zauważył.

– Więc jak to się stało, że nauczyciel angielskiego poślubił specjalistkę od oceanografii? – spytała Cathy, kiedy znów zatrzymali się na światłach. Potrzeba rozmowy, kontaktu z drugim człowiekiem, który pozwoliłby jej oderwać się od ponurej rzeczywistości, okazała się tym razem silniejsza od wrodzonej wstydlivości.

– Chętnie opowiedziałbym pani jakąś romantyczną historię, doktor Hildebrant...

– Proszę mówić mi po imieniu. Cathy.

– Zgoda. Chętnie opowiedziałbym ci teraz jakąś romantyczną historię, Cathy, ale poznałem moją żonę podczas przyjęcia z grillem w Connecticut – była znajomą znajomego. W tym czasie kończyła jeszcze studia podyplomowe, ale pracowała też w tamtejszym instytucie badawczym. Ja uczyłem na część etatu w pobliskim miasteczku. Wiesz, jak to się zwykle zaczyna. „Hej, chciałbym, żebyś poznała mojego przyjaciela”. Jedno zdarzenie prowadzi do kolejnego, następują zrzędzenia losu, i tak dalej. Sama chyba rozumiesz...

– Tak, brzmi znajomo.

– Z tobą było tak samo?

– Owszem. W moim wypadku los zadziałał poprzez moją szefową, Janet Polk.

– Aha.

– Dwanaście lat temu. Była znajomą przyjaciela mojego przysłego męża, to ona mnie z nim poznała. Powinnam chyba dodać, że wtedy przysłego, a wkrótce byłego męża.

– Przykro mi to słyszeć. Doktor Polk nie mówiła mi, co się stało, ale sam sobie wszystko dopowiedziałem, kiedy znaleźliśmy twój adres przy East George Street. Zawsze używałaś panieńskiego nazwiska? Nie przyjęłaś nazwiska męża ze względów zawodowych?

– Owszem, po części ze względów zawodowych, a po części ze względu na moją mamę. To koreańska tradycja. Większość Koreanek nie zmienia nazwiska po ślubie. Mama nigdy mnie nie namawiała, bym tak zrobiła, ale wiem, że sprawiło jej to przyjemność. Więc podobnie jak ona, zachowałam nazwisko panieńskie. Mimo to dokonał pan właśnie świetnej analizy materiału dowodowego, agencie Markham.

Agent FBI uśmiechnął się i skinął głową z uznaniem.

– Proszę mówić mi po imieniu. Jestem Sam.

– Zgoda. I nie powinno być ci przykro. Rozwód to najlepsza rzecz, jaka przydarzyła mi się w ciągu ostatnich dziesięciu lat, choć na oficjalne orzeczenie sądu muszę jeszcze poczekać do przyszłego miesiąca. Jeśli ktoś zasługuje w tej sytuacji na współczucie, to Janet. Naprawdę. Przejmuje się tym bardziej niż ja, jakby to ona była odpowiedzialna za całą tę historię. Spytała mnie nawet, czy chcę, żeby złamała mojemu byłemu nogę. I wiesz co? Myślę, że mówiła całkiem poważnie; że zamierzała to zrobić osobiście.

Markham roześmiał się spontanicznie.

– Wiem, że wygląda niepozornie, ale lepiej na nią uważać. Janet Polk to prawdziwa twardzielka. Mogę ci tylko powiedzieć, że nie zaszła tak wysoko jedynie dzięki wybitnemu intelektowi.

– Troszczy się o ciebie, prawda?

– O tak, od samego początku, odkąd zostałam jej asystentką na Harvardzie. A kiedy umarła moja mama... cóż... powiedzmy, że Janet jedyna naprawdę mnie wspierała.

Cathy poczuła nieprzyjemny ucisk w brzuchu i piersiach na myśl o ultimatum Steve'a Rogersa; łzawej, jękliwej przemowie, którą wygłosił zaledwie dwa miesiące po śmierci jej matki. Mówił, że „jest już u kresu sił”, bo nie mógł znieść smutku, w którym pogrążyła się Cathy.

„Błagam cię, Cat. Musisz się wreszcie otrząsnąć. Dłużej tego nie wytrzymam. To nie jest dla nas dobre. Musisz zostawić to za sobą, uwolnić się od tego. Dla nas, Cat. Dla nas”.

Tym, co wciąż nie dawało spokoju Cathy, były nie tyle słowa jej żalosego męża, ile fakt, że ona, absolwentka i doktorantka Harvardu – być może najwybitniejsza znawczyni



dział Michała Anioła na świecie – dała się na to nabrać, uległa jego egoizmowi. Tak, wciąż zgrzytała zębami ze złości na myśl, że w chwili gdy jej mąż powinien troszczyć się o nią, oderwała się od żałoby, by zaopiekować się *nim* – nie dlatego, że jej potrzebował, lecz dlatego, że bała się go stracić.

„To był początek końca. Już wtedy powinnam była kopnąć w tyłek tego samolubnego sukinsyna”.

– Jak do tego doszło, jeśli można spytać?

– Zdradzał mnie. Z jedną ze swoich studentek.

– Och, przykro mi. Ale pytałem o twoją matkę.

– Och... – Cathy odchrząknęła zakłopotana. – Wybacz, myślę teraz o tysiącu różnych rzeczy naraz. Rak piersi. Walczyła z nim przez lata, ale w końcu zabrał ją bardzo szybko. Można chyba powiedzieć, że w tym sensie dopisało jej szczęście. Statystyki mówią, że Koreanki wyjątkowo rzadko zapadają na raka piersi. Wygląda na to, że nikt w porę nie ostrzegł mojej matki.

– Przykro mi, Cathy.

– Dziękuję – odpowiedziała Cathy z uśmiechem, gdyż wiedziała, że Markham mówi szczerze. – Tak czy inaczej, Janet jedyna pomogła mi przez to przejść, od chwili gdy zdiagnozowano chorobę, aż do samego końca – i potem, oczywiście. Pomogła mi utrzymać się w ryzach, wydać książkę, zdobyć stały etat i tak dalej. Jeszcze przed całą tą historią myślałam o niej jak o drugiej matce.

– A co z ojcem?

– Emerytowany wojskowy. Mieszka gdzieś w Karolinie Północnej z drugą żoną – kobietą, z którą zdradzał moją mamę. Rozwiedli się, kiedy byłam w trzeciej klasie tuż po tym, jak przeprowadziłam się z mamą do Rhode Island.

– Więc wychowałaś się już tutaj?

– Tak, właściwie tak. W Cranston mieszkał kuzyn mojej mamy, pomógł nam się tu urządzić. Potem mama skończyła informatykę i stworzyła nam całkiem przyjemne życie. Wcześniej ciągle przenieśliśmy się z miejsca na miejsce, jak to rodzina zawodowego żołnierza. Mieszkaliśmy we Włoszech, niedaleko Pizy, gdy mój ojciec poznał swoją drugą żonę. Ona też służyła w wojsku. To właśnie po tym wszystkim wróciliśmy z mamą do Stanów.

– Włochy. Niech no zgadnę. Czy to właśnie tam zainteresowałaś się Michałem Aniołem?

– Tak. Mama miała zaledwie osiemnaście lat, kiedy wyszła za mojego ojca. Poznała

go, gdy stacjonował w Korei. Od dzieciństwa chciała zostać artystką, ale wtedy dziewczyny nie miały tam łatwego życia. Ponieważ mama miała jeszcze cztery siostry, jej rodzice z największą chęcią wydali ją za amerykańskiego żołnierza. Tak czy inaczej, odkąd tylko pamiętam, w każdym miejscu, w którym akurat stacjonowaliśmy, mama zabierała mnie ze sobą do wszystkich miejscowych muzeów. Możesz sobie wyobrazić, jak spędziłyśmy te dwa lata pobytu we Włoszech. Niewiele pamiętam z pierwszej wycieczki do Florencji, ale mama mówiła, że kiedy po raz pierwszy zobaczyłam *Dawida* Michała Anioła, zaczęłam płakać. Podobno myślałam, że to prawdziwy człowiek, olbrzym, który został zamieniony w lodowy posąg. Było mi go ogromnie żal.

Markham uśmiechnął się rozbawiony.

– Moja mama opowiadała o tym w zabawniejszy sposób. Była cudowną kobietą, bardzo inteligentną, bardzo dowcipną. Nigdy nie wyszła ponownie za mąż. Poświęciła wszystko mnie, swojej córce. Kiedy umarła, miała zaledwie pięćdziesiąt dwa lata.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Cathy.

– Wiem.

– A co z twoim ojcem? – spytał po chwili Markham. – Często się z nim kontaktujesz?

– Od wielkiego dzwonu. – Cathy wzruszyła ramionami. – Nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliscy, nawet przed rozwodem rodziców. Ostatnim razem widziałam go na pogrzebie. Prawdę mówiąc, byłam zaskoczona, że w ogóle się tam pojawił. Przez lata sumiennie płacił alimenty i do tego praktycznie ograniczały się nasze stosunki. Po rozwodzie nie chciał mieć z nami nic wspólnego. Przynajmniej tak twierdziła moja mama. Wiem, że ojciec przedstawiałby to inaczej, mówiłby, że to mama zabrała mnie ze sobą, ale... sam rozumiesz, czyny przemawiają głośniejsz niż słowa, i tak dalej. Nie rozmawiałam z nim od niemal dwóch lat. Nie ma pojęcia o sprawie ze Steve'em.

– Ze Steve'em?

– Moim byłym.

– Ach tak, oczywiście.

– A co z tobą? Mówiłeś, że pracowałeś w Connecticut, kiedy poznałeś swoją przyszłą żonę. Wychowałeś się tam?

– Tak. W Waterford. Moi rodzice nadal tam mieszkają. Są szczęśliwym małżeństwem od niemal pięćdziesięciu lat.

– A twoja żona? Jak długo jesteście małżeństwem?

– Nie jesteśmy już ze sobą – odparł Markham beznamiętnym tonem. – Ale byliśmy małżeństwem przez dwa lata.

– Szkoda, że ja nie zdecydowałam się na takie rozwiązanie. Dwa lata to mniej straconego czasu i nerwów, a po wszystkim człowiek jest jeszcze młody. Przynajmniej tak można na to spojrzeć z perspektywy. Mam nadzieję, że twoje małżeństwo nie wyglądało tak jak moje i że rozstaliście się w zgodzie.

Markham uśmiechnął się tylko w milczeniu, a Cathy poczuła nagle, że powiedziała coś niewłaściwego – jakby dotknęła sprawy zbyt osobistej, obraziła w jakiś sposób agenta FBI. Jechali w milczeniu jeszcze przez jakiś czas, który wydawał się Cathy wiecznością – bezustannie szukała w myślach jakiegoś punktu zaczepienia, który pozwoliłby im kontynuować rozmowę. Zdecydowała się właśnie na zwykle „przepraszam”, kiedy w końcu odezwał się Markham:

– Na pewno jesteś głodna. Kupić ci coś, zanim odwiozę cię do domu?

– Nie, dziękuję. Mam trochę zapasów w lodówce, chcę je zjeść, zanim się zepsują. Ale dziękuję za troskę.

Nim dojechali do Providence, zamienili jeszcze kilka uprzejmych zdań, lecz ich rozmowie brakowało swobody i spontaniczności wcześniejszej pogawędki. Cathy ogarnął bliżej nieokreślony smutek, podobny do tego, który czuła późnymi wieczorami, spędzonymi samotnie w harwardzkim akademiku, analizując nieudane randki i zastanawiając się, co poszło nie tak. I choć nie traktowała jeszcze znajomości z agentem FBI w kategoriach romansu, choć łączyły ich jedynie sprawy czysto zawodowe, gdy Markham wjechał na East George Street, musiała ze wstydem przyznać przed samą sobą, że bardzo zależy jej na tym, by znów się z nim zobaczyć.

– Wkrótce skontaktuję się z tobą, Cathy – powiedział, jakby czytając jej w myślach. – W Quantico mówią już, że przez jakiś czas będę pracował tutaj. Dopóki oddział z Bos...

Gdyby Cathy nie patrzyła na Markhama, gdyby nie wsłuchiwała się tak uważnie w jego słowa, z pewnością dostrzegłaby wóz transmisyjny Kanału 9 wcześniej niż on. Kiedy agent nagle umilkł, spojrzała tam, gdzie on, i natychmiast rozpoznała białą furgonetkę, która wjeżdżała właśnie na krawężnik jakieś trzydzieści metrów dalej. Dokładnie naprzeciwko jej domu stanął samochód z wymalowaną na burcie okropną żółtą dziewiątką i wielkim niebieskim okiem pośrodku górnego kółka cyfry – z tym samym niebieskim okiem, które tyle razy spoglądało na nią z telewizora; tym samym, które obserwowało, jak niecałą godzinę wcześniej wyjeżdżała z posiadłości Dodda.

– Tego się właśnie obawiałem – westchnął Markham, zatrzymując auto. – Cholerna małomiasteczkowa policja.

Cathy natychmiast zrozumiała, że wielkie niebieskie oko czeka właśnie na nich, bo

nim jeszcze wysiedli z auta, kamerzysta i reporter ustawili się na chodniku przy wejściu do jej domu.

W tym momencie zadzwonił telefon Markhama.

– Tak? Tak, widzę ich. Nie, zajmę się tym. Jasne.

Agent zakończył rozmowę.

– Zajmę się tymi klaunami – oświadczył, wyłączając silnik. – Ale najpierw wprowadzę cię do środka. Nic do nich nie mów.

Markham objął Cathy ramieniem i przeprowadził ją szybko do drzwi, osłaniając przed mikrofonem dziennikarza.

– Pani Hildebrant! – krzyczał dziennikarz. – Może nam pani powiedzieć, dlaczego FBI włączyło panią w śledztwo w sprawie śmierci Tommy’ego Campbella?

Cathy czuła, jak serce podchodzi jej do gardła, gdy Sam Markham wprowadził ją na schody werandy.

– Pani Hildebrant! – zawołał ponownie reporter. Cathy go nie widziała, domyślała się jednak, że idzie za nimi krok w krok. – Czy to prawda, że ciało Tommy’ego Campbella było ułożone w pozie przypominającej posąg? Rzeźbę Michała Anioła?

Cathy próbowała właśnie wsunąć drżącymi rękami klucz do zamka w drzwiach, nie widziała więc, jak Markham odwraca się w stronę dziennikarza.

– To teren prywatny – usłyszała spokojny głos agenta FBI. – Proszę wrócić na chodnik.

Dziennikarz kompletnie go zignorował.

– Pani Hildebrant, czy to prawda, że ciało Tommy’ego Campbella było pomalowane na kolor rzeźby zwanej *Bachus*?

Cathy otworzyła w końcu drzwi i weszła do środka. W tym samym momencie Sam Markham odepchnął kamerę i chwycił dziennikarza za ramię.

– Nie dotykaj sprzętu, koleś – usłyszała głos dziennikarza. Zamknęła za sobą przeszklone drzwi i zobaczyła, jak ekipa telewizyjna wycofuje się w stronę chodnika.

– Jestem agentem federalnym, a wy wtargnęliście właśnie na teren prywatny – mówił Markham, podnosząc legitymację. – Jeśli nie wykonacie dobrowolnie mojego polecenia, wyprowadzę was stąd siłą, mam do tego prawo. To jest ostatnie ostrzeżenie. Proszę opuścić posesję.

Dziennikarz nie przejął się szczególnie groźbami agenta.

– Może nam pan powiedzieć, czy to prawda, że ciała Tommy’ego Campbella i drugiej osoby ułożone były na wzór *Bachusa*? Wie pan, jak wygląda ta rzeźba? Zdaje sobie pan

sprawę, że drugie ciało mogło należeć do dziecka?

– Nie mogę na razie udzielać komentarzy na ten temat. Jak sami wiecie, zwołano w tej sprawie konferencję prasową, być może nawet już się zaczęła. Jeśli się pośpieszycie, zdążycie jeszcze zadać tam wszystkie te pytania.

Agent specjalny Markham wycofał się do mieszkania Cathy, nie zważając na dziennikarza, który wciąż zasypywał go gradem pytań.

– Przepraszam za tę awanturę – westchnął Markham, zamykając za sobą drzwi. – Ktoś, pewnie jakiś miejscowy gliniarz, musiał poinformować media o twoim udziale w sprawie. Nie przypuszczałem, że dowiedzą się o tym tak szybko, że będą na ciebie polowali.

Cathy była wstrząśnięta: stała przy drzwiach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, drżąc na całym ciele.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odparła, spoglądając na drzwi. – Naprawdę jestem w to zamieszana, prawda?

– Niestety, tak. – Markham sięgnął do kieszeni marynarki. – To moja wizytówka. Dzwon do mnie, gdy tylko będziesz czegoś potrzebować: jeśli się czegoś przestraszysz, jeśli przyjdzie ci do głowy coś, co może nam pomóc w śledztwie, a nawet jeśli będziesz miała tylko ochotę pogadać. Kilku agentów od rana dyskretnie obserwuje twoje mieszkanie. To właśnie oni zadzwonili do mnie przed chwilą, powiedzieli mi, że wóz transmisyjny przyjechał tu kilka sekund przed nami. Trafiliśmy na kiepski moment, ale tak to już w życiu bywa. Posłuchaj, Cathy, nasi agenci jeszcze przez jakiś czas będą cię mieli na oku, dla twojego własnego bezpieczeństwa i na wypadek, gdyby pojawił się tutaj zabójca Tommy'ego Campbella. Prawdopodobnie i tak ich nie zauważysz, więc staraj się, proszę, zapomnieć, że w ogóle tu są, dobrze?

– Zapomnieć? Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem zabójca Tommy'ego Campbella spróbuje teraz zaatakować mnie? I chcesz, żebym o tym zapomniała?

– Nie. Prawdę mówiąc, Cathy, nie sądzę, żeby próbował zrobić ci krzywdę. Wręcz przeciwnie, powiedziałbym raczej, że wszystko temu przeczy. Morderca Campbella zrobił już, co w jego mocy, żeby skupić uwagę ludzi na tobie. Na pewno nie zależy mu na tym, żeby coś ci się teraz stało. Prawdopodobnie będzie trzymał się od ciebie z daleka, wystarczy mu świadomość, że wszyscy wiedzą o twoim powiązaniu z tą sprawą. Staramy się zachować tylko konieczne środki ostrożności na wypadek, gdyby próbował się ponownie z tobą skontaktować, gdyby zostawił ci kolejny list – oczywiście, jeśli listy, które dostałaś pięć lat temu, mają jakikolwiek związek ze śmiercią Campbella.

– Mają, Sam. Dobrze wiesz, że mają.

– Tak przypuszczam, ale może to też być jedynie dziwny zbieg okoliczności. Ale na razie i tak nie mamy nic innego, więc spróbujemy pójść tym właśnie tropem. Posłuchaj mnie teraz uważnie, Cathy. Choć media dowiedziały się jakoś o tym, co się stało z Campbellem i tym chłopcem, i choć wiedzą, że bierzesz udział w śledztwie, być może nie dowiedziały się jeszcze o napisie na postumencie. Mam nadzieję, że uda nam się zachować tę informację w tajemnicy. Dlatego lepiej, żebyś nie opowiadała nikomu o tej sprawie, nawet po dzisiejszej konferencji prasowej, nie tyle ze względu na dobro śledztwa, ile dla własnej korzyści. Mów, że polecono ci, byś nie rozmawiała o śledztwie z mediami. Wcześniej czy później znudzą się i dadzą ci spokój. Uwierz mi, Cathy, powinnaś robić wszystko, żeby prasa nie dowiedziała się, w jakim stopniu jesteś uwikłana w tę historię, choć intuicja mi podpowiada, że zabójcy zależy na czymś zupełnie przeciwnym.

– Co masz na myśli?

– To oczywiste, że zabójca Tommy’ego Campbella i tego chłopca przygotowywał tę zbrodnię od dłuższego czasu – może nawet od kilku lat. Choć jestem pewien, że istniał jakiś istotniejszy powód, dla którego wybrał właśnie Campbella na swojego Bachusa, trudno nie dostrzec podobieństwa między tym młodym człowiekiem a oryginałem Michała Anioła. To znaczy, że oprócz teorii związanej z osobą Tommasa Cavalieriego, o której mówiliśmy wcześniej, zabójca mógł zdecydować się na Campbella tylko dlatego, że ten po prostu wyglądał jak Bachus. Chciał go wykorzystać – podobnie jak ogród Dodda – z czysto estetycznych przyczyn i gotów był zadać sobie wiele trudu, żeby to osiągnąć. Nie zamierzał ułatwiać sobie zadania, choć mógł przecież wybrać, hm... wygodniejszą ofiarę, jakkolwiek by to zabrzmiało. Rozumiesz już, do czego zmierzam? Choć nie znamy do końca motywów tego człowieka, możemy być pewni, że mamy do czynienia z osobą bardzo – obsesyjnie wręcz – cierpliwą i metodyczną. Właśnie takich zabójców najtrudniej jest złapać, bo doskonale wszystko planują – zwracają uwagę na najdrobniejsze szczegóły i nie zostawiają prawie żadnych tropów. Dopóki nie dostaniemy wyników sekcji zwłok, dopóki nie dowiemy się, jak ten człowiek zamordował i zakonserwował swoje ofiary – jak stworzył tę chorą rzeźbę – jedyną wskazówką, dotyczącą jego zbrodni i motywów, jesteś ty. Ty i twoja książka.

– Chcesz powiedzieć, że ten wariat mnie wykorzystuje?

– Być może. Będę mógł powiedzieć o tym coś więcej, kiedy przeczytam twoją pracę. Ale sądząc po tym, ile zadał sobie trudu, żeby postawić rzeźbę w ogrodzie Dodda – co bez wątpienia miało być historyczną aluzją, skierowaną pod twoim adresem – ów chory człowiek jest przekonany, że kto jak kto, ale ty zrozumiesz jego motyw. Dlatego właśnie powinnaś pomóc nam wszystkim – FBI, mediom, społeczeństwu – zrozumieć i wyjaśnić jego pobudki.

Wygląda na to, Cathy, że morderca chce, byś została jego rzeczniczką.

Cathy milczała, oszołomiona, w jej głowie kłębiły się dziesiątki pytań, które wprawiały ją niemal w stan osłupienia.

– Wkrótce się z tobą skontaktuję. I pamiętaj, zadzwoń do mnie, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować, zgoda?

Cathy skinęła machinalnie głową, słyszała, jak odpowiada „dziękuję” nieobecnym głosem.

Z otępienia wyrwał ją dopiero dzwonek telefonu, dobiegający z kuchni, dzięki czemu uświadomiła sobie, że wciąż stoi w przedpokoju. Jednak dopiero gdy usłyszała w słuchawce głos Janet Polk, zorientowała się, że Sam Markham już wyszedł.

## Rozdział 11

Laurie Wenick stała przed otwartą lodówką, wstrząsana coraz silniejszymi dreszczami. Minęło siedem miesięcy, odkąd zniknął jej syn; siedem miesięcy, odkąd pewnego wieczoru nie wrócił do domu na kolację; siedem miesięcy, odkąd tamtego chłodnego, słonecznego dnia jego przyjaciele powiedzieli, że został sam w lesie nad stawem Blackamore Pond, by jeszcze trochę się pobawić. Patrząc teraz na chłodny słoik masła orzechowego, który trzymała w dłoni, Laurie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od siedmiu miesięcy nieświadomie podeszła do lodówki, by przygotować synkowi lunch na następny dzień – kanapki z masłem orzechowym i dżemem, których zazdrościli mu wszyscy koledzy z klasy w podstawówce Eden Park. W tym momencie samotna matka jedynaka zapomniała na chwilę o smutku, o dojmującej samotności, do której zdążyła się już przyzwyczaić – czuła jedynie paniczny strach, coraz mocniejsze przeświadczenie, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Poszła spać o ósmej rano, jak w każdą niedzielę – już od kilku miesięcy pracowała na nocnej zmianie w szpitalu stanowym Rhode Island, bo właśnie noc, ciemność i pustka jej domu-bliźniaka w Cranston stała się od minionego września nie do zniesienia. Kiedy już zdarzało jej się zrobić sobie wolne, młoda, ładna pielęgniarka spędzała noc w sąsiednim mieszkaniu, u swojego ojca – samotnie oglądała telewizję do białego rana, a potem wracała do siebie i kładła się spać. Ojciec twierdził, że zachowuje się jak wampir, bezskutecznie usiłując rozświecić tym żartem choć na mgnienie ich mroczny, pozbawiony cienia uśmiechu świat.

Pomimo niewysłowionego bólu i cierpienia, Laurie od samego początku zdawała sobie sprawę, że zaginięcie jej syna zdruzgotało ojca niemal w takim samym stopniu jak ją samą. W ciągu ostatnich siedmiu miesięcy wspierali się nawzajem w chwilach największego załamania. Początkowo byli przekonani, że Michael Wenick jednak się znajdzie, bo mieszkali przecież w Rhode Island, a w stanie Rhode Island dzieci po prostu nie giną, nie rozplývają się w powietrzu bez śladu. Tak, Laurie przeglądała statystyki, setki razy rozmawiała z policjantami o swoim synu, wiedziała więc, że do tej pory tylko w jednym przypadku nie udało się odnaleźć dziecka zaginionego w tym stanie, a sprawa ta miała miejsce dawno, w połowie lat osiemdziesiątych.



Jednak w miarę upływu czasu, gdy nurkowie przebadali dokładnie dno Blackamore Pond po raz drugi i trzeci, gdy zakończyły się poszukiwania prowadzone przez ochotników, a zdjęcia Michaela coraz rzadziej pojawiały się w prasie, statystyka ożywiająca nadzieję na powrót dziecka musiała ustąpić miejsca ponurej rzeczywistości. Gdy mijały kolejne miesiące, gdy nadeszło Boże Narodzenie, a los Michaela Wenicka wciąż pozostawał nieznanym, Laurie i jej ojciec popadali w stan coraz głębszego odrętwienia. Zdawało się, że żyją w jakiejś mrocznej strefie między życiem a śmiercią, niczym para zombi, które mechanicznie wykonują wszystkie codzienne czynności.

Od narodzin Michaela Wenicka mieszkali we troje w bliźniaku przy Lexington Avenue – uroczym piętrowym domu u podnóży wzgórza, położonym niecałe pięćdziesiąt metrów od brzegu Blackamore Pond. Rodzice Laurie rozwiedli się, gdy chodziła jeszcze do przedszkola, ale z ojcem mieszkała dopiero od ostatniej klasy szkoły średniej. Wprowadziła się do niego, gdy matka wyrzuciła ją z domu na wieść, że córka zaszła w ciążę. Chłopak Laurie, ojciec Michaela, wyjechał z krewnymi na Florydę i przepadł bez wieści, za co w głębi duszy John Wenick był wdzięczny losowi. Ten był bokser, krzepki i małomówny mężczyzna, nigdy nie lubił wybranka Laurie – miłośnika rapu, który chodził w workowatych spodniach i jeździł samochodem z tablicami rejestracyjnymi GNGSTA1. Gdy pewnego dnia zapłakana Laurie stanęła w drzwiach mieszkania ojca i oświadczyła, że jej chłopak wyparł się ojcostwa, John Wenick wziął do ręki kij bejsbolowy i ruszył na poszukiwanie sukinsyna. O tak, gdyby znalazł tego wyskrobka, udającego Eminema, nie skończyłoby się to dobrze dla żadnego z nich; ojciec Laurie z pewnością trafiłby do więzienia za zabójstwo. Dopiero gdy ochłonął, gdy dwa dni później ten gnojek uciekł na Florydę, John Wenick podziękował losowi i za to, że „Gangster numer jeden” upijał się gdzieś właśnie z kumplami, podczas gdy on go szukał.

John Wenick pracował na państwowej posiadzie, od dwudziestu lat był zarządcą wysypiska odpadów. Kiedy urodził się jego wnuk, zebrał wszystkie oszczędności i wpłacił zadatek za dom położony u stóp wzgórza – ten sam dom, w którym mieszkał od rozvodu z matką Laurie. John wiedział, że Laurie zawsze bliżej było do niego niż do matki, łączyła ich bowiem specjalna więź, której jego była żona, alkoholiczka, nigdy nie potrafiła zrozumieć. Choć po rozwodzie to właśnie ona oficjalnie sprawowała opiekę nad Laurie, stosunki między nimi obiema były – w najlepszym wypadku – napięte. Nic więc dziwnego, że Laurie spędzała większość wolnego czasu u ojca – oczywiście, do czasu, gdy zaczęła się spotykać z Gangsterem numer jeden. Nic też dziwnego, że John Wenick czuł się po części odpowiedzialny za kłopoty swojej córki – gdyby tylko miał ją na oku, gdyby od razu skopał

facetowi tyłek, nie byłoby całej tej historii. Dlatego też uznał, że Laurie powinna zamieszkać z nim na stałe – szczerze się ucieszył, gdy jego córka i maleńki Michael wprowadzili się do sąsiedniej połowy domu. Uważał też, że jego obowiązkiem jest opieka nad chłopcem, w czasie gdy Laurie uczyła się w szkole pielęgniarstwa.

Jednak bardziej niż z poczucia odpowiedzialności i obowiązku John Wenick opiekował się Michaeliem z czystej miłości, bo kochał go jak własnego syna. Odkąd Michael skończył pięć lat, niemal każdego niedzielnego poranka, gdy tylko pozwalała na to pogoda, dziadek i wnuk wybierali się razem na ryby. Można ich było wtedy znaleźć w pobliżu krótkiego podjazdu, odchodzącego od Lexington Avenue ku zalesionym brzegom Blackamore Pond. Michael uwielbiał wędkowanie, lubił je nawet bardziej niż konsolę Nintendo *Wii*, którą dziadek kupił mu na Gwiazdkę. Jakież było podekscytowanie, gdy minionego lata dziadek zabrał go łódką na głębsze wody, z dala od wybrzeży Block Island! Dla młodego Michaela Wenicka była to fantastyczna przygoda, a dla jego dziadka jeden z wielu szczęśliwych rozdziałów, które zapisał w jego życiu los, odkąd dziewięć lat wcześniej wprowadziła się do jego domu córka.

Dlatego też Wenickowie – podobnie jak cała miejscowa społeczność, cały stan – doznali głębokiego szoku, gdy pewnego chłodnego wrześniowego popołudnia, między 16.30 a 18.00, mały Michael Wenick zniknął bez śladu w lesie okalającym Blackamore Pond. Ani Wenickom, ani żadnemu z mieszkańców Lexington Avenue nigdy nie przyszłoby nawet do głowy, że coś podobnego może się wydarzyć w ich okolicy – w tym właśnie lesie, w którym bawiły się ich dzieci; w lesie, w którym oni sami bawili się przed laty, w czasach swojego dzieciństwa. Nie, Wenickowie, policja i obywatele Cranston nie mieli najmniejszego pojęcia, że pośród nich znalazł się ktoś obcy; że Rzeźbiarz obserwował małego Michaela od miesięcy, odkąd zauważył go przypadkiem, gdy chłopiec wracał do domu w towarzystwie dwóch kolegów. Tak, Rzeźbiarz wiedział od razu, że szczupły, drobny tułów chłopca idealnie nada się na jego satyra. I podczas gdy Laurie i John Wenickowie nigdy nie umieliby sobie wyobrazić, że ukochany Michael zniknie z ich życia, Rzeźbiarz natychmiast zrozumiał, że to spotkanie było im pisane, i że pewnego dnia on i jego satyr muszą się spotkać ponownie.

Od tej pory śledził każdy ruch chłopca – siedł za nim do domu, zawsze w bezpiecznej odległości, najpierw, latem, znad stawu lub basenu, a jesienią ze szkoły podstawowej Eden Park. Obserwował go z drugiego brzegu, gdy chłopiec łowił ryby ze starszym mężczyzną o potężnych przedramionach; podglądał przez lornetkę, gdy bawił się z dwoma kolegami przy wielkiej rurze kanalizacyjnej w lesie po północnej stronie Blackamore Pond. Satyr był najmniejszy spośród całej trójki, ale braki fizyczne nadrabiał z okładem odwagą. Ktoś, być

może jakiś starszy dzieciak, przywiązał do jednej z grubszych gałęzi sznur, a Rzeźbiarz wiele razy miał okazję obserwować, jak dwaj więksi chłopcy patrzą z podziwem na jego satyra, który kołysał się na linie niczym Tarzan, coraz wyżej i coraz dalej od brzegu. Pewnego popołudnia najwyższy z trójki chłopców przyniósł petardy, a Rzeźbiarz nie mógł powstrzymać się od śmiechu, widząc, jak satyr wrzuca jedną z nich do pustej butelki po piwie, a potem chowa się szybko za drzewo.

„Tak” – myślał Rzeźbiarz. – „Mój satyr to prawdziwy urwis”.

Być może to właśnie psotna natura Michaela Wenicka sprawiła, że tamtego chłodnego wrześniowego popołudnia spotkał się w końcu z przeznaczeniem. Rzeźbiarz odkrył, że kiedy jego koledzy idą na kolację, satyr często zostaje w lesie sam i wrzuca do wody różne przedmioty – zwykle tylko duże kamienie, ale czasami także butelki i puszki, a nawet opony. Zawsze jednak trzymał się blisko wielkiej rury albo niewielkiego skrawka otwartego brzegu pod wysokim, betonowym murem, pozostałością jednego z podwórz, przylegających do stawu. Rzeźbiarz uznał, że bezpieczniej będzie schwytać chłopca przy rurze, bo tylko wtedy będzie miał pewność, że nikt go nie zobaczy: tak, by zdobyć pierwszą figurę do swojego Bachusa, musiał być bardzo, bardzo ostrożny.

Rzeźbiarz wiele razy oglądał satelitarne zdjęcia Blackamore Pond i okolicy na portalu *Yahoo! Maps*, ale po raz pierwszy wybrał się tam dopiero po jakimś czasie, późną nocą, gdy wszystkie starsze dzieciaki, które paliły papierosy i piły piwo pod niszczącym murem, poszły sobie do domu. Zaparkował niebieską toyotę camry – jeden z dwóch samochodów, których używał oprócz dużej białej furgonetki – na pobliskiej ulicy i korzystając z noktowizora, ruszył w gęsty las.

Otwór wlotowy rury był na tyle duży, że nawet Rzeźbiarz mógł wejść do niej bez trudu, a dzięki noktowizorowi widział niemal całe jej wnętrze. Założył foliowe torby na buty i foliowe rękawiczki na dłonie, po czym wszedł do kanału. Zapach nie był tak okropny, jak się obawiał – czuł głównie stęchliznę i odór bagna – lecz samo powietrze wydawało się nieprzyjemnie gęste i wilgotne. Na szczęście zaledwie jakieś czterdzieści metrów od wejścia znalazł to, czego szukał – studzienkę włączającą i kratkę ściekową, wychodzącą na sąsiednią ulicę. Tutaj, w kanale burzowym, Rzeźbiarz mógł stanąć prosto; przez szczeliny kratki widział opony swojego samochodu, który zaparkował zaledwie piętnaście minut wcześniej. Naparł na pokrywę studzienki, podniósł ją i wyjrzał na zewnątrz.

Tak, to miejsce było idealne.

Jak pamiętał z *Yahoo! Maps*, kanał burzowy znajdował się na końcu ulicy zwanej Shirley Boulevard – cichej alejki zamieszkaanej przez przedstawicieli klasy średniej i

położonej zaledwie o dwie przecznice od Lexington Avenue, ulicy, przy której mieszkał jego satyr wraz z wędkarzem o przedramionach Popeye'a i ładną jasnowłosą pielęgniarką, jeżdżącą hyundaiem. Rzeźbiarz wcześniej obejrzał tę część Shirley Boulevard za dnia, wiedział, że większość mieszkańców wraca do domu dopiero około 17.15, i że nawet w pełnym blasku dnia nikt nie dojrzy go za gęstą zasłoną krzewów, gdy będzie wychodził ze studzienki – otworu na tyle dużego, że choć z trudem, był w stanie przecisnąć się przez niego na zewnątrz. Nie było tu żadnego chodnika, jedynie betonowy blok, w którym osadzono wylot studzienki. Rzeźbiarz wiedział, że może go zauważyć tylko ktoś idący akurat ulicą i że w związku z tym bezpieczniej będzie, jeśli wysiądzie po stronie pasażera i od razu wejdzie do włazu.

Tak, ten układ wydawał się tak korzystny, że Rzeźbiarz nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Cztery razy czyhał na Michaela Wenicka, nim w końcu udało mu się go porwać. Owszem, istniało ryzyko, że satyr lub któryś z jego kolegów wejdzie do rury i odkryje go. I choć w ciągu długich tygodni, podczas których obserwował chłopców, żaden z nich nie zapuścił się do wilgotnego, ciemnego wnętrza kanału – „Pewnie poradzili sobie z tym lękiem już parę lat temu” – pomyślał Rzeźbiarz – na wszelki wypadek zawsze miał ze sobą noktowizor i sig sauera kalibru.45 z tłumikiem. Nie chciał zabijać towarzyszy satyra – po co marnować dobry materiał, który w przyszłości może się jeszcze komuś przydać – gotów był jednak zrobić wszystko, co konieczne, by schwytać upatrzoną ofiarę. Gdyby w ostateczności jeszcze przed powrotem do powozowni musiał zabić samego satyra, mierzyłby w tył głowy. Tak, ważniejsze niż przebudzenie jego wybranka było zachowanie w całości cennego materiału.

„Poza tym” – pomyślał Rzeźbiarz – „świat może się obudzić tylko za sprawą *Bachusa*”.

Ostatecznie jednak awaryjny plan Rzeźbiarza okazał się niepotrzebny. Gdy czwarte popołudnie z rzędu czekał ukryty w kanale, gdy spojrzął na zegarek i przekonał się, że jest już 16.35, gdy podczołgał się na skraj rury, ujrzał swojego satyra w odległości zaledwie kilku metrów od swojej kryjówki. Chłopiec był wreszcie sam – wrzucił właśnie do wody butelkę wypełnioną częściowo ziemią i próbował rozbić ją kamieniami, nim zniknie w brudnej, zanieczyszczonej głębi Blackmore Pond. Biedny Michael Wenick jeszcze nie zdążył się odwrócić, zaniepokojony odgłosem czyichś kroków, gdy Rzeźbiarz zaatakował błyskawicznie niczym wąż, porwał go znad brzegu stawu i wciągnął do wnętrza kanału.

Chłopiec próbował krzyczeć, usiłował wyrwać się z uścisku swego oprawcy, ale

potężna dłoń porywacza zatykała mu usta, a jego ręka zaciskała się z wielką siłą na szyi i klatce piersiowej chłopca – z siłą tak potężną, że nim Rzeźbiarz przeciągnął Michaela Wenicka do kanału burzowego, biedak już nie żył.

Dopiero gdy zwolnił uścisk, a bezwładne ciało chłopca osunęło się na ziemię, Rzeźbiarz uświadomił sobie, że niechcący skręcił mu kark; dopiero wtedy zdał sobie sprawę z własnej siły. Nie potrzebował już ani pistoletu, z którego w razie konieczności miał zabić kolegów satyra, ani sznura i gąbki nasączonej chloroformem, którymi zamierzał obezwładnić swą ofiarę. Wepchnął ciało chłopca do wielkiego worka marynarskiego i odsunął wąż studzienki. Upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma, wyłożył torbę na betonową płytę i sam wysunął się z kanału.

W ciągu niecałej minuty pozbierał swoje rzeczy, zapakował je do auta i ruszył w drogę powrotną do domu. Satyr leżał ukryty w worku na tylnym siedzeniu. Choć Rzeźbiarz był nieco rozczarowany, że jego wybranek nie zobaczy, co dla niego przygotował, nie obudzi się przed obrazem tego, czym miał się stać, był nieco oszołomiony faktem, że z taką łatwością zrealizował pierwszą część swojego planu.

Tak, wydawało mu się to niemal *zbyt* łatwe.

Gdyby Laurie Wenick wiedziała dokładnie w tamtej właśnie chwili, co stało się z jej synem; gdyby owego wrześnieowego popołudnia dowiedziała się, że los oszczędził małemu Michaelowi pełnego grozy i okrucieństwa spektaklu, który przygotowywał dlań Rzeźbiarz, prawdopodobnie nie znalazłaby w tym pocieszenia. Wpatrzona w słoik z masłem orzechowym, który trzymała w dłoni, młoda pielęgniarka poczuła się nagle tak, jakby runęły na nią wszystkie cierpienia ostatnich siedmiu miesięcy. Zaczęła głęboko oddychać, drżącymi rękami odstawiała słoik na blat, omal go przy tym nie upuszczając.

Coś się stało. Coś bardzo niedobrego.

Czuła to.

Nie oglądała telewizji tego ranka, nim położyła się do łóżka – odsypiała noc, gdy w mediach pojawiła się informacja o Tommym Campbellu. Los sprawił, że samotna matka, Laurie Wenick, która stała teraz pośrodku swej kuchni i drżała z przerażenia, nie miała pojęcia, iż w Watch Hill znaleziono ciało skrzydłowego Boston Rebels. Jednak nawet gdyby oglądała wcześniej wiadomości, nawet gdyby dowiedziała się, że oprócz zwłok Campbella znaleziono jeszcze jedno ciało, nie połączyłaby tego ze swoim synem – policja stanowa i FBI dawno już uznały, że zaginięcie Tommy'ego Campbella i jej syna to dwie zupełnie odrębne sprawy, których nic ze sobą nie łączy. Laurie nie miała powodów, by im nie wierzyć, lecz w ciągu kilku minionych miesięcy nabrała ogromnej niechęci do mediów zajmujących się

wyłącznie sprawą Campbella – sprawą, która całkowicie przyćmiła jej osobistą tragedię. Poza tym nieustanne zainteresowanie dziennikarzy Campbellem sprawiało, że Laurie wciąż na nowo przeżywała zaginięcie własnego syna.

Gdyby nie sięgnęła tego dnia po słoik z masłem orzechowym, gdyby jak zwykle o tej porze zrobiła sobie kawę i usiadła przed telewizorem, odetchnęłaby zapewne z ulgą, oglądając konferencję prasową, która zaczynała się właśnie na schodach przed wejściem do komisariatu policji w Westerly – odnalezienie ciała Campbella oznaczało bowiem, że władze i media może bardziej skoncentrują się teraz na poszukiwaniach jej syna. Lecz gdyby sięgnęła po pilota, ogarnięta paniką i straszliwymi przeczuciami, gdyby zrobiła to, nim rozbrzmiał dzwonek u drzwi – pomimo wszystkiego, co władze mówiły jej w przeszłości, pomimo wszelkich zapewnień, że sprawy Tommy’ego Campbella i jej syna nie są ze sobą powiązane – zrozumiałaby natychmiast, że niezidentyfikowane ciało, o którym mówił agent FBI, należy do jej syna.

Tymczasem Laurie stała jak posąg przed lodówką, gdy ponownie rozległ się dzwonek – dźwięk dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia brzmiał w jej uszach niby huczące kościelne dzwony. Jej umysł pękł nagle niczym skorupka jajka pod naporem myśli, że to z pewnością nie jej ojciec – że nie mógł jeszcze wrócić z polowania w Connecticut, na które wybrał się z jej wujem.

Znów zachowywała się niczym zombi, mechanicznie stawiała kroki, dziwnie oddzielona od własnego ciała. Spojrzała przez wizjer i zobaczyła dwóch mężczyzn – dwóch poważnych mężczyzn o krótko przystrzyżonych włosach, ubranych w niebieskie kurtki. Laurie nie знаła tych ludzi, nie widziała ich nigdy wcześniej, ale wiedziała, kim są: w ciągu minionych siedmiu miesięcy wiele razy widywała ich kolegów po fachu. Jakiś beznamiętny głos w głowie przypominał jej, że drzwi są zamknięte na zasuwę (ojciec nauczył ją, że zawsze trzeba zamykać drzwi wejściowe na klucz lub zasuwkę). Laurie czuła się tak, jakby patrzyła na siebie samą z boku – na kobietę w szlafroku, która zawsze wydaje się zmęczona i smutna – gdy jej ręce otwierały powoli drzwi.

– Tak?

Mężczyzna stojący na schodach pokazał Laurie legitymację. Poruszał ustami, lecz ona nie słyszała jego głosu; widok tych trzech liter – FBI – był niczym cios obuchem w głowę, który niósł ze sobą ogłuszającą, druzgocącą pewność.

Nie, matka małego Michaela Wenicka nie potrzebowała wizyty FBI, nie musiała oglądać konferencji prasowej, by zrozumieć, dlaczego sięgnęła po słoik z masłem orzechowym. Gdy jej kruchy niczym skorupka jajka umysł pękł ostatecznie pod ciężarem bólu,

niegdyś ładna młoda pielęgniarka osunęła się w ciemność.

Tak, Laurie Wenick straciła przytomność, gdy tylko uświadomiła sobie ostatecznie, że jej syn nie żyje.

## Rozdział 12

Bill Burrell siedział z Thomasem Campbellem seniorem w jego domu, nad filiżankami z dawno już wystygłą kawą. Obaj upili tylko łyk czy dwa, bo filiżanki były jedynie rekwizytami w scenie, którą odgrywali już wiele razy w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Scenografia zawsze wyglądała tak samo – wygodne skórzane fotele, szafy biblioteczne, ściany wyłożone boazerią i obwieszone dziesiątkami rodzinnych fotografii. Dzisiaj jednak na scenie domu Campbellów panował inny nastrój, inna atmosfera, gdyż bogaty biznesmen dowiedział się w końcu, co się stało z jego jedynym synem. W chwili gdy na ekranie telewizora stojącego w rogu salonu agentka specjalna Rachel Sullivan kończyła właśnie konferencję prasową, na piętrze, niemal dokładnie nad głową Burrella, rozległ się jakiś głuchy łomot.

– To nic – powiedział Campbell, wyłączając pilotem telewizor. – Jest z nią jej siostra. Pewnie coś upuściła, zdarza się.

W pokoju zapadła krępująca cisza. Burrell sięgnął po filiżankę i upił łyk zimnej kawy. Rozpuszczalnej. Gorzkiej. Dziś nie zaparzała jej Maggie Campbell, która zwykle przygotowywała dla niego pyszną mieszankę Sumatra. Dzięki relacji agentki Sullivan Burrell wiedział, że zidentyfikowawszy swego syna, ujrawszy jego ciało w postaci przerażającego posągu, Maggie Campbell najpierw doznała szoku, a potem ataku niekontrolowanej histerii. Nim Burrell dotarł po południu do domu nad Foster Cove, matka Tommy’ego Campbella zaszyła się w swoim pokoju na piętrze, wyczerpana nadmiarem emocji graniczących z szaleństwem. Nie licząc głosów garstki reporterów, którzy wciąż stali przy bramie posesji, w domu ulubieńca stanu Rhode Island panowała grobowa cisza.

– Na tej posesji też kiedyś znaleziono zwłoki – odezwał się po chwili Campbell. – Wiedziałeś o tym, Bill?

Burrell podniósł wzrok znad kawy. Thomas Campbell patrzył nań niewidzącym wzrokiem. Jego oczy były wąskie jak szparki, opuchnięte i czerwone od płaczu. Stał się wrakiem człowieka widocznego na fotografii ustawionej za jego plecami, na której uśmiechał się radośnie, obejmując ramieniem swego syna.

– Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego roku – kontynuował Campbell. – Na



frontowym trawniku leżało ciało dozorca, który pracował u poprzednich właścicieli tego budynku. Podobno chciał uderzyć ich syna, a obok przechodzili właśnie jacyś obcy ludzie. Pchnęli go nożem i uciekli. Chłopak był świadkiem tej sceny. Potem został słynnym reżyserem, nakręcił wszystkie te znane horrory w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zmarł w zeszłym roku. Pamiętasz go?

Burrell skinął tylko głową.

– Kiedy byłem dzieckiem, widziałem kilka jego filmów, napędziły mi niezłego stracha. Kupiliśmy ten dom od jego wuja... Boże, niedługo będzie już trzydzieści lat, odkąd tu mieszkamy. Miły staruszek – mam na myśli tego wuja, oczywiście. Wielu starszych ludzi z okolicy wciąż to pamięta, tę historię o zabójstwie, i tak dalej. Tommy też ją słyszał. Kiedy był dzieckiem. I przez długie lata przysięgał, że w tym domu mieszka duch. Wiadomo, jakie są dzieciaki. Ale wiesz co, Bill? Pamiętam, jak powtarzał mi jeszcze jako mały chłopak, że nie boi się tego ducha, że kiedyś pewnie zostaną przyjaciółmi. Dobrze, co? Mały dzieciak, który nie boi się duchów.

Burrell ponownie skinął głową, wpatrzony w swoją filiżankę.

– Taki właśnie był mój syn – mówił Campbell łamiącym się głosem. – Przyjaciel całego świata. Nie bał się nawet pokochać ducha.

– Wiem, Tom. To był naprawdę dobry dzieciak. Najlepszy.

– To dlatego świat go wykorzystał – ci wszyscy podli ludzie, ta zdzira, którą poprosił o rękę. Był taki ufny... Myślał, że wszyscy są tacy jak on, że jeśli ktoś się do niego uśmiecha, to naprawdę dobrze mu życzy. To dlatego ta pieprzona dziwka zdołała złamać mu serce.

Burrell milczał. Rozmawiali już o tym wiele razy. Dawno temu wykluczyli hipotezę, że naręczona Tommy'ego, włoska supermodelka Victoria Magnone, może mieć coś wspólnego z jego zaginięciem. Nim jeszcze Burrell poznał ojca Tommy'ego Campbella, nim jeszcze skrzydłowy zginął bez wieści, Buldog śledził losy związku tej młodej pary za pośrednictwem mediów – nie mógł uciec od tego tematu, gdy tylko włączył telewizor lub sprawdzał coś w internecie. Media nie wiedziały jednak tego, czego dowiedział się Burrell, poznawszy ojca Tommy'ego Campbella, nie miały pojęcia, jak bardzo chłopiec przeżył zerwanie. Dopiero gdy Bill Burrell spędził trochę czasu w domu Campbellów nad zatoką, gdy poznał prawdę o kochającym synu, ukrytym za obrazem stworzonym przez media, poczuł wyrzuty sumienia. Choć widywał go dziesiątki razy podczas meczów rozgrywanych przez Boston Rebels, w internecie i na okładkach magazynów, dopiero po spotkaniu z rozpaczającymi rodzicami chłopca zaczął postrzegać Tommy'ego Campbella jako człowieka.

– Powiedz mi, Bill... powiedz, że wiesz, dlaczego ktoś chciałby skrzywdzić mojego

syna.

Burrell nie mógł mu odpowiedzieć – mógł jedynie ponownie spuścić wzrok na filiżankę. Co zadziwiające, właśnie teraz, gdy znaleziono w końcu ciało Tommy'ego Campbella, gdy nadszedł moment, na który czekali od trzech miesięcy, agent nie był w stanie zdobyć się na żaden komentarz ani zadać swemu przyjacielowi jakichkolwiek pytań. Thomas Campbell senior odwrócił się ponownie do telewizora, ale jego oczy pozostały równie puste jak ekran, na którym przed chwilą Rachel Sullivan potwierdziła oficjalnie to, o czym wiedziała już cała Ameryka.

Agent odpowiedzialny za śledztwo był zadowolony z tego, jak jego podopieczna radziła sobie z pytaniami dziennikarzy, lecz zarazem odczuwał głęboki niepokój i złość. Oczywiście był zły, że musieli w ogóle zorganizować to przedstawienie i że informacja o zabójstwie Tommy'ego Campbella wyciekła do mediów, nim mogli się tym dobrze zająć. O tak, dopadnie tego, kto puścił parę, a kiedy już się to stanie, z przyjemnością osobiście wywali go na zbity pysk.

Jednak znacznie bardziej martwiła go seria pytań, które padły pod koniec konferencji – pytań zaskakujących nawet dla dziennikarki, która je zadawała. Burrell nie mógł oczywiście wiedzieć, że O'Neill zaledwie chwilę wcześniej otrzymała te informacje. Nie mógł wiedzieć również, jak bardzo zirytował dziennikarkę fakt, że opłacone źródło nie przekazało jej w porę tak istotnych wiadomości; nie ujawniło, że Tommy Campbell i jego niezidentyfikowany towarzysz zostali upozowani na kształt posągu. Rzeźby Michała Anioła, zatytułowanej *Bachus*.

Choć szczegóły morderstwa znało kilku miejscowych policjantów oraz kilkunastu policjantów stanowych, którzy natychmiast przyjechali na posesję Dodda, by zabezpieczyć miejsce przestępstwa, to właśnie agenci FBI odkryli dedykację wyrytą w cokole posągu. Nim jeszcze Burrell dotarł na miejsce zbrodni, agent specjalny Sam Markham przykazał surowo, by nie wyjawiać nazwiska znanej historyk sztuki nikomu poza agentami federalnymi. Obserwując zmagania Rachel Sullivan, która konsekwentnie odmawiała odpowiedzi na pytania dziennikarki Kanału 9, Burrell uświadomił sobie pewną bolesną prawdę: że jeśli nawet jeden z policjantów, miejscowych czy stanowych, rozpoznał rzeźbę Michała Anioła, to z pewnością któryś z *jego* ludzi sprzedał informację o doktor Hildebrant – oczywiście, chyba że to sam morderca zadzwonił do mediów.

Nie podobało mu się żadne z tych rozwiązań.

Jedyną pocieszającą wiadomością był fakt, że dziennikarka Kanału 9 nie zadawała żadnych pytań o napis – wydawało się, że nie wie, dlaczego właściwie doktor Hildebrant

została wezwana na miejsce przestępstwa. Prawdopodobnie uważała, że kobieta pełniła tam jedynie rolę konsultanta. To oznaczało, że FBI będzie mogło prowadzić śledztwo bez zbędnego rozgłosu, a media nie rzucą się jak hieny na doktor Hildebrant i jej książkę. Prawdopodobnie zostawią ją w spokoju, kiedy już ochłoną z pierwszego wrażenia. Burrell polubił urodziwą panią doktor – nie tylko dlatego, że przypominała mu żonę, ale i dlatego, że sądząc po sposobie, w jaki oglądała ciała Tommy’ego Campbella i chłopca, była naprawdę silną kobietą. Podobało mu się to. Tak, można nawet powiedzieć, że Bill Burrell *podziwiał* doktor Hildebrant.

Z kolei Thomas Campbell zignorował zupełnie jej osobę – nawet nie zapytał Burrella, kim jest kobieta, o której wspominała podczas konferencji prasowej Meghan O’Neill. Wydawało się wręcz, że ojciec Tommy’ego Campbella akceptuje zainteresowanie mediów i spektakl odgrywany przez dziennikarzy przed wejściem do komisariatu w Westerly, że traktuje je jako kolejny nieunikniony etap żałoby po synu. Nie spytał nawet Burrella, jak informacja o posągu przedostała się do mediów, choć przecież sam otrzymał tę wiadomość zaledwie kilka godzin wcześniej. Nie, myślał jedynie o swoim synu – i o synu kogoś jeszcze.

– Kiedy już zobaczą posąg – przemówił Campbell, wpatrując się w ciemny ekran telewizora – ten prawdziwy, oczywiście, kiedy już wyszukają go w internecie i zobaczą tę postać za moim synem, to stworzenie, które wygląda jak dziecko, ludzie z Rhode Island zorientują się, że to mały Michael Wenick.

– Wiem. Wysłałem już ludzi do jego matki. Cieszę się tylko, że dotarli tam, zanim wyszła na jaw ta historia z posągiem.

Choć tworząc swojego satyra, Rzeźbiarz znacząco zmienił twarz Michaela Wenicka – dorobił mu rogi na czole, zmienił kształt uszu, wykrzywił usta w szelmowskim uśmiechu – jeden z policjantów stanowych rozpoznał go i poinformował FBI, kim może być zamordowany chłopiec. Wszystkie rutynowe działania, podejmowane w takich sytuacjach – przeszukanie bazy danych zaginionych osób, porównanie zdjęć i opisów – wskazywały na to, że zwłoki odnalezione na posesji Dodda rzeczywiście należą do małego Michaela Wenicka. Burrell wiedział jednak, że muszą mieć całkowitą pewność, nim skontaktują się z matką chłopca, i że musi ona potwierdzić tożsamość dziecka, nim podadzą tę informację do publicznej wiadomości.

Ale jak można powiedzieć matce, że jej syn został przecięty na pół? Jak powiedzieć, że ktoś połączył ciało jej syna z nogami kozy i zniekształcił go tak, by wyglądał jak diabeł? Więcej – jak jej to pokazać? Choć Bill Burrell początkowo miał wyrzuty sumienia, że dotarł na posesję Dodda, kiedy Thomas i Maggie Campbellowie już stamtąd wyjechali – kiedy

dopiero dzięki połączonym wysiłkom dwóch policjantów, Thomasa i jego szwagierki udało się zaprowadzić rozhisteryzowaną matkę do samochodu – teraz, siedząc obok człowieka, z którym w ciągu minionych trzech miesięcy szczerze się zaprzyjaźnił, agent czuł raczej ulgę, że to nie on sam musiał przekazać Campbellom tę wiadomość.

O nie, nawet po dwudziestu latach pracy w Biurze wcale nie było mu łatwiej.

– Zasnęła – dobiegł ich szept z korytarza. W drzwiach stała siostra bliźniaczka Maggie Campbell. „Albo duch” – pomyślał Burrell. – „Duch Maggie Campbell z czasów, nim zaginął jej syn, nim tak okropnie wychudła”. Poznał już kiedyś tę kobietę – omyłkowo wziął ją za Maggie – ale pomimo najlepszych chęci nie był w stanie przypomnieć sobie jej imienia.

– Mogę ci jeszcze w czymś pomóc, Tom? – spytała szwagra. – Wiesz, zanim sama na chwilę się położę...

– Nie, dziękuję ci, kochana. Odpocznij trochę.

Duch uśmiechnął się ze znużeniem, skinął głową Burrellowi, a potem zniknął w głębi korytarza.

– Dobra z niej dziewczyna – powiedział Campbell. – Bardzo nam pomaga od samego początku.

Tommy Campbell nie powiedział już nic więcej na temat swojej szwagierki, nie wymienił jej imienia, nie pomógł Burrellowi wyzbyć się zakłopotania wywołanego faktem, że nie potrafi zapamiętać tak drobnej i ważnej zarazem informacji.

Nie, mężczyzna o smutnych oczach i białych jak śnieg włosach wpatrywał się tylko w pusty ekran telewizora, jakby czekał, aż skończą się reklamy. Rekwizyt w postaci filiżanki z zimną kawą już niemal od godziny spoczywał w tym samym miejscu – na jego kolanach.

„O nie” – pomyślał Burrell. – „Nawet po dwudziestu latach w pieprzonym Biurze wcale nie jest łatwiej”.

## Rozdział 13

– Proszę bardzo, Hildy – powiedziała Janet Polk. – To właśnie ten towar, o którym ci mówiłam, wiesz, ten od znajomego z antropologii. Pachnie trochę dziwnie, ale pomoże ci. Obiecuję.

Cahty przysunęła filiżankę do nosa i skrzywiła się, gdy w jej nozdrza uderzył ostry zapach, przypominający curry.

– Po prostu napij się tego, mięczaku.

Cathy pociągnęła łyk. Napój smakował wybornie.

– Dziękuję. – Skinęła głową.

– Pierwsza działka jest za darmo – poinformował ją Dan Polk. – Tak to się zaczyna. Wciąga cię, a potem lądujesz na ulicy, jak my wszystkie, biedulki.

Cathy uśmiechnęła się po raz pierwszy od rozstania z Samem Markhamem – omal nie zadzwoniła do niego, gdy pod jej drzwiami zaczęli się pojawiać dziennikarze. Lecz jak zwykle z pomocą pośpieszyła Janet: to ona spakowała jej rzeczy i zawiozła ją do siebie. Cathy zawsze lubiła dom Polków w Cranston, szczególnie wieczorem, gdy przytłumione światło lamp odbijało się od powierzchni starych mebli, od liści niezliczonych kwiatów i roślin doniczkowych, od kolorowej tapety, okrywającej wszystkie ściany. Lecz bardziej niż sam dom, bardziej niż okolice, w której się wychowała, Cathy lubiła towarzystwo Polków. Natychmiast odzyskiwała spokój dzięki ich obecności – starych dobrych Jan i Dana, jej najlepszych przyjaciół i zastępczych rodziców. Dan był emerytowanym agentem nieruchomości – wydawało się, że mąż o takiej profesji nie pasuje do niezwykle inteligentnej i wykształconej doktor Polk, ale jakoś im się udawało. Byli ze sobą od niemal czterdziestu lat i choć nie mieli dzieci, tworzyli jedno z najszczęśliwszych małżeństw, jakie Cathy kiedykolwiek poznała. Od śmierci matki nie była im równie wdzięczna za ich przyjaźń i oddanie.

– Wcześniej czy później będziesz musiała z nimi porozmawiać – oświadczyła Janet, siadając obok swego męża na sofie. – Wiesz o tym, prawda?

– Tak. – Cathy znów skinęła głową.

Janet postanowiła, że zabierze przyjaciółkę do siebie, kiedy zobaczyła ją w telewizji w

towarzystwie Sama Markhama. Miała też okazję przekonać się na własnej skórze, czym jest natręctwo mediów, gdy wyjeżdżała spod domu Cathy, a jakiś dziennikarz – ostatni, który pozostał na posterunku po tym, jak pani doktor wygasła światła w domu – spytał ją, kim jest.

– Nie twój pieprzony interes! – warknęła wówczas Janet. Pomimo powagi sytuacji Dan Polk nie mógł powstrzymać się od śmiechu, gdy później zobaczył tę scenę w wiadomościach CNN.

Podobnie jak większość Amerykanów tego wieczoru, Cathy i Polkowie niemal nie odchodzili od telewizora i śledzili na bieżąco wszystkie informacje, dotyczące Tommy’ego Campbella. Około ósmej wieczorem ujawniono tożsamość drugiej ofiary. Był nią Michael Wenick. Chłopiec, który zaginął we wrześniu i który mieszkał siedem przecznic od Polków – a zaledwie *dwie* od miejsca, w którym wychowała się Cathy!

W odróżnieniu od pozostałych mieszkańców stanu Rhode Island, Cathy tylko pobieżnie знаła historię tej sprawy – minionej jesieni nie czytała ani nie oglądała zbyt często wiadomości, zajęta pisaniem kolejnej pracy naukowej. W ciągu ostatnich miesięcy, od czasu zaginięcia Tommy’ego Campbella i rozstania ze Steve’em, po prostu całkiem zapomniała o małym chłopcu, który zniknął w lesie otaczającym Blackamore Pond – tam gdzie niegdyś nie pozwalała jej chodzić mama.

Właśnie tego, że zapomniała o małym Michaelu, było jej teraz okropnie wstyd.

Jeszcze bardziej zawstydział ją fakt, że nie skojarzyła od razu faktów, gdy ujrzała tę odrażającą rzeźbę na własne oczy. Czy postać w tle nie miała dla niej żadnego znaczenia? Czy aż do tego stopnia jej umysłem zawładnął Tommy Campbell, Bachus, gwiazda tego przerażającego spektaklu?

Podczas gdy Polkowie w ponurym milczeniu oglądali wiadomości, Cathy wpatrywała się w przestrzeń i odtwarzała w myślach fragmenty własnej książki, *Uśpiony w kamieniu*. Nie powiedziała Janet o napisie wyrytym na postumencie rzeźby ani o tym, że ten koszmar może mieć związek z jej książką – książką, która była nie tylko hołdem dla geniuszu Michała Anioła, ale i krytyką współczesnego świata, zafascynowanego kulturą celebrytów i hołdującego mierności. Czy to, czego doświadczyła w Watch Hill, było przejawem tej właśnie choroby? Czy była tak zafascynowana Tommym Campbellem – futbolistą, *celebrytą*, którego niegdyś oglądała co niedzielę w telewizji – że nawet nie pomyślała o małym Michaelu Wenicku, o zaginionym chłopcu, który nie cieszył się choćby ułamkiem takiego zainteresowania mediów co Campbell, i który w końcu *dostłownie* znalazł się w jego cieniu – zarówno w umysłach mieszkańców Rhode Island, jak i na przerażającym obrazie śmierci, odnalezionym w ogrodzie Dodda?

„Czy ten szaleniec, twórca tego *Bachusa*, próbuje powiedzieć to samo, co ja?” – rozmyślała Cathy. – „Czy pokazuje geniusz Michała Anioła jako standard, punkt odniesienia, według którego należy oceniać wszystko inne? Czy i jego zdaniem świat powinien się wstydić, że akceptuje, ba, czci rzeczy daleko późniejsze?”

„Cześć”. Cathy zatrzymała się przy tym słowie, obracała je w myślach, przyglądała mu się ze wszystkich stron. „Niegdyś czczono Bachusa, boga wina, teatru i zabawy, seksualnego wyuzdania; teraz czią otacza się Thomasa Campbella, boga prymitywnej gry, pozbawionych znaczenia związków, a obecnie najgorszego medialnego wyuzdania”.

„Niewykluczone” – odpowiedział jakiś inny głos w umyśle Cathy, zastanawiająco podobny do głosu Sama Markhama. – „Ale być może skupiasz się za bardzo na jednej interpretacji. Być może zabójca wybrał swoje ofiary nie tylko ze względu na podobieństwo do oryginału, ale i dlatego, że jedynie śmierć osoby publicznej, jaką był Campbell, albo niezrozumiała śmierć dziecka była w stanie wzbudzić tak wielkie zainteresowanie mediów. Może we współczesnym świecie trzeba aż tak wielkiego wstrząsu, by do nas dotrzeć, by nam coś przekazać. Może zabójca próbuje nam w ten sposób uświadomić nie tylko, jaki system wartości wyznajemy, ale ile trzeba trudu, by nas obudzić”.

„Obudzić. Tak. Obudzić nas w jakiś chory sposób, by przypomnieć nam o naszym ludzkim potencjale”.

„Co masz na myśli?” – spytał Sam Markham w jej umyśle.

„Głębsze przesłanie *Uspionego w kamieniu* – cytat z Michała Anioła, który posłużył za tytuł tej książki”.

„Oczywiście. Cytat”.

– *Cytaty* – powiedziała głośno Cathy.

– Co takiego, Hildy?

– Przepraszam, Jan, pozwolisz, że wyjdę na moment do kuchni i zadzwonię?

– Wszystko w porządku, kochanie? Chcesz, żebyśmy wyłączyli telewizor?

– Nie, nie, oglądajcie sobie – odparła Cathy. Gdyby wiedziała, że agent FBI przeczytał już jej książkę i że on również wyciągnął pewne wnioski, dotyczące motywów zabójcy, być może zastanowiłaby się dłużej, czy powinna do niego dzwonić. – Przypomniałam sobie właśnie coś, o czym powinnam powiedzieć FBI, ale wolałabym to zrobić na osobności. Nie macie nic przeciwko temu?

– Jasne, że nie – zapewnił ją Dan Polk. – A skoro już będziesz z nimi rozmawiać, to poproś, żeby przysłali mi ochronę. Najlepiej jakąś Helgę. Wysoka postawna blondyna o sylwetce Hulka Hogana to coś, czego mi dzisiaj potrzeba.

Janet szturchnęła go łokciem, a Cathy wyszła do kuchni. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej wizytówkę agenta FBI. *Samuel P. Markham*, głosił napis umieszczony pod nazwą i logo Biura. *Agent specjalny, sekcja behawioralna*.

– Markham – powiedziała głośno Cathy, naśladowując ton Jamesa Bonda. – Samuel P. Markham. P. znaczy pewnie „przystojny, pociągający i profesjonalny”. – Cathy uśmiechnęła się do siebie, czując, jak mimowolnie się rumieni, po czym wybrała numer agenta.

– Halo? – odezwał się głos w słuchawce.

– Cześć, to ty, Sam?

– Tak.

– Mówi Cathy. Cathy Hildebrant.

– Cześć, Cathy. Zamierzałem zadzwonić do ciebie, zapytać, jak sobie radzisz, ale nie chciałem ci przeszkadzać. Miałaś naprawdę ciężki dzień. Rozumiem, że dziennikarze dali ci już spokój?

Cathy pomyślała, że głos agenta brzmi jakoś inaczej. Sam wydawał się spięty i zmęczony. – Tak – potwierdziła. – Zatrzymałam się na noc w Cranston, u Janet Polk i jej męża. – Markham nie odpowiedział, a Cathy odniosła wrażenie, że już o tym wiedział. – Oglądaliśmy telewizję, kiedy ujawnili tożsamość tego chłopca – tego, który został zamordowany wraz z Tommym Campbellem. Nazywał się Michael Wenick.

– Tak. Od samego początku podejrzewaliśmy, że to właśnie on, ale nie mogliśmy ogłosić tego oficjalnie, dopóki nie uzyskaliśmy potwierdzenia od lekarza sądowego i matki chłopca. Wszystko to wydarzyło się wkrótce po tym, jak zawiozłem cię do domu.

– To był miejscowy chłopak, Sam. Wychowywał się w tej samej okolicy, co ja. Wstyd mi, że nie rozpoznałam go od razu, w Watch Hill. I właściwie dlatego do ciebie dzwonię.

– Co się stało?

– Właśnie sobie uświadomiłam, że kiedy rozmawialiśmy o anonimach i cytatach związanych z moją książką, zapomniałam wyjaśnić, że sam tytuł książki to także cytat z wiersza Michała Anioła.

– Najlepszy artysta dysponuje jedynie myślą, która zamknięta jest w marmurowej skorupie – powiedział Markham. – Tylko ręka rzeźbiarza może złamać zaklęcie i uwolnić postacie uśpione w kamieniu.

– Tak, to właśnie te słowa – potwierdziła Cathy zaskoczona.

– Mam twoją książkę przed sobą. Skończyłem ją czytać jakieś pół godziny temu. Interesująca rzecz.

– Dziękuję – odparła Cathy, dziwnie zdenerwowana. – Widzisz, Sam, pierwsze



wydanie *Uśpionego w kamieniu* wzbudziło sporo kontrowersji w kręgach akademickich, między innymi ze względu na mój przekład tego cytatu. Zgodnie z tradycyjnym przekładem z włoskiego oryginału, słowo „tylko” w drugim zdaniu następuje po słowie „może”. Dlatego przez lata odczytywano ten wers jako: „Ręka rzeźbiarza może tylko złamać zaklęcie i uwolnić postacie uśpione w kamieniu”. Nie będę zanudzała cię szczegółami, ale podczas moich badań odkryłam, że słowo „tylko” powinno znajdować się na początku zdania, które w związku tym brzmi: „Tylko ręka rzeźbiarza może złamać zaklęcie i uwolnić postacie uśpione w kamieniu”. To zmienia sens całego cytatu, prawda?

– Tak – odparł Markham, spoglądając na dwuwiersz. – Całkowicie. Rzeźbiarz staje się tutaj postacią centralną, wyjątkową – tylko on ma moc uwolnić, obudzić postacie zamknięte w kamieniu.

– Otóż to. Oczywiście, Michał Anioł za pomocą tej metafory mówi o potencjale drzemącym w kawałku marmuru, który to marmur może stać się czymś pięknym, a także o tym, że tylko prawdziwy geniusz może dojrzeć ten potencjał. Ale artysta ma na myśli także magiczną, niemal boską więź, która łączy go z jego dziełami, bo to właśnie od Boga otrzymał nie tylko talent i inspirację, ale i udrękę.

– Mów dalej.

– Zgodnie z tradycją klasyczną, którą przesiąknięta jest twórczość Michała Anioła – tradycją humanistyczną, odwołującą się do idei starożytnej Grecji – ciało mężczyzny góruje pod względem estetycznym nad ciałem kobiety. Wiemy dobrze, że homoseksualność była integralną częścią kultury starożytnej Grecji, choć nie była to homoseksualność taka, jak to pojmujemy dzisiaj – czy też w czasach Michała Anioła. Należy pamiętać, że mówimy tu tylko o mężczyznach, bo kobiety w starożytnej Grecji były traktowane niewiele lepiej niż bydło. I choć tolerowano wówczas wszelkiego rodzaju aktywności i perwersje seksualne, sytuacja, w której homoseksualizm był jedyną formą takiej aktywności, spotykała się z potępieniem. Z pewnością nie definiowano też człowieka na podstawie jego orientacji seksualnej, jak dzieje się to współcześnie. Można nawet powiedzieć, że stosunki seksualne między mężczyznami – zwykle parę tworzyli starszy mężczyzna i dorastający chłopiec w wieku od trzynastu do dziewiętnastu lat – postrzegano często jako relację, która z seksem niewiele ma wspólnego. Był to raczej rytuał przejścia, wprowadzający młodszego partnera w dorosłość. Poprzez odkrywanie, studiowanie męskiego ciała Grecy mogli doświadczyć najwyższej formy piękna inspirowanego przez bogów – czyli wejść do krainy wypełnionej boskim światłem. Czasami związek między dwoma mężczyznami ewoluował, zamieniał się w głęboką duchową więź miłosną. Właśnie dlatego w greckiej mitologii miłość między dwoma mężczyznami ceniona

jest znacznie wyżej od miłości między mężczyzną i kobietą. Podobnego przekonania można się doszukać w twórczości Michała Anioła, złożonej w większości z posągów mężczyzn. Postacie kobiet są dlań mało istotne, a niedostateczna znajomość kobiecej anatomii – dziwne umiejscowienie piersi, kanciaste, męskie sylwetki – przejawia się w rzeźbach z różnych okresów jego życia. Na przykład jedno z najsłynniejszych dzieł jego autorstwa, *Pietà watykańska*, ukazuje Marię jako kobietę nieproporcjonalnie dużą w stosunku do Chrystusa, z piersiami o dziwnym, nienaturalnym kształcie, a do tego osłoniętą od stóp do głów grubymi szatami, niemal jakby Michał Anioł próbował ją ukryć.

– Tak, w twojej książce jest kilka pięknych zdjęć tej rzeźby – wtrącił Markham.

– Przepraszam, jeśli zbaczam trochę z tematu, Sam, ale chcę powiedzieć, że postacie mężczyzn w rzeźbach Michała Anioła są zawsze przedstawione w sposób niezwykle kunsztowny, z dbałością o najmniejsze szczegóły i zachowanie właściwych proporcji, zupełnie inaczej niż postacie kobiet, co dowodzi fascynacji artysty męskim ciałem. Właśnie ta mistrzowska precyzja i artyzm są wyrazem wartości przejętych z kultury starożytnej Grecji, wartości obecnych nie tylko w gotowych rzeźbach, ale i w samym doświadczeniu rzeźbienia, bo tylko dzięki swej pracy Michał Anioł mógł zbliżyć się do jedności z tym, co pojmował jako piękno inspirowane przez Boga – piękno osiągalne, jego zdaniem, tylko za pośrednictwem dłoni rzeźbiarza.

– Więc, jeśli dobrze cię zrozumiałem, dla Michała Anioła sam akt tworzenia był równie ważny jak gotowa rzeźba, tak?

– Zgadza się. Pomyśl o udrękach, jakie przeżywał ten człowiek, od urodzenia wielbiący męskość – zarówno w sensie duchowym, jak i fizycznym. Postrzegał to uwielbienie jako łaskę daną przez Boga i nierozzerwalnie splecioną z innym darem – tym cudownym darem, właściwym jedynie rzeźbiarzom, który pozwala im uwolnić postacie uszione w kamieniu. Ten właśnie dar był zarazem azylem Michała Anioła i jego więzieniem. Otrzymał go od Boga, który jednocześnie zabraniał mu jednoczyć się z jego ideałami cielesnie; od Boga potępiającego tę głęboką, duchową miłość, którą Michał Anioł darzył Tommasa Cavalieriego; od Boga, który dał artyście moc tworzenia piękna, ale nie pozwalał mu tego piękna dotykać.

– Więc Michał Anioł mówi również o sobie. On również jest postacią uwięzioną w kamieniu, w marmurowej skorupie swojej homoseksualności, i tylko poprzez akt tworzenia może doświadczyć miłości z innym mężczyzną.

– Tak, myślę, że można to tak ująć.

Markham milczał przez dłuższą chwilę. Cathy niemal słyszała, jak obracają się trybiki w umyśle agenta specjalnego, a przedłużająca się cisza tak ją zdeprymowała, że

zrelacjonowała Markhamowi platoński dialog, który toczył się w jej głowie, gdy siedziała na sofie przed telewizorem – nie wspomniała oczywiście, że on odgrywał w nim rolę Sokratesa rozmawiającego z jej Gorgiaszem.

– Tak – powiedział Markham, gdy skończyła. – W swojej książce często przeciwstawiasz arcyzm Michała Anioła i całej renesansowej Italii artystycznym dokonaniom współczesności, ze szczególnym uwzględnieniem mediów. Piszesz o tym, jak media zdominowały naszą kulturę, jak dyktują nam, co jest ważne, a co nie, a przede wszystkim, jak kształtują nasze umysły – kształtują je dosłownie, fizjologicznie zniekształcają nasze możliwości przetwarzania informacji i doceniania piękna. Mówisz o szkodliwym wpływie internetu, telewizji i filmów, o tym, jak wszystkie te nośniki zmieniają nasze mózgi, sprawiają, że potrafimy się skupić tylko przez krótki czas, i to coraz mniej efektywnie, że akceptujemy coraz niższe standardy, uznając za ideał coś, co w istocie jest miernotą. Krótko mówiąc, twierdzisz, że jakość marmuru, z którego powstaje człowiek współczesny, jest dalece podlejsza od metaforycznego marmuru z czasów Michała Anioła.

– Świetnie to ująłeś, zgadza się.

– I tylko dłoń rzeźbiarza – czy to Michała Anioła, czy też tego psychopaty, który zamordował Campbella i Wenicka – może uwolnić nas z marmurowego więzienia mediów. Nasze społeczeństwo, dzieci kultury zauroczonej celebrytami, to właśnie my jesteśmy postaciami uśpionymi w kamieniu.

– Tak jest, Sam. Właśnie o tym mówię.

– To tłumaczyłoby, dlaczego wybrał Campbella, a być może nawet tego małego chłopca. I może dlatego też zdecydował się wykorzystać tę właśnie rzeźbę Michała Anioła; rzeźbę, w której bóg, *celebryta*, nie tylko ze względu na swoje rozmiary i orientację, ale i mitologiczne treści, które niesie ze sobą, zajmuje dominujące miejsce w naszych umysłach.

– Tak, to również tłumaczy, dlaczego kontaktował się ze mną za pomocą cytatów, nie uważasz? Podobnie jak w wypadku rzeźby, sam środek przekazu był tutaj częścią wiadomości – tak jak cytat, który umieściłam na początku swojej książki. Zabójca chciał w ten sposób powiedzieć: „Rozumiem”.

– A więc napis na cokole rzeźby mógł być po prostu wyrazem wdzięczności zabójcy.

– Tak, tak sądzę.

Sam Markham znów zamilkł, ze słuchawki dobiegał jedynie szelest przewracanych kartek.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś, Cathy – powiedział w końcu. – Nie wyobrażasz sobie nawet, jak bardzo mi pomogłaś. Przez następnych kilka dni będę krążył między Bostonem a

Providence. Procedura wymaga, żebyśmy zebrali jak najwięcej materiału dowodowego i wysłali go do naszych laboratoriów w Quantico, do analizy. Postaramy się też jak najszybciej przeprowadzić sekcję zwłok, żeby rodziny mogły pochować swoich najbliższych. Będziemy w kontakcie. Spróbuj teraz trochę odpocząć, dobrze? Dobranoc, Cathy.

– Dobranoc, Sam.

Cathy stała przez moment na środku kuchni. Czowała się o wiele spokojniejsza i bardziej rozluźniona niż jeszcze przed chwilą. Musiała też przyznać, że pomimo niezbyt wesołego tematu ich rozmowy, z przyjemnością gawędziło jej się z agentem FBI.

„To pewnie ta herbata” – odezwał się jakiś głos w jej głowie, a Cathy przykazała mu szybko, żeby się odpieprzył.

Zadzwoił telefon Polków, a chwilę potem Cathy usłyszała, jak Janet mówi Steve’owi Rogersowi, że owszem, Cathy jest u nich, ale nie, nie chce z nim rozmawiać. „Kutas zobaczył mnie pewnie w telewizji” – pomyślała Cathy. Potem uśmiechnęła się do siebie, bo w ciągu ostatnich miesięcy wiele razy widziała scenę podobną do tej, która rozgrywała się właśnie w salonie. Tak, Janet doskonale wiedziała, że kiedy Cathy chowa się w jej domu, ostatnią osobą, jaką chce widzieć na oczy, jest Steve Rogers.

– Powtarzam po raz ostatni, Steven – grzmiała Janet. – Nie dam ci jej numeru. Dobranoc!

Cathy wróciła do salonu i dowiedziała się, że agencja Associated Press potwierdziła, iż ciała Tommy’ego Campbella i Michaela Wenicka zostały pomalowane i upozowane na kształt rzeźby *Bachus* Michała Anioła. Podczas gdy Janet i Dan słuchali wiadomości, zszokowani i pełni niesmaku, Cathy odetchnęła w duchu z ulgą, zadowolona, że nikt nie wspomina o dedykacji wyrytej na postumencie. Jednak gdy CNN pokazało zdjęcie Michaela Wenicka, zestawione ze zbliżeniem satyra Michała Anioła, znów dotarła do niej groza tego, co wydarzyło się mijającego właśnie dnia.

Cathy wiedziała, że bez względu na to, ile jeszcze wypije herbaty, gdy zgasi w końcu światło w swoim pokoju, wciąż będzie miała przed oczami marmurową twarz Michaela Wenicka.

## Rozdział 14

Kiedy Sam Markham zamknął oczy tego wieczoru, nie widział Michaela Wenicka ani nawet Tommy'ego Campbella. Nie, w mroku hotelowego pokoju pojawiła się tylko jego żona, Michelle. Przyszła do niego jak zwykle, a jej obecność związana była nierozdzielnie z jego samotnością. Powracała we fragmentach wspomnień – niektóre stanowiły jedynie oderwane od siebie obrazy, inne łączyły się w większą całość, tworzyły widok o zatartych, rozplywających się krańcach. Jednak tego wieczoru myśli o Michelle przyniosły ze sobą również tępy, obezwładniający ból tęsknoty – ból, którego Sam Markham doświadczał niemal nieustannie, choć zwykle krył się on gdzieś w najdalszych zakamarkach jego zahartowanego serca.

Minęło czternaście lat, odkąd żona Sama zginęła z rąk seryjnego gwałciciela, Elmera Stokesa. Stokes – mężczyzna o dość przerażającej powierzchowności, który uchodził jednak za czarującego piosenkarza i świetnego wykonawcę szant – występował latem w ośrodku Mystic Seaport, gdzie zobaczył ładną, dwudziestosześcioletnią „panią naukowicę”, która wraz ze swymi kolegami po fachu pobierała w okolicy próbki wody. Później Stokes powiedział policji, że śledził „tę sukę i jej znajomych” i dotarł za nimi do Aquarium, gdzie czekał w samochodzie na Michelle aż do zmroku. Mówił, że chciał jej się tylko przyjrzeć, poznać ją lepiej. Kiedy jednak zobaczył, jak śliczna pani Markham wychodzi sama z Aquarium, zapragnął pojąć ją natychmiast.

Elmer zeznał potem, że miał na twarzy kominiarkę i groził Michelle pistoletem. Kiedy kazał jej wsiąść do samochodu, na tylne siedzenie, zaczęła krzyczeć, a Stokes próbował ją obezwładnić. Michelle Markham nie poddawała się – kopnęła napastnika w krocze i ugryzła go boleśnie w przedramię. Udało jej się też zderzyć kominiarkę z twarzy Stokesa, który wpadł w tym momencie w panikę. Strzelił dwukrotnie w głowę kobiety i uciekł z miejsca zbrodni swoją poobijaną toyotą corolla rocznik 1985. Dwa dni później współpracownik Stokesa z Mystic Seaport zauważył ślad ugryzienia na jego przedramieniu i wezwał policję. Początkowo Elmer Stokes zaprzeczał, by miał cokolwiek wspólnego z morderstwem – zbrodnią, która wstrząsnęła sennym miasteczkiem Mystic w stanie Connecticut. Jednak gdy policja znalazła w bagażniku jego samochodu pistolet, uroczy piosenkarz, ulubieniec

dzieciaków, przyznał się do winy. Potem śledczy połączyli jego osobę z dziewięcioma gwałtami, do których doszło na terenie czterech stanów w ciągu minionej dekady.

Michelle Markham była jednak pierwszą i jedyną kobietą, która zginęła z jego ręki.

Ciało Michelle, leżące obok jej samochodu na parkingu przy Mystic Aquarium, znalazł Sam Markham, który wyruszył na poszukiwanie żony, kiedy ta nie wróciła wieczorem do domu. Markhamowie mieli za kilka dni obchodzić drugą rocznicę ślubu, a Sam zdołał odłożyć ze swej skromnej nauczycielskiej pensji dość pieniędzy, by porwać żonę na weekend w Góry Białe w stanie New Hampshire. Historia ich związku nie była długa – półroczna, pełna żaru i romantyzmu znajomość została zwieńczona ślubem, po którym nastąpiły dwa najszcześniejsze lata ich życia. Nic więc dziwnego, że kiedy Sam Markham klęczał na asfalcie i tulił do siebie zakrwawioną głowę żony, jego świat w jednej chwili się rozpadł i zamienił w otchłań rozpacz.

Zgodnie z prawem stanu Connecticut, Elmer Stokes za usiłowanie gwałtu i morderstwo został skazany na karę śmierci. Nie stanowiło to większego pocieszenia dla Sama Markhama, który siedział otępiały na sali sądowej, podczas gdy jego rodzice i krewni Michelle płakali z ulgi, usatysfakcjonowani wyrokiem. Wiele lat później, gdy Sam Markham zapanował już nad wyniszczającą go rozpaczą i gdy wracał myślami do tamtych trudnych miesięcy, zawsze kojarzył je z pewnym wyjątkowo kiepskim filmem z wytwórni Disneya, który oglądał jako dziecko. Film nosił tytuł *Czarna dziura*, a jego główni bohaterowie, zamknięci w statku kosmicznym, który opierał się ogromnym siłom, właściwym tego rodzaju miejscom, przedostali się przez piekło i niebo, a potem wynurzyli po drugiej stronie czarnej dziury, w innym wymiarze.

Podobnie wyglądał tamten rok z życia Markhama, gdyż czarna dziura, w którą wpadł po śmierci żony, zamieniła się w beczasową, pozbawioną punktów odniesienia podróż. Sam czuł się wówczas jak zagubiony statek, dryfujący przez zamglony wszechświat, ograniczony do rozmiarów jego dziecięcego pokoju w domu rodziców. I choć w odróżnieniu od bohaterów Disneyowskiego filmu nie pamiętał prawie nic z tamtej podróży, wynurzył się po drugiej stronie dziury z mocnym postanowieniem podjęcia pracy w Federalnym Biurze Śledczym.

Tak, życie Markhama wkroczyło w nowy wymiar.

Znalazłszy cel, który na powrót nadał jego życiu sens, sprawny fizycznie i niezwykle inteligentny Sam Markham szybko stał się prymusem w Akademii FBI w Quantico. Po ukończeniu studiów przez kilka lat wykonywał rutynowe zadania w różnych regionach kraju, aż podczas służby w oddziale w Tampie samodzielnie wytropił i pojmał Jacksona Briggsa, nazywanego przez media Dusicielem z Sarasoty. Briggs był okrutnym seryjnym mordercą i

gwałciacielem, który terroryzował emeryckie społeczności przez niemal dwa lata i miał na swoim koncie co najmniej siedem ofiar. W uznaniu za ten sukces agent specjalny Markham otrzymał pochwałę od samego szefa FBI i został awansowany na stanowisko kierownicze w sekcji behawioralnej Narodowego Centrum Analizy Zbrodni w Quantico.

Sam nadal pogrążony był w całkowitej samotności. Niektórzy uważali go za odludka, inni za zarozumialca, podczas gdy w rzeczywistości Markham po prostu poświęcał się wyłącznie swojej pracy, jedynej treści jego życia. Jednak w odróżnieniu od tych, którzy go znali, był w pełni świadom tego, co nim kieruje – wiedział, że praca zbliża go do zmarłej żony, że niczym bohater jakiegoś filmu uczestniczy w misji, która ma na celu oszczędzić innym cierpień, jakich sam niegdyś doznał. I właśnie z tego powodu Sam Markham obserwował siebie w roli agenta specjalnego FBI z taką samą obojętnością i takim samym znużeniem, jak niegdyś, w dzieciństwie, śledził losy bohaterów *Czarnej dziury*. Gdzieś pod tym wszystkim czaiło się dręczące poczucie daremności; wrodzony cynizm i świadomość, że nawet jeśli obejrzy film do końca, nie odnajdzie w nim sensu. Tak, w gruncie rzeczy Sam Markham dobrze wiedział, że bez względu na to, ilu jeszcze morderców uda mu się schwytać, nie zazna spokoju, dopóki nie połączy się ze swoją żoną na tamtym świecie.

I tak – choć minęło już prawie piętnaście lat od jej śmierci, a smutek i przygnębienie stały się niemal znośnymi towarzyszami jego codzienności – Markham stwierdził ze zdziwieniem, że układanka wspomnień o Michelle rozsypała się tym razem na blacie poczucia winy. Tego wieczoru obok obrazów Michelle pojawiły się fragmenty *innej* układanki, co kompletnie zaskoczyło Sama.

Oczywiście, w ciągu tych ostatnich lat przewijały się przez jego życie różne kobiety, ale agent specjalny Markham nigdy nie pozwalał im zbliżyć się zbyt do siebie, nigdy nie zdradził wspomnienia żony, które wciąż żyło w jego sercu. Lecz tym razem, po spotkaniu z tą historyczką sztuki z Uniwersytetu Browna, Markham uświadomił sobie, że stało się coś jeszcze: że gdzieś głęboko, w katakumbach jego serca, poruszyło się coś *oprócz* smutku – coś, co nie do końca rozumiał, a zarazem jako bierny obserwator własnego życia znał aż za dobrze. Patrząc teraz na zdjęcie Cathy Hildebrant na okładce *Uśpionego w kamieniu*, uświadomił sobie, że po raz pierwszy od wielu lat tęskni nie tylko za swoją żoną, ale i za inną kobietą; przyglądał się z boku samemu sobie, kiedy po telefonie od pani doktor przełykał łyżę udręki i wyrzutów sumienia – a obraz ten tylko uzupełniał banalną historię filmową, w którą zamieniło się jego życie.

Jednak wkrótce po zakończeniu rozmowy z Cathy Markham powrócił myślami do swojej pracy. Dyskusja z panią doktor nie tylko sprawiła mu ogromną przyjemność, ale i

utwierdziła go we wnioskach, które wyciągnął z lektury *Uśpionego w kamieniu*. On także stwierdził, że zabójca Tommy'ego Campbella i Michaela Wenicka dąży do jakiegoś większego celu – celu, który obejmuje całe społeczeństwo. Zamiast jednak ponownie zająć się analizą książki Cathy, zamiast rozmyślać o hipotezach, które przedstawiła mu doktor Hildebrant, Markham wpatrywał się w okładkę, a szczególnie w zbliżenie przenikliwych, delikatnie rzeźbionych oczu Dawida. Niemal przez dziesięć minut patrzył jak zahipnotyzowany na zdjęcie posągu Michała Anioła; był tym tak pochłonięty, że gdy w końcu wyrwał go z transu dzwonek telefonu, przez moment nie wiedział, gdzie właściwie jest.

– Tak?

– Widziałeś wiadomości?

Dzwonił Bill Burrell.

– Nie, przez ostatnich parę godzin nie oglądałem telewizji. Czytałem książkę doktor Hildebrant.

– Cholerne pismaki – mruknął Burrell. – Już nazwali tego sukinsyna Renesansowym Zabójcą. Ludzie na całym świecie oglądają zdjęcia tej rzeźby, ale najgorsze jest to, że wiedzą już o doktor Hildebrant, o jej związku z tą sprawą. Myślisz, że to któryś z naszych miał za długi jęzor?

– Możliwe. Ale nie zdziwiłbym się wcale, gdyby to sam zabójca powiadomił o tym media.

– Dlaczego tak myślisz?

– Cóż, to oczywiste, że chce ściągnąć na siebie uwagę, przekazać w ten sposób jakieś przesłanie, i że społeczeństwo ma zrozumieć to przesłanie za pośrednictwem książki Hildebrant – jakby ta książka miała być czymś w rodzaju instrukcji obsługi jego dzieła. Zadał sobie naprawdę wiele trudu, żeby to wszystko zrealizować, Bill – zaplanował morderstwo tak znanej osoby jak Campbell, odtworzył *Bachusa* w najdrobniejszych szczegółach, przeniósł tę rzeźbę do ogrodu Dodda, co też wiązało się przecież ze sporym ryzykiem. Dlatego teraz robi wszystko, żeby społeczeństwo właściwie zinterpretowało jego wysiłki.

– No dobra, masz coś dla mnie?

– W połowie podręcznikowy typ, ale druga połowa nie przypomina niczego, z czym mieliśmy dotąd do czynienia. Na początek banały: facet jest doskonale zorganizowany i bardzo inteligentny. Nie licząc tego, co być może znajdziemy podczas sekcji, jedyne ślady, jakie po sobie pozostawił, to odciski stóp – był jednak na tyle ostrożny, że owinął czymś buty, więc nie wiemy nawet, jakie miał podeszwy. Jeśli celowo nie włożył butów o kilka numerów większych, to sądząc po rozmiarze śladów, ma jakiś metr dziewięćdziesiąt, metr



dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, prawdopodobnie jest białym mężczyzną w wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat, z pewnością samotnym. Potrzebował mnóstwo czasu, żeby przygotować coś takiego, i – oczywiście – sporo miejsca; pewnie pracował w piwnicy albo w garażu. Musiał też mieć jakąś furgonetkę albo ciężarówkę, żeby przewieźć swoje dzieło. Ale na tym kończą się stereotypy.

– Mów dalej.

– Skoro przeniósł tę rzeźbę sam, to musi być nieprawdopodobnie silny, co znaczy, że albo mamy do czynienia z pracownikiem fizycznym, albo z kulturystą. Stawiałbym raczej na to drugie, bo zabójca jest nie tylko niezwykle inteligentny, ale identyfikuje się z Michałem Aniołem zarówno ze względu na jego homoseksualizm, jak i geniusz artystyczny, co może oznaczać, że próbuje upodobnić do tego renesansowego ideału także własne ciało.

– Więc jednak uważasz, że ten facet to gej?

– Nie mam stuprocentowej pewności, Bill, bo opieram się tylko na rozmowie z doktor Hildebrant i na lekturze jej książki, ale instynkt podpowiada mi, że tak właśnie jest.

– To mi wystarczy. Co z motywem?

– Cóż, jeśli Campbella i Wenicka nie łączyło coś, o czym jeszcze nie mamy pojęcia, to motyw też nie pasuje do żadnej z oczywistych kategorii. Poza faktem, że obaj byli płci męskiej – choć można też uznać, że to jedynie przypadkowe kryterium, narzucone przez oryginał *Bachusa* – mógł ich wybrać jedynie dlatego, że przypominają postacie z oryginalnej rzeźby. Ale to tylko jeden poziom interpretacji.

– A drugi?

– Przesłanie zabójcy. Dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby zabić właśnie Tommy'ego Campbella i Michaela Wenicka. Dlaczego zestawił ciało futbolisty z ciałem chłopca, a potem wystawił tę pseudorzeźbę w ogrodzie bogatego bankiera w Watch Hill, co jest oczywistą aluzją do miejsca wystawienia oryginału.

– No dobrze, a jak wygląda to przesłanie, o którym wspomniałeś?

Markham zrelacjonował Burrellowi pokrótce swoją rozmowę z Cathy i opisał ich teorie, dotyczące motywów mordercy – to głębsze przesłanie, które Renesansowy Zabójca wy dobył z książki doktor Hildebrant: Tylko ręka rzeźbiarza może złamać zaklęcie i uwolnić postacie uśpione w kamieniu.

– Więc myślisz, że to jakiś morderca wizjoner, tak? – spytał Burrell. – Wariat, który chce ratować świat? Myślisz, że doszukał się w książce Hildebrant jakiegoś głębszego sensu, który każe mu robić z ludzi rzeźby?

– Nie nazwałbym go wariatem, Bill. Jest zbyt cierpliwy, zbyt opanowany.

Powiedziałbym, że to raczej typ pośredni pomiędzy misjonarzem a szaleńcem. Myślę, że *Uśpiony w kamieniu* tylko wyzwolił w nim pragnienie zabijania, które tkwiło tam już wcześniej. Ta książka dała mu poczucie celu – nie tylko chce nas „obudzić”, o czym mówiłem ci już wcześniej, ale pewnie uważa też, że uda mu się odtworzyć kontekst historyczny oryginalnych rzeźb, doprowadzić do nowego renesansu myśli. Może próbuje zastosować coś w rodzaju terapii szokowej, dzięki której nasza cywilizacja wejdzie w kolejny etap ewolucji, a odwołuje się przy tym do okresu historycznego, który postrzega jako górujący nad naszymi czasami intelektualnie i artystycznie. Chce przypomnieć nam wyższe standardy, które odeszły w niepamięć albo zostały przyćmione przez współczesną kulturę celebrytów i pochwałą mierności.

– A nie sądzisz, że mogło też mieć znaczenie podłoże seksualne? – dopytywał się Burrell sfrustrowany. – Obie ofiary były płci męskiej, a zabójca, jak twierdzisz, jest homoseksualistą?

Markham widział, że Burrell nie jest przekonany do teorii, które mu przedstawił. Albo nie przemawiały do niego wszystkie te intelektualne wywody, albo po prostu nie był w stanie ogarnąć rozumem głębi planów i intencji Renesansowego Zabójcy.

– Może głupio to zabrzmie, Bill, ale w pewnym sensie mam nadzieję, że te zabójstwa istotnie mają też tło seksualne – być może łatwiej przyszłoby nam je rozwikłać, gdyby w grę wchodził tak przyziemny motyw. Owszem, myślę, że zabójca czerpie z tego jakąś przyjemność fizyczną, ale wiele wskazuje na to, że ważniejsze są inne pobudki, sięgające daleko poza jego osobistą, egoistyczną korzyść. Jak już mówiłem, zabójca próbuje w jakiś chory sposób naśladować poprzez swoje dzieła samego Michała Anioła, i choć być może czuje do nich pociąg seksualny, uważałby zapewne za niewłaściwe realizować go za pomocą zwykłego aktu seksualnego. Oczywiście, mogę się mylić. Dopóki nie otrzymamy wyników sekcji, nie dowiemy się, czy doszło do napaści seksualnej, nie mówiąc już o tym, w jaki sposób zginęli Campbell i Wenick. Obawiam się, że ze względu na stan ciał, na ilość chemikaliów i konserwantów, których musiał użyć zabójca, żeby osiągnąć swój cel, być może nigdy nie dowiemy się, co dokładnie zrobił swoim ofiarom – jeśli Campbell i Wenick byli jego pierwszymi ofiarami.

– Myślisz, że zabijał już wcześniej?

– Może nie ludzi, ale mógłbym się założyć, że koza – ta, której odciął tylną część ciała – była pierwsza. Mogę się też założyć, że facet ma na sumieniu kilka kotów i psów. Dobrze wiedział, co robi, Bill. Zabił Campbella i Wenicka nie tylko dlatego, że idealnie pasowali do jego wizji *Bachus*, ale i dlatego, że był na to w pełni gotowy. Na pewno nie zadawałby sobie

tyle trudu i nie podejmował takiego ryzyka, gdyby nie miał pewności, że uda mu się stworzyć tę rzeźbę. Pamiętaj, że Michał Anioł przez wiele lat tworzył mniejsze reliefy i rzeźby, nim w końcu zaczął pracować nad posągami naturalnych rozmiarów.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Sam? Myślisz, że ten wariat znowu zabije? Że będzie nadal chciał ilustrować w ten sposób to swoje, jak mówisz, przesłanie?

– Mam nadzieję, że nie, Bill – westchnął Markham, przerzucając kartki książki. – Sądzę, że to samo wypaczone poczucie misji, które kazało mu zabić Campbella i Wenicka, wyolbrzymi w jego umyśle również kulturowe znaczenie tego chorego dzieła i każe mu myśleć, że osiągnął swój cel. Ale powiem ci jedno – jeśli ten facet nadal chce zabijać, na pewno wybierze ofiary, które posłużą mu do odtworzenia innych rzeźb tego artysty. Mogę się mylić, ale prawdopodobnie te kolejne ofiary też będą mężczyznami. Mam tylko nadzieję, że dopadniemy go, zanim zabierze się do realizacji swojego następnego projektu.

Burrell milczał przez dłuższą chwilę.

– Właśnie jadę do Bostonu – powiedział w końcu. – Ale jutro będę w Providence. Nasz zespół współpracuje z lekarzem sądowym, który przeprowadza sekcje, więc być może już jutro albo pojutrze będziemy mieli jakieś tropy.

– Świetnie.

– Zakładam, że Waszyngton przeniesie cię na jakiś czas do Bostonu, zgadza się?

– Wiesz, jak jest. Jeśli Gates uzna, że lepiej przysłużę się śledztwu w Quantico, zatrzyma mnie tam. Nie wiem, jak rozwinie się sytuacja, ale całkiem możliwe, że mnie tam odwołają.

– Rozumiem. W takim razie chciałbym cię o coś zapytać, ale niech to pozostanie między nami, zgoda? Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym poprosił Gatesa, żeby przeniósł cię czasowo do oddziału w Bostonie i pozwolił ci pracować w terenie, w Providence?

– Wiesz dobrze, że wolę pracować w terenie, na miejscu.

– To dobrze. Będziemy cię tu potrzebować.

– Zgoda.

– Dzięki, Sam.

– Nie ma za co.

Burrell zakończył rozmowę, ale Markham nie zamknął swojej komórki. Ponownie zapatrzył się na książkę *Uśpiony w kamieniu* Catherine Hildebrant, choć tym razem, to nie oczy Dawida przykuły jego uwagę. Nie, na stronie, którą celowo otworzył podczas rozmowy z agentem, widniało zdjęcie innej znanej rzeźby Michała Anioła.

Był to wizerunek *Piety watykańskiej*.

## Rozdział 15

Nagi Rzeźbiarz leżał wyciągnięty na sofie i sycił się ostatnim łykiem brunello – łagodny, owocowy smak winorośli Sangiovese idealnie łączył się z ciepłem bijącym od kominka. Było już późno, Rzeźbiarza ogarniała senność; czuł się cudownie rozluźniony, miał wrażenie, że unosi się na wodzie, delikatna muzyka klasyczna kołysała go niczym morskie fale. Tego wieczoru urządził sobie uroczystą kolację, złożoną z jagnięciny i ryżu z przyprawami, co stanowiło miłą odmianę po wszystkich tych koktajlach proteinowych i suplementach diety, którymi żywił się na co dzień. Tak, zasłużył sobie na tę przyjemność – pyszną jagnięcinę, słodkie wino i wysokokaloryczny ryż – ale oznaczało to również, że nazajutrz będzie musiał ćwiczyć intensywniej niż zwykle i dołożyć na sztangę dodatkowe dziesięć kilo podczas wyciskania na ławeczce, bo w poniedziałki pracował nad mięśniami klatki piersiowej, pleców i barków.

Kiedy ogień w kominku dogasał, a szkice do *Bachusa* dawno już obróciły się w popiół, Rzeźbiarz westchnął ciężko na myśl, że musi w końcu wstać. Zegar szafkowy w rogu pokoju wybił właśnie wpół do dwunastej, co oznaczało, że ma jeszcze pół godziny, ale on chciałby zostać na tej sofie na zawsze – by pławić się w blasku swojego triumfu.

O tak, to był cudowny wieczór. Nakarmił ojca i położył go do łóżka, a potem, podczas gdy w kuchni piekła się jagnięcina, a ryż perkotał leniwie, Rzeźbiarz spędził ponad godzinę w bibliotece – siedział nago w wielkim skórzanym fotelu, z nogami na biurku, popijał wino Amarone i pogryzał kawałki parmezanu. Przez jego ręce przeszło w tym czasie całkiem sporo książek, głównie wiekowe tomy w oryginalnej włoskiej wersji, ze stronicami pozaginanymi na ulubionych fragmentach Rzeźbiarza – Boccaccio, Dante, Machiavelli. Czytał je powoli, czasami dwukrotnie, doprawiając lekturę winem i serem, po czym przechodził do kolejnych dzieł, prowadzony muzyką Albinioniego. Niegdyś Rzeźbiarz regularnie urządzał sobie podobne wieczory, ostatnio jednak zarzucił ten zwyczaj ze względu na natłok pracy w powozowni. Biblioteka wypełniona była stertami książek, niektóre z nich dorównywały wysokością Rzeźbiarzowi.

Było już dobrze po ósmej, nim w końcu usiadł w salonie nad jagnięciną i winem. Ogień huczał w kominku, niemal błagał o *Bachusa*. Rzeźbiarz bez większego żalu wrzucił

plany w płomienie, gdyż jego umysł zajmował już inny posąg. Siedział samotnie przez ponad trzy godziny, jedząc, a potem popijając wino, zaś muzyka dobiegająca z biblioteki stała się ścieżką dźwiękową dla jego myśli – dla wyobrażeń o tym, co dzieje się teraz na świecie wstrząśniętym jego *Bachusem*, i o tym, co będzie się działo w przyszłości, gdy ujawni swoje następne dzieło.

„Już niedługo” – pomyślał. – „Naprawdę niedługo”.

Kiedy zjadł kolację, pozmywał naczynia i posprzątał w salonie, wyszedł w noc i ruszył w stronę powozowni. W zetknięciu z chłodnym kwietniowym powietrzem jego ciało pokryło się gęsią skórką. Nie był w swojej pracowni, odkąd zadzwonił do Kanału 9 i połączył się z *Bachusem* na metalowym stole. Rzeźbiarz chciał przedłużyć oczekiwanie aż do ostatniej chwili, do momentu, gdy informacja o jego dziele zepchnie na dalszy plan wszystkie inne wiadomości. Gdy wchodził na piętro, czuł, jak z każdym krokiem jego serce bije coraz szybciej.

Po wejściu na górny poziom powozowni uruchomił komputery, a gdy te się ładowały, włączył telewizję, kanał Fox News. Jakaś blondynka przekazywała właśnie relację na żywo sprzed posesji Dodda, wygadywała jakieś bzdury o możliwych motywach morderstwa i związkach Earla Dodda z tą sprawą. Rzeźbiarz spodziewał się czegoś podobnego. „Wcześniej czy później porzucą te teorie, to tylko kwestia czasu” – pomyślał. Gdy rozważania dziennikarki zilustrowano zdjęciem *Bachusa* Michała Anioła, serce Rzeźbiarza podskoczyło z radości.

Zamiast przejść do internetu, oglądał jeszcze przez jakiś czas wiadomości, czekając na to jedno słowo, które potwierdzi jego triumf; to jedno słowo, które pozwoliłoby mu zająć się nazajutrz następnym projektem. Mniej więcej po dziesięciu minutach blondynka w końcu je wypowiedziała.

*Hildebrant.*

Tak, jasnowłosa kobieta mówiła, że FBI zatrudniło jako konsultanta naukowca z Uniwersytetu Browna, Catherine Hildebrant, „eksperta w dziedzinie twórczości Michała Anioła”. Choć w tej chwili doktor Hildebrant jest nieosiągalna, wyjaśniała blondynka, każdy może zajrzeć do jej książki, jednego z najpopularniejszych – obok *Udręki i ekstazy* Irvinga Stone’a – dzieł dotyczących życia i twórczości Michała Anioła. Dziennikarka tłumaczyła również, że choć *Uśpione w kamieniu* wywołało pewne kontrowersje w kręgach akademickich, stanowi jednak dobry punkt wyjścia dla każdego, kto interesuje się Michałem Aniołem i odbiorem jego dzieł w świecie współczesnym.

„To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe” – pomyślał Rzeźbiarz.

Od początku zdawał sobie sprawę, że będzie musiał ostrożnie grać kartą Hildebrant, bo choć chciał, by media wiedziały o jej związku z tą sprawą i zwróciły uwagę społeczeństwa na książkę, obawiał się również, że cały plan spełni na niczym, jeśli publika zrozumie, że *Uśpiony w kamieniu* był inspiracją dla jego *Bachusa*. Tak, Rzeźbiarz chciał podziękować doktor Hildy za jej pomoc; tak, chciał, by wypowiadała się publicznie na temat swojej książki, rozumiał jednak równocześnie, że jeśli *Uśpione w kamieniu* wzbudzi zbyt wielkie zainteresowanie – to znaczy w świadomości społecznej wiąże się nierozzerwalnie z morderstwami, tak jak płyta *White Album* Beatlesów kojarzy się z chorymi planami Charlesa Mansona – wówczas prostota i jasność jego przesłania zostaną zakłócone.

Poza tym nagły wzrost zainteresowania ze strony mediów mogłby sprawić, że nieśmiała doktor Hildebrant ukryje się całkiem przed światem, zaszyje gdzieś w kącie, podczas gdy Rzeźbiarzowi zależało na tym, by pani doktor mówiła jak najwięcej o Michale Aniele, by popularyzowała swoją książkę. Dlatego właśnie umieścił napis na podstawie posągu – miał nadzieję, że ten szczegół zostanie odkryty przez śledczych już po przybyciu policji i na pewien czas zachowany w tajemnicy, przynajmniej dopóki zainteresowanie Michałem Aniołem i *Uśpionym w kamieniu* nie utrwali się na dobre.

Rzeźbiarz uważał również, że na dłuższą metę nie będzie miał znaczenia fakt, czy ogół społeczeństwa dostrzeże – nie mówiąc już o pełnym zrozumieniu – głębszy sens, geniusz jego dzieł w powiązaniu z książką doktor Hildy. Nie, chodziło przede wszystkim o to, by ludzie interesowali się morderstwami, bo tylko to zainteresowanie mogło zbliżyć ich do Michała Anioła; i dopiero wtedy Rzeźbiarz byłby w stanie – nawet bez ich wiedzy – uwolnić ludzi z marmuru otumanienia i fałszywych wartości, które stały się ich więzieniem.

Tak, tylko ręka Rzeźbiarza mogła wyrwać ich z uśpienia.

Rzeźbiarz kliknął dwukrotnie na ikonę opatrzoną napisem *Yahoo!* Nagłówki, tak jak się spodziewał, mówiły o śmierci Tommy’ego Campbella i Michaela Wenicka. Rzeźbiarz był tym szczerze uradowany, ale artykuły w całości postanowił przeczytać później – może następnego ranka, po ćwiczeniach, które rozpoczynał o szóstej rano, a przed zabraniem się do pracy nad następnym projektem. Tym, co interesowało go teraz najbardziej, była ikona umieszczona w dolnym prawym rogu strony *Yahoo!* w ramce z napisem: *Najczęściej wyszukiwane*.

Pod numerem 2 znajdowało się nazwisko Tommy’ego Campbella.

Pod numerem 1 Michał Anioł.

Rzeźbiarz uśmiechnął się do siebie.

Zaczęło się.

EKSPONAT DRUGI

PIETÀ WATYKAŃSKA

## Rozdział 16

W ciągu dziesięciu dni, które upłynęły od znalezienia ciał Tommy'ego Campbella i Michaela Wenicka, Sam Markham rozmawiał z Cathy Hildebrant tylko dwukrotnie; raz w czwartek, by zapytać ją, co sądzi o wstępnych wynikach sekcji zwłok, a potem w następną środę, by poinformować ją, że FBI przenosi go czasowo do oddziału w Bostonie, i poprosić, by spotkała się tam z nim następnego ranka.

Podczas czwartkowej rozmowy Markham powiedział Cathy, że zabójca usunął organy wewnętrzne z ciał obu ofiar – w przypadku Wenicka zrobił to przez otwór w dolnej części przeciętego tułowia, a w przypadku Campbella przez ukryte wcześniej nacięcie, w okolicach krocza. Pusta przestrzeń, powstała po wyjęciu organów, została następnie wypełniona mieszaniną mocno ubitych trocin i słomy. Zabójca ogolił głowy obu ofiar i zastąpił włosy specjalnymi „perukami”, wyrzeźbionymi w sztucznym materiale na bazie żywicy epoksydowej. Usunął również mózgi Campbella i Wenicka przez otwory wywiercone u podstawy ich czaszek. Wenick, mówił Markham, zmarł prawdopodobnie na skutek złamania karku, bo choć oba ciała zostały zniekształcone i umocowane na żelaznych prętach, wbitych w drewniany pał, ukryty w ciele Campbella, tylko kości Wenicka nosiły ślady uszkodzeń powstałych *przed* śmiercią.

Markham mówił również, że prawdopodobnie penis Campbella został usunięty, gdy futbolista jeszcze żył, ale ze względu na brak najważniejszych organów – oraz ze względu na fakt, że oba ciała zostały pozbawione krwi, a tkanki nasączono jakimiś chemikaliami o nieznanym jeszcze składzie – nie udało się na razie określić przyczyny śmierci skrzydłowego. Jak podkreślał Markham, na ostateczne wyniki sekcji zwłok musieli poczekać co najmniej do przyszłego tygodnia, a niemal wszystkie elementy rzeźby – biały lakier, peruki z żywicy epoksydowej, sztuczna winorośl oraz inne ozdoby ciał – wymagały dodatkowych analiz. Markham powiedział Cathy, że cały materiał dowodowy – łącznie z cokołem rzeźby – został już przewieziony do laboratoriów w Quantico. Dzięki temu informacja o napisie wyrytym na postumencie jeszcze przez jakiś czas pozostanie tajemnicą.

Oznaczało to również, że sama Cathy będzie mogła nieco dłużej cieszyć się spokojem. Nazajutrz po owej tragicznej niedzieli skrzynka głosowa w uniwersyteckim telefonie doktor



Hildebrant wypełniła się prośbami o wywiad – było ich tak wiele, że Cathy musiała poprosić studentów, by kontaktowali się z nią wyłącznie drogą e-mailową. Ponieważ nie odpowiedziała na żadną z tych prośb, pod koniec tygodnia, gdy inni historycy sztuki i tak zwani eksperci zdążyli już udzielić całej masy wywiadów, media zupełnie zapomniały o ładnej pani doktor, którą FBI powołało na konsultanta w tej sprawie i która unikała wszelkich kontaktów ze środkami przekazu.

Jednak choć pod koniec tygodnia zainteresowanie osobą Cathy zdecydowanie osłabło, jej książka zyskiwała coraz większą popularność. Księgarnie internetowe Amazon oraz Barnes & Noble szybko wyprzedały wszystkie egzemplarze *Uśpionego w kamieniu*, które miały jeszcze na składzie, i obie złożyły duże zamówienia u wydawcy Cathy – małego wydawnictwa akademickiego, które z kolei poinformowało panią doktor, że wkrótce może się spodziewać sporych pieniędzy za dodruk. Dobrze sprzedawały się również inne książki o Michale Aniele; już w piątek *Udręka i ekstaza* znalazła się w pierwszej dziesiątce bestsellerów księgarni Amazon.

Podczas gdy detektywi różnej maści – zarówno zawodowcy, jak i amatorzy – snuli różne filozoficzne teorie, dotyczące głębszego kulturowego znaczenia morderstwa/rzeźby Tommy’ego Campbella i Michaela Wenicka – niektóre z tych teorii odnosiły się nawet do *Uśpionego w kamieniu* – nikomu nie przyszło do głowy, że inspiracją dla Renesansowego Zabójcy mogła być właśnie książka Cathy. Podczas drugiej rozmowy z panią doktor Sam Markham stwierdził, że nie jest tym zaskoczony. Ponieważ tylko wąskie grono osób wiedziało o napisie na podstawie posągu oraz o listach z cytatami, bezpośrednio łączących zabójcę z osobą Cathy, nikt poza tymi osobami nie miał powodów, by traktować jej dzieło odmiennie niż inne książki, które mógł czytać morderca.

Również dzięki kilku wyważonym i starannie sformułowanym komentarzom, ogłoszonym przez agentkę Rachel Sullivan podczas kolejnej konferencji prasowej – komentarzom sugerującym, że Cathy została konsultantką FBI tylko dlatego, że mieszkała blisko miejsca zbrodni – nim minął tydzień od morderstwa, media niemal całkiem zapomniały o doktor Catherine Hildebrant.

Nie zapomniał o niej jednak Sam Markham. Gdyby wiedział, ile razy Cathy miała ochotę do niego zadzwonić – żeby tylko pogadać – i ile razy wpisywała jego nazwisko w Google podczas pobytu u Polków, być może lepiej zrozumiałby zamęt panujący w ich sercach. Podczas ich pierwszej rozmowy telefonicznej Markham zapewnił Cathy, że dla jej dobra powinien trzymać się od niej z daleka, dopóki nie ucichnie medialna wrzawa wokół jej osoby. Zapewniał również, że nie musi się ona niczego obawiać, bo choć mieszka u Polków,

nadal pozostaje pod stałą obserwacją FBI. Agent Markham czuł pewną ulgę, że ma dobry pretekst, by trzymać się z dala od Cathy Hildebrant. Z drugiej jednak strony, choć rzeczywiście dobro śledztwa wymagało, by nie spotykał się z nią, oprócz ulgi czuł również wyrzuty sumienia i wstyd – sumienie gryzło go, bo natrętne myśli o uroczej pani doktor nieustannie odrywały go od pracy, a wstydził się, że nie ma dość odwagi, by przyznać nawet przed samym sobą, jak często uśmiecha się na jej wspomnienie.

Markham spędził większość tych dziesięciu dni na podróżach między oddziałem FBI w Bostonie a oddziałem terenowym Biura w Providence. Zwykle jeździł sam, czasami jednak towarzyszyła mu Rachel Sullivan, jak choćby podczas dwóch wizyt w domu Wenicków. Niestety, udało im się spotkać jedynie z dziadkiem Michaela, bo Laurie – która dowiedziawszy się o losie swego syna, próbowała wbić sobie w szyję wielki rzeźnicki nóż – znajdowała się pod ścisłą obserwacją lekarzy w stanowym Instytucie Zdrowia Publicznego. Dlatego też to właśnie Johnowi Wenickowi przypadł w udziale przykry i ponury obowiązek identyfikacji górnej połowy ciała swego wnuka – oczywiście, miało to miejsce już po oddzieleniu zwłok chłopca od koźlego zadu. Dziadek Michaela nie wniósł zbyt wiele do śledztwa, poprzysiągł jedynie drżącym głosem, że pewnego dnia „dopadnie i zatłucze tego, kto zrobił to jego wnuczki”.

Podczas gdy pozostałe fragmenty *Bachusa* poddawano badaniom w laboratoriach FBI w Quantico i podczas gdy Rachel Sullivan wraz ze swym zespołem sprawdzała listy studentów, udostępnione przez Uniwersytet Browna, agent specjalny zajął się badaniem nielicznych tropów, pozostawionych przez Renesansowego Zabójcę – najbardziej obiecującym z nich wydawały się szczątki kozy, które wykorzystał w swojej rzeźbie.

Ponieważ to właśnie one pierwsze zostały poddane badaniom w laboratoriach FBI, ustalono dość szybko, że należały do średniej wielkości kozła rasy nubijskiej; muskularnego zwierzęcia o krótkiej sierści, zwisających uszach i charakterystycznym pysku, zwanym przez niektórych hodowców „rzymskim nosem” – szczególnie ten, w świetle wszystkiego, co Markham wiedział już o Renesansowym Zabójcy, wcale nie wydawał mu się przypadkowy. Szukając informacji na temat kóz nubijskich, dowiedział się, że zwierzęta tej rasy uchodzą za dość hałaśliwe, ale i wyjątkowo pogodne i towarzyskie. „Towarzyskie” – powtarzał w myślach Markham. – „John Wenick używał tego samego słowa, opisując swojego wnuka”. Kolejny zbieg okoliczności? „Być może” – udzielił sobie odpowiedzi Markham, choć sam nie bardzo w to wierzył.

Agent specjalny wyszukał w internecie adresy i telefony gospodarstw z obszaru Nowej Anglii, które hodowały kozy nubijskie. Potem dzwonił do każdego z nich, poczynając od

farm położonych najbliżej miejsca, w którym porwano Michaela Wenicka. Miał szczęście już przy drugiej próbie, gdy dodzwonił się do farmy zwanej Hill Brothers Homestead w Burrillville, niewielkim miasteczku, leżącym na północno-zachodnich krańcach stanu Rhode Island. Markham dzwonił też do pozostałych gospodarstw, lecz tylko Louis Hill, właściciel Hill Brothers Homestead, potwierdził, że minionej jesieni rzeczywiście zginęła jedna sztuka z jego stada.

– Pan Hill? – spytał Markham, wysiadając z samochodu.

– Jeden z nich, tak – skinął głową starzec w zniszczonej czapce z napisem Boston Red Sox. Stał na werandzie swojego niewielkiego domu, z rękami w kieszeniach workowatych spodni. – Jeśli szuka pan mojego brata, to musi pan podjechać trochę dalej. Ale będzie pan musiał krzyczeć, bo dwa metry pod ziemią słabo słycać.

– Rozmawiałem z panem przez telefon, panie Hill – powiedział Markham, pokazując legitymację. – Jestem agent specjalny Sam Markham z Federalnego Urzędu Śledczego.

– Wiem, synu. Tak się tylko z tobą droczę. Louis Hill. Miło mi cię poznać.

– Z wzajemnością.

– Najwyższy czas, żeby ktoś zajął się Gamble'em.

– Gamble'em?

– Tak się nazywał ten kozioł. Zawiadomiłem policję jeszcze w listopadzie, ale nic od tamtej pory nie zrobili. Nie myślałem, że przekażą to FBI. Macie u siebie sekcję zaginionych zwierząt czy coś takiego?

– Panie Hill, przez telefon mówił pan, że w ciągu zeszłego roku zginęło tylko to jedno zwierzę.

– Zgadza się. Od dziesięciu lat nie zginęła mi koza. I nie przypominam sobie, żeby ktoś próbował mi ukraść jakieś bydłatko. A ten kozioł był naprawdę udany. Szkoda, że go pan nie widział; piękna sztuka!

– Mówił pan, że skradziono go nocą, gdzieś pomiędzy ósmą wieczorem a piątą rano?

– Tak, musiało to być właśnie wtedy. Wnuk zajrzał do kóz i zamknął stajnię na klucz, jak zawsze wieczorem. Wszystko było w porządku. Kiedy poszliśmy je rano nakarmić, stajnia była otwarta, a drzwi zagrody Gamble'a wyrwane z zawiasów.

– Mogę zobaczyć tę stajnię?

– Jasne.

Hill zaprowadził Markhama za dom. W tylnej części posiadłości znajdowały się duża stajnia oraz dwa mniejsze budynki, Markham zauważył też co najmniej dwadzieścia kóz nubijskich na pobliskim wybiegu. Wiele z nich podniosło łby i na widok dwóch

przechodzących mężczyzn podeszło do ogrodzenia.

„Rzeczywiście, towarzyskie” – pomyślał Markham.

– Spokojnie, malutkie – przemawiał do nich Hill. – Nie zebrzcie, rząd nic dla was nie ma.

Wielkie wahadłowe wrota stajni były otwarte, a wewnątrz budynku puste, lecz charakterystyczny zapach zwierząt hodowlanych, siana, obornika i trocin nagle przywołał w pamięci Markhama wspomnienia małego zoo, do którego ojciec zabierał go w dzieciństwie – składało się ono z kilku prymitywnych zagród w miejscowym centrum handlowym, gdzie pewnego razu lama zaczęła pogryzać kołnierz jego koszuli i doprowadziła go do płaczu. Stajnia miała typowy rozkład – wzdłuż korytarza biegnącego przez środek pomieszczenia ciągnęły się zagrody dla zwierząt. Najbliżej wejścia znajdowały się cztery boksy dla koni, a po sześć zagród po obu stronach przeznaczono dla kóz. W odróżnieniu od boksów dla koni, wyposażonych w wysokie drewniane drzwi i kraty w oknach, przegrody dla kóz miały furtki z metalowej siatki, a dzieliły je deski o wymiarach 5x30 cm, które w razie potrzeby można było wyjąć i połączyć w ten sposób sąsiednie pomieszczenia.

– Zwykle wpuszczamy do zagrody trzy, cztery kozy – mówił farmer. – W zimie możemy rozebrać te ścianki i połączyć zwierzęta w większe stado, a jak trzeba, to znowu je podzielić według wieku, wielkości czy płci. Ale Gamble zawsze miał własną zagrodę, przez cały rok. Czasami bywał wredny, choć to był naprawdę bystry zwierzak – próbował podnieść rogiem zasuwkę, dlatego zamykaliśmy go na kłódkę. Ale kiedy należało zająć się dziewczynkami, sprawował się jak trzeba. Tak, to było naprawdę wyjątkowo udane bydlę. Cholerna szkoda, że ktoś go zwędził.

Hill i Markham dotarli do końca korytarza.

– Widzi pan? – spytał Hill, wskazując na zagrodę jego ulubionego kozła. – Naprawiliśmy to z wnukiem, ale widać jeszcze, gdzie te sukinsyny oderwały bramkę. Złodzieje nie chcieli innych kóz, a przecież nie musieliby się tak męczyć, żeby je zabrać. Nie, żadna kłódka nie mogła ich powstrzymać. Pewnie od dawna mieli Gamble’a na oku. Wyrwali całą bramkę z zawiasów.

Markham przykucnął i przeciągnął małym palcem po drewnianej belce – wzdłuż linii znaczącej miejsce, gdzie znajdowały się wcześniej zawiasy.

– Gliniarze zebrali odciski palców, i tak dalej – powiedział Louis Hill, spluwając. – Ale niczego nie znaleźli, nawet śladów łomu. Mówili, że trzeba by trzech albo czterech ludzi, żeby wyrwać bramkę z zawiasów. Najpierw myślałem, że to może jakieś miejscowe dzieciaki, wie pan, chciały się popisać czy coś. A potem przyszło mi do głowy, że może ktoś

chciał hodować Gamble'a. Wie pan, ci faceci musieli się naprawdę namęczyć, żeby go zabrać. Mówię panu, ten zwierzak to był prawdziwy...

– Panie Hill, powiedział pan, że Gamble zniknął w listopadzie?

– Zgadza się, dwa tygodnie przed Świętem Dziękczynienia. Pamiętam, bo wnuk miał wtedy mecz. Jest dopiero na drugim roku, ale dobrze sobie radzi. Jest rozgrywającym. Ta historia z Gamble'em namieszała mu wtedy w głowie. Mówił, że to jego wina. Ale to dobry chłopak. Zawsze lubił te...

– Nigdy nie widział pan jakichś podejrzanych ludzi, kręcących się w pobliżu farmy?

– Mówię panu to samo, co mówiłem policji. Nie wiem, po co komu był ten kozioł, chyba że sam chciał go hodować.

– Panie Hill, FBI ma powody przypuszczać, że znaleźliśmy Gamble'a.

– Zabili go, co? – Hill ponownie splunął. – Gdzieście go znaleźli?

– Oglądał pan ostatnio wiadomości, panie Hill? Słyszał pan o zabójstwie Tommy'ego Campbella i tego chłopca w Watch Hill? Wie pan, co się z nimi stało?

Starzec wyraźnie sposepniał, na jego twarzy pojawił się w końcu wyraz zrozumienia.

– Widziałem w telewizji zdjęcia tej rzeźby, wie pan, tej, którą podobno zabójca stworzył z tych trupów. To znaczy, że dolna połówka tego chłopaka to było prawdziwe zwierzę? Że to był Gamble?

– Tak, bardzo prawdopodobne, że tak właśnie było.

– To znaczy, że facet, który to zrobił, był tutaj? Na mojej farmie?

– Nie będziemy mieli pewności, dopóki nasi ludzie nie pobiorą próbek DNA z potomstwa Gamble'a. Będziemy też musieli przesłuchać pańskiego wnuka.

– A co on ma z tym wszystkim wspólnego? – spytał drżącym głosem starzec.

– Jako ostatni widział kozę żywą. I jako pierwszy odkrył, że zniknęła. Być może powie nam coś, co przegapiła policja.

Markham nie miał zamiaru mówić Louisowi Hillowi, że jego wnuk może być podejrzanym w tej sprawie. Nie, pozwoli, by zajęła się tym Rachel Sullivan i jej zespół; by to oni zdobyli nakaz przeszukania farmy, gdyby starzec nie chciał z nimi współpracować.

– Zrobię wszystko, co będę mógł – oświadczył Louis Hill, jakby czytając w myślach agenta specjalnego.

Markham zostawił farmera wpatzonego w pustą zagrodę po Gamble'u. Tym, co niepokoiło Markhama bardziej niż świadomość, jak wielką siłą musiał dysponować Renesansowy Zabójca, by wyrwać bramkę z zawiasów – jeśli właśnie on to zrobił – tym, co naprawdę nękało Sama Markhama, gdy wyjeżdżał z farmy Louisa Hilla, była informacja o

czasie, w którym doszło do porwania kozy.

„Listopad” – powtarzał Markham w myślach. – „Zabójca ukradł kozę, kiedy miał już chłopca. To znaczy, że umiał konserwować ludzkie ciała, nim zamordował Michaela Wenicka. To znaczy, że być może Michael Wenick wcale nie był jego pierwszą ofiarą. To znaczy, że się myliłem, ustalając chronologię wydarzeń.

To znaczy, że się myliłem”.

## Rozdział 17

Tuż po tym, jak Cathy skończyła rozmowę z Samem Markhamem w środę szóstego maja – z której dowiedziała się, że nazajutrz pojedzie z nim do oddziału FBI w Bostonie – otrzymała również wiadomość, że jej rozwód ze Stevenem Rogersem nabrał mocy prawnej. Przyjęła ją równie beznamiętnie, jakby wysłuchała porannej prognozy pogody – informacji, że niebo będzie zachmurzone, ale nie należy spodziewać się opadów. Być może ze względu na wydarzenia minionego tygodnia, a być może dlatego, że dawno już wyzbyła się resztek uczucia dla swego byłego męża, Cathy zamknęła ten dziesięcioletni rozdział swego życia z obojętnością i rezygnacją.

Tymczasem jej były mąż nagle jakby zmienił zdanie. W piątek, kiedy to ich rozwód miał zostać ostatecznie potwierdzony, pojawił się w drzwiach domu Polków, cały we łzach, i zażądał spotkania z żoną. Wdał się w ostrą wymianę zdań z Janet, która wciąż żałowała, że niegdyś przedstawiła go swojej najlepszej przyjaciółce, zanim jednak zdążył się z nią na dobre pokłócić, na werandę wyszła Cathy.

– Możemy porozmawiać, Cat? – krzyknął do niej Steven ponad ramieniem Janet. – Proszę.

– W porządku, Jan, poradzę sobie. – Cathy skinęła głową, a Janet skrzywiła się wymownie i zniknęła we wnętrzu domu.

– Przez cały tydzień śledziłem tę historię w telewizji – zaczął Steve. – Zacząłem się martwić, jak sobie radzisz z tym wszystkim. Błagałem Janet, żeby podała mi twój nowy numer, ale nie udało mi się jej przekonać.

– Właśnie dlatego zastrzegłam numer. Umawialiśmy się, że będziemy się kontaktować tylko przez naszych prawników.

– Ty tego chciałaś, nie ja. Ja chciałem się dogadać, a ty nawet nie chciałaś o tym słyszeć. To ty chciałaś tego rozwodu, Cat. Pamiętaj o tym.

– Co tu właściwie robisz, Steven?

– Cóż, chodzi o to, że... Rozmawiali też ze mną, wiesz. FBI. Dzień po tym, jak to się stało. Pytali, czy miałem jakichś studentów, którzy pasowaliby do profilu tego zabójcy. Chryste, nie miałem im nic do powiedzenia – nie wiem, dlaczego w ogóle chcieli ze mną

gadać, chyba tylko ze względu na ciebie. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć, Cathy? Coś jeszcze, co łączy cię z tym gównem?

– Pewnie sprawdzają wszystkich, którzy mogli choć przez przypadek znać tego człowieka – skłamała Cathy. Nie przyszło jej do głowy, że FBI zechce przesłuchiwać jej byłego męża.

„Ale on wciąż nic nie wie. Na pewno nie powiedzieli mu o tych listach”.

I dobrze.

– Chryste, Cat. To był naprawdę popieprzony tydzień. W telewizji nie mówili o niczym innym, cały czas myślałem o tym, co się stało z Campbellem i tym chłopczykiem i... no wiesz... jestem jakby trochę wmieszany w tę historię, a kiedy ciągle słyszę twoje nazwisko w tym kontekście... po prostu nie mogę przestać o tobie myśleć. Dzięki temu uświadomiłem sobie, jaki byłem głupi, pozwalając odejść komuś, kto jest dla mnie najważniejszym człowiekiem na świecie. Kiedy dotarło do mnie, że naprawdę się rozwodzimy, że za chwilę będzie już po wszystkim, pomyślałem, że może...

– Co, zostawiła cię ta twoja studentka, tak?

– Catherine, proszę... – Steve przecesał palcami swoje gęste kręcone włosy. – To nie ma z nią nic wspólnego. Wiesz, że nigdy nie będę czuł do niej – do *nikogo* – tego samego, co czułem do ciebie. Co *nadal* czuję.

– Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim zaciągnąłeś ją do łóżka. Żegnaj, Steven.

Dopiero gdy wróciła do wnętrza domu, gdy usłyszała bmw z4 Rogersa, odjeżdżające z rykiem silnika, Cathy uświadomiła sobie, jak bardzo zmieniły ją wydarzenia minionego tygodnia. Po raz pierwszy od dwunastu lat, odkąd poznała Steve’a, nie miała najmniejszej ochoty ulec jego prośbom – najmniejszej. To znaczyło, że naprawdę z tym skończyła: stała się silniejsza – do tego stopnia, że po śródowej rozmowie z Samem Markhamem czuła się dość pewna siebie, by poddać się uczuciom, które kiełkowały w jej sercu.

Oczywiście, Cathy dobrze wiedziała, że Sam budził jej zainteresowanie od ich pierwszego spotkania. Była też dość inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że jej reakcje i odczucia są wypadkową nie tylko szokujących wydarzeń minionego tygodnia, ale i wewnętrznego rozedrgania, spowodowanego zdradą męża i rozwodem. Lecz podczas gdy Sam Markham sprawdzał różne tropy na terenie całej Nowej Anglii, a Cathy zakończyła semestr na uniwersytecie, rozstała się na dobre z mężem i wyjechała z Polkami do Bonnet Shores, gdzie pomagała im sprzątać i odnawiać domek letniskowy, pomimo ponurej świadomości, że wszystko to dzieje się w cieniu tragicznej śmierci Tommy’ego Campbella i Michaela Wenicka – śmierci dedykowanej przez mordercę właśnie *jej* – czuła wyraźnie, że



otworzyły się nowe drzwi w jej życiu i że to Sam Markham przeniesie ją przez ich próg.

Nazajutrz po przybyciu do domu Polków Cathy rozmawiała też telefonicznie z agentką specjalną Rachel Sullivan, która poradziła jej, by złożyła oficjalne oświadczenie dla Associated Press i zapewniła wszystkich, że nie wie o tej sprawie nic ponadto, iż ciała Tommy'ego Campbella i Michaela Wenicka rzeczywiście upozorowane były na kształt rzeźby *Bachus* Michała Anioła. Sullivan sugerowała również, by Cathy nie udzielała żadnych wywiadów – nie tylko ze względu na dobro śledztwa, ale i na wypadek, gdyby informacja o napisie na postumencie przedostała się jakoś do mediów. Cathy usłuchała rad agentki, dzięki czemu już w piątek w jej poczcie głosowej pojawiło się tylko jedno nowe nagranie.

Zatem, gdy wydawało się, że najgorsze ma już za sobą, rankiem następnego dnia po rozwodzie ze Steve'em Rogersem – w jasny majowy dzień, niosący ze sobą obietnicę rychłego lata, pierwszego od ponad dekady, w które miała wkroczyć jako samotna wolna kobieta – Cathy siedziała na werandzie domu Polków i czekała na agenta specjalnego Sama Markhama, trochę niespokojna i podekscytowana jednocześnie. Tak, teraz, gdy semestr dobiegł końca, gdy na dobre pożegnała się ze Steve'em, pustkę będącą początkiem jej nowego życia wypełniały myśli o dwóch ludziach: Renesansowym Zabójcy i Samie Markhamie. Fakt, że te dwie osoby były ze sobą nierozzerwalnie związane, stanowił w oczach Cathy przekleństwo i błogosławieństwo zarazem. Choć nie mogła zapomnieć o *Bachusie* Renesansowego Zabójcy, nie mogła pogodzić się z faktem, że jej książka stała się inspiracją tak odrażającej zbrodni, te same myśli niosły ze sobą wszakże wspomnienie osoby Sama Markhama – osoby odległej, a zarazem tak bliskiej. To właśnie dzięki niemu, dzięki jego obecności w jej myślach, Cathy udało się przetrwać wszystkie długie i samotne noce w domu Polków.

– Miło znów cię widzieć – przywitał ją agent FBI, gdy wsiadła do jego trailblazera. Cathy uśmiechnęła się i zaczerwieniła mimo woli, przypomniawszy sobie, o czym przed chwilą myślała. – Zakładam, że jakoś się trzymasz, tak?

– Tak, daję sobie radę. A co u ciebie?

– Za chwilę wszystko ci opowiem.

Markham ruszył w drogę.

Cathy miała wrażenie, że agent FBI jest weselszy, bardziej rozluźniony niż podczas ich wspólnej podróży z Watch Hill, kiedy nagle zrobił się milczący i nieprzystępny. Dziś Cathy od razu wyczuła, że Sam Markham naprawdę ucieszył się na jej widok. Gdy znalazła się w jego towarzystwie, poczuła coś w rodzaju wdzięczności – ze względu na okoliczności budzące w niej również poczucie winy – dla człowieka, który sprawił, że się ze sobą spotkali.

– Przepraszam za spóźnienie – dodał Markham. – Musiałem odebrać dokumenty z oddziału w Providence i zatrzymałem się tam na chwilę.

– To nawet lepiej. O tej porze nie będzie już takich korków.

– Tak, w zeszłym tygodniu jeździłem tędy codziennie, więc dobrze wiem, o czym mówisz.

– A gdzie właściwie teraz pracujesz? Myślałam, że wysłali cię do Bostonu.

– Zgadza się. Oddział w Bostonie nadzoruje pracę FBI w Massachusetts, Rhode Island, Maine i New Hampshire, ale mamy też mniejsze oddziały w każdym z tych stanów. Nazywa się je agencjami terenowymi. Jedna z nich znajduje się w Providence – przydzielili mi tam biuro i komputer, żebym mógł pracować na miejscu. Nadal jednak współpracuję z Billem Burrellem z oddziału w Bostonie, więc w zeszłym tygodniu jeździłem tam i z powrotem na różne spotkania.

– Rozumiem.

– Oddział w Bostonie znajduje się w samym centrum miasta, mają tam o wiele więcej sprzętu niż tutaj, w Providence, w dodatku znacznie nowocześniejszego. Wymaga tego szeroki wachlarz spraw, jakimi się zajmujemy – od korupcji i przestępczości zorganizowanej po oszustwa i kontrwywiad. Burrell trafił tu zeszłej jesieni, został dyrektorem Oddziału, miał też zająć się restrukturyzacją Wydziału zbrodni. Mnie przysłano tu na kilka dni z Quantico, miałem prowadzić seminarium dotyczące najnowszych technik badawczych, które opracowuje się w Narodowym Centrum Analizy Zbrodni.

– Więc tam właśnie trafiają najlepsi kryminolodzy? Najlepsi, jak was nazywają, profilerzy?

– Prawdę mówiąc, w FBI oficjalnie coś takiego nie istnieje. Profiler – to termin, który przeszedł swego rodzaju ewolucję w popkulturze.

– Wybacz, wyłazi ze mnie telewizyjna edukacja.

– Nie ma się czego wstydzić – uśmiechnął się Markham. – To tylko jedno z wielu błędnych wyobrażeń na temat FBI, które funkcjonują w naszym społeczeństwie. Procedury, które zwykle kojarzy się z tak zwanym profilowaniem, wykonują agenci nadzorujący, tacy jak ja, w Narodowym Centrum Analizy Zbrodni w Quantico, a jedynie przypadek sprawił, że znalazłem się tutaj właśnie wtedy, kiedy Renesansowy Zabójca postanowił objawić się światu.

– O tak, nieźle nas załatwił, prawda? Cały kraj nie mówi o niczym innym. Wystarczy, że włączę telewizor albo zajrzę do internetu, a już widzę zdjęcie *Bachusa*. Co gorsza, już zawsze będę go teraz kojarzyć z Tommym Campbellem i tym małym chłopcem. Czy to

oznacza, że Renesansowy Zabójca dostał to, czego chciał, Sam? Że w pewnym sensie wygrał?

– Jeśli chodzi o zainteresowanie ludzi twórczością Michała Anioła? Tak, powiedziałbym, że tak. Wygrał.

Cathy zamilkła, a Sam skupił się na prowadzeniu.

– Wiem, że to wszystko stanowi dla ciebie ogromne obciążenie – dodał, kiedy wjechali już na autostradę międzystanową. – I jestem ci ogromnie wdzięczny, że zgodziłaś się uczestniczyć ze mną w tej telekonferencji.

– Mam tylko nadzieję, że do czegoś się przydam – westchnęła Cathy. – Jak już mówiłam przeze telefon, w ciągu ostatniego tygodnia łamałam sobie głowę, szukając jakichś nowych tropów w *Uśpionym w kamieniu*, ale nic nie znalazłam.

– To, co powiedziałaś mi do tej pory, może się okazać niezwykle pomocne, Cathy. Muszę też przyznać, że doskonale poradziłaś sobie z mediami, jestem naprawdę pełen podziwu. Dlatego właśnie zabieram cię dziś do Bostonu. I dlatego poprosiłem Billa Burrella, żeby zatrudnił cię oficjalnie jako konsultantkę w tej sprawie.

– Co? – Cathy omal nie zachłysnęła się z wrażenia. – Chcesz, żebym pracowała dla FBI?

– Tak, właśnie tego chcę, Cathy. Oczywiście, nie za darmo. Biuro chętnie ustali z tobą wysokość wynagrodzenia.

– Ale Sam, ja...

– Sporo się zdarzyło w ciągu tych jedenastu dni, odkąd jechaliśmy razem z Watch Hill, Cathy, szczególnie jeśli chodzi o tworzenie portretu psychologicznego naszego zabójcy. Mówiłem ci już przez telefon o kozie – o tym, jak Michał Anioł zdobył dolną część swojego satyra.

– Tak.

– Widzisz, odkąd rozmawialiśmy o *Uśpionym w kamieniu* i odkąd doszliśmy do wniosku, że twoja książka była prawdopodobnie inspiracją dla tych morderstw, Rachel Sullivan i jej zespół sprawdzali listy studentów uczęszczających na twoje zajęcia. Choć nie przypominasz sobie, żeby którykolwiek z nich pasował do psychologicznego i fizycznego profilu zabójcy, jaki udało nam się do tej pory stworzyć, Sullivan i jej ludzie od początku pracowali z założeniem, że być może zabójca nie znał cię osobiście, a tylko przez któregoś z twoich podopiecznych. Rachel skupiła się więc przede wszystkim na mężczyznach z list zajęć, które prowadziłaś w ciągu trzech lat przed wydaniem książki i przed otrzymaniem tych anonimowych listów. Wybacz, że o tym wspominam, ale mówiłaś, że zaczęłaś je dostawać

wkrótce po śmierci matki, tak? Powiedziałaś też Sullivan, że zaczęłaś wymagać znajomości tej książki dopiero rok po jej wydaniu, następnej jesieni, zgadza się? Prawie rok po tym, jak dostałaś te cytaty i sonet?

– Zgadza się.

– To oznacza, że choć zabójca nie czytał twojej książki w związku z zajęciami, musiał pochodzić z tej okolicy – być może był studentem, a być może nie – i że znał rozkład kampusu uniwersyteckiego na tyle dobrze, żeby niepostrzeżenie zostawić listy pod twoimi drzwiami. Na wszelki wypadek Sullivan sprawdziła spis studentów z następnych dwóch lat, co teoretycznie stanowi pełną grupę mężczyzn, którzy mogli uczęszczać na twoje zajęcia i mieć jakieś powiązania z zabójcą. Ponieważ w tym czasie prowadziłaś tylko dwa kursy na semestr i miałaś zajęcia jedynie ze studentami ostatnich lat, grupa podejrzanych jest dość mała, szczególnie że zdecydowaną większość słuchaczy stanowiły kobiety.

– Sam, proszę, nie mów mi, że ten psychopata chodził na moje zajęcia, że stałam przed nim i patrzyłam mu w twarz.

– Nie, nie – zaprzeczył szybko Markham, podnosząc rękę. – Prawdopodobnie był to po prostu ktoś, kto go znał.

– Co masz na myśli?

– Czy mówi ci coś nazwisko Banford? Gabriel Banford?

– Gabriel Banford? Tak, oczywiście, Gabe Banford. Był na studiach licencjackich jakieś siedem, osiem lat temu. Pamiętam głównie jego kruczoczarne włosy i ubrania – nieco bardziej ekscentryczne niż te, jakie zwykle noszą goście. Wiesz, jedna z tych zagubionych dusz – z tego, co słyszałam, bardzo błyskotliwy chłopak, ale bez żadnego celu w życiu. Przez jakiś czas chodził do mnie na zajęcia, ale potem zrezygnował i następnej jesieni przeniósł się na Akademię Sztuk Pięknych w Providence. Jego rodzice nie byli z tego zadowoleni – to pamiętam. Janet powiedziała mi później, że próbowali obwiniać o to nasz wydział. Zdaje się, że miał sporo problemów natury psychologicznej, a potem podobno zaczął zażywać narkotyki. Oczywiście, wiedziałam o tym wszystkim z drugiej ręki, od Janet. Wstyd mi to mówić, ale pamiętam go tylko ze względu na to, co stało się z nim później, kiedy w ogóle zrezygnował ze studiów i wpadł w nieciekawe towarzystwo.

– Więc wiesz, jak umarł?

– Wybacz, Sam, ale to działo się mniej więcej w tym czasie, kiedy umierała moja mama. Byłam trochę nieprzytomna, kiedy Janet mi o tym mówiła, ale jeśli dobrze pamiętam, popełnił samobójstwo, tak? Przedawkował narkotyki, zdaje się.

– Owszem, taka była oficjalna przyczyna śmierci. Ale pozwól, że zanim o tym

porozmawiamy, wróć na chwilę do poprzedniego tematu. Otóż ze względu na małą liczbę studentów wytypowanych przez ludzi Sullivan – studentów, którzy mogli mieć pośredni lub bezpośredni kontakt z twoją osobą – bez problemu udało się ustalić ich aktualne miejsca pobytu, przy czym okazało się, że większość mieszka poza granicami stanu. Seryjni zabójcy, szczególnie tacy, którzy długo przetrzymują swoje ofiary, niemal zawsze polują na stosunkowo niewielkim terenie, w pobliżu własnego domu. Jeśli weźmiemy pod uwagę odległości między miejscami, w których porwano Tommy’ego Campbella i Michaela Wenicka, to prawdopodobieństwo, że zabójca mieszka poza którymś z tych obszarów, na przykład w Massachusetts lub Connecticut, znacząco maleje. Rozumiesz?

– Tak. Bo zabójstwa Campbella i Wenicka miały miejsce w Westerly i w Cranston – miastach położonych na przeciwległych krańcach Rhode Island.

– Podobnie jak kradzież kozła.

– Oczywiście. Mówiłeś, że zwierzę skradziono z farmy w Burrillville, które leży jeszcze dalej od Watch Hill, w północno-zachodniej części stanu.

– Zgadza się. Więc mamy trzy przestępstwa i na tej podstawie możemy w przybliżeniu określić miejsce zamieszkania Renesansowego Zabójcy. Jeśli weźmiemy pod uwagę anonimowe listy, które dostawałaś pięć i pół roku temu, mamy już właściwie cztery punkty. Zakładamy, że morderca mieszka gdzieś pomiędzy nimi, a więc na południe od Providence – bliżej samego Providence i Uniwersytetu Browna, jeśli przyjąć założenie, że seryjni zabójcy tego typu zwykle zaczynają działalność najbliżej swojego domu; mam tu na myśli listy z cytatami.

– Chcesz powiedzieć, że w miarę upływu czasu nabierają odwagi? Jak zwierzę, które w poszukiwaniu jedzenia coraz bardziej oddala się od swojej jaskini?

– Tak, to właśnie mam na myśli. Potrzeba jedzenia, że użyję twojej analogii, każe mu zapomnieć o strachu, przezwyciężyć go. Seryjni zabójcy, jak każdy z nas, czują się swobodnie na określonym, dobrze im znanym terenie, i tam właśnie działają najchętniej. Im bardziej oddalają się od tej strefy, tym łatwiej ich schwytać. Dlatego najczęściej trafiamy na trop tych ludzi dopiero po *późniejszych* morderstwach. Zaczynają popełniać błędy, stają się nieostrożni, bo potrzeba zabijania przyćmiewa strach przed ryzykiem związanym z tym czynem. Ostatecznie to właśnie to ryzyko staje się przyczyną ich klęski.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z Gabe’em Banfordem?

– Jak już mówiłem, choć twierdzisz, że żaden z twoich studentów nie pasował do psychologicznego i fizycznego profilu Renesansowego Zabójcy, Rachel Sullivan natychmiast zwróciła uwagę na Banforda, bo to jedyny spośród wszystkich słuchaczy z tamtego okresu,

który nie żyje. To automatycznie wyklucza go z kręgu podejrzanych, jednak po bliższym zbadaniu sprawy okazało się, że choć z pewnością nie był zabójcą, to mógł być ofiarą – być może pierwszą ofiarą Renesansowego Zabójcy.

– Skąd ten wniosek? Zginął zupełnie inaczej niż Campbell czy Wenick.

– Na podstawie dokumentacji stworzyliśmy dość przynębiający obraz tego chłopca – inteligentnego dziecka ze stosunkowo bogatej nowojorskiej rodziny, które jest jednak niezrównoważone emocjonalnie i już w wieku jedenastu lat wymaga terapii. Klasyczny przykład dzieciaka, które w Biurze nazywamy PKP

– PKP?

– Pigułka na każdy problem. Członek pokolenia karmionego takimi środkami jak adderall czy metylofenidat. Dorzuć do tego paroksetynę i zoloft, a zrozumiesz, co działo się w głowie tego biedaka. Krótko mówiąc, nim Banford zrezygnował ze studiów na Akademii Sztuk Pięknych, zaczął obracać się w kręgach zdemoralizowanych inteligentów, stałych bywalców gejowskiego klubu Series X w centrum Providence, którzy nie stronili od narkotyków – głównie marihuany i koki, choć czasami sięgali też po heroinę i halucynogeny. Z zeznań znajomych Banforda wynika, że był coraz bardziej uzależniony od heroiny i upodabniał się do ludzi, których znamy choćby z *Trainspotting*. Banford co miesiąc dostawał pieniądze od rodziców, miał się też różnych dorywczych zajęć, ale jego znajomi twierdzili, że prawdopodobnie zaczął zdobywać pieniądze na narkotyki również w inny sposób, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Gabe Banford? – spytała Cathy z niedowierzaniem.

– Tak. Podobno spotykał się w Series X ze starszymi mężczyznami, którzy gotowi byli płacić za jego usługi. Na portalu Craigslist, w dziale „Mężczyźni szukają mężczyzn” pojawiło się też niejednoznacznie sformułowane ogłoszenie. Kiedy policja zbadła komputer Banforda, okazało się, że to właśnie on je zamieścił.

– Ale dlaczego uważacie, że to może mieć coś wspólnego z Renesansowym Zabójcą?

– Choć po śmierci Banforda w jego ciele stwierdzono obecność heroiny, oficjalną przyczyną zgonu nie było wcale przedawkowanie tego narkotyku, lecz bardzo wysokie stężenie epinefryny, zwanej powszechnie adrenaliną.

– Adrenalina? Nie rozumiem.

– Więc słuchaj dalej. Banford mieszkał z dwoma innymi mężczyznami w Providence, w East Side. Obaj ci mężczyźni albo również zażywali narkotyki, albo co najmniej przymykali oko na jego nałóg. Banford najczęściej szprycował się w swojej sypialni, gdzie – cytuję policyjny raport – jak zeznali jego współlokatorzy „po prostu siedział, słuchał muzyki i

oglądał jakieś dzieła sztuki z płyt DVD”. Tam właśnie znalazł go jeden z tych młodych ludzi, kiedy Banford nie odbierał przez dłuższy czas komórki. Policja przeszukała jego pokój i oprócz strzykawek oraz heroiny znalazła jeszcze inne narkotyki – kokainę, LSD, haszysz – ale żadnych odcisków palców, które nie należałyby do samego Banforda lub jego współlokatorów. Obaj mieli niezbite alibi na czas, w którym umarł ten biedny chłopak. Policja uznała więc, że wysoki poziom adrenaliny związany był ze stanem ducha Banforda w chwili samobójstwa, albo też był wynikiem jakiegoś nieudanego eksperymentu z narkotykami. W raporcie z sekcji zwłok stwierdzono, że stężenie adrenaliny na centymetr sześcienny było niezwykle wysokie, ale nie udało się ustalić źródła tego hormonu. Prawdopodobnie został wyprodukowany w jakimś domowym laboratorium – można to zrobić, jeśli dysponuje się odpowiednią wiedzą i środkami.

– Ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Tommy’ego Campbella?

– Wczoraj otrzymaliśmy ostateczne wyniki sekcji zwłok Campbella i Wenicka. Choć organy wewnętrzne Campbella zostały usunięte, pracownicy naszych laboratoriów, współpracujący ze stanowym lekarzem sądowym, zdołali wyizolować z niektórych tkanek ślady adrenaliny o bardzo wysokim stężeniu oraz mieszanki diazepam i ketaminy, którą zastosowano zapewne jako środek uspokajający. Oficjalna przyczyna zgonu Tommy’ego Campbella to uszkodzenie mięśnia sercowego, spowodowane przedawkowaniem stężonej adrenaliny.

– O Boże...

– Tak. Dziwne, prawda?

– Ale... Przecież to może być tylko zbieg okoliczności, prawda? Jeśli dobrze cię zrozumiałam, jedyne, co łączy śmierć Banforda z Renesansowym Zabójcą, to adrenalina i orientacja seksualna, tak? I dlaczego policja w ogóle nie wzięła pod uwagę hipotezy, że Banford mógł być jednak ofiarą zabójstwa?

– Nie mieli żadnych dowodów prócz tego, co znaleźli w jego sypialni. Żadnych odcisków palców, żadnych śladów szamotaniny – nic, co nie pasowałoby do obrazu życia prowadzonego wówczas przez Banforda. Jego przyjaciele mówili, że często wspominał o samobójstwie, a wszystkie ślady w jego pokoju wskazywały na taki właśnie scenariusz albo na przypadkowe przedawkowanie – kiedy go znaleziono, siedział na łóżku przykryty kocem, odtwarzacz DVD wciąż działał, na stoliku nocnym leżała otwarta książka. Współlokatorzy Banforda zeznali również, że kiedy wrócili do domu w nocy – tej samej nocy, której Banford spoczywał już martwy w swoim łóżku – drzwi mieszkania jak zawsze były zamknięte na klucz i wszystko wyglądało zupełnie normalnie.

– Więc być może rzeczywiście to było samobójstwo albo nieumyślne przedawkowanie.

– Być może. – Markham skinął głową. – Ale w raporcie z miejsca przestępstwa znalazły się dwa ciekawe szczegóły, na które do tej pory nikt nie zwrócił uwagi. Pierwszym była płyta DVD, którą Banford prawdopodobnie oglądał w chwili śmierci – płyta skradziona ze sklepu, w którym przez jakiś czas pracował i z którego zwolniono go tydzień wcześniej. Policja nie widziała nic dziwnego w tym, że właśnie taka płyta znalazła się w pokoju Banforda – byłego studenta historii sztuki i ASP, który, zdaniem jego znajomych, nadal uważał się za przedstawiciela oświeconej narkotykami inteligencji.

– Co to była za płyta?

– Film dokumentalny pod tytułem *Michał Aniol: autoportret*.

– Dobry Boże – mruknęła Cathy, po czym spojrzała na agenta, tknięta nagłą myślą. – Sam, wspominałeś o dwóch szczegółach. Proszę, nie mów mi, że miałaś też na myśli tę otwartą książkę na stoliku Banforda.

– Owszem. Książkę wydaną tamtej wiosny. Pierwsze wydanie *Uśpionego w kamieniu*.

Cathy poczuła, jak kręci jej się w głowie, nim jednak przeraziła się na dobre, dostrzegła oczywisty błąd w rozumowaniu agenta FBI.

– Chwileczkę. To, co mówisz, nie ma większego sensu. Jeśli Banford poznał Renesansowego Zabójcę albo w Series X, albo za pośrednictwem Craigslist, to jak ten psychopata mógł połączyć Gabe'a z moją osobą? Przecież Banford w ogóle już wtedy nie studiował, a z Uniwersytetu Browna odszedł dwa lata wcześniej.

– Tak, jestem tego świadomy.

– I dlaczego Renesansowy Zabójca miałby kraść moją książkę ze sklepu, w którym pracował Banford? Dlaczego zostawiłby ją w jego pokoju?

– Wcale nie mówiłem, że zabójca ukradł książkę.

– Więc chcesz powiedzieć, że zrobił to Banford?

– Otóż to.

– Sam, proszę, miesza mi się już w głowie. Czy to oznacza, że Gabe Banford ukradł płytę i książkę dla Renesansowego Zabójcy?

– Nie, Cathy. – Markham pokręcił głową. – Po prostu, moim zdaniem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Renesansowy Zabójca połączył Banforda z twoją osobą dopiero po tym, jak go poznał. Być może zauważył go w Series X albo skontaktował się z nim internetowo, niewykluczone też, że dostrzegł go w księgarni, w której Banford wówczas pracował. Mógł wybrać go z wielu powodów – może mu się spodobał, a może reprezentował



sobą wszystkie te cechy współczesnej kultury, którymi Renesansowy Zabójca tak gardzi. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy, bo klub nie działa już od trzech lat, a komputer Banforda został zniszczony. Przypuszczam, że Renesansowy Zabójca tak czy inaczej zamierzał zamordować Gabriela. Myślę, że wybrał go, by zaspokoić jakąś chorą żądzę – początkowo być może tylko seksualną – ale to twoja książka pozwoliła mu lepiej zrozumieć tę żądzę, osadzoną oczywiście w jego homoseksualizmie. Być może dzięki tej książce doszukał się jakichś analogii między swoim związkiem z Banfordem a tym, co łączyło Michała Anioła i Cavalieriego. Krótko mówiąc, to ty, Cathy, pomogłaś mu skupić się na tym większym celu.

– Nie rozumiem.

– W zeszłym tygodniu obejrzałem dokładnie okolice farmy w Burrillville, posiadłości Campbellów w Watch Hill i lasom otaczającym Blackamore Pond w Cranston. Początkowo myślałem, że porwania Campbella i Wenicka może łączyć fakt, iż obaj w krytycznym momencie znajdowali się nad wodą, potem jednak uświadomiłem sobie, że każde z tych miejsc – łącznie z farmą – można bez przeszkód obserwować z dużej odległości. Werandę Campbellów widać z wybrzeży Foster Cave, miejsce, w którym zniknął Wenick, z drugiego brzegu stawu Blackamore, a zagrodę dla kóz z pobliskiego wzgórza. To oznacza, że Renesansowy Zabójca mógł przez długi czas spokojnie śledzić swoje ofiary i zaplanować porwanie w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy dowiedzieliśmy się o tej historii z Banfordem, sprawdziłem, jak wygląda okolica jego mieszkania przy East Side. I jak myślisz, co tam znalazłem? Zgadza się, to samo – doskonały punkt obserwacyjny, z którego jak na dłoni widać sypialnię Banforda, czyli narożny pokój na drugim, najwyższym piętrze budynku. To oznacza, że Renesansowy Zabójca mógł sprawdzać, kiedy Banford jest w swojej sypialni, albo – co ważniejsze – kiedy go w niej nie ma.

– Chcesz powiedzieć, że zabójca włamał się tam pod nieobecność Banforda, a potem na niego czekał?

– Nie mam pojęcia, Cathy, ale jakoś trudno mi uwierzyć, że ta historia z adrenaliną w ciele Banforda i z twoją książką w jego mieszkaniu to czysty przypadek. Kiedy się nad tym zastanowić, całkiem sensowne wydaje się przypuszczenie, że Renesansowy Zabójca dowiedział się o tobie i twojej książce, kiedy już postanowił zabić Banforda. Bez wątplenia bardzo starannie dobiera ofiary, które mają służyć realizacji jego wielkiego planu. Okoliczności śmierci Banforda – fakt, że jego ciało zostało w łóżku, że nie upozowano go w żaden sposób – wskazują na to, że morderca nie był jeszcze w pełni świadomy, co właściwie jest jego celem. W gruncie rzeczy mamy więc dwa możliwe scenariusze wydarzeń, które za pośrednictwem Banforda doprowadziły Renesansowego Zabójcę do twojej książki i twojej

osoby. W pierwszym Banford znalazł swojego zabójcę i powiedział mu o książce, albo o tym, że chodził na twoje zajęcia. Zgodnie z drugim scenariuszem, Renesansowy Zabójca był w sypialni Banforda, zanim go zabił, i doznał wówczas czegoś w rodzaju objawienia. Zobaczył DVD i twoją książkę przez przypadek, znalazł je w świecie swojej ofiary, i nagle zrozumiał, dlaczego los ich ze sobą połączył. Dopisało mu szczęście, w takim samym sensie, w jakim dopisało nam, kiedy natrafiliśmy na nazwisko Banforda, sprawdzając listy twoich studentów. Być może zabójca nie miał pojęcia, że jego ofiara jest nie tylko właścicielem tej książki, ale i jednym z twoich dawnych studentów. Pozostaje jeszcze kwestia śmierci Banforda. Kiedy chłopak był nafaszerowany heroiną, zabójca mógł bez problemu wejść do pokoju przez okno, po schodach przeciwpożarowych, i z łatwością obezwładnić ofiarę. Kto wie, może Banford był tak oszołomiony, że sam otworzył mu okno – może zaprosił go do pokoju, bo myślał, że to Wróżka Zębuszka czy ktoś w tym rodzaju. Tak czy inaczej, jestem przekonany, że to właśnie Banford zwrócił uwagę Renesansowego Zabójcy na ciebie i twoją książkę. Jestem też pewien, że Renesansowy Zabójca był w pokoju Banforda, kiedy ten umierał, i że to on wstrzyknął mu adrenalinę i zmusił do oglądania filmu o życiu Michała Anioła.

– Dlaczego miałby go zmuszać do oglądania filmu?

– Żeby go obudzić, oczywiście. Z tego samego powodu morduje swoje ofiary przy użyciu adrenaliny.

Cathy spojrzała na Markhama w osłupieniu.

– Kiedy nasz organizm wytwarza najwięcej adrenaliny? – spytał agent.

– Kiedy jesteśmy podnieceni... nie, kiedy się boimy, oczywiście.

– A czego ludzie boją się najbardziej?

– Pewnie śmierci.

– Być może. Ale można też postawić całkiem odmienną tezę; że strach przed życiem to najbardziej przerażające doznanie, z jakim mamy do czynienia, i jako takie wyzwala najwięcej adrenaliny. Jest to jednak strach, o którym szybko zapominamy; doświadczenie przelotne, ale tak potężne, że jedyne, co nasz umysł może z nim zrobić, to zapomnieć. Mówię tutaj o strachu, który towarzyszy nam w chwili opuszczenia łona matki, o strachu rodzącego się dziecka.

– Czego się uczę w twoich lic ozdobie, niech się myśl ludzka pojąć nie spodziewa – wyrecytowała Cathy w zamyśleniu.

– Kto chce to poznać, wprzód umrzeć musi – dokończył cytując Markham.

– To oznacza, że kiedy ich zabija, chce, by doświadczyli tego samego objawienia co on. Poprzez ten strach rodzą się na nowo. Dłoń rzeźbiarza budzi ich, uwalnia z łona – z

kamienia.

– Tak. Tommy Campbell żył, gdy usunięto mu penis i zaszyto ranę. To oznacza, że Renesansowy Zabójca chciał, by Campbell zobaczył, kim się stał, i by dzięki temu zrozumiał prawdziwą naturę swoich ponownych narodzin.

– On już wtedy zabił, Sam – oświadczyła nieoczekiwanie Cathy. – Kiedy przysłał mi ten sonet... Renesansowy Zabójca już kilka miesięcy wcześniej zabił Gabe'a Banforda.

– Tak, Cathy. Więc być może te cytaty i sonety nie były jedynie próbą skontaktowania się z tobą. Może Renesansowy Zabójca nie tylko mówił ci w ten sposób, że rozumie, ale próbował ci też w pewnym sensie podziękować za to, że pokazałaś mu, dlaczego zamordował Banforda, za to, że pokazałaś jego prawdziwy cel. Natknął się na niego przypadkiem i pewnie właśnie dlatego uważał to za boskie zrządzenie, dzieło opatrności.

Cathy wzdrygnęła się, przeszyta zimnym dreszczem, lecz następna wypowiedź Markhama przeraziła ją jeszcze bardziej niż myśli o Renesansowym Zabójcy.

– Myliłem się co do tego faceta, Cathy. Myliłem się, sądząc, że najpierw zabił kozę, a potem Michaela Wenicka, że zaczynał od zwierząt, a potem przeszedł do ludzi. Powinienem być się tego domyślić od samego początku, bo takie rozwiązanie było dla zabójcy praktyczniejsze, to znaczy – wybaczyć, że ujmę to w ten sposób – najpierw zdobyć górną połowę satyra, a potem jego dolną część, czyli nogi. Chcę powiedzieć, że Renesansowy Zabójca potrafił konserwować, „rzeźbić” ludzkie ciała, nim porwał Wenicka i Campbella – ciała, które zamierzał wystawić na widok publiczny. Fakt, że od razu nie dostrzegłem rzeczy tak oczywistej, był z mojej strony prawdziwie amatorskim błędem, a popełniłem go zapewne ze względu na niezwykle, niespotykany dotąd sposób działania zabójcy. Dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy Cathy. Liczę, że pomożesz mi zrozumieć umysł tego człowieka, przejrzyć jego zamiary.

– Zrobię, co będę mogła, Sam – odparła bez zastanowienia Cathy.

– Dziękuję. – Markham skinął głową. Przez chwilę w samochodzie panowała cisza, którą mącił jedynie szum opon.

– Przed chwilą wspomniałaś o pewnej sprawie – powiedziała w końcu Cathy. – Mówiłaś, że zabójca opanował już technikę rzeźbienia. Czy to oznacza, że prawdopodobnie zabił jeszcze innych ludzi? Że zabijał przez te pięć i pół roku, które minęły od śmierci Branforda do zaginięcia Campbella i Wenicka? Że mordował tylko po to, by eksperymentować i doskonalić technikę tworzenia, jak artysta?

– Mam nadzieję, że się mylę, Cathy, ale nie mogę zapomnieć zdjęć z twojej książki – zdjęć pierwszych dzieł Michała Anioła, płaskorzeźb i mniejszych posągów, które tworzył,

nim pokazał światu swoją pierwszą rzeźbę naturalnej wielkości, *Bachusa*. I choć seryjni zabójcy zwykle przechodzą przez coś, co nazywamy okresem uspokojenia, choć ten Renesansowy Zabójca jest człowiekiem niezwykle wyrachowanym i cierpliwym, nie wydaje mi się, żeby czekał z kolejnym morderstwem aż pięć i pół roku. Poza tym, choć podobieństwo do postaci *Bachusa* musiało być dla niego bardzo ważne, to jeśli weźmiemy pod uwagę, co stało się z Banfordem – i prawdopodobnie z Campbellem – równie ważne jest przebudzenie samych postaci, a nie tylko publiczny odbiór głębszego przesłania rzeźby. Mam jedynie nadzieję, że ponieważ ten człowiek jest tak cierpliwy i tak bardzo dba o szczegóły, że gotów był podjąć ryzyko i zamordować osobę publiczną, Tommy'ego Campbella, być może nie chciał ryzykować, że zostanie złapany podczas eksperymentów z innymi ofiarami.

– Więc być może Gabriel Banford też był eksperymentem.

– Tak, choć mógł być również częścią większego, jeszcze niesprecyzowanego planu. Być może nigdy nie dowiemy się, czy Banford był pierwszą ofiarą Renesansowego Zabójcy, ale sądząc po wynikach poszukiwań prowadzonych przez Rachel Sullivan, to on pierwszy zginął od nadmiaru adrenaliny – w policyjnych kartotekach z ostatnich dziesięciu lat nie ma ani jednego przypadku podejrzanej śmierci, związanej z przedawkowaniem epinefryny.

– Ale jeśli Renesansowy Zabójca rzeczywiście ulepszał swoją technikę jak artysta – rozmyślała głośno Cathy – jeśli w ciągu ostatnich pięciu lat eksperymentował potajemnie z wykorzystaniem adrenaliny i konserwacją ciał, to nie wiadomo, ilu jeszcze ludzi zabił przed Campbellem i Wenickiem, przed stworzeniem *Bachusa*.

– Tego się właśnie obawiam, Cathy. Tego się właśnie obawiam.

## Rozdział 18

Oddział FBI w Bostonie. Dziesięć po dziesiątej.

Bill Burrell siedział przy stole konferencyjnym i wpatrywał się ponuro w kawę. Miał ochotę zapalić – ogromną ochotę – ale nie chciał wychodzić na zewnątrz w obawie, że przegapi połączenie z Quantico. Markham i historyczka sztuki trochę się spóźniali – Sullivan powiedziała mu, że utknęli w korku na drodze dojazdowej, gdzie doszło do jakiegoś wypadku. „Całe szczęście” – pomyślał Burrell, gdyż oddział w Bostonie miał tego dnia kłopoty z połączeniem wideo – kwestia plam na słońcu albo uszkodzonego kabla koncentrycznego, jak wyjaśnił mu technik. Bez względu na przyczynę awarii Burrell nie zamierzał być tego dnia wyrozumiały. Nie, raport Rachel Sullivan, z którym zapoznał się rano – informacje o Gabrielu Banfordzie i przedawkowaniu adrenaliny – z pewnością nie poprawił mu humoru. Buldog wyczuwał instynktownie, że zbliżająca się telekonferencja z Quantico również nie będzie należała do przyjemnych, bo choć Sam Markham wciąż miał nadzieję, że sprawa dotyczy tylko trzech ofiar, Burrell był niemal pewien, że ten sukinsyn, Renesansowy Zabójca, ma na rękach nie tylko krew Banforda, Wenicka i Campbella.

– Przepraszam, Bill – powiedział Markham, wchodząc do sali. – Musiałem wstąpić do biura i załatwić odpowiednie dokumenty dla doktor Hildebrant. Cathy, pamiętasz agenta specjalnego Billa Burrella?

Przy dużym konferencyjnym stole siedziało jeszcze kilku innych ludzi, ale tylko Burrell i Rachel Sullivan podnieśli się z krzeseł, by ich przywitać.

– Oczywiście. – Cathy skinęła głową. – Miło mi znów pana widzieć. I panią także, agentko Sullivan.

– Proszę mówić mi Rachel.

– A mnie Bill – dodał Burrell. – Proszę, siadajcie.

Agent FBI, którego przedstawiła Cathy – choć natychmiast zapomniała jego imienia – zwolnił dla niej miejsce po drugiej stronie stołu. Cathy i Markham usiedli w końcu naprzeciwko Burrella i Sullivan i odwrócili się w stronę wielkiego monitora, zawieszzonego na ścianie. Cathy zauważyła nagle jeszcze jednego mężczyznę, który stał na czworakach i zanurzał właśnie głowę w szafce o drzwiczkach dopasowanych idealnie do pokrytej drewnem

ściany.

– Wybaczcie, ale mamy dziś drobne problemy techniczne – powiedział Burrell. –  
Może się czegoś napijecie? Kawy?

– Nie, dziękuję. Sam... to znaczy agent specjalny Markham już mnie poczęstował.

– Więc powiedział ci też, czego się możesz dziś spodziewać?

– Tak.

– To dobrze. – Burrell kiwnął głową. – Najpierw w imieniu Federalnego Biura Śledczego chciałbym cię powitać na pokładzie. Chciałbym też podziękować ci osobiście za pomoc, której nam dotąd udzieliłaś, i za to, że zgodziłaś się pracować z nami przy tej sprawie. Dzięki twojemu zaangażowaniu udało nam się stworzyć portret psychologiczny tego zabójcy, Cathy. Zakładam, że kiedy jechaliście tutaj z Providence, Sam poinformował cię o postępach w śledztwie? Opowiedział ci o twoim byłym studencie Gabrielu Banfordzie i o tym, co mogło łączyć go z Renesansowym Zabójcą?

– Tak.

– Tym wątkiem zajmuje się Rachel. Zbada dokładnie sprawę Banforda i być może znajdzie jakieś konkretne tropy łączące go z zabójcą – wspólnych znajomych, korespondencję internetową i tak dalej. Jej zespół będzie również zajmował się wszystkimi niewyjaśnionymi zaginięciami, które miały miejsce w Rhode Island i najbliższym sąsiedztwie stanu od śmierci Banforda do dzisiaj – sprawami dotyczącymi innych młodych mężczyzn, których ten Renesansowy Zabójca mógł porwać i zabić, nim dopadł Wenicka i Campbella.

– Widzisz, Cathy – wtrącił Markham. – Seryjni zabójcy często celowo wybierają swoje ofiary z konkretnej grupy lub warstwy społecznej, ludzi spełniających określone kryteria, które z jakiegoś powodu zaspokajają ich psychologiczną potrzebę zabijania, są motywacją ich zbrodni. Oczywiście, mordercy mogą być nieświadomi tych motywacji, ale mogą też doskonale zdawać sobie z nich sprawę.

– Zgadza się – przytaknął Burrell. – Biorąc pod uwagę portret psychologiczny tego Renesansowego Zabójcy, który stworzyliście razem z Markhamem, możemy przypuszczać, że facet morduje młodych mężczyzn. Dlatego Sullivan i jej zespół będą zwracali szczególną uwagę na przypadki zaginięć młodych męskich prostytutek i włóczęgów, które miały miejsce na terenie Rhode Island w ciągu ostatnich sześciu lat. Do takiej grupy należał Gabriel Banford, który zaczął kraść i prostytuować się, żeby zdobyć pieniądze na narkotyki. Poza tym tego rodzaju ofiary są zazwyczaj łatwiejszym celem dla zabójców, bo często przenoszą się z miejsca na miejsce i bywa, że nikt nie zgłasza ich zaginięcia – dzięki temu Renesansowy Zabójca nie ściągnałby na siebie uwagi policji, doskonaląc swoje rzemiosło.

– Tak – zgodziła się z nim Sullivan. – Jak już pewnie poinformował cię agent Markham, wychodzimy z założenia, że po śmierci Banforda Renesansowy Zabójca chciał udoskonalić technikę konserwowania i malowania ciał, którą wykorzystał potem w swoim *Bachusie*. Jednak bierzemy też pod uwagę hipotezę, że zabójca znał już techniki balsamowania, więc inny zespół będzie sprawdzał pracowników zakładów pogrzebowych, wypychaczy zwierząt i innych ludzi, którzy dysponują nie tylko odpowiednią wiedzą, ale mają też dostęp do substancji potrzebnych do zakonserwowania zwłok. Więcej informacji o tych środkach otrzymamy właśnie dziś, z laboratoriów w Quantico. Kiedy już dowiemy się dokładnie, jak zabójca zakonserwował Campbella i Wenicka, będziemy mieli podstawy do dalszych poszukiwań.

– Wszystko gotowe, szefie – oznajmił mężczyzna, który trzymał głowę w ścianie. Cathy rozpoznała technika, który w Watch Hill wyposażył ją w laptopa.

Burrell skinął głową, a monitor zawieszony na ścianie ożył, ukazując dwóch mężczyzn siedzących przy stole, jednego w garniturze, drugiego w fartuchu laboratoryjnym.

– Widzimy was, panowie – powiedział Burrell. – A wy?

– Tak, Bill – odpowiedział mężczyzna w garniturze. – Widzimy was doskonale.

– Świetnie. Znaście tu prawie wszystkich, Alan, ale chciałbym wam przedstawić doktor Catherine Hildebrant. Zgodziła się zostać konsultantką w tej sprawie, będzie pomagała Samowi w Providence. Cathy, to Alan Gates, szef sekcji behawioralnej numer 2 w Quantico. Obok niego siedzi doktor Gilbert Morris, który kieruje działem chemii w laboratoriach FBI.

Obaj mężczyźni skinęli uprzejmie głowami.

– No dobrze, panowie, co dla nas macie?

– Dziś rano rozmawiałem z agentem specjalnym Markhamem, Bill – zaczął szef sekcji, Alan Gates. – Przekazał mi najnowsze informacje, więc podczas tej konferencji będę zdawał się na niego. Sam oficjalnie zajmuje się tą sprawą z naszego ramienia i zapewnił mnie, że całkowicie ufa waszemu zespołowi – szczególnie agentce Sullivan, która doskonale się spisuje jako koordynatorka i łącznik między waszym oddziałem a Narodowym Centrum Analizy Zbrodni.

– Cieszę się – odparł Burrell. – Doktorze Morris?

– Dziękuję, Bill. Kazano mi wam przekazać, że naukowcy z działu śladów kryminalistycznych jeszcze dziś prześlą do waszego biura raport dotyczący drewnianej podstawy i pnia.

– Świetnie.

– Jeśli chodzi o nasz dział, to jeden z moich asystentów właśnie przygotowuje

dokładny opis wszystkich substancji, jakie znaleźliśmy w zwłokach, ale opowiem wam pokrótce, co udało nam się ustalić do tej pory. – Mężczyzna w białym fartuchu przesunął stertę kartek. – Po pierwsze, nie znaleźliśmy w substancji użytej do wykonania skóry lwa, misy i włosów niczego, co różniłoby ją od popularnej mieszanki Magic-Sculpt dla rzeźbiarzy amatorów, którą można kupić w internecie i sklepach specjalistycznych.

– Rozumiem. – Burrell pokiwał głową. – Moi ludzie już się tym zajmują.

– Dział toksykologii, współpracujący ze stanowym lekarzem sądowym, potwierdził, że do śmierci Tommy'ego Campbella doprowadziło wysokie stężenie epinefryny w jego organizmie. Pięć lat temu moglibyśmy to przegapić, Bill, bo środki użyte przez zabójcę w procesie konserwacji znacząco zmieniły strukturę komórek. Niewykluczone jednak, że nigdy nie zdołamy uzyskać próbki tej epinefryny w na tyle czystej postaci, by dało się ustalić jej źródło. To samo dotyczy diazepamu i ketaminy. Będziemy informować was na bieżąco o wszelkich postępach w tej kwestii.

– Świetnie.

– Mój zespół z laboratoriów z Quantico ustalił, że zabójca konserwował swoje ofiary za pomocą metody zwanej plastynacją – procesu, w którym woda i tkanki tłuszczowe organizmu zostają zastąpione utwardzanymi polimerami.

– Plastynacją? – powtórzył Burrell, marszcząc brwi.

– Tak. Metoda ta jest stosowana coraz powszechniej na świecie; pierwszy opracował ją w latach siedemdziesiątych pewien niemiecki naukowiec, niejaki doktor Günther von Hagens. W ciągu ostatnich dziesięciu lat kilkakrotnie prezentował wystawy zakonserwowanych zwłok, zwane Body Worlds. Podobna ekspozycja zorganizowana przez pewną chińską firmę odbiła się echem na całym świecie i wywołała spore kontrowersje. Szczegóły opisałem w raporcie, ale, ogólnie rzecz biorąc, obie te wystawy niewiele różnią się od siebie – przedstawiają grupę pozbawionych skóry, czasami częściowo rozciętych zwłok, ułożonych jak żywi ludzie podczas zwykłych codziennych czynności. Poszczególne części ciała, poddane plastynacji, sprzedaje się również akademiom medycznym i weterynaryjnym na całym świecie, ale są bardzo drogie.

– I co o tym myślisz, Alan? Może ten facet studiował kiedyś medycynę? A może nawet pracował w takiej firmie?

– Może – odparł Gates. – Niestety jednak, informacje o procesie plastynacji można bez problemu znaleźć w internecie. Każdy, kto choć trochę zna się na chemii, a na dodatek ma motywację i odpowiednie środki, może metodą prób i błędów sam dojść do tego, jak przeprowadzić taki proces.



– Zgadza się – przytaknął doktor Morris. – Wygląda na to, że zabójca konserwował swoje ofiary, usuwając im najpierw organy wewnętrzne, a potem zanurzając je w roztworze wodnym formaldehydu. Następnie poddawał ciała kąpeli w bardzo zimnym acetonie, który wypłukiwał z tkanek wodę i tłuszcz, wpływając na ich miejsce. Kolejny etap to kąpiel w płynnym polimerze, w tym wypadku w gumie silikonowej. W sztucznie wytworzonej próżni aceton wrze i paruje w bardzo niskiej temperaturze, a jego miejsce w komórkach zajmuje polimer. Kiedy ciała były jeszcze elastyczne, zabójca je wypychał, ustawiał w żądanej pozycji na metalowej ramie – prawdopodobnie podwieszał je również na drutach – i suszył. Trzeba pamiętać, że polimer należy poddać procesowi utwardzania; zabójca prawdopodobnie podgrzewał go promieniami ultrafioletowymi.

– Jezu Chryste... – mruknął Burrell.

– Tak – westchnął Gates. – Facet podjął się naprawdę sporego przedsięwzięcia. Musi mieć jakieś duże pomieszczenie – pracownię, jeśli wolno mi to tak nazwać – w którym prowadzi te prace. I niemało pieniędzy. Niektóre urządzenia, takie jak lampy ultrafioletowe czy hermetyczną wannę potrzebną do kąpeli w acetonie i polimerze, mógł pewnie zrobić sam, ale ogrom czasu, jaki musiał poświęcić na opracowanie procedury i samą konserwację ciał, jest naprawdę oszałamiający. Zakładamy, że było to od ośmiuset do tysiąca dwustu godzin.

– Więc rozmawiamy o człowieku, który ma mnóstwo wolnego czasu? A przy tym jest niezależny i bogaty?

– Prawdopodobnie – potwierdził Gates. – Od czasu zniknięcia Campbella do dnia, w którym znaleźliśmy ciała w Watch Hill, minęło niewiele ponad trzy miesiące. Nawet jeśli ten gość nie miał nic innego do roboty, to ostatnio prawdopodobnie nie sypiał zbyt wiele.

Na sali zapadło milczenie.

– Kupno lub kradzież dużych ilości acetonu i gumy silikonowej, potrzebnych do procesu plastynacji, to dobre punkty zaczepienia – przerwał ciszę Gates. – Zajmą się tym nasze zespoły w Quantico.

Burrell skinął głową.

– Sprawa następna – odezwał się ponownie doktor Morris. – Farby i polimery z substancji, którą zabójca pomalował ciała Campbella i Wenicka: nasz zespół ustalił, że jest to mieszanka lakierów samochodowych firmy Starfire, w tym farby gruntowej i lakieru bezbarwnego. Podobnie jak żywicę epoksydową, wszystkie te farby można bez problemu kupić w specjalistycznych sklepach albo przez internet. Zabójca naniósł oczywiście co najmniej kilka warstw lakieru, używając do tego rozpylacza. Jednak, co ciekawe, z farbą

zmieszany był biały pył, który udało nam się zidentyfikować jako sproszkowany marmur.

– Marmur? – powtórzył ze zdziwieniem Burrell. – Taki jak kamień, z którego tworzy się rzeźby?

– Tak jest, właśnie to mam na myśli, Bill. Skała metamorficzna, powstała z przeobrażenia wapieni o składzie, kolorze i gęstości właściwym jedynie marmurowi wydobywanemu w pewnym konkretnym kamieniołomie we Włoszech.

– Carrara – wyrwało się Cathy.

– Zgadza się, doktor Hildebrant – potwierdził Gilbert Morris. – Sproszkowany marmur, który znaleźliśmy w farbie, został bez wątpienia wydobyty w Carrarze.

– Skąd wiedziałaś, że chodzi właśnie o tę miejscowość, Cathy? – spytał Burrell.

– Carrara to małe miasteczko we Włoszech, odległe o jakieś sto kilometrów od Florencji – tłumaczyła Cathy. – Marmur pozyskiwany w tamtejszym kamieniołomie to jeden z ulubionych surowców rzeźbiarzy już od czasów starożytnego Rzymu, wiele najwspanialszych posągów w Wiecznym Mieście zostało wykonanych właśnie z tego kamienia, podobnie jak niezliczone rzeźby renesansowe. Michał Anioł cenił marmur kararyjski bardziej niż surowiec z własnych kamieniołomów w Pietrasanta, głównie ze względu na jego piękno i konsystencję. W nim też wyrzeźbił większość swoich arcydzieł.

– Te kamieniołomy działają do dzisiaj? – spytała Rachel Sullivan.

– Tak. O ile mi wiadomo, marmur kararyjski nadal uważany jest ze jedną z najlepszych odmian na świecie, a posągi z tego kamienia eksportuje się na cały świat. Jest jednak bardzo drogi.

– Wygląda więc na to, że ten Renesansowy Zabójca nie tylko zadał sobie wiele trudu, żeby zdobyć ciało Tommy'ego Campbella, ale i wydał mnóstwo pieniędzy, żeby sprowadzić marmur z Carrary. To może być nasz najlepszy trop. Sullivan, dopilnuj, żeby ktoś sprawdził dane o imporcie marmuru kararyjskiego na Rhode Island, dobrze? Może uda wam się dotrzeć do informacji o dostawach przeznaczonych dla handlarzy, którzy specjalizują się w sprzedaży posągów z tego właśnie kamienia.

– Zrobi się.

– Powinniście też sprawdzić wszystkie doniesienia o kradzieży marmuru lub marmurowych posągów z tego terenu z ostatnich sześciu lat. Może ten facet właśnie tak zdobył ten proszek – ukradł rzeźbę i sam ją pokruszył.

– Dobrze.

Kiedy doktor Morris mówił o wynikach badań dotyczących metalowej ramy posągu, Cathy zerkała niespokojnie na Sama Markhama. Oprócz różnego rodzaju dokumentów z

oddziału FBI w Providence Markham przywiózł ze sobą również egzemplarz *Uśpionego w kamieniu*. Cathy nie widziała, na której stronie otworzył książkę, ale domyślała się, czego szukał. Jakby czytając jej w myślach, Sam podniósł wzrok i spojrzął kobiecie prosto w oczy.

– Zdaje się, że doktor Hildebrant chciałaby coś powiedzieć – oświadczył głośno. – Śmiało, Cathy. Chodzi ci o *Bachusa* Michała Anioła, prawda?

– Tak – potwierdziła Cathy, a w sali znów zapadła cisza. – Choć Michał Anioł wyrzeźbił swoje największe dzieła z bloków marmuru kararyjskiego, do stworzenia *Bachusa* użył marmuru rzymskiego. To znaczy marmuru, który nie pochodził z Carrary.

– I co z tego? – spytał Burrell. Cathy spojrzała na Markhama, a ten skinął ze zrozumieniem głową i uśmiechnął się do niej zachęcająco.

– Mów, Cathy.

– Cóż... – zaczęła niepewnie. – Biorąc pod uwagę to, co już wiemy o Renesansowym Zabójcy – o jego przywiązaniu do szczegółów, które kazało mu nawet umieścić posąg w otoczeniu podobnym do oryginalnego – raczej trudno przypuszczać, by celowo i błędnie użył marmuru kararyjskiego, podczas gdy mógł bez problemu zdobyć znacznie tańszy i gorszy jakościowo marmur rzymski.

– Nie rozumiem – pokręcił głową Burrell – a co to za różnica? Facetowi najwyraźniej tak bardzo zależy na tym, żeby upodobnić się do Michała Anioła, że postanowił po prostu użyć jego ulubionego surowca. Może chciał udoskonalić oryginał – sprawić, żeby jego *Bachus* był lepszy od rzeźby Michała Anioła.

– Doktor Hildebrant chce powiedzieć, że Renesansowy Zabójca nie zrobiłby tego – wtrącił Markham.

– Dlaczego?

– Bo gdyby od początku zamierzał kupić marmur specjalnie do *Bachusa*, z pewnością wybrałby dokładnie taki kamień, jaki został użyty w oryginale. Doktor Hildebrant chce więc powiedzieć, że zabójca użył marmuru z Carrary prawdopodobnie dlatego, że już go miał – że pierwotnie chciał wykorzystać go do czegoś innego. Czegoś bardziej odpowiedniego.

– Czyli? – spytał Burrell.

Kiedy Markham podniósł swój egzemplarz *Uśpionego w kamieniu*, Cathy i wszyscy inni uczestnicy przekonali się, na co patrzył od dłuższego czasu.

Przecucie nie zawiodło Cathy.

Sam Markham pokazywał wszystkim zdjęcie *Dawida* Michała Anioła.

## Rozdział 19

Tego popołudnia Rzeźbiarz znów był Christianem. W towarzystwie kobiet przedstawiał się jako Mike albo Michael, lecz teraz, gdy zadawał się z chłopcami, znów był Christianem. W skrócie Chris. Tak. To musiał być Chris – taka właśnie forma wydawała się właściwa, zdecydowanie odpowiedniejsza.

Chris.

*Chris, Chris, Chris.*

Chris siedział w swojej toyocie camry, jakieś trzy przecznice od hotelu Providence, gdzie miał się spotkać z RounDaWay17. Z tego miejsca widział cały Kennedy Plaza, a tu właśnie miał wkrótce przybyć jego wybraniec. Chris obiecał wcześniej RounDaWay17, że hojnie wynagrodzi mu podróż autobusem z Bostonu, powiedział również, że jest biznesmenem z Nowego Jorku, który zatrzymał się w Providence tylko na jedną noc i że RounDaWay17 jest właśnie tym, kogo szuka. RounDaWay17 z kolei oznajmił Chrisowi, że jego prawdziwe imię to Jim i że ma dwadzieścia jeden lat, ale sądząc po zdjęciach, na których pokazywał się bez koszuli i tak dalej, miał zapewne nie więcej niż szesnaście, siedemnaście. Prawdopodobnie pochodził z latynoskiej rodziny, był szczupły, ale nie nazbyt drobny – te proporcje czyniły zeń idealny materiał do następnego projektu Rzeźbiarza. Oczywiście całkowitą pewność będzie miał dopiero wtedy, gdy zobaczy RounDaWay17 na własne oczy. Jak dotąd mężczyzna, który dziś nazywał siebie Chrisem, był bardzo zadowolony ze swojego wyboru.

Dokonanie właściwego wyboru było znacznie trudniejsze w wypadku kobiet, bo w gruncie rzeczy ani Mike, ani Michael nigdy nie rozumieli kobiet – nigdy nie wiedzieli, do czego właściwie zmierzają, nawet jeśli spotykali się z nimi osobiście, podrywali je nocą na ulicach South Providence. Lecz wtedy Rzeźbiarz nie dysponował takimi umiejętnościami jak teraz; nie umiał tak skutecznie ukrywać swojego prawdziwego adresu IP, gdy kupował materiał do rzeźb na Craigslist z taką samą łatwością, z jaką kupowałby ubrania w Gapie. Tak, kilka lat temu Rzeźbiarz był jeszcze zwykłym amatorem.

Lecz teraz – niemal sześć lat od czasu, gdy po raz pierwszy zobaczył anioła w czerni w Series X, niemal sześć lat po tym, jak wyrwał go z uśpienia, tak, sześć lat po tym, jak got

imieniem Gabe zapoznał go z doktor Hildebrant – Rzeźbiarz dysponował już ogromnym doświadczeniem.

Mężczyzna zwany Chrisem uśmiechnął się radośnie na widok RounDaWay17, który wysiadł z autobusu na Kennedy Plaza i ruszył w stronę hotelu. Chris oparł łokieć na drzwiach i ukradkiem podniósł do oczu lornetkę – nie przejmował się szczególnie faktem, że był środek dnia i że ktoś może go zobaczyć. Nie, okna w jego toyocie były przyciemnione, tablice rejestracyjne fałszywe, a sam samochód nie rzucał się szczególnie w oczy pośród setek innych pojazdów, które tłoczyły się na ulicach centrum Providence. Gdy obarczony torbą podrózną RounDaWay17 przeszedł przez ulicę, niemal ocierając się o niebieską toyotę camry, Chris był bliski łez. Rzeźbiarz dobrze wybrał swojego Jezusa – zarówno ze względu na jego urodę, jak i na wymiary, dzięki którym doskonale pasował do Maryi. Owszem, Maryja nie była jeszcze gotowa, ale Rzeźbiarz zamierzał zająć się tym w weekend, kiedy materiał na Jezusa będzie dojrzewał w powozowni, w wielkiej szpitalnej wannie z nierdzewnej stali.

Rzeźbiarz był pewien, że ukończy *Pietę* znacznie szybciej niż poprzednio *Bachusa* – to przedsięwzięcie nie wymagało tylu przygotowań ani unikatowego materiału, z którego wykonał tamten posąg. Nie, teraz, gdy skupił na sobie uwagę całego świata, gdy wszyscy zaczęli się wreszcie budzić, Rzeźbiarz mógł wykorzystać łatwo dostępny materiał – *okazyjny* materiał, który tak czy inaczej świetnie nadawał się do realizacji jego projektu.

Poza tym najważniejsza część *Piety* miała bezpośredni związek z doktor Hildebrant. O tak, musiał podziękować jej za pomoc; musiał okazać swoją wdzięczność w sposób bardziej spektakularny niż napis na postumencie – prawdę mówiąc, ten pomysł wydawał mu się teraz dość głupawy. Owszem, Rzeźbiarz nienawidził internetu, nienawidził telewizji i mediów, ale od początku wiedział, że jednym z nieuniknionych elementów jego planu będzie codzienne monitorowanie sprzedaży *Uśpionego w kamieniu* oraz innych książek o Michale Aniele, a także śledzenie rosnącego zainteresowania twórczością tego artysty, czego wyrazem były filmy dokumentalne, prezentowane w telewizji, artykuły w czasopismach, różne talk-show, statystyki tematów w wyszukiwarkach internetowych, i tak dalej. I choć doktor Hildebrant nie udzieliła jeszcze żadnego wywiadu, choć nie wypowiedziała się jeszcze publicznie na temat swojej książki, Rzeźbiarz był zachwycony oddźwiękiem, z jakim spotkał się jego *Bachus* – sukcesem, który – o czym wiedział tylko Rzeźbiarz i być może FBI – w dużej mierze był zasługą poczciwej doktor Hildy.

„Tak” – postanowił Chris, uruchamiając silnik. – „Później przyjdzie czas na podziękowania. W weekend”.

Wracając myślami do swojej ofiary, Chris pozwolił, by RounDaWay17 zniknął w

bocznej uliczce, po czym włączył się z powrotem do ruchu i objechał najbliższy kwartał, by go wyprzedzić. Zaparkował przy ulicy, ustawił lusterko wsteczne i czekał na nachodzącego młodzieńca.

– Jim? – zawołał po chwili, opuszczając szybę. RounDaWay17 zatrzymał się raptownie, wystraszony, i zmrużył oczy. Mike i Michael wiele razy widzieli ten sam wyraz twarzy u kobiet – wygłodniałe, zdesperowane spojrzenie, pełne zarazem podejrzliwości i strachu. Jednak sądząc ze zdjęć, które Rzeźbiarz oglądał w internecie, RounDaWay17 nie lubił się szprycować jak got imieniem Gabe albo niektóre kobiety z South Providence. Oczywiście, nie mógł być tego pewien, miał jednak nadzieję, że jeśli RounDaWay17 lubi narkotyki, to ślady igieł są z tyłu nóg, jak u kobiet.

No tak, ale te kobiety stanowiły raczej kiepski materiał.

– To ja Jim. Chris.

W oczach młodego człowieka pojawił się błysk zrozumienia. Instynktownie powiódł spojrzeniem po ulicy, a potem zerknął na tablice rejestracyjne samochodu Chrisa. Kobiety też to robiły.

– O mój Boże – westchnął Chris, gdy RounDaWay17 podszedł do okna. – Tak się cieszę, że wpadłem na ciebie, zanim wszedłeś do hotelu. Miałem zostawić ci wiadomość w recepcji, ale oszczędziłeś mi kłopotu. Popieprzyli coś z moją rezerwacją. Wiem, że mówiłem ci o Westinie, ale w końcu zatrzymałem się w Marriotcie, przy Orms Street. Podjedziemy tam, wskakuj.

RounDaWay17 ponownie rozejrzał się dokoła, kierowany instynktowną podejrzliwością.

– Możemy też spotkać się na miejscu – dodał z uśmiechem Chris. – To kawał drogi, więc będziesz musiał złapać taksówkę. Jak wolisz.

RounDaWay17 wahał się jeszcze przez moment, po czym szybko przeszedł do drzwi pasażera, wrzucił torbę na tylne siedzenie i zajął miejsce obok Chrisa.

Ruszyli.

– Muszę przyznać, Jim – zaczął po chwili Chris – że wyglądasz znacznie lepiej niż na zdjęciach.

RounDaWay17 uśmiechnął się słabo. Chris widział, że jego towarzysz się denerwuje. Wiedział, że za chwilę zacznie się zwierzać, jak dawno tego nie robił – być może powie nawet, że to jego pierwszy raz; podobnie czyniły niektóre kobiety. Mike i Michael byli jednak na tyle bystrzy, by domyślić się, że kobiety kłamią, a gdyby RounDaWay17 rzeczywiście powiedział coś takiego, Chris również wiedziałby doskonale, że to kłamstwo.

Chris zatrzymał się przed światłami przy wjeździe na drogę numer 10, prowadzącą do Cranston. Był pierwszy w kolejce. To się dobrze składało.

– Byłeś tu kiedyś? – spytał Chris, wskazując na centrum handlowe Providence Place Mall.

– Parę razy – odparł młody człowiek.

– Może potem kupię ci tu coś fajnego.

RounDaWay17 uśmiechnął się ponownie – tym razem nieco swobodniej, spokojniej.

Światło zmieniło się na zielone. Chris wjechał na drogę.

– Jedziemy do Cranston? – spytał RounDaWay17.

– Widzisz tę reklamę nowego sklepu z ubraniami? – odpowiedział pytaniem Chris.

Gdy RounDaWay17 przekrzywił głowę, by wyjrzeć przez okno pasażera – odsłaniając tym samym tętnicę szyjną – Rzeźbiarz natychmiast zaatakował.

Syk i trzask wystrzału przestraszył młodego mężczyznę bardziej niż ból wywołany przez igłę, która wbiła się w jego ciało. RounDaWay17 odruchowo podniósł rękę do szyi, jego dłoń zacisnęła się na strzałce, a wzrok powędrował ku twarzy napastnika. Było już jednak za późno na jakąkolwiek obronę. Nim jeszcze oczy RounDaWay17 zasłży mgłą, Rzeźbiarz dostrzegł w nich błysk zrozumienia i strachu.

Potem chłopiec stracił świadomość – osunął się bezwładnie na siedzenie pasażera i pogrążył w głębokim uśpieniu, nim jeszcze wyjechali na autostradę.

Rzeźbiarz wyjął strzałkę z szyi młodzieńca, zdjął perukę i okulary, po czym schował wszystko pod fotelem. Spojrzał we wsteczne lusterko, przesuając dłonią po wygolonej głowie.

Teraz znów był Rzeźbiarzem. I znów się uśmiechał. Tak, Rzeźbiarz wiedział, że gdy RounDaWay17 ponownie otworzy oczy, dozna boskiego wyzwolenia.

## Rozdział 20

– Co cię gryzie, Cathy?

Było późne popołudnie, stali w korku na rozjeździe dróg numer 93 i 95. Odkąd skończyła się konferencja i Cathy wypełniła wszystkie konieczne dokumenty, zamienili ze sobą zaledwie kilka słów.

– Moje życie – wyszeptła nagle Cathy – całe moje życie poświęcone było twórczości Michała Anioła. Teraz już nigdy nie będę mogła spojrzeć na jego rzeźby, prowadzić zajęć – nigdy nawet nie będę mogła o nim *myśleć* – bez skojarzeń z...

Cathy umilkła nagle i załapała się łzami. Markham w milczeniu sięgnął do jej dłoni, a ona pozwoliła, by ją uściśnął. Czowała, jak ich palce splatają się ze sobą.

– Przykro mi – powiedział po chwili agent i zamilkł ponownie.

Lecz to wystarczyło Cathy Hildebrant. Gdy trailblazer wyjechał w końcu na drogę 95, gdy mogli wreszcie przyspieszyć, uświadomiła sobie, że jej twarz obeschła już z łez.

Do końca podróży oboje milczeli.

Sam Markham nie wypuścił jednak dłoni Cathy.

– Jutro lecę do Waszyngtonu – powiedział, parkując przed domem Polków. – Muszę załatwić parę spraw i pozbierać resztę swoich rzeczy. Wrócę w poniedziałek rano. Nasi ludzie nadal będą cię obserwować, ale chciałbym, żebyś zadzwoniła do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Nawet gdybyś po prostu miała ochotę z kimś pogadać, zgoda?

– Tylko jeśli ty obiecasz mi to samo.

Markham uśmiechnął się lekko.

– Obiecuję.

– Dobrze, więc ja też obiecuję.

Wtedy Cathy zrobiła coś, czego nie robiła jeszcze nigdy w życiu: niczym niesprowokowana, kierowana jedynie odruchem, pochyliła się i pocałowała mężczyznę w policzek.

– Dziękuję ci, Sam – powiedziała i uciekła z samochodu.

Dopiero gdy znalazła się w kuchni Polków, gdy Janet zapytała, jak minął jej dzień, Cathy uświadomiła sobie, co właściwie zrobiła. W chwili gdy nieśmiała historyk sztuki



zaczęła niepowstrzymanie chichotać, Markham ponownie spojrzął w lusterko wsteczne.

Wciąż się czerwienił.

## Rozdział 21

– Przebudź się, synu Boga.

„Dlaczego tata mówi po angielsku?”

Siedemnastoletni uciekinier z Virginia Beach uśmiechnął się do siebie, zadowolony, że wrócił w końcu do domu. Jednak z jakiegoś nieznanego mu powodu jego łóżko było tego ranka zimne i twarde, czuł też, jak mocno wali mu serce, niemal uderzając o...

„Podłoga na dworcu autobusowym. Znow zasnąłem na dworcu”.

Paul Jimenez uniósł powieki i natychmiast je przymknął, gdy w oczy uderzyły go oślepiająco jasne promienie światła.

„Nie” – pomyślał. – „To coś innego. Nie mogę się obudzić”.

– Cholera, jakiś gówniany towar – wyszeptał. – Eliot, ty skur...

Potem jednak Paul Jimenez przypomniał sobie, że nie rozmawia już z Eliotem – nie widział go od ponad pół roku, odkąd psy zwinęły go za kradzież tych czeków. Poza tym Paul nigdy nie brał tyle tego gówna, ile Eliot – właściwie w ogóle już go nie brał. Miał szczęście, bo ktoś ostrzegł go przed tym prawie rok temu, gdy dopiero co przyjechał do miasta. Powiedział mu o tym ten facet, którego spotkał w bostońskiej bibliotece publicznej; facet, który odsłonił w uśmiechu rząd złotych zębów, gdy Paul powiedział mu, że jest czysty; facet, który tłumaczył mu, jakie pieniądze może zarobić na Arlington Street, jeśli się nie stoczy.

„Ale jeśli tylko zaczniesz brać to gówno, będzie po tobie, synu” – mówił. – „Nikt nie zapłaci dobrze za ćpuna. Masz być czysty i zdrowy. Pamiętaj o tym”.

Paul znow uniósł nieco powieki. Otoczony świetlistą mgiełką, uświadomił sobie nagle, że nie leży na dworcowej posadzce; nie leżał nawet na podłodze w mieszkaniu Briana – tej zimnej drewnianej podłodze, na której sypiał ze znajomymi przez ostatnich kilka miesięcy i na której kiedyś karaluch próbował wejść mu do ucha. Ale z pewnością leżał – tak, czuł na plecach i pośladkach dotyk czegoś twardego i zimnego jak stal. Był też oszołomiony, nie mógł się ruszać – musiał się jednak czegoś naćpać. Jednocześnie czuł, jak jego tętnice pulsują energią, serce wali jak młot, a światło...

„Muzyka? Ktoś podrzucił mi jakieś gówno w klubie? Leżę w łazience w Chinatown?”

Przez moment wydawało mu się, że widzi tańczące postacie, światła obmywające

młodych mężczyzn, studentów – niektórzy gotowi byli zrobić to za darmo, inni chcieli na tym zarobić, kupić sobie jakieś fajne ciuchy. Wszystko jedno.

„Pierdolone buce”.

– Otóż to – rozbrzmiał męski głos, który wydawał się Paulowi dziwnie znajomy. – Wyjdź z kamienia.

Paul próbował coś powiedzieć, ale bolało go gardło – czuł się tak, jakby połknął szklankę igieł. Potem poczuł ukłucie na przedramieniu. Serce biło mu coraz szybciej – szybciej niż wtedy, gdy wyznał tacie, że lubi chłopców; szybciej niż wtedy, gdy tata zamknął go w pokoju hotelowym z prostytutką w nadziei, że dzięki temu jego syn zostanie jednak normalnym mężczyzną; i szybciej niż wtedy, gdy tata zawiózł go na dworzec autobusowy, kupił mu bilet do Bostonu i powiedział, żeby nie wracał już nigdy do domu. Poza tym te uderzenia były inne – mocniejsze, boleśniejsze – czuł je w czubkach palców u rąk i nóg, w każdej komórce ciała.

– Gdzie ja jestem? – spytał chrapliwym głosem. Białe światło przed jego oczami przybrało kształt prostokąta...

„To pewnie Plaża” – pomyślał, gówniane kino, w którym jako Jim spotykał się z klientami w ostatnim rzędzie na szybkie „z połykiem” albo bez – oczywiście, dziesięć procent jego doli trafiało do kierownika kina. Ale chodził tam, nim jeszcze zaczął korzystać z komputera w bibliotece, nim zaczął prowadzić działalność online, która pozwalała mu zarabiać prawdziwe pieniądze. Owszem, czasami pracował też na Arlington Street, ale tylko w razie konieczności; tylko wtedy, gdy...

„Nie” – pomyślał Paul. „To nie jest Plaża”. Ekran lśnił zbyt jaskrawo, był zbyt blisko jego twarzy. Nagle odzyskał w pełni świadomość, wspomnienia wróciły do niego wezbraną falą, obrazy niesione przez pulsującą krew wypełniały jego mózg niczym woda balon.

„Mężczyzna w samochodzie. Wielki facet w garniturze. Chris. Wszystko szło dobrze. Gość dał się nabrać na tę starą niewinną gierkę. Potem splunął na mnie – nie, uszczypnął mnie w szyję; uśmiechnął się do mnie, kiedy...”

Paul instynktownie próbował usiąść prosto, oderwać się od zimnej stali za jego plecami, nie mógł jednak podnieść głowy, nie mógł nawet obrócić jej na bok. Poczuł też na ramionach jakiś delikatny, łaskoczący dotyk. Chciał podnieść ręce, ale były czymś obwiązane w nadgarstkach; choć nie widział swoich piersi, ud ani kostek u nóg, zrozumiał nagle, że mężczyzna imieniem Chris przywiązał go do stołu.

Nagiego.

„A więc stało się” – pomyślał Paul z przerażeniem. – „W końcu wpadłem w łapy

jakiegoś szaleńca”.

Oczywiście, gdy pracował jeszcze na ulicach Bostonu, wiele razy miał do czynienia z różnymi dziwakami – pewnego razu pozwolił nawet, by jeden z klientów założył mu pieluszkę i bił go pasem. Właściwie powinien był potem trafić do szpitala, ale zarobił na tym numerze tyle, że przez kilka tygodni mógł odpoczywać u Briana i zapomnieć o pracy. Ale tym razem wydarzyło się coś naprawdę niepokojącego. Facet wstrzyknął mu jakieś świństwo – czuł to w piersiach, w dłoniach i stopach, mocne, bolesne pulsowanie.

Musiał coś wymyślić. Szybko.

– Dogodzę ci, jak tylko zechcesz, kochany – powiedział jako Jim. – Ale najpierw musisz mi powiedzieć, co mam robić. – Głos Paula brzmiał czysto i wyraźnie, zdawało się jednak, że znika tuż przed nim, jakby wchłaniała go ciemność. Nagle ekran przed jego oczami rozblęsnął i ożył.

Paul ujrzał białawy marmurowy posąg, unoszący się w mroku zaledwie kilkanaście centymetrów od jego oczu. Paul natychmiast go rozpoznał. Była to rzeźba Jezusa i Maryi, która stała zawsze na toalecie jego mamy: mała biała figurka, której nie wolno mu było dotykać, na którą matka spoglądała podczas odmawiania różańca.

„Pietà” – pomyślał Paul. – „Tak to właśnie nazywała. Pietà”.

Tak, widział wyraźnie Maryję w powłóczystych szatach, wpatrzoną w ukrzyżowanego Jezusa, leżącego na jej kolanach; tę samą wersję Jezusa, któremu tak często przyglądał się Paul, gdy rodziców nie było w domu. Natychmiast wróciły do niego wspomnienia sprzed lat; najpierw dziwne podniecenie, a potem, gdy był już starszy, poczucie winy, które niosło ze sobą każde spojrzenie na ciało Jezusa. Już w wieku sześciu lat czuł dziwnie przyjemne mrowienie w kroczu, gdy patrzył na tego niemal całkiem nagiego mężczyznę.

– Wszystko rozumiem – powiedział Paul i Jim. – Wiem, co cię kręci, mnie też się to podoba. Ale najpierw pogadajmy o interesach, żebyśmy się mogli dobrze bawić. Co ty na to, kochanie?

– Ciii... – rozległ się ponownie głos mężczyzny. – Patrz na ekran, Boży Synu.

Paul wiedział, że to Chris, facet z samochodu, z internetu. Czuł, jak ogarnia go panika, myśli przemykały przez jego umysł w rytm tętniącej krwi. Musiał zachować spokój i trzeźwość myślenia, musiał wydobyć się jakoś z tego gówna, w które wpakował go ten dupek. Nagle obraz widoczny na monitorze zaczął się zmieniać, koncentrować przede wszystkim na twarzy Jezusa.

– Otóż to – powiedział Chris w ciemności, gdzieś na prawo od Paula. – Otrząśnij się ze snu, Boży Synu.

Podobnie jak Tommy Campbell, który leżał w tym samym miejscu trzy miesiące wcześniej, Paul próbował obrócić głowę, zobaczyć człowieka ukrytego w mroku, widział jednak tylko rzeźbę wyświetloną na ekranie, a właściwie jedynie zbliżenie twarzy Jezusa. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał, a nawet lepiej – była znacznie staranniej wyrzeźbiona, znacznie dokładniejsza niż tania kopia, którą kupiła jego matka. Malował się na niej cudowny spokój, akceptacja śmierci – piękno, którego nie mógł nie dostrzec nawet ogarnięty paniką Paul.

– Poważnie, kochany, podoba mi się to. Możemy robić, co tylko zechcesz, ale wszystko boli mnie w środku od tego gówna, które mi podałeś. I muszę się umyć od tyłu, kochanie. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Paul nie kłamał, mówiąc o bolesnym tętnieniu krwi, ale nie miał najmniejszego zamiaru dogadzać temu facetowi. O nie, gdy tylko ten wariat go rozwiąże, kopnie go z całej siły w jaja, pobiegnie do drzwi i ucieknie. Tak, Paul gotów był wybiec nago na ulicę. Przecież nawet Jim widział, że ten gość jest naprawdę mocno popieprzony.

Paul naparł z całej siły na krępujące go więzy. W tym samym momencie obraz na ekranie znów zaczął się zmieniać. Podobnie jak niegdyś Tommy Campbell, zapatrzony w wizerunek Bachusa, Paul Jimenez nie mógł oderwać wzroku od ciała Jezusa, nad którym powoli przesuwała się kamera. Widział jego pierś z delikatnie zaznaczoną raną w boku, ślad po gwoździu w jego dłoni, nogi i w końcu przebite stopy.

Nagle – może dzięki instynktowi ulicznika, a może dzięki temu gównu, które pulsowało w jego żyłach – Paul wszystko zrozumiał. Tak, nagle uświadomił sobie ze zgrozą, że Chris – czy jak tam naprawdę miał na imię ten dupek – chce go zabić.

– Ty skurwysynu! – wrzasnął, oblewając się zimnym potem. – Wypuść mnie, a nikomu nic nie powiem. Mam przyjaciół. Dowiedzą się, kim jesteś, ty pojebany świrze! Powiedziałem im, dokąd jadę! Znajdą cię w komputerze, debilu!

Żadnej reakcji – prócz bolesnego bicia jego serca. Obraz znów się zmienił i tym razem Paul zobaczył tylko siebie, tylko swoją twarz. Wciąż próbował się uwolnić, wił się i szarpał, nie przestając nawet wtedy, gdy ujrzał na swojej głowie jakiś pasek i perukę z długimi falującymi włosami. Od razu domyślił się, że te włosy mają go upodobnić do Jezusa.

– Pomocy! – krzyknął, gdy kamera zaczęła przesuwać się w dół jego ciała. – Niech ktoś mi pomoże!

Nie próbował już wypatrzeć w mroku kamery ani człowieka, który go filmował. Teraz jego umysł zaprzętała tylko jedna myśl: Niech ktoś mnie stąd zabierze albo zginę!

Paul szarpał się gwałtownie, obserwując jednocześnie z coraz większym przerażeniem

obraz widoczny na ekranie. Napiął jeszcze mocniej mięśnie, gdy zobaczył pasek oplatający jego pierś, a potem ranę, która otworzyła się w jego boku i zaczęła obficie krwawić. Znieruchomiał instynktownie. Nie odczuwał bólu, ale czuł jakąś ciepłą wilgoć na dłoniach. Nim jeszcze kamera przesunęła się niżej, wiedział już dobrze, co zobaczy. Zaczął płakać.

– Proszę, Boże... – szlochał, wciąż wpatrując się w ekran, choć widok krwawych otworów w jego dłoniach przyprawiał go o mdłości. – Nie rób mi tego, proszę! Poprawię się, obiecuję! Nie chcę umierać. Chcę wrócić do domu. Obiecuję ci, Boże.

Paul zaczął dygotać – strach i świństwo krążące w jego żyłach połączyły się teraz w jedno. Miał wrażenie, że za chwilę oczy wyjdą mu z orbit. Usiłował je zamknąć, utrzymać w miejscu, ale musiał poddać się woli niewidzialnej siły.

– Patrz – mówił Chris, delikatnie przytrzymując palcami powieki Paula. – Patrz, a zrozumiesz. Patrz, a w końcu będziesz wolny.

Kamera pokazywała teraz stopy Paula – drżące, pokryte krwią, która wypływała z ran zadanych przez Rzeźbiarza. Paul próbował odwrócić głowę, oderwać wzrok od tego przerażającego widoku, zdawało się jednak, że łzy wypełniające jego oczy tylko wyostrzają obraz, dodają mu mocy.

– Proszę, Boże, nie chcę iść do piekła...

Gdy jego serce w końcu ustało, gdy zamarło przeniknięte ostatnią dawką adrenaliny, duch Paula Jimeneza uleciał nie tyle na skrzydłach przerażenia, wywołanego krwawym dziełem Rzeźbiarza, ile jednej uporczywej myśli.

Nikt nie wie, jak się nazywam.

Nikt nie wie, jak się nazywam.

## Rozdział 22

Cathy Hildebrant otarła łzy, zamknęła laptopa i zgasila nocną lampkę. Zrobiło się już późno, a ona była zmęczona. „Przemęczona” – pomyślała. – „I chyba za bardzo rozdygotana”. Lecz mimo podszeptów głosu rozsądku Cathy wciąż czuła się głęboko poruszona relacją „Providence Journal” z pogrzebu Tommy’ego Campbella, którą właśnie przeczytała – nie dlatego, że na prywatną ceremonię pogrzebową w Westerly przyleciała cała drużyna Boston Rebels; nie dlatego, że wzruszyły ją słowa jednego z najlepszych przyjaciół Campbella, który stwierdził, że „Tommy zrobił karierę, bo umiał zdobywać punkty, ale był cudownym człowiekiem, bo umiał zjednywać sobie innych ludzi”. Nie, tym, co doprowadziło Cathy do łez, były dwa wersy na samym końcu artykułu – niewielki dopisek, właściwie jedynie wzmianka o tym, że tego samego ranka odbył się również kameralny pogrzeb w Cranston.

Cathy zasypiała dręczona myślami o Michaelu Wenicku. Drwiący głos w jej głowie pytał ją wciąż, czy Renesansowy Zabójca także czytał ten artykuł, dokuczał jej, powtarzając: „Widzisz? On miał rację!” – a jednocześnie krzychał: „Wstydz się, świecie! Wstydz się, że nie widzisz satyra za Bachusem!” Tyle że Cathy widziała satyra – gdy tylko myślała o rodzinie Wenicków siedzących w kościele św. Marka, stawała jej przed oczami ta zniekształcona twarz, upiorny uśmiech satyra, jedzącego uskubane winogrona. O tak, Cathy widziała satyra aż za dobrze – widziała go w ciemnościach pokoju gościnnego Polków równie wyraźnie, jakby przy świetle latarki wpatrywała się w otwartą trumnę Michaela Wenicka.

Tuż po północy Cathy obudziła się raptownie. Śniła jej się matka, a serce wciąż waliło ze strachu po tym, jak we śnie omal nie wpadła pod furgonetkę.

„Mama miała odebrać mnie ze szkoły” – myślała Cathy. – „Ale przejechała obok w tym dziwnym, długim i czarnym samochodzie. Prowadził ktoś inny, a ona krzyczała coś do mnie przez okno. Próbowałam za nią pobiec, wybiegłam na ulicę, ale miałam strasznie ciężkie nogi. Wpadłabym pod tę furgonetkę, gdybym się nie obudziła”.

Choć bardzo często o niej myślała i choć ogromnie za matką tęskniła, rzadko śniła o niej. I choć wciąż obawiała się wspomnień z tego dnia, gdy oglądała *Bachusa* Renesansowego Zabójcy w Watch Hill – wspomnień, które od dwóch tygodni towarzyszyły jej każdej nocy – ten dziwny koszmar wystraszył ją na tyle, że wstała z łóżka i zapaliła

światło.

Spojrzenie pani doktor padło na egzemplarz *Uśpionego w kamieniu*, leżący na stoliku nocnym. Szczegóły przerażającego snu szybko zamazywały się w jej pamięci, nadal jednak nie mogła pozbyć się wywołanego przez ów koszmar strachu. Z powodów, których nigdy nie była potem w stanie zrozumieć, sięgnęła po książkę i otworzyła ją na stronie zaznaczonej poprzedniego wieczoru – na jednej z wielu stron, które zaznaczyła w nadziei, że pomogą jej znaleźć klucz do umysłu Renesansowego Zabójcy.

Jej wzrok padł na zdjęcie detalu rzeźby *Noc* Michała Anioła, jednej z sześciu marmurowych postaci, wykonanych przez artystę w latach 1520-1534 i umieszczonych w Kaplicy Medyceuszy przy bazylice San Lorenzo we Florencji, na grobowcach książąt Guliana i Lorenza Medici. Oba nagrobki powstały według tego samego schematu – marmurowy, siedzący posąg księcia znajduje się w płytkiej wnęce nad sarkofagiem z jego szczątkami, a po obu stronach kopulastego wieka grobowca spoczywają dwie alegoryczne postacie – *Noc* i *Dzień* u Guliana, *Zmierzch* i *Jutrzenka* u Lorenza. Tekst umieszczony pod zdjęciem brzmiał następująco:

Szczególnie w przypadku *Nocy* naukowcy długo zastanawiali się nad niezwykleym kształtem lewej piersi posągu. Jak już wspominałam uprzednio, omawiając proporcje postaci *Piety watykańskiej*, historycy sztuki – a od pewnego czasu nawet chirurdzy plastyczni – przez długi czas uważali, że ten właśnie element jest świadectwem niefrasobliwości, z jaką artysta traktował kobiece ciało, lub nawet jego niewiedzy w tym temacie. Owszem, podobnie jak u wielu innych kobiet dłuta Michała Anioła, piersi *Nocy* wydają się zniekształcone i „przyklejone” do męskiego torsu. Jednak od pewnego czasu panuje wśród naukowców zgoda co do tego, że wygląd lewej piersi posągu jest wynikiem celowego działania, a nie błędem lub swego rodzaju niedoróbką. Tezę tę potwierdzają badania przeprowadzone przez pewnego onkologa z Amerykańskiego Centrum Leczenia Nowotworów, który znalazł w lewej piersi *Nocy* trzy anomalie typowe dla zaawansowanego stadium raka: duże wybrzuszenie na wysokości sutka; jego spuchniętą otoczkę; obszar ściągniętej skóry z boku. Wszystkie te objawy świadczą o obecności guza pod sutkiem.

Jak zauważył ów ceniony onkolog, nie można się dopatrzeć podobnych anomalii w prawej piersi *Nocy* czy też w piersiach *Jutrzenki* – ani w żadnej z innych kobiecych postaci, wyrzeźbionych przez Michała Anioła. Wszystko wskazuje więc na to, że modelką Michała Anioła była w tym wypadku kobieta z zaawansowanym rakiem piersi – żywa lub martwa – co



znalazło wierne odbicie w kształcie marmurowego posągu.

Abstrahując jednak od wyglądu zniekształconej piersi, należy stwierdzić, że po raz kolejny postać kobiety przypomina posturą mężczyznę z doczepionym biustem, jakby Michał Anioł postrzegał kobiecość głównie przez pryzmat „części” odróżniających obie płcie, a nie potrafił do końca pojąć, jak owe części komponują się z całością. Z drugiej jednak strony, istnieje teoria, że Michał Anioł *celowo* przedstawiał kobiety w taki właśnie sposób – jako męskie ciała z kobiecymi atrybutami – bo, jak już mówiliśmy wcześniej, uważał ciało mężczyzny za estetycznie doskonalsze.

Niemniej jednak, biorąc pod uwagę, że Michał Anioł wyrzeźbił guzy tylko na jednej z czterech piersi, zdobiących Kaplicę Medyceuszy – i pamiętając o tym, że to właśnie *Noc*, najmroczniejsza i najbardziej złowieszcza spośród wszystkich postaci, została przedstawiona jako ofiara wyniszczającej choroby – można być pewnym, że artysta nie tylko zdawał sobie sprawę, iż wybruszenia nie są jedynie wadą estetyczną, ale że celowo ukazał „chorobę piersi” *Nocy* – schorzenie, które w czasach Renesansu uważano za skutek nadmiaru *czarnej* żółci w organizmie – jako jeden z subtelnych elementów, tworzących metaforyczne przesłanie całego nagrobka. Odpowiedź na pytanie, do jakiego stopnia Michał Anioł pojmował tę chorobę jako formę raka – czy postrzegał ją w kontekście szerszym niż ten, w jakim opisywała go tradycyjne medycyna renesansowa, oparta na teorii tak zwanych humorów – pozostaje jednak kwestią otwartą.

Starając się zapomnieć o obrazach z koszmarnego snu, które wciąż zaprzątały jej umysł, Cathy siedziała na łóżku i przez długi czas przyglądała się wizerunkowi *Nocy*. Pamiętała dokładnie okoliczności, w jakich zrobiła to zdjęcie – studiowała wówczas jeszcze na Harvardzie i miała stary wysłużony aparat marki Nikon. Oczywiście, nie przypuszczała wtedy, że wykorzysta kiedyś tę fotografię w swojej książce, i to w tak profetycznym kontekście, dotyczącym choroby, która zabiła jej matkę. Właśnie tego samego popołudnia, gdy zostawiła błonę ze zdjęciem *Nocy* w zakładzie fotograficznym we Florencji, mama przekazała jej telefonicznie tę okropną wiadomość.

„Nie chcę, żebyś się martwiła, Cat” – mówiła wówczas Kyon Kim. – „My, Koreanki, jesteśmy silne. Nic mi nie będzie”.

Bardziej niż ból wywołany tymi wspomnieniami, bardziej niż ponura ironia losu, który sprawił, że pisała ten rozdział, w czasie gdy jej matka poddawała się leczeniu w bostońskim szpitalu, dręczyło Cathy ponure przecucie, że coś *poza* tym snem – coś, co sięgało znacznie

głębiej niż obraz matki wołającej do niej z wnętrza czarnego auta – skłoniło ją, by zajrzała do rozdziału o *Nocy* i raku piersi.

– Tak, doktorze Freud – powiedziała głośno. – Dostrzegam oczywistą symbolikę. Długi czarny samochód to rak. Należy do pani Śmierci. To ona jest kierowcą, którego nie widzę. Mama siedzi obok, na fotelu pasażera, a Śmierć zabiera ją ze sobą. Nie chcę tego.

„Ale co z posągiem *Nocy*?” – odpowiedział głos w jej głowie. – „Dlaczego właśnie teraz postanowiłaś wrócić do fotografii, którą zrobiłaś tego samego dnia, w którym matka powiedziała ci o raku? Niezwykły zbieg okoliczności, prawda, Cat? Ale wtedy nie widziałas tego związku, czyż nie? Jeszcze we Florencji? Dopiero wiele lat później, gdy pracowałaś nad książką – kiedy już stan twojej matki się pogorszył – uświadomiłaś sobie, co się wtedy stało. Zupełnie jakby bogowie próbowali cię wówczas przed czymś ostrzec, Cathy – ale ty ich nie słyszałaś.

– Próbujesz mnie przed czymś ostrzec, mamó? – spytała Cathy. Spojrzała ponownie na książkę, na tekst pod zdjęciem:

Wszystko wskazuje więc na to, że modelką Michała Anioła była kobieta z zaawansowanym rakiem piersi – żywa lub martwa – co znalazło wierne odbicie w kształtach marmurowego posągu.

– Kobieta żywa lub martwa – powtórzyła Cathy. Raz jeszcze przeczytała cały tekst, pewna, że istnieje jakiś ukryty związek pomiędzy jej snem i posągiem *Nocy*, pomiędzy okolicznościami, w jakich powstawał ten rozdział, i słowami, które właśnie czytała – słowami stanowiącymi klucz do umysłu Renesansowego Zabójcy.

„Wiadomość ukryta w wiadomości” – rozmyślała Cathy. – „Odszyfruj ją, zanim ci ucieknie”.

Mama, zbieg okoliczności we Florencji, rak piersi, *Noc*.

Sen o mamie, wewnętrzny przymus obejrzenia zdjęcia *Nocy*, piersi, Renesansowy Zabójca.

– Jaki to wszystko ma ze sobą związek?

Abstrahując jednak od wyglądu zniekształconej piersi, należy stwierdzić, że po raz kolejny postać kobiety przypomina posturą mężczyznę z doczepionym biustem, jakby Michał

Anioł postrzegał kobiecość głównie przez pryzmat „części” odróżniających obie płcie, a nie potrafił do końca pojąć, jak owe części komponują się z całością.

– Części, które komponują się z całością – wyszeptała Cathy, przebiegając wzrokiem po słowach, które napisała ponad siedem lat wcześniej. – Części, części, części...

Z drugiej jednak strony, istnieje teoria, że Michał Anioł *celowo* przedstawiał kobiety w taki właśnie sposób – jako męskie ciała z kobiecymi atrybutami – bo, jak już mówiliśmy wcześniej, uważał ciało mężczyzny za estetycznie doskonalsze.

”Męskie ciała z kobiecymi atrybutami” – powtarzała w myślach Cathy. – „Ciało mężczyzny estetycznie doskonalsze”.

Stwierdzenie, celowe przesłanie, skierowane do widza? Przesłanie od Michała Anioła, od Renesansowego Zabójcy? Sen, przesłanie od mamy?

O co w tym chodzi, do cholery?

Mama. Kobieta. Żywa lub martwa? *Noc*. Kobieta. Żywa lub martwa?

Nie.

Mama. Rak mamy. Choroba. Rak piersi. Piersi? Piersi? Renesansowy Zabójca i piersi?

Czyżbym traciła rozum?

„Być może” – odparł Sam Markham w jej umyśle.

Cathy zamknęła książkę i odłożyła ją na nocny stolik. Miała kompletny mętlik w głowie – związek pomiędzy jej snem i poszukiwaniami Renesansowego Zabójcy, związek, którego była tak pewna, gdy zaglądała do *Uśpionego w kamieniu*, wydawał jej się teraz coraz dziwniejszym pomysłem.

„Więc teraz jesteś wariatką?” – spytał drwiący głos w jej głowie, przypominający do złudzenia głos Stevena Rogersa.

Cathy zignorowała go i zgasiła światło. Leżała przez długi czas w ciemnościach, daremnie czekając na sen, nękana myślami o bezładnej układance, w jaką zamieniło się jej życie.

– Nie zauważamy czegoś, prawda mamó? – wyszeptała po jakimś czasie. – Sam i ja, FBI – my wszyscy. Mamy to praktycznie przed oczami, coś ukrytego tuż pod powierzchnią, jak guz w piersi *Nocy*. Widzimy to, ale tego nie rozumiemy. Widzimy, ale patrzymy obok. Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć, Kyon Kim? Mamó, pomóż mi zrozumieć.

Jedyną odpowiedzią była cisza wypełniająca noc. Cathy miała ochotę zadzwonić do Sama Markhama, ale ze względu na późną porę postanowiła to odłożyć. Tak, porozmawia z nim jutro, po powrocie, gdy uporządkuje już myśli. W końcu zapadła w sen, kołysana myślami o Samuelu P. Markhamie, gdzie P. oznaczało zapewne „Przedmiot zauroczenia doktor Cathy Hildebrant”.

## Rozdział 23

Gdy Cathy w końcu pogrążyła się we śnie, Sam Markham, który siedział w swoim gabinecie z nogami na blacie biurka, wcale nie czuł się senny, choć zegar wskazywał już trzecią w nocy. Za kilka godzin leciał ponownie do Rhode Island, zakładał więc, że będzie miał sporo wolnego czasu w samolocie FBI, który miał go przewieźć z Quantico do Providence, i że wykorzysta ten czas, by przejrzeć materiały z czwartkowego spotkania. Coś go jednak niepokoiło, coś nie pasowało: coś, czym należało się zająć natychmiast, teraz.

Na jego kolanach leżał raport doktora Morrisa dotyczący procesu plastynacji – znaczna część zawartych w nim informacji pochodziła ze stron internetowych Body Worlds oraz Instytutu Plastynacji. Po uważnej lekturze raportu Markham musiał zgodzić się z Güntherem von Hagenssem, wynalazcą tej metody, który stwierdził, że – jak większość udanych wynalazków – plastynacja jest w teorii bardzo prosta.

Prosta.

To właśnie słowo nie dawało spokoju Markhamowi.

Prosta.

Tak, zdawało się, że – przynajmniej na pozór – jest to proces na tyle prosty, że może go wykonać każdy, kto dysponuje odpowiednim sprzętem. Po zatrzymaniu rozkładu, co osiągnano poprzez wpompowanie formaliny do żył i tętnic, należy wciągnąć ciekłą żywicę polimerową do każdej z komórek ciała metodą zwaną przez van Hagensa „wymuszonym nasyceniem próżniowym”. Na tym etapie, który następuje po pierwszej wymianie cieczy – ma ona miejsce podczas kąpieli acetonowej, kiedy to aceton zastępuje wodę i tkankę tłuszczową – element poddany procesowi umieszcza się w komorze próżniowej i poprzez obniżenie ciśnienia doprowadza aceton do wrzenia. W miejsce wysanego acetonu do komórek wnika wówczas roztwór żywicy polimerowej. Wymiana trwa do momentu, gdy cała tkanka zostanie nasycona żywicą, co zajmuje kilka dni w przypadku małych fragmentów, a kilka tygodni w przypadku całych ciał.

Kilka tygodni.

Proste w teorii, owszem. Ale jeśli nawet Renesansowy Zabójca dysponował środkami i wiedzą, które pozwoliły mu urządzić własne laboratorium, to musiałby mieć cały skład

gotowych części ciała...

Tak. Właśnie ten szczegół najbardziej niepokoił Sama Markhama. Informacje zawarte na stronie internetowej cyklu wystaw Body Worlds w sposób jednoznaczny określały, jak Instytut Plastynacji z Heidelbergu „nabywa” ciała – zdecydowana większość z nich pochodziła z „programu darowizn”. Korzystając z tego programu, darczyńcy zgadzali się oficjalnie, by po śmierci ich ciała trafiły do zespołu doktora Hagensa i zostały poddane plastynacji.

– Ale kim są ci ludzie? – spytał głośno Markham. – Jak się nazywają?

Markham ponownie przejrzał wydruk, lecz nigdzie nie mógł znaleźć nazwisk ofiarodawców. Tak, bez wątpienia było to znamienne dla wszystkich informacji, które właśnie przeczytał: znamienne dla nastawienia von Hagensa/Body Worlds/Instytutu Plastynacji. Nastawienia, które pomimo wylewnych, choć nieco sztampowych podziękowań pod adresem wszystkich ofiarodawców, żywych i martwych, charakteryzowało się traktowaniem ciał jako towaru, materiału dla rozrastającego się przemysłu badań anatomicznych – przemysłu, który nieustannie potrzebował ciał poddanych plastynacji.

Sam Markham, który wielokrotnie miał do czynienia z martwymi ciałami, dobrze rozumiał potrzebę obiektywizmu w świecie medycyny i badań anatomicznych, potrzebę równie istotną, jak w jego pracy – doskonale wiedział, że aby dobrze wykonać swoje zadania, należy traktować ofiarę morderstwa obojętnie, bez zaangażowania. Tak, z jednej strony Sam Markham świetnie rozumiał ten wymóg, konieczność traktowania darowanych ciał jedynie jako materiału. Z drugiej jednak strony, był pewien, że jeśli chodzi o wystawy Body Worlds – wystawy, które przedstawiają pozbawione skóry ciała, popijające kawę, ćwiczące karate, a nawet jeżdżące na koniu – ich twórcy podświadomie dają widzom do zrozumienia, że powinni postrzegać te postacie nie tylko jako „zastygłe w codziennym życiu”, ale też jako same ciała, całkowicie oddzielone od prawdziwego życia, które niegdyś wprawiało je w ruch.

„Nie, nigdy nie powinniśmy pytać, kim naprawdę byli ci ludzie...”

Markham pomyślał o Renesansowym Zabójcy – o umyśle, o duchu, który zdolny był stworzyć dzieło tak przerażające jak *Bachus*. W ciągu swej trzynastoletniej kariery w FBI nauczył się już, że wszyscy seryjni zabójcy do pewnego stopnia uprzedmiotawiają swoje ofiary. Wydawało się jednak, że w przypadku Renesansowego Zabójcy kwestia ta wygląda zupełnie inaczej.

„Tommy Campbell i Michael Wenick byli jedynie materiałem, tworzywem jego rzeźby” – rozmyślał. – „Tak jak żywica epoksydowa, drewno, żelazo i wszystko inne. Byli wyłącznie jednym z komponentów jego sztuki, jego przesłania, jego misji, której celem jest

wyrwanie nas z uśpienia”.

Materiał.

Markham przerzucił kilka kartek *Uśpionego w kamieniu*, wracając do strony, którą zaznaczył kilka godzin wcześniej – do słów Michała Anioła; zakreslił je na czerwono: „Im więcej zmarnowanego marmuru, tym doskonalszy posąg”.

Marmur. Materiał Michała Anioła – niektóre fragmenty tego materiału twórca przemieniał w arcydzieła, inne lądowały na podłodze pracowni, trafiały do śmieci. Stąd z jednej strony brał się szacunek dla materiału, a z drugiej zrozumienie, że część trzeba będzie odrzucić.

Martwe ciała. Materiał Renesansowego Zabójcy. *Na pewno* eksperymentował na innych, nim zabił Campbella i Wenicka, na pewno używał wcześniej ludzkich ciał, by udoskonalić swoją technikę – niektóre z nich, być może początkowo tylko fragmenty, zamienił w dzieła sztuki, poddane plastynacji; inne odrzucił, potraktował jako odpadki. Stąd szacunek dla materiału, dla estetycznie doskonalszego męskiego ciała, i równocześnie zrozumienie, że musi zmarnować ciała niektórych spośród swych ofiar, by osiągnąć wielkość.

„Marmur. Materiał. Martwe ciała. Męskie ciało estetycznie doskonalsze”.

Coś się tu nie zgadzało.

Coś, co było bardzo bliskie, bardzo proste, a mimo to pozostawało poza jego zasięgiem.

Markham westchnął i wyłączył lampkę. Musiał zmusić się do zaśnięcia, do myślenia o czymś innym. Gdy tylko położył się do łóżka, jego myśli natychmiast powędrowały ku Cathy. Sam nie chciał przyznać nawet przed sobą, jak bardzo brakowało mu jej w ciągu ostatnich trzech dni i jak się cieszył na ponowne spotkanie. Jeszcze bardziej dręczyła go jednak myśl, że nie dostrzega czegoś bardzo ważnego; czegoś, co może narazić uroczą historyczkę sztuki na niebezpieczeństwo; czegoś, co może sprawić, że znów straci osobę, na której bardzo mu zależy.

## Rozdział 24

Steven Rogers chlubił się swoim młodzieńczym wyglądem. Czterdziestopięcioletni nauczyciel akademicki o gęstych kręconych włosach, które regularnie farbował, czasami musiał jeszcze okazywać w barach dokument tożsamości, gdy wybierał się na piwo ze swoimi studentami – zdarzało się to dość rzadko, ale Steve bardzo lubił takie sytuacje, a szczególną przyjemność sprawiała mu reakcja zdumionych barmanów czy kelnerów, którzy spoglądali na datę urodzenia na jego prawie jazdy. Oprócz dobrych genów ów młodzieńczy wygląd zapewniała mu głęboko zakorzeniona próżność – oraz nieuświadomione i niesłabnące pragnienie podobania się płci przeciwnej. Tak, Steven Rogers pięć razy w tygodniu biegał po dziesięć kilometrów; uważał, by nie spożywać za dużo tłuszczów i węglowodanów; nadal używał hantli, które była żona kupiła mu na czterdzieste urodziny; i nadal starał się żyć według starego porzekadła, które matka wbijała mu do głowy od wczesnego dzieciństwa: Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. „Trzymaj się tego, synku” – mawiała – „a będziesz zdrowy, mądry i bogaty”.

Zdrowy? Owszem. Bogaty? Nie miał powodów do narzekań. Ale mądry? Cóż, nawet Steven Rogers musiał przyznać, że trudno na razie jednoznacznie rozstrzygnąć tę kwestię.

Tak, Rogers zrobił wiele głupstw w ciągu czterdziestu pięciu lat, które spędził do tej pory na ziemskim padole – a chyba największym z nich było pozostawienie tych e-maili od Ali na komputerze. To był naprawdę ogromny błąd. Musiał odłączyć, a potem zainstalować ponownie przeglądarkę AOL, zapomniał zmienić ustawienia opcji „zapisz pocztę na komputerze” i kilka miesięcy później jego żona dowiedziała się o wszystkim. „To było najgorsze” – pomyślał Steve. Te e-maile zalegały w komputerze przez kilka miesięcy, nim Cathy na nie trafiła.

„Głupi głupi głupi”.

Ali Daniels nie była wcale pierwszą ani jedyną kobietą, z którą Steve zdradzał Cathy Hildebrant podczas ich dwunastoletniego małżeństwa – pierwszą studentką, owszem, ale nie pierwszą kochanką. Przydarzyło mu się kilka innych historii, o których Cathy nie miała najlżejszego pojęcia; przelotne romanse z aktorkami i regularne spotkania z byłą dziewczyną, z którą widywał się co najmniej dwa razy w roku, na konferencjach naukowych. Ta druga



historia ciągnęła się jeszcze od czasów, nim oboje się pobrali, więc Rogers wcale nie czuł się szczególnie winny. Poza tym to *ona* miała dzieci.

W gruncie rzeczy Rogers czuł się dumny z tego, do jakiego stopnia pozostawał „wierny” Cathy Hildebrant podczas ich dwunastoletniego związku, bo w czasach kawalerskich był prawdziwym satyrem. Przypuszczał nawet, że gdyby włożył tyle energii w swoją karierę aktorską, ile wkładał w zaliczanie kolejnych dziewczyn, byłby teraz drugim Marlonem Brando – a przynajmniej Burtem Reynoldsem. W młodości często porównywano go do tego drugiego – w czasie studiów na Yale oburzał się na to porównanie, ale później, już po trzydziestce, chętnie je wykorzystywał, szczególnie jako drugorzędny aktor w pewnym prowincjonalnym teatrze.

O tak, Rogers był bardzo, bardzo próżny. Lecz prócz tej próżności przepelniał go nieświadomy żal do losu, który przydzielił mu taką, a nie inną rolę życiową. Owszem, teoretycznie miał powody do dumy – skończył przecież aktorstwo, prestiżowy kierunek na Yale, był pełnoetatowym nauczycielem akademickim na wydziale gry aktorskiej i tańca Uniwersytetu Browna. Mimo to w głębi duszy czuł się nieudacznikiem – miał wrażenie, że od samego początku los robił mu na przekór. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z jego poślednią karierą aktorską. Jeszcze przed studiami na Yale, które rozpoczął w wieku dwudziestu dwóch lat, Rogers czuł się niedoceniony przez współczesnych, jakby nikt nie rozumiał do końca głębi jego talentu. Zamiast jednak poddać się rozgoryczeniu, wyrobił w sobie poczucie, że należy mu się od życia zadośćuczynienie, że ma prawo do pewnych rzeczy – był o tym przekonany do tego stopnia, że kiedy zdradzał Cathy Hildebrant, naprawdę wierzył, iż zasłużył sobie na to choćby ze względu na zaakceptowanie samej idei małżeństwa.

Tak, zdradzać to jedno, ale dać się na tym przyłapać – to zupełnie co innego. Zdawało się, że dla Stevena Rogersa zdrada nabiera swojego prawdziwego wymiaru dopiero wtedy, gdy dowie się o tym osoba zdradzana – czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, i tak dalej, i tak dalej...

Dlatego też bardziej niż krzywda, którą wyrządził swojej byłej żonie, bardziej niż poczucie winy, wywołane rozpadem małżeństwa, dręczyły Stevena Rogersa własna głupota i nieostrożność, które pozwoliły losowi znów z niego zadrwić. Jasne, Cathy mogła wycisnąć z niego niezłe pieniądze, mogła naprawdę dać mu popalić, gdyby tylko chciała – więc owszem, musiał przyznać, że jeśli chodzi o rozwód, los obszedł się z nim wyjątkowo łaskawie. Mimo to czuł się do pewnego stopnia ofiarą – został przecież porzucony. Choć nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą, w gruncie rzeczy było mu przykro, że w ciągu tych ostatnich czterech miesięcy Cathy wcale się z nim nie kłóciła, nie była wobec niego agresywna ani

złośliwa, czym paradoksalnie dowiodłaby, że coś dla niej znaczył.

Tak jak nauczyła go kariera drugorzędnego aktora, jedyną rzeczą gorszą od nienawiści jest obojętność.

Jak na ironię, właśnie w taki sposób, z rosnącą obojętnością, Rogers traktował Ali Daniels – tę studentkę z apetycznym tyłkiem, która przez swoją zaborczość w stylu „skoro już się pieprzyliśmy, muszę codziennie dostawać od ciebie e-maila”, tak charakterystyczną dla pokolenia *MySpace*, zrujnowała jego małżeństwo z Cathy. Tak, Steve Rogers kochał kiedyś Cathy Hildebrant na tyle, na ile mógł kochać kogoś oprócz siebie – prawdopodobnie nadał darzył ją uczuciem. I owszem, był na tyle samokrytyczny, by zrozumieć, że czasami żonie zazdrościł – tytułu doktorskiego, sukcesu jej książki, a ostatnio zainteresowania, jakim darzyły ją media, gdy została konsultantką w sprawie tego wariata od Michała Anioła. Wiedział, że będzie mu brakowało Cathy i rutyny, bezpieczeństwa i wygody codziennego życia, które ułożyli sobie jako para. Gdyby tylko słuchał rad swojego ojca równie uważnie, jak słuchał matki; gdyby żył według jego zasad, pewnie nic złego by się nie wydarzyło.

„Pamiętaj, Steven, nie rwij dupy z własnej grupy”.

– Wygląda na to, że wyrwałem jednak o jedną dupę za dużo – mruknął do siebie Rogers, biegnąc po chodniku.

Tak więc, pomimo chwili słabości, której doświadczył minionego tygodnia, Rogers pogodził się z faktem, że czas rozstać się na dobre zarówno z Cathy Hildebrant, jak i z irytującą zaborczą pseudointelektualistką Ali Daniels.

„Skoro już skończyła studia” – rozmyślał Steve – „i zdobyła ten pieprzony bezużyteczny tytuł, łatwiej będzie to skończyć. Ale na razie nie powiem nic, dopóki nie będę musiał – może jutro, kiedy zadzwoni z tego swojego nowego mieszkania w Nowym Jorku. Albo napiszę jej o tym w e-mailu. Tak, dzięki temu sprawiedliwości stałoby się zadość”.

Rogers zerknął na zegarek i przyspieszył tempo, jak zawsze na ostatnim kilometrze porannego biegu. Nieco wyprzedzał swój codzienny harmonogram – pomyślał, że być może uda mu się nawet dotrzeć do domu, nim zrobi się jasno. „To dobrze”. Bardziej niż cokolwiek innego – nawet bardziej niż seks – Steve Rogers uwielbiał to uczucie, gdy kończył poranny bieg, nim większość ludzi jeszcze się zbudziła; gdy miał przewagę nad wszystkimi tymi tłustymi nierobami, którzy do późnej nocy oglądali głupawy talk-show. To uczucie pozwalało mu zapomnieć na chwilę o nieuświadomionej, lecz dręczącej urazie do losu, który kazał mu być aktorem, a w dodatku zmuszał go czasem do życia według aktorskiego porządku dnia, do przesiadywania w teatrze do późnej nocy, co z kolei burzyło jego własny porządek.

„Pamiętaj, Steven, kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”.

Rogers wybiegł zza rogu na ulicę, która miała doprowadzić go do Garden City Center – targowiska w Cranston, gdzie pięć razy w tygodniu podjeżdżał wczesnym rankiem swoim roadsterem bmw z4. Parkował je zawsze przy dużej altanie w samym środku centrum handlowego. Przyjeżdżał tutaj od lat, gdyż ze względu na nierówny teren i ograniczony ruch samochodowy miejsce to doskonale nadawało się do biegania. Tak, uzyskał dziś niesamowity czas – zdążył dobiec do altany, usiąść na ławce, nawdychać się chłodnego majowego powietrza i napić gatorade, nim pojawią się tu inni biegacze. Być może nie zobaczy nawet po drodze ani jednego okna, w którym paliłoby się już światło. Był poniedziałkowy rano. Ludzie z tej okolicy ciężko pracowali. Steve Rogers czuł ogromną satysfakcję na myśl, że w ciągu godziny osiągnął więcej, niż im uda się osiągnąć przez cały tydzień.

Jeśli zaczynał wystarczająco wcześnie, nawet ostatnie kilometry pokonywał jeszcze w ciemnościach – szczególnie zimą, gdy docierał do kiepsko oświetlonej pętli wokół Whitewood Drive na długo przed wschodem słońca. Tego ranka wstał o czwartej rano i zaczął biegać o czwartej piętnaście, dzięki czemu znalazł się na ostatniej prostej, w chwili gdy niebo zaczęło dopiero zmieniać kolor nad horyzontem ukrytym za gęstym szpalerem dębów i sosen. Rok akademicki dobiegł już końca, a Steven Rogers, który postanowił zapomnieć o obu swoich kobietach, po raz pierwszy od wielu lat rozpoczynał lato jako wolny mężczyzna – i zaczął je dokładnie według planu. Umówił się ze samym sobą, że będzie pracował wyjątkowo ciężko, by powrócić na rynek i znaleźć sobie jakąś młodszą cipkę. Tym razem zamierzał skorzystać z internetu: stworzyć profil, w którym odjąłby sobie jakieś dziesięć lat, i pobawić się przez pewien czas w Bostonie. Tak, lepiej prowadzić tę grę z dala od domu, niż jeszcze bardziej psuć sobie reputację na własnym terenie.

„Pamiętaj Steve, nie rwij dupy z własnej grupy”.

Skupiony na biegu i planowaniu najbliższej przyszłości Steve Rogers dotarł do niebieskiej toyoty camry. Samochód stał zaparkowany między latarniami, w cieniu wielkiego dębu – jeszcze jedno z wielu aut, które mijał dziś rano. O nie, zapalony biegacz i nowo narodzony kawaler nawet nie zerknął na niebieską toyotę, gdy jego buty – nike air max – niosły go w cień, prosto w ramiona Rzeźbiarza.

Wszystko wydarzyło się bardzo szybko – tak szybko, że Steve Rogers nie zdążył się nawet przestraszyć. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, a potem czerwony rozbłysk. Z gęstych krzewów obok pnia dębu wyszedł jakiś mężczyzna.

Cichy syk i trzask.

Rogers poczuł ostry ból w ramieniu, w mięśniu czworobocznym. Odwrócił się, ale biegł nadal – tyłem – odruchowo sięgając do bolącego miejsca. Jego palce znalazły coś,

pociągnęły i wyrwały w chwili, gdy znalazł się w kręgu światła rzucanego przez latarnię. Między palcem wskazującym i kciukiem trzymał małą żółtą strzałkę wielkości klucza do drzwi. Miał już zawołać po pomoc, gdy nagle...

Kolejny syk i trzask.

I znów piekący ból, tym razem w szyi, jakby wielki niebieski robak z budynku New Englad Pest Control spadł na dół i ugryzł go. I znów Rogers sięgnął do źródła bólu, zamknął dłoń na strzałce w chwili, gdy zobaczył mężczyznę zmierzającego w jego stronę, mężczyznę w obcisłej czarnej koszulce, łysego, potężnie zbudowanego faceta w dziwnych okularach i z szerokim uśmiechem na twarzy.

W chwili gdy oczy Rogersa zaczęły obracać się źrenicami ku górze, gdy jego dłoń zdrętwiała, a nogi ugięły się w kolanach, pomyślał, że musi umyć podłogę w łazience i pozbyć się blond włosów Ali, nim sprowadzi do domu jakieś nowe kobiety.

## Rozdział 25

Minęło ponad półtora tygodnia, nim policja otrzymała informację o zaginięciu Rogersa. Zgłosiła je zrozpaczona dziewczyna Stevena, która przyjechała autobusem z New York City, gdy przez kilka dni z rzędu jej e-maile i telefony pozostawały bez odpowiedzi. Ali Daniels znalazła stertę listów przed drzwiami domu Rogersa i zeszlotygodniowy numer „The Providence Sunday Journal”, leżący na środku zaniedbanego trawnika. Nie było też samochodu Stevena, który został odholowany na policyjny parking, o czym właściciela nie zdążono jeszcze poinformować.

Jakby tego było mało, dopiero dobę po przyjęciu zgłoszenia o zaginięciu Rogersa policja zorientowała się, że to właśnie do niego należy zatrzymane auto. I choć były mąż Cathy dawno już nie żył, gdy władze zaczęły go w końcu poszukiwać, nauczyciel gry aktorskiej o rozdmuchanym ego być może znalazłby pewne pocieszenie w fakcie, że w końcu los okazał się dla niego łaskawy. Gdyby porzucił Ali przed spotkaniem z Rzeźbiarzem, nie wiadomo jak długo jego obecność pozostałaby niezauważona, często zdarzało się bowiem, że nie kontaktował się ze swoimi znajomymi, przyjaciółmi i rodziną nawet przez kilka tygodni – szczególnie po zakończeniu roku akademickiego, gdy wyjeżdżali gdzieś z Cathy na wakacje.

Policja w Cranston nie miała oczywiście pojęcia, że mniej więcej w tym samym czasie zgłoszono w Bostonie zaginięcie innej osoby – młodego mężczyzny, znanego jako Jim Paulson albo po prostu Jim. Choć opis stylu życia Paulsona, podany przez jego przyjaciół, był dość mętny i zamglony, policja bostońska szybko zorientowała się, że kochaś Paul i jego koledzy zamieszkują świat, w którym rzadko kto pyta o nazwisko, nie mówiąc już o *prawdziwym* nazwisku. Tak, bostońska policja dobrze wiedziała, co dzieje się na Arlington Street. A ponieważ pan Paulson zabrał ze sobą niemal wszystko, co posiadał, policja nie zamierzała traktować go inaczej niż innych chłopców, których okrutny los poprowadził drogą narkotyków i prostytucji: pan Paulson albo się wyprowadził, albo wciągnął do nosa za dużo białego paskudztwa. Tak czy inaczej nie był to już ich problem.

Nawet jeśli znajomi Paula Jimeneza wiedzieli o jego internetowym alter ego, zwanym RounDaWay17, Rzeźbiarz już dawno zajął się tym tropem – włamał się do konta internetowego Jimeneza i wymazał wszelkie ślady ich znajomości.

Tak, Rzeźbiarz był bardzo, bardzo skrupulatny.

Późnym popołudniem Cathy odebrała telefon od policji z Cranston – gdy tylko zobaczyła na wyświetlaczu nieznany numer, natychmiast przełączyła go na pocztę głosową. Jechała właśnie z Markhamem na spotkanie, co zdarzało jej się dość często od powrotu Sama z Quantico i zupełnie nie pasowało do tego, jak po obejrzeniu kilku seriali kryminalnych wyobrażała sobie prowadzenie śledztwa. Ludzie, z którymi się spotykali, z pewnością mogliby skorzystać z pomocy dobrego scenarzysty – nie byli wcale ani tak elokwentni, ani tak pomocni jak świadkowie występujący w telewizji. W filmach zwykle wystarczały już trzy czy cztery takie spotkania, by śledczy odnaleźli złoczyńcę. W rzeczywistości ludzie, których FBI przesłuchiwało w związku ze śmiercią Gabriela Banforda, w niczym nie pomogli. Badanie innych morderstw/zaginięć, które pasowały do profilu Renesansowego Zabójcy, a także tropów związanych z ustaleniami dokonanymi podczas sekcji zwłok, do tej pory nie przyniosło żadnych rezultatów.

A właściwie przyniosło jeden, dotyczący pyłu z kararyjskiego marmuru, którym Renesansowy Zabójca pokrył ciała ofiar.

– Wydaje się, że z wyjątkiem tego marmuru Renesansowy Zabójca miał nieograniczony dostęp do wszystkich innych składników – mówił Markham, wjeżdżając na parking. – Potrzebował naprawdę sporych ilości formaldehydu, acetonu i gumy silikonowej, żeby przeprowadzić proces plastynacji, a nie możemy znaleźć żadnych śladów, które pozwoliłyby nam ustalić, skąd je brał.

– Chyba że wytwarzał je sam – podsunęła Cathy. – Uzyskiwał z produktów, które są znacznie dostępnejsze.

– Tak, choćby aceton, podstawowy składnik wszystkich rozpuszczalników czy zwykłych zmywaczy do paznokci. Ale formaldehydu nie da się kupić w supermarkecie. Z tego, co czytałem, wynika też, że ma krótki okres przydatności do użytku i że trudniej go uzyskać z innych produktów – chyba że zabierze się do tego chemik dysponujący dużym laboratorium.

– Ten człowiek jest bardzo inteligentny, Sam, i bardzo skrupulatny. Wiedział, że pierwszym tropem, jaki zbada FBI, będą rzadko spotykane substancje, więc nie korzystał z niczego, co potem dałoby się łatwo namierzyć. Poza tym działa już od sześciu lat, więc miał dość czasu, żeby zgromadzić sprzęt i środki stopniowo. Być może włamał się do kilku zakładów pogrzebowych i ukradł z każdego trochę formaldehydu – tyle, żeby nikt tego nie zauważył. Można by nawet pomyśleć, że zaplanował dokładnie nie tylko same zbrodnie i to, co zrobi z ciałami ofiar, ale i jakie ślady po sobie pozostawi.

- Nie pozostawił niczego przypadkowi.
- Marmur kararyjski.
- Tak. Ciekawy szczegół, choć mam wrażenie, że Renesansowy Zabójca chciał, żebyśmy się tym zainteresowali. Miejmy nadzieję, że ta rozmowa w końcu coś da.

Choć marmur kararyjski wciąż eksportowano na cały świat, i to pod różnymi postaciami – od nieobrobionych kamiennych bloków, przez tanie pamiątki, aż po prawdziwe dzieła sztuki – Rachel Sullivan natrafiła na raport policyjny sprzed trzech lat, który być może miał okazać się pierwszym prawdziwym tropem, pierwszym przełomem w dziwnej sprawie Renesansowego Zabójcy.

Ksiądz Robert Bonetti, który za niecały tydzień miał obchodzić osiemdziesiąte urodziny, był proboszczem parafii św. Bartłomieja dłużej niż jakikolwiek inny kapłan w historii tej placówki – dwadzieścia dziewięć lat, według jego obliczeń – i nie miał bynajmniej zamiaru przechodzić w najbliższym czasie na emeryturę. To była jego parafia i jego okolica, bo nie tylko wychował się zaledwie kilka kilometrów dalej, w Federal Hill, ale przez lata konsekwentnie odrzucał propozycje awansu, byle tylko pozostać wśród swoich wiernych. I choć parafię św. Bartłomieja prowadzili księża z katolickiego zgromadzenia św. Karola, które co dziesięć lat przenosi swoich kapłanów do innych parafii – ze względu na wiek księdza Bonettiego, jego nienaganną opinię, znakomitą współpracę z lokalną społecznością, rozbudowę samego kościoła i pragnienie odprawiania mszy na długo po osiągnięciu wieku emerytalnego, zrobiono w jego wypadku wyjątek i pozwolono mu zostać w kościele św. Bartłomieja tak długo, jak sam będzie chciał.

Wysoki, chudy ksiądz przywitał Cathy i Sama na stopniach kościoła – budowli o architekturze znacznie nowocześniejszej niż większość neogotyckich świątyń, rozsianych po robotniczych osiedlach w Providence i okolicy. Cathy, jako wykładowczyni z wydziału historii sztuki i architektury, natychmiast doszła do wniosku, że kościół został wzniesiony – albo odnowiony – pod koniec lat sześćdziesiątych lub na początku siedemdziesiątych.

– Pan to pewnie agent Markham – zagadnął ksiądz Bonetti, podając Samowi rękę. – Co znaczy, że pani, moja droga, to doktor Catherine Hildebrant.

- Tak, to ja. Miło mi księdza poznać.
- Mnie także, was oboje.
- Rozmawiał ksiądz telefonicznie z agentką specjalną Rachel Sullivan – zaczął Markham. – Wyjaśniła księdzu, dlaczego chcieliśmy się z księdzem spotkać?

– Tak – potwierdził z uśmiechem kapłan. – Twierdziła, że chodzi o naszą *Pietę*. Ale widzi pan, agencie Markham, żyję na tym świecie już dość długo, by wiedzieć, że niektóre

rzeczy nie są takie proste, jak się wydają. FBI nie kłopotałoby się drobną kradzieżą sprzed trzech lat – chyba że ta kradzież byłaby związana z czymś znacznie ważniejszym.

W głosie kapłana nie było ani krzty protekcyjności, sarkazmu czy drwiny. Nie, ksiądz Bonetti mówił ze szczerością człowieka, który nie lubi owijać niczego w bawełnę; człowieka, który rzeczywiście żyje już dość długo, by odróżnić prawdę od pozorów.

– Tak naprawdę chodzi o tego Renesansowego Zabójcę, prawda? – spytał kapłan. – O to, co stało się w Watch Hill?

– Tak – przyznał Markham.

Po raz pierwszy podczas ich rozmowy ksiądz Bonetti opuścił wzrok i zamyślił się. Po chwili milczenia, która wydawała się Cathy całą wiecznością, podniósł na nich swe łagodne oczy, ukryte za grubymi szklami okularów.

– Chodźcie za mną – powiedział.

Gdy znaleźli się w mrocznym wnętrzu kościoła, ksiądz zaprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia, przylegającego do bocznej nawy – kaplicy wypełnionej piramidą wotywnych świec i marmurowych posągów, ustawionych pod ścianami. Posągi przedstawiały różnych świętych, a otaczały je wianuszki mniejszych świec. Zapach aromatyzowanego wosku przyprawiał Cathy o mdłości. Zarówno ona, jak i Sam byli szczerze zaskoczeni, gdy odkryli, że za piramidą świec, w tylnej części kaplicy, stoi duża, starannie wykonana replika *Piety watykańskiej*.

– Wygląda dokładnie tak jak ta, którą skradziono trzy lata temu – poinformował ich ksiądz Bonetti. – Tamtą ufundowała pewna bogata rodzina, kilka lat przed tym, nim objąłem tutejsze probostwo. Wyrzeźbiono ją dokładnie według tych samych proporcji, co oryginał, i z tego samego rodzaju marmuru, jakiego Michał Anioł używał pięćset lat temu. Z marmuru kararyjskiego. Podobnie jak w wypadku posągu, który widzicie teraz przed sobą, ta poprzednia *Pietà* została wykonana przez pewnego wprawnego rzemieślnika we Włoszech. Jego pracownia wytwarza niewiele ponad dwadzieścia kopii *Piety* rocznie, w różnych rozmiarach, od metra do metra dwudziestu wysokości. Człowiek ów nazywa się Antonio Gambardelli, a jego rzeźby są znacznie precyzyjniejsze i znacznie droższe, niż jakiegokolwiek inne kopie dostępne na rynku, nie tylko ze względu na dbałość o szczegóły, ale i na wierne odwzorowanie proporcji. Trzy lata temu kopia *Piety* Gambardellego tych rozmiarów kosztowała około dwudziestu tysięcy dolarów. Wiem o tym, bo człowiek, który zabrał nasz posąg, zostawił nie tylko instrukcję, jak zastąpić go nową rzeźbą, ale i środki na tę operację.

– Chwileczkę – wtrącił Markham. – Chce ksiądz powiedzieć, że złodziej zostawił tu dwadzieścia tysięcy dolarów?



– Dwadzieścia pięć, dokładnie rzecz biorąc – odparł kapłan z uśmiechem. – Zapomniałem poinformować o tym drobnym szczególe policję z Province. Widzi pan, agencie Markham, kiedy człowiek żyje tak długo jak ja, zaczyna rozumieć różne aspekty ludzkiej natury. Człowiek, który zabrał *Pietę*, zostawił gotówkę w kopercie zaadresowanej do mnie. Położył ją tu, na tym postumencie, po to, żebym mógł zamówić nowy posąg, a nie wrzucić datek do policyjnego worka z materiałami dowodowymi, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Sam Markham milczał przez chwilę, przetrawiając nowe informacje.

– Dodatkowe pięć tysięcy miało zapewne pokryć koszty transportu posągu i naprawy szkód powstałych podczas włamania, a także wynagrodzić nam cały ten kłopot.

– Więc dlaczego w ogóle zgłosił ksiądz kradzież? – spytał Markham cierpkim tonem.  
– Dlaczego po prostu nie wziął ksiądz pieniędzy, nie wymienił posągu i nie oszczędził sobie kłopotu, skoro nie zamierzał w pełni współpracować z władzami?

– Tylko ja wiedziałem o tych pieniądzach, agencie Markham, i to ja pierwszy przyszedłem do kościoła rankiem po włamaniu. Nie mogłem jednak ukryć uszkodzeń bocznych drzwi ani nieobecności posągu przed moim współbratem ze zgromadzenia ani przed wiernymi. Widzi pan, agencie Markham, zaklejona koperta z gotówką była adresowana do mnie. Uważałem, że nie ma potrzeby informować o tym policji, bo wydawało mi się, że człowiek, który zabrał *Pietę*, chciał jej, a właściwie *potrzebował*, bardziej niż my. Choć nie rozumiałem tej potrzeby, uznałem przekazanie pieniędzy za akt wiary, za wyraz skruchy. Aż do chwili, gdy zadzwoniło do mnie FBI, uważałem tego dziwnego złodzieja za człowieka obdarzonego wrażliwym sumieniem.

Sam Markham milczał wpatrzony w *Pietę*.

– Ale teraz – kontynuował ksiądz Bonetti – widzę, że mogłem popełnić błąd, zachowując milczenie w tej sprawie. Teraz rozumiem, że człowiek, który trzy lata temu zabrał naszą *Pietę*, może być mordercą, że być może to właśnie on zabił tamtych dwóch chłopców i stworzył z nich tę przerażającą rzeźbę.

– Koperta – powiedział nieoczekiwanie Markham, zwracając się do kapłana. – Instrukcja, jak zdobyć nowy posąg. – Pewnie ich ksiądz nie zatrzymał?

Ksiądz Robert Bonetti uśmiechnął się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki.

– Miałem nadzieję, że może dzięki temu wybaczyście, że nie poinformowałem policji o pieniądzach. Teraz mam też nadzieję, że to nieco zmieni waszą opinię na mój temat i że nie będziecie mnie uważali za głupkowatego starca.

Na kopercie, którą wręczył Markhamowi kapłan, widniały słowa wypisane starannymi krągłymi literami: *Dla księdza Bonettiego*. W środku Markham znalazł krótką, odręczną notkę, w której autor nie tylko instruował księdza, jak nabyć kolejną *Pietę* u Gambardello, ale i przeproszał księdza i całą parafię za wszelkie niedogodności, jakie mogła spowodować kradzież posągu. Markham pokazał kartkę Cathy. Natychmiast rozpoznała charakter pisma.

Krągły. Kobięcy. *Precyzyjny*.

Taki sam jak w listach, które otrzymywała pięć i pół roku wcześniej.

Skinęła głową.

– Mężczyzna, którego szukamy, jest wysoki – powiedział Markham. – Ma co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. I bardzo duży, bardzo silny – bez problemu byłby w stanie sam dźwignąć ten posąg i wynieść go z kościoła. Prawdopodobnie kulturysta albo ciężarowiec. Zna ksiądz kogoś, kto pasuje do tego opisu?

– Większość mężczyzn z mojej parafii należy do klasy robotniczej, panie Markham, to wykwalifikowani robotnicy fizyczni, głównie Włosi, choć mamy też coraz więcej Latynosów. Tak, wielu z tych ludzi jest potężnie umięśnionych, ale tylko kilku tak wysokich. I żaden z nich nie ma dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, które mógłby wydać na taki posąg.

– Widział ksiądz kiedykolwiek, żeby ktoś podejrzany kręcił się po kościele? Nie parafianin, tylko ktoś obcy, kto zaglądał tu raz czy dwa?

– Nie, nie przypominam sobie nikogo takiego.

– A może słyszał ksiądz jakąś niezwykłą spowiedź, o której powinienem wiedzieć?

Kapłan uśmiechnął się lekko.

– Nawet gdybym słyszał coś takiego, nie mógłbym panu o tym powiedzieć.

– A czy jest jeszcze coś, o czym ksiądz mógłby i powinien nam powiedzieć? – spytał agent FBI. – Może zna ksiądz kogoś, kto dysponowałby odpowiednią wiedzą na temat tego posągu i byłby w stanie zapłacić za niego dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

– Mielśmy na stronie internetowej całkiem sporą galerię zdjęć z kościoła – odparł kapłan. – Ale po kradzieży zdjęliśmy większość z nich. Oczywiście, były tam też zdjęcia *Piety*. Być może ten człowiek po prostu ją rozpoznał i w ten sposób trafił tutaj.

Cathy i Markham wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Dziękujemy księdzu – powiedział Markham. – Bardzo nam ksiądz pomógł.

– Odprowadzę was – odparł Bonetti. Gdy Cathy i Markham opuścili już kościół, gdy zeszli po frontowych schodach, ksiądz Robert Bonetti zawołał za nimi: – Ja też tam byłem.

Markham i Cathy odwrócili się do niego.

– W Watch Hill. W domu Campbellów przy Foster Cove. Ostatni raz odwiedziłem to

miejsce trzydzieści lat temu, kiedy jeszcze tam nie mieszkali. Wtedy posiadłość należała do rodziny mojego przyjaciela, słynnego reżysera. Wychowywałem się razem z nim. Czasami nawet bawiliśmy się razem w Watch Hill, jeszcze jako dzieciaki. Śliczne miasteczko, ale kryje się w nim wiele zła. Trudno doszukać się tam czegoś naprawdę dobrego. Pamiętajcie o tym.

Cathy i Markham milczeli skonsternowani.

Zaczął padać deszcz.

– Wszystko się ze sobą łączy – dodał na koniec kapłan. – Pamiętajcie o tym oboje. Wszystko się ze sobą łączy.

To powiedziawszy, ksiądz Robert Bonetti zniknął na powrót w mrocznym wnętrzu kościoła św. Bartłomieja.

## Rozdział 26

– Myślisz o tym samym, co ja? – spytała Cathy, kiedy już ruszyli w drogę powrotną.

– Myślę o wielu rzeczach.

– Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za rzeźbę, którą zamierzał zniszczyć. Tu nie chodziło tylko o marmur, Sam. Renesansowy Zabójca chciał mieć doskonałą kopię *Piety watykańskiej* – kopię autorstwa Gambardellego – i gotów był zapłacić za nią więcej, niż była rzeczywiście warta, zamiast po prostu ją ukraść. Dlaczego?

– Bo pieniądze nie stanowią dla niego żadnego problemu. Nie kupił kopii bezpośrednio od Gambardellego tylko dlatego, że wtedy zostawiłby wyraźny trop. Z kolei zwykła kradzież byłaby czymś prymitywnym, egoistycznym i chamskim, a zdaje się, że takie właśnie aspekty naszej natury Renesansowy Zabójca chce wyplenić.

– Ale to jest *Pieta watykańska*, Sam. Jeśli trzymamy się założenia, że zabójca użył marmuru kararyjskiego do pokrycia *Bachus*a, bo pierwotnie zamierzał wykorzystać ten marmur do czegoś innego, to raczej nie chciałby zaczynać od *Dawida*, ale właśnie od *Piety*. Marmur kararyjski, z którego wyrzeźbiono kopię, a także doskonałe proporcje posągu, miały mu zapewne pomóc w jakiś duchowy, nawet magiczny sposób osiągnąć to samo podobieństwo, tę samą wierność, jaką widzieliśmy w jego *Bachusie*. Dzięki temu połączyłby ze sobą własny materiał – ludzkie ciała – z materiałem, z którego stworzono dzieło Michała Anioła. Ponieważ jednak wykorzystał pył z *Piety* do stworzenia *Bachus*a, prawdopodobnie zmienił ten plan.

– Tak. Być może znalazł inny, jeszcze doskonalszy sposób, który połączyłby jego ofiary z posągiem stworzonym z ich ciał. Być może uznał, że to nie marmur tworzy ten magiczny związek. Może wniknął głębiej w cytat, który otwiera twoją książkę – że magia ukryta jest tylko w rękach rzeźbiarza.

– Ale Sam, to oznacza...

– Tak, Cathy – przerwał jej Markham, wjeżdżając na autostradę. – Myliłem się, tworząc portret tego zabójcy. Przeczuwałem to w Quantico, gdy czytałem informacje o plastynacji, ale sam jeszcze tego dobrze nie rozumiałem. Renesansowy Zabójca czerpie niewielką – jeśli jakkolwiek – przyjemność z samego aktu zabijania. Zabijanie jest tylko

koniecznością, środkiem prowadzącym do celu, czyli uzyskania materiału do rzeźb. Jednak, jak widzieliśmy w przypadku Gabriela Banforda i jak z pewnością było też w przypadku Tommy'ego Campbella i jego uciętego penisa, istotne jest dla mordercy to, by ofiary stały się świadome swojego losu – by wyrwały się z uśpienia i w ten sposób stały się prawdziwie *jego* dziełem. Myślę, że właśnie to sprawiało mu największe zadowolenie. Tak, być może jest w tym również element seksualny, ale przypuszczam, że jego źródłem są znacznie bardziej skomplikowane zależności oraz związki intelektualne i duchowe z ofiarami, niż zwykłe pobudzenie seksualne – związki, zdaniem zbrodniarza, podobne do tych, które łączyły Michała Anioła z jego dziełami. Od samego początku podejrzewałem, że Renesansowy Zabójca nie szuka tylko przyjemności – seksualnej, duchowej czy innej – i uważałem go raczej za człowieka z misją, zbrodniarza przekonanego o swoim wyjątkowym posłannictwie. Teraz widzę jednak, że popełniłem zasadniczy błąd co do jego ofiar.

– To dlatego Sullivan i jej zespół nie mogli się doszukać żadnego schematu, żadnych punktów wspólnych w tych morderstwach – powiedziała Cathy. – Dlatego nie mogli znaleźć informacji o zabójstwach lub zaginięciach młodych mężczyzn z Rhode Island, podobnych do Banforda, Campbella czy Wenicka. Szukaliśmy w niewłaściwym miejscu, Sam. Braliśmy pod uwagę tylko *mężczyzn*.

– Zgadza się, Cathy. To *ludzie* są materiałem Renesansowego Zabójcy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Morderca darzy szacunkiem swój materiał, ale zdaje sobie sprawę, że część musi się zmarnować. Ponieważ uważa męskie ciała za estetycznie doskonalsze od ciał kobiecych, z pewnością podczas doskonalenia procesu plastynacji wolał marnować raczej ciała kobiet, i to właśnie na nich się skupiał. Przypuszczam, że jeśli zajmiemy się przypadkami morderstw i zaginięć prostytutek z ostatnich sześciu lat, znajdziemy coś ciekawego.

– Więc myślisz, że początkowo zamierzał umieścić w *Piecie* ciało kobiety?

– Tak, na to wygląda.

– A potem z jakiegoś powodu porzucił ten projekt i skupił się *na Bachusie*? Być może dlatego, że zauważył podobieństwo Tommy'ego Campbella do Bachusa? Może uznał, że w ten sposób wzbudzi większe zainteresowanie i dotrze ze swoim przesłaniem do większej liczby ludzi?

– Być może.

– Ale te piersi... – mruknęła Cathy w zamyśleniu.

– Co takiego?

– Sama nie wiem. Coś nęka mnie od prawie dwóch tygodni; coś, czego nie potrafię do

końca zrozumieć, jak ty.

Kiedy Cathy i Markham jechali przez miasto w stronę East Side, w skrzynce pocztowej pani doktor leżała już niewielka paczka, owinięta szarym papierem i wetknięta wraz z innymi kopertami w złożony na pół katalog Pottery Barn.

Paczka wydała się dziwna nawet listonoszowi – była niewiele większa od płyty DVD, pozbawiona adresu zwrotnego i pokryta całą masą znaczków o łącznej wartości ponad dziesięciu dolarów, jakby nadawca nie chciał iść na pocztę, a jednocześnie zależało mu na tym, by przesyłka na pewno dotarła na miejsce przeznaczenia. Jeszcze dziwniejszy wydawał się sposób, w jaki nadawca zwracał się do odbiorcy – nad adresem widniał starannie wykaligrafowany napis:

Specjalnie dla dr Hildebrant

## Rozdział 27

Tymczasem wiele kilometrów dalej Rzeźbiarz otarł ślinę z brody swego ojca. Zamiast posadzić go jak zwykle w fotelu przy oknie, tego wieczoru podał ojcu kolację w łóżku. Wcześniej puścił mu kilka odcinków *The Shadow* z odtwarzacza ukrytego w starym radiu. Miał wrażenie, że usta ojca uniosły się lekko w kącikach podczas wstępu.

Z drugiej jednak strony, nie był tego całkiem pewien. Być może umysł płatał mu figle, bo Rzeźbiarz czuł się zmęczony – naprawdę zmęczony. Ostatnio bardzo, bardzo ciężko pracował. Jego *Pietá* została ukończona – stworzył ją w ciągu zaledwie dwóch tygodni od tego popołudnia, gdy zabrał RounDaWay17 sprzed dworca autobusowego w Providence. Prawdę mówiąc, nie byłby w stanie dokonać tego w tak krótkim czasie, gdyby nie przygotował wielu elementów *Piety* już ponad rok temu – zrobił wówczas metalową ramę, skałę, na której siedziała Matka Boska, zarysy jej powłóczystych szat. I oczywiście najważniejsze części samej Maryi – głowa, dłonie i piersi – zostały zakonserwowane i pomalowane na długo przedtem, nim zajął się konserwacją Bachusa i jego satyra.

Wtedy, gdy zaczynał dopiero eksperymentować z kawałkami kobiet, proces plastynacji zajmował mu znacznie więcej czasu niż teraz – trwał mniej więcej tyle samo, ile nadal trwa w laboratoriach von Hagensa i jego zespołu w Heidelbergu. Ale Rzeźbiarz usprawnił tę metodę; przekonał się, że może znacznie przyspieszyć ten proces, zmieniając odpowiednio ciśnienie i natężenie prądu przepływającego przez roztwór oraz wprowadzając cienkie „rurki przewodzące” w kluczowe punkty i tkanki ciała. W odróżnieniu od von Hagensa, zdejmującego skórę ze swoich eksponatów, by pokazać mięśnie i organy wewnętrzne, Rzeźbiarz, który nie potrzebował wnętrzości, drogą eksperymentów odkrył, że opróżnienie tułowia i ułożenie jednej rurki przewodzącej wzdłuż kręgosłupa również skraca cały proces. Tak więc, podczas gdy von Hagens potrzebował kilku miesięcy, a czasem nawet roku, by przygotować i odpowiednio upozować figurę, Rzeźbiarz – który pracował niemal bez wytchnienia, całą dobę – potrafił dokonać tego samego w ciągu tygodnia.

Tak, Rzeźbiarz zarobiłby mnóstwo pieniędzy, gdyby opatentował poprawki wprowadzone do metody von Hagensa. Ale jego nie obchodziły sprawy tak przyziemne jak pieniądze.

Zresztą to właśnie skóra zawsze przysparzała mu najwięcej kłopotów, przekonał się bowiem, że po usunięciu włosów i tkanki tłuszczowej staje się ona luźna i śliska. Metodą prób i błędów, po licznych eksperymentach, przeprowadzonych na ciałach kobiet, wypracował w końcu odpowiednią technologię, stanowiącą połączenie tradycyjnych technik garbarskich i procedur stosowanych przez von Hagensa. Przygotowana w ten sposób skóra była bardziej elastyczna, co umożliwiało Rzeźbiarzowi odpowiednie wymodelowanie żył i mięśni, a zarazem na tyle porowata, że farba dobrze się z nią łączyła.

Tak, gdy wreszcie poradził sobie ze wszystkimi tymi problemami, kiedy nauczył się właściwie operować chemikaliami, cały proces stał się banalnie prosty. Kiedy już Rzeźbiarz wysuszył swój materiał, zawieszając go na wielkim haku, umocowanym pod blatem metalowego stołu – i kiedy organy wewnętrzne zostały usunięte, a wstępna konserwacja w roztworze formaldehydu zakończona – przeprowadzał usprawniony proces plastynacji, aż przygotowane i upozowane w odpowiedni sposób figury uległy utwardzeniu w świetle lamp ultrafioletowych. W odróżnieniu od *Bachusa*, który wymagał niezwykle precyzyjnego ustawienia wszystkich kończyn, wykonanie *Piety* okazało się stosunkowo łatwe. Postacie tej rzeźby były w pewnym sensie prostsze, bardziej zwarte. Jedyne trudności polegały na ułożeniu kluczowych elementów pod właściwym kątem – rąk Maryi, jej głowy, ciała Chrystusa na kolanach matki.

Rzeźbiarz przekonał się, że podobnie jak w przypadku *Bachusa* zaoszczędzi sobie sporo energii i pracy, jeśli najpierw dobrze ustawi ramię. Ponieważ ciało Maryi było niemal całkowicie ukryte pod szatami, nie musiał się przejmować uszkodzeniami materiału. Miał zatem znacznie większy margines błędu, większe pole manewru w kwestii ułożenia postaci na ramie. Potem, gdy oba ciała były już przygotowane, wypchane i ułożone, gdy głowa Maryi, jej dłonie i piersi przymocowane, a szaty odpowiednio ukształtowane, Rzeźbiarz obwiązał zakonserwowane kończyny Matki i Syna sznurkiem i zawiesił je na różnej wysokości, do czego wykorzystał mniejsze haczyki, przymocowane pod blatem stołu. Następnie owinał całość folią zwisającą od stołu do podłogi, a gdy rzeźba została już utwardzona za pomocą promieni ultrafioletowych, musiał jedynie przygotować brodę i włosy Chrystusa z żywicy epoksydowej, wysuszyć je i pomalować ciała za pomocą rozpylacza.

Dziś rano nałożył ostatnią warstwę farby.

Choć był zmęczony, choć przez ostatnie dni pracował gorączkowo niemal bez ustanku, okrywając ojca kocami, Rzeźbiarz myślał z zadowoleniem o tym, jak szybko udało mu się stworzyć *Pietę* i jak doskonale prezentuje się jego nowe dzieło. „Nawet lepiej niż *Bachus*” – pomyślał z uśmiechem. Niemal kręciło mu się w głowie, gdy próbował wyobrazić sobie



reakcję doktor Hildy – wiedział, że kiedy to wszystko się już skończy, podziękuję mu, bo zobaczy i zrozumie, jak jego praca zmieniła świat. Tak, wkrótce nauczy się go cenić.

Oczywiście, tak naprawdę to przede wszystkim on cenil ją. O tak, Rzeźbiarz miał jej za co dziękować. Spodziewał się, że kiedy zobaczy DVD, które jej przesłał, kiedy zrozumie choćby jeden z powodów, dla których los połączył ich ze sobą, ona również zacznie go cenić.

Chociaż trochę.

Rzeźbiarz wiedział, że doktor Hildy prawdopodobnie otrzyma DVD dziś lub jutro – być może nawet już je obejrzała. Miał nadzieję, że tak właśnie było, bo informacje, które Hildy i FBI zdobyliby dzięki temu filmowi, pomogłyby mu w realizacji jego planu. Rzeźbiarz chciał doręczyć tę płytę osobiście – chciał sam wsunąć ją do skrzynki pocztowej, jak przed laty, gdy z bijącym sercem, podekscytowany i nieco wystraszony zakradał się do budynków uniwersyteckich. Ale teraz sytuacja wyglądała inaczej, teraz nie mógł zbliżyć się do domu Cathy. Tak, wiedział, że FBI prawdopodobnie wciąż jej pilnuje. Właśnie dlatego, odkąd pokazał światu swojego *Bachusa*, tylko dwukrotnie przejechał obok jej domu przy Upper East Side – w przebraniu, w swoim trzecim samochodzie; był to porsche 911 z 1999 roku. Kiedy jeździł w pobliżu domu Polków, zawsze używał toyoty camry, która w tamtej okolicy mniej rzucała się w oczy. Podczas wizyty na Upper East Side uważnie obejrzał skrzynkę pocztową, umocowaną obok drzwi wejściowych domu doktor Hildebrant, wiedział więc, że nadal regularnie odbiera pocztę, choć mieszka u swojej przyjaciółki Janet – starszej kobiety, która przypominała tenisistkę z lat siedemdziesiątych, Billie Jean King.

Tenisistka. Rzeźbiarz nienawidził tenisistów.

Gdy Shadow wyruszył na poszukiwania kolejnego przestępcy, Rzeźbiarz przyglądał się uważnie swemu ojcu. Kiedy powieki starca zatrzepotały lekko, Rzeźbiarz wyjął igłę z jego przedramienia i oczyścił ślad po ukłuciu watką nasączoną alkoholem. Podał ojcu dość środków uspokajających, by spał i śnił do samego rana. Tak, w głębi duszy Rzeźbiarz wiedział, że jego ojciec śni – musiał śnić, krzywił bowiem twarz i poruszał gałkami ocznymi, gdy jego syn siedział w fotelu przy oknie i przyglądał mu się podczas bezsennych nocy. W ciągu lat Rzeźbiarz nauczył się spać bardzo mało – potrzebował snu jedynie po to, by odbudować i odnowić tkankę mięśniową, wyczerpaną długimi treningami w piwnicy. Poza tym, w odróżnieniu od ojca, nigdy nie śnił – a przynajmniej tak mu się wydawało.

Rzeźbiarz wymienił worek kolostomijny ojca, umył ręce i twarz w łazience na piętrze i ułożył się nagi na swoim wielkim łóżku z baldachimem. Przed wielu laty urządził sypialnię w swoim ulubionym, barokowym stylu, nadal jednak przywodziła mu na myśl wspomnienia z dzieciństwa, szczególnie wspomnienia matki, która czasami – gdy ojciec wyjeżdżał w

interesach, a ona za dużo wypila – kładła się naga do jego łóżka. Chciała go wtedy przeproszać, ogrzać po kąpieli w lodowatej wodzie, do której sama go wpychała, gdy był niegrzeczny.

Rzeźbiarz sięgnął po pilota i wcisnął zielony guzik, włączając jednocześnie odtwarzacz DVD i duży telewizor, ukryty w szafie. Nie odbierał tutaj żadnego programu, nie korzystał z telewizji kablowej ani satelitarnej. Nie, Rzeźbiarz traktował wielki monitor jako swego rodzaju pamiętnik, a teraz zamierzał odprężyć się tak, jak niegdyś miał to w zwyczaju. Kto wie, może nawet pozwoli sobie na krótką drzemkę przed tą jakże ważną nocą.

Wcisnął guzik *play*.

Logo Sony widoczne na monitorze przygasło i zniknęło, w jego miejsce pojawiły się obrazy z wycieczki do wodospadu Niagara – pierwszy z jedenastu trzyminutowych filmów, nakręconych na taśmie Super 8, które Rzeźbiarz połączył w całość i zgrał na DVD. Wycieczka do wodospadu Niagara była pozbawiona dźwięku – film nagrano w 1977 roku, kiedy chłopiec nazywany Christianem miał zaledwie dwa lata. Siedzi właśnie na rękach u swojej mamy i macha do kamery. Tuż obok znajduje się wielka staromodna luneta, która uruchamia się po wrzuceniu monety, w tle widać otoczony delikatną mgiełką wodospad, który porusza się bezustannie i zmienia kształt niczym duch. Matka – piękna kobieta o wydatnych ustach, z złotym szalem wokół szyi – szepcze coś chłopcu do ucha. Christian śmieje się i znów macha do kamery.

Cięcie.

To samo miejsce, ale tym razem to ojciec trzyma chłopca na rękach. Malec śmieje się radośnie, gdy tata huśta go w górę i w dół. W odróżnieniu od mężczyzny leżącego w sąsiednim pokoju, ojciec Christiana nie ma żadnych problemów z poruszaniem się – jest młody i silny, wygląda bardzo atrakcyjnie w obcisłej koszulce polo. Jego oczy są pełne życia, miłości dla syna i kobiety, która trzyma kamerę. Przesyła jej całusa. I jeszcze raz. Potem mówi coś do syna i robią to obaj.

Cięcie.

Widok na wodospad.

Cięcie.

Zbliżenie na matkę stojącą przy poręczy. Spogląda na wspaniały widok, nieświadoma, że mąż ją filmuje. Wydaje się zadowolona, ale i głęboko zamyślona. Rzeźbiarz, który patrzy na nią z łóżka, zastanawia się – jak zawsze, gdy ogląda ten film – o czym wtedy myślała. Wie, że nie mogła jeszcze myśleć o trenerze tenisa, mężczyźnie, z którym wiele lat później miała romans. Matka Christiana zauważa, że jest filmowana, uśmiecha się z zażenowaniem i

mówi do kamery coś, co Rzeźbiarz odczytuje z ruchu jej ust jako „Eddie, przestań!” Ale mąż nie przestaje kręcić. Wiatr rozwiewa jej włosy, unosi żółty szal, gdy ona próbuje przyjąć naturalną pozę. Zaczyna coś mówić...

Cięcie.

Matka z synkiem patrzą na wodospad. Chłopiec trzyma w ustach kciuk i tuli się mocno do matczynej piersi. Wydaje się nieco wystraszony – nie płacze, ale patrzy tylko na kamerę, podczas gdy matka mówi coś do niego.

Cięcie.

Matka – uśmiechnięta, ze śpiącym chłopcem w ramionach – wsiada do białego forda LTD.

Cięcie.

Matka wciąż trzyma w ramionach śpiącego chłopca – film jest ciemniejszy, nakręcony we wnętrzu samochodu. Zbliżenie na twarz chłopca nazywanego Christianem, który nadal trzyma w ustach kciuk.

Cięcie.

Ojciec prowadzi samochód, śmieje się i mówi coś do kamery, podczas gdy żona go filmuje.

Cięcie.

Kilka ujęć drogi, krajobrazu, potem pierwsza rolka się kończy.

Pozostałe filmy – nakręcone w ciągu kolejnych trzech lat – wyglądają podobnie: szczęśliwa rodzina nad Lake George, w parku rozrywki Story Land w New Hampshire, podczas wyprawy na plażę w Bonnet Shores. Ale tylko ostatni z jedenastu filmów był dźwiękowy. Został nakręcony w roku 1980, gdy chłopiec nazywany Christianem miał zaledwie pięć lat.

Właściwie jest to jego przyjęcie urodzinowe, sceny nakręcone na podwórku, na tle zieleni lasu i blasku słońca, dzień wypełniony zabawą i lodami. Chłopiec nazywany Christianem otwiera prezenty – wyjmując piłkę futbolową, plastikową ciężarówkę – podczas gdy inne dzieciaki i ludzie, których nazwiska Rzeźbiarz dawno już zapomniał, obserwują go i wydają okrzyki zachwyty.

„A jaki prezent dostanę *ja*, Mary?” – pyta jego ojciec z za kamery, na co matka odpowiada z uśmiechem: „Może podbite oko?”

Goście śmieją się głośno.

Potem następuje kilka krótkich ujęć, pokazujących, jak chłopiec nazywany Christianem kopie piłkę z jakąś małą dziewczynką, aż wreszcie przychodzi czas na scenę, na

którą Rzeźbiarz czeka od czterdziestu trzech minut – scenę, której zawsze cierpliwie wyczekuje.

Chłopiec nazywany Christianem siedzi sam przy stole – otwarte pojemniki z ciastoliną są ledwie widoczne pośród papierowych kubków i talerzy z resztkami lukru, które zaścielają obrus z motywami z *Imperium kontratakuje*. Chłopiec pilnie nad czymś pracuje, nieświadomy, że ojciec go nagrywa.

„Co robisz, Christianie?” – pyta ojciec zza kamery.

„Mojego przyjaciela, Dawida” – odpowiada Christian zdawkowo, nie podnosząc wzroku znad stołu.

„Kim jest Dawid?” – pyta ktoś szeptem.

„To jego wymyślony przyjaciel” – wyjaśnia również szeptem ojciec. – „Mówi, że mieszka w powozowni za domem”.

Niewidoczny rozmówca ojca mamrocze coś niezrozumiale. Przy akompaniamencie rozmów dorosłych i radosnych krzyków dzieci kamera najeżdża na chłopca nazywanego Christianem i niebieskozielony posąg z ciastoliny, po czym film z piątych urodzin Rzeźbiarza nagle się urywa.

## Rozdział 28

Cathy Hildebrant i Sam Markham siedzieli w samochodzie zaparkowanym przed jej domem przy East Side. Oboje milczeli, a jedynymi dźwiękami, które zakłócały ciszę panującą w aucie, były szelest wycieraczek i cichy terkot silnika. Od powrotu Sama z Quantico wiele razy znajdowali się w podobnej sytuacji – siedzieli niczym nastolatkwie w aucie zaparkowanym przed domem Polków, odtwarzając scenę, którą Cathy nazywała w myślach „krępującym zakończeniem randki”.

Choć dwa tygodnie wcześniej zebrała się już raz na odwagę i pocałowała Sama w policzek, czuła, że będzie musiała powtórzyć ten wyczyn. Od powrotu z Quantico Sam Markham wydawał się trochę oschły, rozmawiał z nią niemal wyłącznie na tematy zawodowe i unikał spraw osobistych. Nawet podczas tych nielicznych okazji, gdy pracowali tylko we dwoje w jego maleńkim biurze w centrum Providence, agent specjalny Sam Markham zawsze starał się siedzieć z dala od niej, unikać wszelkiego kontaktu fizycznego ze swoją nową współpracownicą. Gdy raz otarł się o nią przypadkiem – była to jedyna sytuacja, w której ich spojrzenia spotkały się ze sobą, a usta znalazły się tak blisko siebie, że Cathy czekała już na pocałunek – uśmiechnął się tylko i odwrócił głowę, kryjąc zaczerwienioną twarz.

Jednak najgorsze w oczach Cathy było to, że choć niemal nieustannie podróżowali razem po Nowej Anglii, choć spędzali mnóstwo czasu w jego samochodzie, agent specjalny Sam Markham ani razu nie uścisnął ponownie jej dłoni.

Działo się z nim coś niedobrego, i właśnie to coś go powstrzymywało.

W głębi duszy Cathy to rozumiała – takiego uczucia nie doświadczyła zresztą nigdy przedtem – lecz świadoma, racjonalna część jej umysłu po prostu nie mogła tego pojąć, nie wiedziała, co zrobić z tą wiedzą, z tym nowo odkrytym postrzeganiem serca mężczyzny – mężczyzny, który wydawał jej się bardzo bliski i bardzo odległy zarazem.

– Myślisz, że dasz sobie radę, jeśli zostaniesz sama? – spytał Markham w końcu.

– Tak. Janet i Dan wybierają się jutro nad morze. Oczywiście chcą, żebym z nimi pojechała – i pewnie odwiedzę ich latem – ale najpierw muszę odciąć pępowinę i wrócić do samodzielnego życia. Zadzwońię do nich, kiedy wejdę do środka, i powiem im, że dzisiaj nocuję tutaj. W końcu to mój dom.

– Nie chcę, żebyś czegokolwiek się bała, Cathy. Nasi ludzie nadal będą cię obserwować przez całą dobę. Zawiadomię ich, że zatrzymałaś się tutaj. I zawsze możesz też zadzwonić do mnie, wiesz o tym, prawda?

– Wiem.

Znów krępująca cisza.

– O co chodzi, Sam? – spytała Cathy nieoczekiwanie dla samej siebie.

Markham wydawał się zdziwiony.

– Co masz na myśli?

– Chodzi tylko o to, że myślałam... – Kiedy spojrzała mu w oczy i zobaczyła, jak znów próbuje zdławić uczucia, które do niej żywi, nagle poczuła się okropnie głupio. Miała ochotę się rozpłakać, czuła, że musi jak najszybciej wysiąść z samochodu.

– Przepraszam – powiedziała, zbierając swoje rzeczy. – Jestem głupia. Zadzwoni, kiedy znów będziesz mnie potrzebował.

– Cathy! – zawołał za nią Markham. – Cathy, poczekaj.

Lecz ona zamknęła już drzwi samochodu, jej obcasy stukały głośno o chodnik, gdy szła w stronę swojego domu. Markham siedział nieruchomo za kierownicą, otępiały i bezradny. Potem, kierowany nagłym impulsem, wyskoczył z samochodu i dogonił ją, gdy już wchodziła do środka. Na podłogę padł gruby plik poczty. Kiedy Cathy odwróciła się do niego, kiedy zobaczył łzy w jej oczach, posłuchał w końcu głosu serca i pocałował ją.

Potem przez cały wieczór kochali się pośród kartonowych pudeł, głusi na przytłumiony dzwonek komórki Cathy, zamkniętej w jej torebce.

## Rozdział 29

Gdyby Steve Rogers wiedział, że dwaj policjanci z Cranston odeszli spod mieszkania jego byłej żony zaledwie kilka minut przed jej przyjazdem, gdyby wiedział, że Janet Polk nieświadomie wprowadziła ich w błąd, twierdząc, że jej najlepsza przyjaciółka będzie nocowała u niej, próżny i egotyczny nauczyciel gry aktorskiej zapewne uznałby, że los znów z niego zakpił. Być może pocieszyłaby go tylko świadomość, że po jego stronie stanęła pewna ładna rudowłosa dziennikarka – choć zrobiła to wyłącznie w swoim interesie. Meghan O'Neill, szefowa nowo utworzonego trzyosobowego zespołu dziennikarskiego, który miał się zajmować wyłącznie sprawą Renesansowego Zabójcy, w końcu doczekała się tego wieczoru przełomu. Jej ekipa od wielu dni cierpliwie prowadziła nasłuch na częstotliwościach policyjnych. Interesowało zespół tylko kilka słów: Michał Anioł, Renesansowy Zabójca lub Hildebrant. Kiedy więc usłyszeli, że policja z Cranston nie może znaleźć doktor Hildebrant, którą zamierzała przesłuchać w związku z zaginięciem jej męża, O'Neill natychmiast kazała swoim ludziom wsiąść do furgonetki i jechać do East Side.

– Jeśli Hildebrant jest w domu – mówiła – nagramy relację tam. Jeśli jej nie będzie, wrócimy do Cranston i zrobimy krótki materiał z domem Rogersa w tle.

Zespół O'Neill od razu zrozumiał, że tak czy inaczej, to właśnie ona pierwsza przekaze tę wiadomość.

W domu było ciemno, a Cathy, która leżała naga w ramionach Markhama, właśnie zasypiała, gdy nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Drgnęła przestraszona, lecz Sam przyłożył palec do ust, sięgnął po pistolet i wyszedł bezgłośnie na korytarz. Dzwonek zabrzączał ponownie, lecz nim jeszcze agent FBI wyrzał przez judasza, ostre światło sączące się przez żaluzje zdradziło Cathy, kto stoi na jej werandzie.

„Reflektory punktowe” – pomyślała, okrywając się kocem. – „Znów dziennikarze. Czego chcą tym razem?”

– Dziennikarze – poinformował ją szeptem Markham i pokazał, by nie ruszała się z miejsca.

Stał w drzwiach pokoju, odwrócony do niej plecami, z bronią w opuszczonej ręce, jakby zastanawiał się, czy wciągnąć ich w zasadzkę, czy nie. Cathy uśmiechnęła się do siebie

– o tak, mógłby zrobić z nimi porządek – i pomimo zamieszania, pomimo nagłej tęsknoty za spokojnym azylem, jakim był dom Polków, poczuła przyjemne podniecenie na widok muskularnego ciała Markhama – ramion i pleców, pośladków i ud, które w półmroku przypominały do złudzenia marmurowy posąg.

Reflektor zgasł, a Markham ponownie zniknął w korytarzu. Cathy usłyszała odgłos uruchamianego silnika, a potem samochód odjeżdżający spod jej domu. Po chwili agent FBI wrócił, niosąc ze sobą ich ubrania. Położył torebkę Cathy i porzuconą pocztę na jednym z kartonowych pudeł.

– Poszli sobie – powiedział. – Nie mam pojęcia, czego jeszcze mogli od ciebie chcieć.

– Może chcieli się dowiedzieć, jakim jesteś kochankiem.

Markham roześmiał się zakłopotany, po czym oboje ubrali się w ciemnościach – cicho, trochę niezdarnie, ale z pełną świadomością, że oto zaczął się w końcu długo wyczekiwany romans. Wkrótce znaleźli się w kuchni, usiedli przy stole i popijali herbatę w ciepłym świetle padającym z piekarnika. Markham trzymał Cathy za rękę, ale odzywali się do siebie tylko od czasu do czasu – opowiadali zabawne historie i szczegóły ze swojego życia, po czym milkli ponownie. Żadne z nich nie wiedziało, co właściwie powinno mówić, ale oboje byli zadowoleni, że przebywają w swoim towarzystwie.

– Powinienem już chyba iść – oświadczył Markham, kiedy zegar na kuchence pokazał dziewiątą. – Jutro cały dzień spędzimy w Bostonie, zdamy raport Burrellowi i porównamy nasz materiał z tym, czego dowiedzieli się ludzie Sullivan i moi podwładni z Quantico.

– W sobotę?

– Kiepsko, co?

– Możesz zostać tutaj, jeśli chcesz – zaproponowała, czując się przy tym tak, jakby mówiła w obcym języku: po raz pierwszy od dwunastu lat zaprosiła mężczyznę do siebie na noc. – Czy to wypada? Musisz mi wybaczyć, Sam, zwykle tego nie robię.

– Ja też – odparł Markham, po czym zrobił coś nieoczekiwanego: ujął jej dłonie i pocałował je. – Przepraszam. Za to, co było wcześniej. Za to, że tak się przed tobą zamykałem. Wiem, że to widziałaś. Wiem, że to czułaś, i że postępowałem nie fair. Nie powinienem był udawać, przeze mnie czułaś się zraniona i odrzucona. To nie w moim stylu, Cathy. Nie prowadzę takich gier. Chodzi tylko o to, że nie umiem sobie do końca radzić z czymś takim, czymś tak nowym i niespodziewanym. Opowiem ci o tym kiedy indziej, ale musisz wiedzieć, że pomimo okoliczności, w jakich cię poznałem, i bez względu na to, co się jeszcze wydarzy, i jak głupio mogę się zachować, to jest prawdziwe – ty i ja, Cathy, i to, co do ciebie czuję, to wszystko jest prawdziwe. Miej tylko do mnie cierpliwość, dobrze?



Serce Cathy zabiło mocniej, potem podniosła głowę i pocałowała go, długo i namiętnie. Gdy w końcu odsunęli się od siebie, Markham uśmiechnął się szeroko.

– Mógłbym to robić przez całą noc. Ale na twoim miejscu zadzwoniłbym do ciotki Janet. Robi się późno, a ona pewnie zamartwia się na śmierć.

– Cholera – mruknęła Cathy, rozglądając się po kuchni. – Całkiem o niej zapomniałam. Myśli, że będę spała u nich. Moja torebka. Co zrobiłam z moją torebką?

– Spokojnie. Położyłem ją w salonie. Pierwsze pudło po prawej.

Cathy zniknęła w ciemnym korytarzu, a gdy po chwili wróciła z torebką, trzymała już telefon przy uchu. Rzuciła torebkę i pocztę na stół.

– Pięć nieodebranych połączeń od Janet. I dwie wiadomości na poczcie głosowej.

Markham dokończył herbatę i odstawił kubek – od razu zauważył dziwną paczkę, wystającą z katalogu Pottery Barn.

– Cześć, Jan, to ja – mówiła tymczasem Cathy, przechodząc znów do korytarza.

Uwagę agenta przykuł nie tyle nadmiar znaczków, ile częściowo widoczny napis – znajomy, ozdobny i precyzyjny charakter pisma, którym wykaligrafowano adres.

– Wiem, Jan, przepraszam. Jestem u siebie. Pracowałam do późna i...

Markham zdjął gumkę oplatającą pakiet poczty i wyjął paczkę spośród pozostałych przesyłek.

– Co? – rzuciła Cathy do słuchawki, wyraźnie czymś poruszona.

Markham wstał od stołu i przyjrzał się uważnie napisowi nad adresem: *Specjalnie dla doktor Hildebrant.*

– Kiedy ostatnio się z nią kontaktował?

Markham wyjął z tylnej kieszeni kopertę, którą dał mu ksiądz Bonetti. Porównał ją z paczką owiniętą w szary papier – pismo było identyczne.

– Jasne, tak – mówiła Cathy, wracając do kuchni. – Nie martw się, Jan, dam sobie radę... Tak, zaraz do nich zadzwonię. Dobrze. Dam ci znać. Ja też cię kocham. – Cathy zamknęła telefon i odwróciła się do Markhama. – Chodzi o Steve'a, Sam. Mojego byłego. Janet mówi, że policja chce porozmawiać...

Mina Markhama powiedziała jej wszystko, była niczym potężny cios prosto w żołądek. Gdy agent FBI pokazał jej paczkę owiniętą w szary papier, gdy zobaczyła kopertę od księdza Bonettiego w jego drugiej dłoni, natychmiast zrozumiała, że jej byłego męża spotkało coś bardzo, bardzo niedobrego.

## Rozdział 30

Cichy trzask wysuwającej się szuflady odtwarzacza DVD zabrzmiał w uszach przerażonej Cathy niby złowieszczy grzmot, logo firmy Sony widoczne na ekranie telewizora wypełniało pokój błękitnym blaskiem nadsięgającej burzy. Markham otworzył paczkę w kuchni, za pomocą ostrego noża, i dotykał jej zawartości tylko przez papierowy ręcznik. Zarówno sama płyta DVD, jak i opakowanie pozbawione były jakichkolwiek napisów czy oznaczeń i wydzierały zapach świeżo wytłoczonego plastiku. Markham umieścił płytę w kieszeni odtwarzacza i usiadł obok Cathy na sofie.

Ekran przygasł na moment, wypełnił się czernią, po czym zaczęło się odliczanie – nieco rozmazane białe litery, zmieniające się na ciemnym tle, niczym w starych filmach. Po chwili ekran znów pociemniał, a z głośników dobiegł szept:

– Wyjdź z kamienia.

Serce zamarto Cathy w piersiach, gdy w telewizorze ukazała się twarz Steve'a Rogersa. Jego czoło oplatała skórzana opaska, na uszach znajdowały się dwie skórzane poduszeczki, które przytrzymywały głowę mężczyzny w miejscu. Pocił się obficie i mrugał gwałtownie oczyma.

– O mój Boże, Sam! – wykrzyknęła Cathy. – Przecież to Steve!

– Co się tu, kurwa, dzieje? – odezwał się jej były mąż ochryplym, nieco bełkotliwym głosem.

– Otóż to – odpowiedział mu głos zza kamery. – Wyrwij się z uśpienia, o matko Boga.

– Kurwa, co to...

Cathy i Markham wpatrywali się ekran ogłupiali, podczas gdy Rogers szarpał się przez chwilę, a potem znieruchomiał zdezorientowany. Światło padające na jego twarz zmieniło się lekko, wydawało się, że Steve spogląda na coś ponad sobą, a jego oczy otwierają się coraz szerzej w przerażającej, niesamowitej ciszy.

– Otóż to – powtórzył głos zza kamery. – Wyrwij się z uśpienia, o matko Boga.

Rogers próbował odwrócić głowę w stronę głosu.

– Kim jesteś? Czego chcesz, do cholery?

Światło na twarzy Steve'a znów jakby się nieco zmieniło, mężczyzna przestał się

szamotać. Cathy i Markham domyślili się, że coś odwróciło jego uwagę. Oddech Rogersa nagle przyspieszył, a na ekranie pojawiło się ujęcie z innej kamery, umieszczonej dokładnie nad nim.

– Używa dwóch kamer – stwierdził Markham rzeczowym tonem. – Jednej stacjonarnej i jednej przenośnej.

Kamera zaczęła się powoli przesuwać w dół ciała Rogersa, z jego twarzy na szyję i niżej. Gdy w dolnej części ekranu pojawiły się pierwsze krwawe szwy, Rogers zaczął krzyczeć.

– Kurwa, co to jest? Co ty mi, kurwa, robisz?

– Boże, nie... – wyszeptała Cathy, ujrawszy białe, pełne piersi, przyszyte niczym jajka pod dziwnym kątem do muskularnego torsu jej byłego męża. Zakryła usta dłonią, podczas gdy on krzyczał dalej:

– Przepraszam, Cathy! – wołał z ekranu. – Przepraszam!

Kamera przesuwała się coraz niżej w dół brzucha Stevena, po szerokim skórzanym pasie, który przytrzymał go na stalowym stole, i dalej, do podbrzusza. Cathy czuła się tak, jakby miała eksplodować, jakby widziała już oczami wyobraźni to, co musi nastąpić za chwilę, i wiedziała w głębi duszy, że nie zniesie tego widoku. Zerwała się z sofy i wybiegła na korytarz, gdzie zaczęła gwałtownie wymiotować, podczas gdy Markham patrzył ze zgrozą na okrwawione szwy, widoczne w miejscu, gdzie powinien się znajdować penis Steve'a Rogersa.

Krzyk ucichł na moment. Kolejna zmiana, tym razem ujęcie z kamery stacjonarnej. Mieszkanie Cathy znów wypełniło się krzykiem jej byłego męża, a gdy jego dusza opuściła w końcu umęczone ciało na oczach przerażonego Markhama, pani doktor osunęła się w mrok.

## Rozdział 31

Bill Burrell pędził drogą numer 95 dobrze ponad sto czterdzieści kilometrów na godzinę, zwykle samochody rozjeżdżały się na boki i rozstępowały przed policyjnymi radiowozami jego eskorty niczym bożonarodzeniowy papier do pakowania przed nożyczkami. Rachel Sullivan wyprzedzała go o pół godziny. Miała spotkać się z nim w szpitalnej sali doktor Hildebrant po spotkaniu z przedstawicielami policji z Cranston.

„Sukinsyn” – pomyślał Burrell. – „Tym razem będziemy musieli dopuścić do tego miejscowych gliniarzy”.

Wszystko wydarzyło się niezwykle szybko – żona powiedziała mu o nowych, sensacyjnych wiadomościach z Rhode Island tuż przed telefonem Markhama. Pomyślał, że to wszystko jest po prostu zbyt dziwne – tak, właśnie takie, jak mówiły o tym pieprzone media: „Dziwny zwrot w sprawie Renesansowego Zabójcy”. Pieprzone gryzpiórki nie wiedziały o DVD ani o tym, że Steve Rogers już nie żyje. Nie, sam fakt, że w Rhode Island zaginęła kolejna osoba i że jest nią były mąż doktor Hildebrant, wykładowczyni z Uniwersytetu Browna i ekspertki od Michała Anioła, która od początku była związana z tą sprawą, w zupełności wystarczał tym hienom. Na razie.

„Sukinsyn” – pomyślał ponownie Burrell, przejeżdżając przez granicę między stanami Massachusetts i Rhode Island. – „To tylko kwestia czasu, zanim wszystko się wyda, zanim dowiedzą się o związku Hildebrant nie tylko z tym walniętym Renesansowym Zabójcą, ale i z nami”.

Jednak Bill Burrell nie martwił się najbardziej tym, jak poradzi sobie z całą tą historią urocza historyk sztuki, która przypominała mu jego żonę, ani tym, w jaki sposób zainteresowanie mediów jej osobą wpłynie na śledztwo prowadzone przez FBI. Jadąc w stronę szpitala stanowego Rhode Island, nie mógł się pozbyć dręczącego przecucia, że pomimo wszystkich nowych informacji sprawa Renesansowego Zabójcy pozostanie otwarta.

## Rozdział 32

W głowie Sama Markhama kłębiły się dziesiątki myśli, zdezorientowany i zszokowany wciąż nie mógł zdecydować, co właściwie powinien teraz zrobić. Cathy doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu, wiedział jednak, że wkrótce wróci do zdrowia – był tego pewien. Kiedy siedział przy jej szpitalnym łóżku, targały nim sprzeczne impulsy, pragnienie natychmiastowego wyruszenia w pościg za Renesansowym Zabójcą i wyrzuty sumienia, troska o kobietę, którą kochał.

Zespół Sullivan miał się zająć analizą informacji zawartych na DVD, Markham wiedział bowiem, że musi być przy Cathy, kiedy ta się ocknie. Słyszał, jak uderzyła głową o podłogę, gdy zemdląca w holu – mógłby ją przed tym uchronić, mógłby ją w porę złapać, gdyby nie pochłonął go widok przerażającej śmierci Steve’a Rogersa. Lecz gorszy niż upadek był dla Cathy moment, w którym Sam ją ocucił – najpierw szok, a potem histeria, gdy jej umysł próbował jakoś ogarnąć to, czego przed chwilą był świadkiem.

– Mamo! – krzyczała w karetce. – Miałas rację, mamo! Próbowałaś mnie ostrzec, ale ja nie słuchałam! Przepraszam, Steven!

Ratownicy medyczni musieli przywiązać Cathy do noszy i zaaplikować jej środki uspokajające podczas jazdy do szpitala. Gdy powoli zaczęła się uspokajać, ścisnęła mocniej dłoń Markhama i wyszeptała coś, o czym i tak już wiedział:

– *Pietá*, Sam. Piersi. Wykorzystał ciało Steve’a do *Piety*.

Po lekturze *Uśpionego w kamieniu* Sam Markham wiedział już sporo o *Piecie watykańskiej* – wiedział, że postać Maryi jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do Jezusa i że Michał Anioł przedstawił ją w ten sposób, by uzyskać odpowiednie relacje między obiema figurami. Wiedział też już wcześniej, że prawdziwa *Pietá watykańska* znajduje się w bazylice św. Piotra w Watykanie, dlatego też kazał Sullivan skontaktować się z policją i zabezpieczyć wszystkie kościoły pod wezwaniem św. Piotra w Rhode Island, południowym Massachusetts i północnym Connecticut. W głębi duszy domyślał się jednak, że nie będzie to takie proste – że Renesansowy Zabójca nie podsunąłby tak prostego rozwiązania doktor Hildebrant i FBI.

Być może nawet usiłował odwieść ich od właściwego kierunku poszukiwań.

Tak czy inaczej, agent specjalny zachował dość zimnej krwi, by – nim wsiadł do

karetki z Cathy – zabrać ze swojego trailblazera egzemplarz *Uśpionego w kamieniu*. Kiedy Cathy zasnęła, przejrzał raz jeszcze rozdziały dotyczące *Pietę watykańskiej* – dowiedział się dzięki temu, że posąg został zamówiony jako nagrobek przez francuskiego kardynała de Billheresa. Pierwotnie znajdował się w kaplicy św. Petroneli, położonej w południowym transepcie bazyliki św. Piotra, gdzie ulokowano grób kardynała. Rzeźba stała tam jednak tylko przez krótki czas, dopóki kaplica nie została zniszczona. Potem przenoszono *Pietę* jeszcze do kilku różnych miejsc w obrębie bazyliki, aż wreszcie w osiemnastym wieku spoczęła tam, gdzie znajduje się do dzisiaj, w pierwszej kaplicy po prawej stronie świątyni. Markham przekazał wszystkie te informacje Sullivan, ale pomimo długich poszukiwań w internecie agentka FBI nie znalazła żadnego miejsca, które można by połączyć z tymi szczegółami (święty Piotr, święta Petronela, kaplica grobowa, kardynał Billheres itd.) – nie tylko w Rhode Island, ale i w całej Nowej Anglii.

Sam Markham czuł się więc bezradny. Widział oczami wyobraźni, jak przyszłość nieuchronnie zbliża się do niego – widział wyraźnie *Pietę* Renesansowego Zabójcy, odrażającą rzeźbę z głową kobiety, dłońmi i piersiami, przyszytymi do ciała Rogersa; przywodziło to na myśl potwora doktora Frankensteina. Sam Markham wiedział już sporo o procesie plastynacji, więc racjonalna część jego umysłu podpowiadała mu, że nawet jeśli Renesansowy Zabójca zamordował swoją Marię i Jezusa dawno temu, to nie miał z pewnością dość czasu, by zakonserwować ciało Rogersa. Jednak szósty zmysł, intuicja, której słuchają wszyscy najlepsi psychologowie policyjni, mówiła mu jednoznacznie, że pomimo „faktów” prawda wygląda inaczej.

Tak, Markham czuł coraz wyraźniej, że nie tylko umyka mu coś ważnego, ale i że ma coraz mniej czasu.

Potrzebował Cathy – musiała ocknąć się jak najszybciej i porozmawiać z nim spokojnie.

Do sali wsunął głowę agent z oddziału terenowego:

– Burrell już jedzie – powiedział.

Sam skinął głową. Wejścia do sali pilnowało dwóch agentów z Providence, a Markham był pewien, że Burrell sam będzie nalegał, by umieścić Cathy w jakimś bezpiecznym miejscu i otoczyć specjalną opieką FBI. I dobrze – z pewnością było to rozwiązanie lepsze niż zwykła obserwacja. Cathy nie zdawała sobie nawet sprawy, jak uważnie była śledzona, to chociaż FBI znało każdy jej ruch, mimo że z pewnością nigdy nie znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie, Markham czuł wstyd, że została nieświadomie wykorzystana jako przynęta.

Nie dało się tego uniknąć.

Teraz jednak sytuacja *musiała* się zmienić. Teraz Renesansowy Zabójca zamordował specjalnie dla niej – zabił jej byłego męża, wykorzystał jego ciało w swojej *Piecie*, co bez wątpienia miało być wyrazem wdzięczności dla doktor Hildebrant za jej pomoc. Dlatego też Cathy nie pozostało nic innego, jak się ukryć. Ale na jak długo? I czy ona sama w ogóle będzie tego chciała, kiedy już uświadomi sobie w pełni, co się stało? Markham zastanawiał się, ile razy życzyła w duchu Steve'owi Rogersowi, by wpadł pod ciężarówkę albo pośliznął się na lodzie i rozbił sobie czaszkę. I czy kiedykolwiek będzie w stanie to sobie wybaczyć? Czy zdoła się uporać z poczuciem winy, z przekonaniem, że w pewnym sensie jest odpowiedzialna za śmierć byłego męża?

Spoglądając na twarz uspionej Cathy, myślał o Michelle. Chciał oszczędzić Cathy tego bólu; chciał rozwiązać pasy, które przytrzymały ją na łóżku, i wynieść, zabrać z dala od tego wszystkiego.

Potem pomyślał o Stevenie Rogersie przywiązany do stalowego stołu, na którym Renesansowy Zabójca prawdopodobnie go operował, a Rogers wydał ostatnie tchnienie.

„Adrenalina” – rozmyślał Markham. – „Zabójca doprowadza ich do ataku serca, kiedy patrzą na siebie – na posąg, którym mają się stać, wyświetlany na monitorze nad ich głową. To ważne, żeby zrozumieli – tak jak Gabriel Banford musiał zrozumieć przed laty. Przez grozę tego zrozumienia, przez grozę ponownych narodzin budzą się z uspiania i zostają uwolnieni z kamiennej powłoki – tak jak podejrzewaliśmy z Cathy. Z boku stołu były łańcuchy, jakby został podwieszony pod sufitem – pewnie można go opuszczać i podnosić, jak na filmach z Frankensteinem. Wysoki sufit. Tak. I wciągarka – całość musi być umocowana na suficie wyższym niż w piwnicy. W garażu albo w magazynie. Pieniądze. Zabójca musi mieć dużo pieniędzy. Bardzo dużo – bez problemu może wydać dwadzieścia pięć kawałków na posąg”.

*Pietá.*

„Dokładnie taka, jaką skradziono trzy lata temu” – słyszał w myślach głos księdza Roberta Bonettiego. – „Ta, którą ufundowała pewna bogata rodzina kilka lat wcześniej, nim objąłem tę parafię”.

„Bogata rodzina...”

„Mieliśmy na stronie internetowej całkiem sporą galerię zdjęć z kościoła. Ale po kradzieży zdjęliśmy większość z nich. Oczywiście, były tam też zdjęcia *Piety*. Być może ten człowiek po prostu ją rozpoznał i w ten sposób trafił tutaj”.

Markham spojrział na zegarek. Pierwsza trzy. Za późno, żeby budzić starego księdza

jedynie z powodu jakiegoś przeczucia. Nawet nie przeczucia – niejasnego podejrzenia. Poza tym miał mało czasu – instynkt podpowiadał mu, że coś się wydarzy w ten weekend, może nawet jeszcze tej nocy – jeśli już się nie wydarzyło. Gdyby tylko wiedział, gdzie...

Gdzie, gdzie, gdzie!

– Cathy – wyszeptał jej do ucha. – Cathy, potrzebuję cię.

Jej powieki zadrżały lekko.

– Sam? – spytała półprzytomnie, zmagając się z działaniem środków uspokajających, które wciągały ją z powrotem w sen.

– Tak, Cathy, to ja. Jesteś bezpieczna. Wszystko będzie dobrze.

– Gdzie jestem? Nie mogę ruszyć...

– Wszystko w porządku, Cathy – uspokajał ją Markham, uwalniając jednocześnie jej rękę. – Jesteś w szpitalu. Uderzyłaś się w głowę, ale nic ci nie jest. Lekarze przywiązali cię do łóżka, żebyś nie zrobiła sobie krzywdy, bo wpadłaś w histerię. Ale teraz już uwolniłem ci rękę, widzisz? Jestem tu, Cathy. Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego.

– To był Steve – zaszlochała. – To wszystko moja wina...

– C... Cathy. Przestań. To nieprawda. Nie myśl tak.

– Ale *Pietá*... Zrobił ze Steve'a *Pietę* specjalnie dla mnie.

– Cathy, posłuchaj mnie. Musisz zachować spokój. Musisz być silna. Mamy mało czasu. Renesansowy Zabójca nie wysłałby ci tego nagrania, gdyby nie miał pewności, że to nie pokrzyżuje jego planów, gdyby nie był przekonany, że to nie doprowadzi nas do miejsca, w którym chce wystawić swoją *Pietę* – a przynajmniej nie doprowadzi nas tam na tyle szybko, byśmy mogli go złapać.

– Bazylika św. Piotra – powiedziała Cathy, przełykając z trudem ślinę. – Prawdziwa *Pietá* jest właśnie tam.

– Wiem, Cathy, ale to byłoby zbyt łatwe. Wszystkie kościoły pod wezwaniem Świętego Piotra w okolicy są pod obserwacją, instynkt jednak mówi mi, że to nie jest właściwy klucz. Ten facet jest na to za sprytny. Musisz pomyśleć o jakimś innym miejscu, w którym mógłby ustawić *Pietę*.

Cathy milczała przez chwilę, wpatrując się w oczy Markhama – miłość, którą tam widziała, dodawała jej sił, pomagała myśleć.

– Początkowo rzeźba była wystawiona w kaplicy świętej Petroneli.

– Tak, święta Petronela, czytałem o tym w twojej książce – francuski kardynał Billheres zamówił ją na swój nagrobek.

– Sama kaplica była pierwotnie starym rzymskim mauzoleum, adaptowanym przez



chrześcijan, stała w miejscu, gdzie obecnie znajduje się bazylika świętego Piotra, rozbudowana na początku szesnastego wieku według projektu słynnego włoskiego architekta, Donata Bramantego. Nie wiadomo, jak wyglądała kaplica w swojej oryginalnej, rzymskiej postaci, nim Bramante ją przerobił. Skoro jednak weźmiemy pod uwagę fakt, że Michał Anioł zaprojektował *Pietę* specjalnie z myślą o tym właśnie miejscu, jedno jest pewne.

– Co?

– Jeśli *Pietę* oświetla naturalne światło, padające z góry, jak było w starej bazylice, twarz Matki Boskiej pozostaje w cieniu, a ciało Chrystusa jest w pełni oświetlone. Metaforyczne implikacje są oczywiste – światło, wieczne życie w martwym ciele Zbawiciela, i tak dalej. Trzeba jednak pamiętać, że miał to być pomnik nagrobny, a nie tylko dzieło sztuki sakralnej. Cała struktura *Piety* – sposób, w jaki spojrzenie Maryi i jej otwarte ramiona kierują naszą uwagę na jej syna, a potem na ukryte pod posągiem ludzkie szczątki, pierwotne ustawienie posągu i jego oświetlenie – wszystko to sprawia, że widzimy to dzieło tak, jak zaplanował Michał Anioł, skłania nas ono do myślenia nie tylko o Chrystusie, Zbawicielu, ale i o naszej własnej śmiertelności, a także o śmiertelności kardynała Billheresa.

– Więc uważasz, że właśnie określony sposób oświetlenia, blask padający z góry, jest kluczem do właściwego ukazania rzeźby?

– Tak. Jeśli przyjrzesz się uważnie zdjęciom w mojej książce, zobaczysz na zbliżeniach cienką linię na czole Maryi. Widziana z daleka, przy odpowiednim oświetleniu, tworzy iluzję welonu – to sprytny zabieg, ale wymaga odpowiedniego światła. Inaczej wygląda tylko jak kreska na czole.

– Więc nie chodzi wcale o to, żeby miejsce wystawienia *Piety* miało jakiś związek ze świętym Piotrem – podsumował Markham. – Znacznie ważniejsze jest właściwe oświetlenie. To oznacza, że zabójca wybierze jakąś kaplicę albo nawet mauzoleum, które umożliwią widzom właściwy odbiór dzieła, zgodny z zamierzeniem Michała Anioła, podobnie jak w wypadku *Bachusa*. Ogród Dodda pełnił rolę nie tylko historycznej aluzji, odniesienia do pierwotnej lokalizacji posągu. Tak, być może zabójca wystawił *Bachusa* w ogrodzie Dodda, bo dzięki temu mógł również odtworzyć doznania ludzi Renesansu, oglądających rzeźbę Michała Anioła – doznania, którymi chciał obudzić nas z letargu.

– Nie wiem, Sam – westchnęła Cathy, a jej oczy znów napełniły się łzami. – Nic już nie wiem.

– C... – powtarzał łagodnie Markham, całując ją w czoło. – Pamiętaj, że zależy mi na tobie, Cathy. Pamiętaj, że zaopiekuję się tobą. Nie pozwolę, by ktokolwiek cię skrzywdził.

Cathy czuła, jak robi jej się ciepło na sercu, a łzy rozpaczy zamieniają się w łzy

radości. Chciała powiedzieć Markhamowi, że go kocha, przeszkodził jej jednak głos dobiegający z drugiej strony sali.

– Sam?

Markham i Cathy odwrócili się do drzwi, w których stał Bill Burrell.

– Muszę już iść – powiedział Markham, ponownie całując Cathy. – Zawołam pielęgniarkę, sprawdzi, czy nie potrzebujesz...

– Nie zostawiaj mnie, Sam.

– Muszę, Cathy. Poradzisz sobie. Tutaj aż się roi od agentów FBI. Prześpisz się chwilę, a potem znów będę przy tobie.

Cathy odwróciła głowę.

– Złapię tego gościa, zrobię to dla ciebie – powiedział Markham, ujmując ją pod brodę i łagodnie odwracając do siebie. – Obiecuję ci, Cathy. Teraz to już sprawa osobista.

Cathy uśmiechnęła się słabo, znów poddając się działaniu środków uspokajających.

– Dziękuję ci, Sam – wyszeptwała.

Markham położył dłoń na jej policzku. Kiedy Cathy zapadła w sen, wyszedł na korytarz, do Billa Burrella.

– Jak ona się czuje? – spytał Buldog.

– Nie najgorzej. Poradzi sobie.

– Zaopiekujemy się nią teraz.

– Tak.

– Gdzie jest to DVD? Chciałbym je obejrzeć.

– Nie wróciło jeszcze z laboratorium, sprawdzają, czy na paczce nie ma jakichś śladów, ale niczego pewnie nie znajdą. Ten facet jest na to za sprytny. Wgrają też film do komputera i sprawdzą, czy nie da się czegoś zobaczyć w powiększeniu. Poproszę, żeby zrobili ci kopię, wkrótce ją dostaniesz.

– Dobrze. A teraz powiedz mi, że masz dla mnie coś jeszcze, Sam.

– Coś wydarzy się w ten weekend, może w ciągu najbliższych kilku godzin – jeśli jeszcze się nie wydarzyło.

– Skąd wiesz?

– Dzięki temu DVD. Zabójca chciał nam trochę namieszać w głowach, ale myślę, że było to też wyzwanie z jego strony, jakby chciał powiedzieć: „Proszę bardzo, spróbujcie mnie powstrzymać”.

– Jesteś pewien?

– Tak. Ale muszę poszukać czegoś w internecie. Muszę dostać się do komputera, tutaj,

w szpitalu.

– Dlaczego?

– Wyjaśnię ci to po drodze. Wiesz, Bill, mam przeczucie, że Renesansowy Zabójca pokaże swoje następne dzieło dziś w nocy. Jeśli uda mi się odgadnąć, gdzie to zrobi, być może dotrzemy tam przed nim.

## Rozdział 33

Rzeźbiarz wszedł do swojej dużej białej furgonetki, wyjechał tyłem z powozowni, zawrócił i ruszył powoli wzdłuż nieutwardzonego, obsadzonego drzewami podjazdu. Była to jedyna część posiadłości, której nigdy nie sprzątał i nie pielęgnował – uważał, że lepiej, by pozostała zarośnięta na wypadek, gdyby jakiś nieproszony gość skręcił w niewłaściwą stronę z brukowanego podjazdu przed domem. Mniej więcej w połowie drogi zatrzymał auto i przesunął wielki pień drzewa, który zostawiał tu jako dodatkowe zabezpieczenie. Nie musiał przywracać go teraz na miejsce – było już późno i nie przypuszczał, by o tej porze zapuścił się tutaj jakiś nieproszony gość.

Rzeźbiarz znów usiadł za kierownicą i ruszył w dalszą drogę. Wyjechał na ulicę przez wyrwę w starym kamiennym murze, otaczającym posesję. Ulicę oświetlały nieliczne latarnie, nie było przy niej chodników: większość domów w bogatej dzielnicy East Greenwich, w której mieszkał Rzeźbiarz, położona była między drzewami, z dala od głównej drogi. Większość posesji otaczały również kamienne mury, które ciągnęły się kilometrami przez okoliczne lasy. W dzieciństwie Rzeźbiarz spacerował wzdłuż nich z ojcem długie godziny – czasami spotykali po drodze sąsiadów i gawędzili z nimi. Ale tamte czasy minęły, teraz Rzeźbiarz i jego ojciec nigdy nie rozmawiali z sąsiadami.

Dotarł do głównej drogi, którą miał jechać jeszcze przez jakiś czas. Odległość do przebycia była stosunkowo krótka – w dodatku na wszelki wypadek zamierzał trzymać się bocznych tras – lecz tutaj, w blasku latarni, był najbardziej odsłonięty, najbardziej narażony na nieoczekiwane spotkanie z policją. Oczywiście, takie ryzyko było nieuniknione, więc odpowiednio się zabezpieczył, ukrywając pod fotelem pasażera nabitą broń – sig sauera kaliber.45 i dwururkę, która należała do jego rodziny od pokoleń. Miał też ze sobą broń z nabojami usypiającymi – zarówno pistolet, jak i snajperkę, z której trafił Tommy’ego Campbella – na wypadek gdyby natknął się po drodze na jakiś fantastyczny materiał.

Jednak prawdopodobieństwo takiego spotkania – jak i zatrzymania przez policję – było naprawdę niewielkie. Rzeźbiarz był niemal pewien, że policjanci nie będą mu sprawiali kłopotów nawet w blasku dnia – podejrzewał, że wręcz będą go unikali, bo przygotowując się do eksperymentów z kobietami, kupił kilka dodatkowych puszek farby w kolorach, które

umożliwiły mu wymalowanie logo kanału 9 na burcie furgonetki.

## Rozdział 34

Sam Markham siedział przy biurku lekarza, ostry, jaskrawy blask świetlówek bił go po zmęczonych oczach, gdy wpisywał hasła „ogród z rzezbami” i „Rhode Island” do wyszukiwarki internetowej.

– Sam – zagadnął Bill Burrell, pochylając się nad jego ramieniem – skąd wiesz, że Renesansowy Zabójca znalazł miejsce dla swojego *Bachusa* właśnie w internecie?

– Ksiądz Bonetti mówił, że mieli na swojej stronie internetowej zdjęcie *Piety*, którą im potem skradziono. Trochę cierpliwości, Bill, to nie jest takie proste.

Markham sprawdził kilka linków, potem, niezadowolony z rezultatów, wpisał w okno wyszukiwarki hasła „Earl Dodd” i „ogród Watch Hill”, nadal jednak nie znalazł nic ciekawego. Zamyślił się na chwilę, po czym sięgnął po swój egzemplarz *Uśpionego w kamieniu* i otworzył go na rozdziale opisującym *Bachusa*.

– *Bachus* został wykonany na zamówienie kardynała Raffaelego Riario – przeczytał głośno Markham. – Duchowny nie przyjął jednak gotowego dzieła, twierdząc, że jest obrzydliwe. Wiemy, że najpóźniej w roku tysiąc pięćset szóstym posąg trafił do kolekcji starożytnych rzeźb rzymskich, należącej do niejakiego Jacopa Gallego, bankiera Michała Anioła. Znajdował się tam przez siedemdziesiąt lat, wystawiony na działanie warunków atmosferycznych w Cancelleria, rzymskim ogrodzie Gallego, aż w roku tysiąc pięćset siedemdziesiątym szóstym został zakupiony przez rodzinę Medyceuszy i przewieziony do Florencji.

Markham wpisał do wyszukiwarki słowa rzymski ogród i Rhode Island.

– Bingo. – Pokiwał głową i kliknął na szósty rezultat, stronę internetową o nazwie „Domy elity”. Kilka kolejnych kliknięć i w końcu agent specjalny Sam Markham znalazł to, czego szukał: zdjęcie ogrodu Dodda – pozbawione jednak adresu lub choćby nazwiska. Pod zdjęciem znajdował się jedynie podpis: „Piękny ogród rzymski w Rhode Island – z widokiem na morze”.

– Boże – mruknął Burrell – musiał jeździć po okolicy całymi tygodniami, zanim znalazł to miejsce.

– I pewnie uznał, że to prawdziwe zrzączenie opatrności, kiedy dowiedział się, że

właścicielem ogrodu jest finansista, jak Jacopo Galii – przypuszczam, że w tej sytuacji nie przystałby na żadne inne miejsce. Dlatego zadał sobie tyle trudu, żeby umieścić rzeźbę właśnie tam.

Markham ponownie sięgnął do książki, otworzył ją na rozdziale o *Piecie watykańskiej* i po krótkich poszukiwaniach odczytał głośno odpowiedni fragment:

– Dzięki takiemu umiejscowieniu, kiedy ciało Chrystusa opromieniane było przez światło dzienne, padające z góry, *Pietá* wystawiona w nieprzebudowanej jeszcze kaplicy świętej Petroneli wydawała się patrzącym z dołu fizycznie dostępna, a jednocześnie niedotykalna; materialna, a zarazem bez wątpienia nadnaturalna – niczym sam Zbawiciel, Bóg zamknięty w ludzkim ciele.

– Szukasz tak, jak robiłby to on – zauważył Burrell. – Kierujesz się tym, co napisała Hildebrant, żeby znaleźć właściwe miejsce.

– Światło – wyszeptał Markham, wpisując hasło do wyszukiwarki. – Na pewno chodziło mu właśnie o to.

*Światło dzienne, padające na kaplicę w Rhode Island.*

Nic.

*Światło dzienne w kaplicy w Rhode Island.*

Nic.

*Kaplica Rhode Island.*

Nic – a właściwie za dużo wyników.

Markham ponownie sięgnął do książki, wodząc po tekście palcem niczym wskazówką wykrywacza.

*Pietá* jest więc w istocie ekspresyjnym i majestatycznym pomnikiem nagrobnym, a zarazem jednym z najwspanialszych dzieł sztuki sakralnej, jakie kiedykolwiek stworzył człowiek; prywatnym monumentem, stworzonym dla konkretnego człowieka, ale i publicznym wyrazem wiary, darem przeznaczonym dla całej ludzkości.

Markham wrócił myślami do rozmowy z Cathy, przypomniał sobie jedno ze zdań, które wówczas wypowiedziała: „Trzeba jednak pamiętać, że miał to być pomnik nagrobny, a nie tylko dzieło sztuki sakralnej”.

*Rhode Island pomnik nagrobny prywatny monument publiczny* – wpisał do wyszukiwarki.

Nic.

„Nagrobny” – powtórzył w myślach. – „Rzadkie słowo”.

Kierowany impulsem, zmienił nieco kryteria wyszukiwania i wpisał:

*Rhode Island pomnik cmentarz monument publiczny wiara.*

Odczekał sekundę i kliknął na pierwszy z wyników wyszukiwania. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało niewielką okrągłą budowlę, wzniesioną z materiału o wyglądzie marmuru i przypominającą starożytne rzymskie świątynie. Dach budynku wspierał się na szeregu kolumn, za którymi znajdowała się wewnętrzna ściana z jednym tylko wejściem. Pod zdjęciem widniał napis:

Świątynia Ducha Świętego znajduje się w samym sercu cmentarza Echo Point. Kolistą bryłę budynku – wzorowaną na rzymskiej świątyni Herkulesa – jest wyrazem wszechogarniającej pamięci o tych, którzy odeszli, pomnikiem ich życia, a zarazem monumentem przeznaczonym dla tych, których zostawili. To miejsce modlitwy i kontemplacji, zarówno prywatnej, jak i publicznej, otwarte dla ludzi wszelkich wyznań. Podczas następnej wycieczki do Echo Point nie zapomnijcie państwo westchnąć za swoich drogich zmarłych w Świątyni Ducha Świętego.

Pod tekstem znajdowała się fotografia wnętrza budowli.

Markham nie tracił nawet czasu na czytanie tekstu umieszczonego pod zdjęciem.

Nie. Widok pojedynczej smugi światła, wpadającej do świątyni przez okrągły otwór w dachu budynku, powiedział mu wszystko, czego chciał się dowiedzieć.



## Rozdział 35

Kiedy Sam Markham i Bill Burrell zbierali w pośpiechu swoich agentów, gdy Rachel Sullivan kontaktowała się z policją lokalną i stanową, która natychmiast wysłała patrole na odległy cmentarz Echo Point w Exeter, w stanie Rhode Island, Rzeźbiarz instalował już swoje dzieło pod osłoną ciemności. Kilka godzin wcześniej przestał padać deszcz, ale niebo nadal było zachmurzone, a powietrze na tyle wilgotne, że twarz Rzeźbiarza, ukryta pod goglami noktowizora, pokryła się warstwą potu. Aby przenieść *Pietę* na właściwe miejsce, musiał pokonać odległość znacznie mniejszą niż w wypadku *Bachusa* – zaledwie około ośmiu metrów, ale *Pietą* była sporo cięższa od *Bachusa* i o wiele bardziej nieporęczna. Rzeźbiarz musiał przy tym bardzo uważać, by nie uszkodzić delikatnych, nakrochmalonych szat. Jednak gdy w końcu udało mu się załadować posąg na wózek, który skonstruował ponad rok wcześniej specjalnie w tym celu, bez trudu przeciągnął *Pietę* po brukowanej ścieżce i wciągnął ją na schody prowadzące do Świątyni Ducha Świętego.

Następnie ostrożnie ustawił swoje dzieło w miejscu położonym dokładnie pod okrągłym otworem w dachu świątyni – otworem, który upodabniał ten budynek do rzymskiego mauzoleum, przemianowanego przez chrześcijan na kaplicę świętej Petroneli. „Złudzenie welonu” na czole Maryi, które Rzeźbiarz uzyskał za pomocą mocno naciągniętej żyłki, było naprawdę fantastyczne, teraz nie miał jednak czasu, by podziwiać swój kunszt – przystanął tylko na minutę, by za pomocą noktowizora chłonąć piękno arcydzieła stworzonego przez jego geniusz i rozproszony blask księżyca.

Tak, bezimienny materiał, który zdobył na ulicach Providence, głowa dziwki, którą wybrał na swoją Maryję, okazał się strzałem w dziesiątkę – jej młodzieńcza twarz była smutna, lecz spokojna, pełna miłości i tęsknoty, a zarazem pewności, że jej Syn wkrótce zatriumfuje nad śmiercią. Materiał RounDaWay17 również doskonale spełniał swoją rolę; zachowywał należyte proporcje w stosunku do ciała Maryi, a padający z góry blask oblewał go niesamowitą, niezmierną poświatą – „dokładnie tak, jak opisała to w swojej książce doktor Hildy”.

O tak, Rzeźbiarz mógłby patrzeć na swoją *Pietę* przez całą noc, wiedział jednak, że podejmowałby w ten sposób niepotrzebne ryzyko.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, funkcjonariusze policji lokalnej i stanowej pilnowali na prośbę FBI kościołów rozsianych po całym stanie Rhode Island – jednak żadna z tych świątyń nie znajdowała się w pobliżu cmentarza Echo Point. Dlatego też bez pośpiechu pakował swoje rzeczy do białej furgonetki, nieświadom, że agent FBI, Sam Markham, odgadł, gdzie Rzeźbiarz umieści swoje najnowsze dzieło. Teraz pozwolił sobie na chwilę odprężenia, nim przekręcił kluczyk w stacyjce – miał już ruszyć, gdy nagle dojrzał na nagrobkach odbłask migocących niebieskich świateł.

„Pech” – pomyślał. – „Ktoś musiał zawiadomić policję”.

Z bijącym sercem zdjął okulary noktowizora – wiedział, że jeśli tego nie zrobi, reflektory samochodowe oślepią go na moment – i sięgnął pod fotel pasażera. Jego dłoń zamknęła się na rękojeści sig sauera, a kiedy ponownie podniósł wzrok, zobaczył dwa policyjne radiowozy, które zbliżały się ku niemu z przeciwnej strony cmentarza.

„Na razie dwa” – pomyślał. Wyczuwał jednak, że przyjadą następne – był pewien, że ma tylko jedną szansę.

„Tak” – powiedział do siebie. – „Tylko jedna szansa, żeby ich zaskoczyć i uciec stąd”.

Rzeźbiarz wysiadł z furgonetki i przemknął między nagrobkami do drogi, na tyły świątyni. Miał nadzieję, że logo Kanału 9 spełni rolę przynęty, że wywabi policjantów z samochodów i da mu dość czasu, by zakraść się do nich od tyłu i wpakować im kulki w głowy. Rzeźbiarz ukrył się za pobliskim drzewem, wyjął z tylnej kieszeni czarną kominiarkę i naciągnął ją na ogoloną głowę, na lepka od potu twarz.

Czekał.

Wkrótce, tak jak przypuszczał, dwa radiowozy policji Exeter – lokalnej, na szczęście – zatrzymały się przed świątynią. Dzięki światłu odbitemu od furgonetki, od białych ścian świątyni i nagrobków, Rzeźbiarz dostrzegł, że w każdym z aut siedzi tylko jeden policjant.

Los mu sprzyjał.

– Hej, nie możecie tu stać! – zawołał jeden z nich, wysiadając z auta. Gdy obaj policjanci zbliżyli się do furgonetki, nie wyciągnąwszy nawet broni, Rzeźbiarz zaatakował ich, nim zdążyli się choćby obrócić.

Podobnie jak podczas polowania na materiał, gdy posługiwał się tylko strzałkami usypiającymi, Rzeźbiarz strzelał od razu, bez namysłu. Tym razem jednak nie mierzył w szyje ofiar, lecz skierował czerwoną kropkę lasera tuż pod ich czapki policyjne – po jednej kuli w głowę, a potem jeszcze dwie na wszelki wypadek, gdy leżeli już na ziemi.

Rzeźbiarz wskoczył do furgonetki i odjechał szybko z miejsca zbrodni. Nie przejmował się faktem, że zmarnował właśnie dobry materiał i że całe zajście mogły nagrać

kamery umieszczone w radiowozach. Jego twarz była zakryta, a furgonetkę mógł bez problemu przemalować. Ukryje ją w powozowni, nim policja obejrzy nagranie. Rzeźbiarz postanowił więc zaryzykować i pojechać autostradą, a nie bocznymi drogami, na których policja mogła go łatwo osaczyć. Rozpędził właśnie auto do setki, gdy zobaczył radiowozy policji stanowej i czarne samochody FBI, jadące drogą nr 95 z przeciwnej strony, w kierunku cmentarza Echo Point.

Uśmiechnął się. Nie miał pojęcia, że Sam Markham i Bill Burrell również go dostrzegli – zaklęli głośno, gdy zobaczyli furgonetkę z logo Kanału 9, wściekli na miejscowego gliniarza, który znów sprzedał mediom cenne informacje.

– Cholerne sępy – mruknął Burrell.

O tak, gdyby Rzeźbiarz usłyszał tę uwagę, z pewnością śmiałby się pod nosem.

Wielu innych przedstawicieli lokalnych i stanowych organów ścigania widziało tej nocy furgonetkę Rzeźbiarza, ale zgodnie z oczekiwaniami zabójcy, wszyscy starali się go unikać.

EKSPONAT TRZECI  
W STRONĘ DAWIDA

## Rozdział 36

Dwa tygodnie później

Sam Markham siedział przy swoim biurku w centrum Providence. Robiło mu się niedobrze, kiedy po raz setny oglądał nagranie z kamer policyjnych radiowozów – pauzował, przewijał, odtwarzał w zwolnionym tempie każdy ruch, wykonany przez Renesansowego Zabójcę. Podobnie jak w filmie ukazującym śmierć Steve’a Rogersa, specjaliści z Bostonu oczyścili obraz i powiększyli istotne szczegóły, Markham widział więc wszystko, co wydarzyło się przed Świątynią Ducha Świętego – nie tylko beznamietną, metodyczną egzekucję, jakiej Renesansowy Zabójca dokonał na dwóch policjantach, ale i logo Kanału 9, przesuwaną się przez pole widzenia kamery.

Markham pamiętał, jak jego wóz wymijał białą furgonetkę na autostradzie tamtej nocy – och, jak dobrze to pamiętał! Zbierało mu się na wymioty za każdym razem, gdy uświadamiał sobie, że był tak blisko zabójcy – że dzieliło ich zaledwie kilka metrów, szerokość pasa zieleni. Lecz bardziej niż obraz brutalnego zabójstwa dwóch policjantów z Exeter – tragedii, za którą agent specjalny Markham czuł się częściowo odpowiedzialny – dręczyła go świadomość, że podobnie jak w nagraniu śmierci Steve’a Rogersa, nie potrafił znaleźć w tym filmie żadnych wskazówek, żadnych konkretnych informacji oprócz marki furgonetki oraz wzrostu i sylwetki mordercy.

Tak, choć Renesansowy Zabójca ubrany był od stóp do głów na czarno – czarna kominiarka, czarne rękawiczki, czarna obcisła koszulka z długimi rękawami – jego sylwetka była doskonale widoczna na tle białej burty furgonetki. Musiał mieć około stu dziewięćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i był *bardzo* muskularny, czego Markham domyślał się od samego początku.

Badania balistyczne pocisków wystrzelonych z pistoletu zabójcy oraz poszukiwania informacji związanych z furgonetką – chevroletem 2500 express, prawdopodobnie tym samym, którego kradzież zgłoszono trzy lata wcześniej – nie przyniosły żadnych rezultatów. Co więcej, w środę po odkryciu *Piety* Renesansowego Zabójcy, w telewizji pokazano zapis wideo z cmentarza Echo Point, ale wszystkie sygnały, które społeczeństwo przekazało potem FBI, okazały się fałszywymi alarmami.

No właśnie, społeczeństwo.

Markham westchnął i zamknął odtwarzacz wideo w komputerze. Gdy kliknął na ikonkę Internet Explorera, pierwszym obrazem, który pojawił się na monitorze, było zdjęcie *Piety*. Markham nie spodziewał się niczego innego – medialny szum, wywołany makabrycznym odkryciem w Exeter, przyćmił wszystko, co działo się po upublicznieniu sprawy *Bachusa*. Od momentu gdy przy Echo Point pojawił się prawdziwy wóz sprawozdawczy Kanału 9, miejsce to zaczęło przypominać teatr działań wojennych – w górze krążyły śmigłowce stacji telewizyjnych, a to, co działo się przed bramami cementarza, przywodziło Markhamowi na myśl obrazy z *Czasu Apokalipsy*. Tym razem nie udało się zachować w tajemnicy przed mediami istotnych szczegółów śledztwa – dziennikarze dowiedzieli się wszystkiego o *Piecie Renesansowego Zabójcy*, który *podpisał* swoje dzieło.

Tak, choć wydawało się to nieprawdopodobne, Renesansowy Zabójca umieścił na swoim posągu kolejne przesłanie – tym razem skierowane nie do Catherine Hildebrant, lecz do ogółu. Markham pamiętał z lektury *Uśpionego w kamieniu*, że *Pietá watykańska* była jedyną rzeźbą, jaką Michał Anioł kiedykolwiek podpisał. Podobno usłyszawszy, że jego dzieło przypisywane jest innemu artyście, Michał Anioł wykuł na szarfię opasującej pierś Maryi napis po łacinie, który głosił: *Uczynił to florentyńczyk, Michał Anioł Buonarroti*. Hildebrant twierdziła, że to zmyślona historia i że napis był tam od samego początku. Nazwała to „śmiałą próbą sięgnięcia po sławę”, „najodważniejszym działaniem Michała Anioła, zmierzającym do zyskania publicznego uznania”. Choć Sam Markham dowiedział się potem od Cathy, że uczeni nadal spierają się co do powodów, dla których Michał Anioł podpisał *Pietę*, oboje nie mieli wątpliwości co do przyczyn, dla których „Rzeźbiarz” złożył podpis na swoim dziele.

*Uczynił to Rzeźbiarz z Rhode Island.*

– Zupełnie jak w tej zmyślonej historii o Michale Aniele – powiedziała Cathy do Markhama, gdy zobaczyła napis. – Mówi mediom, jak mają go nazywać. *Poprawia* je.

Media się podporządkowały.

Od tej pory tak właśnie nazywano go w prasie, w telewizji, w internecie, na blogach i na odrażających stronach, poświęconych jego osobie, które powstały po odkryciu *Bachusa*. Wydawało się, że media nie mają innego tematu, a Markham czuł wściekłość i niepokój za każdym razem, gdy włączył komputer lub telewizję. Jednak najgorsza była publiczna fascynacja osobą Cathy Hildebrant – kobietą, którą Sam Markham szczerze pokochał: i kobietą, którą uwielbiało teraz społeczeństwo za jej związek z Rzeźbiarzem. Tak, gdy tylko media dowiedziały się, że ciało byłego męża uroczej pani doktor zostało wykorzystane w

*Piecie* Rzeźbierza, FBI nie było już w stanie obronić jej przed dziennikarzami ani ukrywać związków pomiędzy zabójcą i książką Cathy. Tym samym nie mogło również dłużej zatrudniać jej jako konsultantki w tej sprawie.

Przynajmniej nie oficjalnie.

Cathy szybko odzyskała formę po łagodnym wstrząśnieniu mózgu – zdawało się, że wróciła do życia z nowymi siłami, nowym zrozumieniem roli, jaką musiała odegrać w ujęciu człowieka, który miał obsesję na punkcie jej osoby. Koniecznie chciała zobaczyć *Piętę* Rzeźbierza na własne oczy, przyglądała jej się jeszcze uważniej niż *Bachusowi* z Watch Hill – choć dobrze wiedziała, że to ciało jej męża podtrzymuje powłóczyście szaty Maryi. Markham kontaktował się z nią kilkanaście razy dziennie – rozmawiali przez komórkę podczas tych niezliczonych godzin, które ona spędzała na poszukiwaniu informacji w internecie, on zaś na sprawdzaniu różnych tropów na terenie całej Nowej Anglii. Tak, wydawało się, że Cathy świetnie sobie radzi, ale Markham bardzo się o nią martwił. Z pewnością była bezpieczna – natychmiast po wyjściu ze szpitala została przeniesiona do kryjówki FBI pod Bostonem. Markham myślał jednak z niepokojem o tym, jak cała ta sytuacja odbije się na zdrowiu Cathy, jak ona zareaguje, kiedy uświadomi sobie w pełni, co spotkało jej byłego męża – i wielu innych – z powodu jej książki.

„Nie martw się” – szeptał głos w jego głowie. – „Jest twarda, jak jej matka”.

Tydzień wcześniej Rachel Sullivan wydała oficjalne oświadczenie dla mediów, wymieniając między innymi nazwiska wszystkich osób, których ciała Rzeźbierz wykorzystał w swojej *Piecie*.

Było ich w sumie cztery.

Oczywiście, od samego początku FBI wiedziało o Rogersie, którego ciało – pozbawione głowy, dłoni oraz doszytych piersi – nie wróciło jeszcze z Chicago i nie doczekało się należytego pochówku. Co do pozostałych ofiar, to po usunięciu farby z ich ciał i pobraniu odcisków palców, system automatycznej identyfikacji FBI umożliwił rozpoznanie dłoni Maryi i ciała Chrystusa. Dłonie należały do Esther Muniz (alias Esther Munroe, Esther Martinez), dwudziestoosmioletniej kobiety, zamieszkałej w Providence, zaś ciało do osiemnastoletniego Paula Jimeneza (alias Jima Paulsona) z Bostonu i Virginia Beach.

Oboje trudnili się prostytutką.

Czwarta ofiara również była prostytutką, a gdy FBI pokazało w mediach głowę Maryi – cyfrowo „ulepszoną” tak, by wyglądała jak głowa żywej kobiety – na podstawie anonimowej informacji szybko ustalono jej tożsamość. Okazało się, iż była to niejaka Karen Canfield (alias Karen Jones, Joanie Canfield), pochodząca z Dayton w stanie Ohio, która trzy

lata wcześniej, jako dziewiętnastoletnia dziewczyna, zniknęła z ulic Providence. Badania wykazały, że z jej ciała odcięto też piersi, przyszyte do torsu Stevena Rogersa.

O zniknięciu Muniz poinformował policję jej chłopak, który wkrótce potem zginął podczas nieudanej transakcji narkotykowej. Okazało się, że Muniz była nie tylko prostytutką, karaną również za poważne przestępstwa, ale i narkomanką oraz matką trojga dzieci, z których każde miało innego ojca.

Wszystkie jej dzieci tuż po narodzinach trafiły do rodzin zastępczych.

Canfield w wieku czternastu lat uciekła z Dayton, wtedy też widziała ją ostatnio jej matka alkoholiczka. Jak poinformowała podczas rozmowy z FBI, nie miała pojęcia, że jej córka zaginęła. Markham przypuszczał, że gdyby nawet o tym wiedziała, nie spędzałoby jej to snu z powiek. Pomimo intensywnego śledztwa agencji FBI wciąż nie wiedzieli zbyt wiele o tym, co Karen Canfield robiła w Providence – podobnie było zresztą w przypadku Paula Jimeneza – choć wydawało się, że jej życie to smutna, lecz typowa historia nastolatki, która uciekła z domu, przez jakiś czas pracowała jako striptizerka, potem wpadła w nałóg narkotykowy i w końcu trafiła na ulicę. Po tygodniu poszukiwań Markham wiedział już, że ten trop do niczego go nie doprowadzi. Garstka byłych znajomych Canfield, z którymi rozmawiało Biuro, twierdziła, że dziewczyna często wspominała o rzuceniu nałogu i wyjeździe do Karoliny Północnej. Dlatego też, gdy przestała się pojawiać na ulicach Providence, wszyscy doszli do wniosku, że rzeczywiście się przeniosła, i nikt nawet nie zgłosił jej zaginięcia.

Jedynym jaśniejszym punktem tragedii, jaką stało się życie Karen Canfield, był fakt, że jej samotna matka poprosiła FBI, by po zakończeniu badań przesłano jej głowę i piersi zamordowanej córki.

Z kolei rodzina Paula Jimeneza nie chciała mieć z nim nic wspólnego, FBI musiało więc samo zdecydować, co zrobić z jego ciałem i z dłońmi Muniz.

Markham przejrzał szybko nowe e-maile, obiecując sobie, że zajmie się nimi po powrocie z Bostonu – po telekonferencji z Quantico, podczas której miał wraz z Burrellem poznać wyniki badań lekarzy sądowych i koronera, a także omówić rezultaty śledztw dotyczących ostatnich ofiar Rzeźbiarza. Agent specjalny nie mógł się jednak pozbyć dręczącego poczucia, że wszystko to tylko strata czasu, nie potrafił zignorować głosu rozsądku, który podpowiadał mu, że Rzeźbiarz jest zbyt sprytny, by dać się złapać w ten sposób, czyli na podstawie analizy stosowanych przezeń materiałów. Markham miał wrażenie, że tamten pomyślał o wszystkim – od fałszywych tablic rejestracyjnych i atrapy anteny satelitarnej na dachu furgonetki po fakt, że nie zostawiał w swoich rzeźbach żadnych



śladów prócz tych, które *chciał* zostawić.

„Ale musiał przecież coś przegapić” – rozmyślał Markham. – „Coś, co sięga być może aż do sprawy Gabriela Banforda albo do kradzieży *Pietę* z kościoła św. Bartłomieja; coś, co zrobił, w czasie gdy jego plan nie był jeszcze w pełni ukształtowany – albo w czasie gdy jeszcze eksperymentował”.

Tak, Markham czuł instynktownie, że ostatni eksponat Rzeźbiarza sprowadził go w pewnym sensie z właściwej drogi – że od samego początku miał dość informacji, by schwytać Renesansowego Zabójcę.

„*Uśpiony w kamieniu*” – pomyślał ponownie Markham. – „To Cathy doprowadziła mnie do miejsca, w którym Rzeźbiarz umieścił swoją *Pietę*. To dzięki jej książce niemal go dopadliśmy. Może wszystko, czego potrzebuję, żeby faceta złapać, jest właśnie tam”.

Nagle Markham zrozumiał, że nie potrzebuje wcale nowych informacji z Quantico, że dobrze wie, jakie będą wyniki badań: przyczyną śmierci Stevena Rogersa i Paula Jimeneza było wprowadzenie do organizmu dużej dawki adrenaliny, a w farbie pokrywającej *Pietę* Rzeźbiarza znajduje się sproszkowany marmur kararyjski, pochodzący bez wątpienia z *Pietę* skradzionej z kościoła św. Bartłomieja. Być może pracownicy laboratoriów FBI znajdą coś nowego w szatach Maryi albo w skale Golgoty.

Ale mimo wszystko...

„*Uśpiony w kamieniu*” – pomyślał po raz kolejny. – „Klucz musi być właśnie tam”.

Zerknął na zegar w rogu monitora – musiał wkrótce wyjechać, jeśli chciał zdążyć na spotkanie do Bostonu. Czuł się wewnętrznie rozdarty: z jednej strony, powinien był zostać w Providence – po prostu *wiedział*, że wszystko, czego potrzebuje do schwywania Renesansowego Zabójcy, jest tutaj, w książce leżącej na jego biurku; z drugiej, wiedział również, że potrzebuje Cathy. Poza tym był okropnie zmęczony – nie potrafił trzeźwo myśleć. Spał tylko po kilka godzin w swoim biurze, w przerwach między pracą przy komputerze i czytaniem raportów z Bostonu i Quantico. Nim położył się spać, rozmawiał z Cathy, kołysał ją do snu zapewnieniami „tęsknię za tobą” i „zobaczymy się jutro”, zamiast tym jedynym, najważniejszym wyznaniem, które naprawdę chciał jej złożyć – zamiast owymi dwoma słowami, których nie powiedział żadnej kobiecie od śmierci Michelle. Spali ze sobą tylko raz od czasu, gdy przed dwoma tygodniami kochali się w mieszkaniu Cathy, na co dzień wymieniali tylko ukradkowe pocałunki i namiętne spojrzenia, gdy przebywali ze sobą w kryjówce przydzielonej Cathy przez FBI. Jeśli nawet Bill Burrell i jego podwładni wiedzieli o tym związku, jeśli uważali go za niewłaściwy, to i tak żaden z nich nie wspominał o tym choćby słowem. Prawdę mówiąc, Sam Markham miał to gdzieś, nie przejąłby się nawet,

gdyby wiedziało o tym całe FBI. Tak, od tego dnia przed dwoma tygodniami, gdy przyznał przed samym sobą, że kocha Cathy Hildebrant, czuł coraz wyraźniej, że nie pracuje dla Biura, lecz dla niej.

Jedynym e-mailem, który otworzył tego dnia, był list od Rachel Sullivan. Odpowiedział krótkim „tak” na pytanie, czy zechce dołożyć się do kwesty, którą prowadziła na rzecz rodzin policjantów zabitych przez Rzeźbiarza. „Dobra dziewczyna z tej Sullivan” – pomyślał. I cholernie dobra agentka – był przekonany, że wkrótce sama zostanie agentką specjalną. Doskonale dawała sobie radę z czyszczeniem kloaki, jaką było South Providence. Z pewnością zamierzała dzisiaj zrobić krótką prezentację na podstawie raportu o zaginionych osobach, który przygotowała ze swoim zespołem – już wcześniej poinformowała Markhama, że po przeszukaniu baz danych sporządziła listę co najmniej ośmiu prostytutek, które w ciągu ostatnich sześciu lat zaginęły na terenie Rhode Island i które z różnych względów można ewentualnie połączyć z osobą Renesansowego Zabójcy.

„Osiem” – powtórzył w myślach Markham. – „Ile z nich zabił Rzeźbiarz? I o ilu innych jeszcze nie wiemy?”

Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, że Renesansowy Zabójca w poszukiwaniu swojego materiału przeczesywał ulice South Providence, tak jakby chodził między półkami w supermarkecie. Właśnie w takich miejscach seryjni zabójcy szukali zwykle swych ofiar, mogli bowiem liczyć na to, że nikt nawet nie zauważy ani nie zgłosi ich zaginięcia. Jednak podczas gdy większość tego rodzaju zbrodniarzy zabijała, by zaspokoić jakieś potrzeby psychiczne lub seksualne, Rzeźbiarz gromadził jedynie materiał do swoich dzieł.

„Ode mnie wpisz pięćset” – dopisał po chwili w e-mailu i zamknął komputer.

„Pięćset dolarów” – pomyślał. – „Po dwieście pięćdziesiąt za jedno życie. Żalosne”.

W tej chwili Markham oddałby całą swoją pensję wdowom po policjantach. Z drugiej jednak strony, zdawał sobie sprawę, że jeśli da więcej niż pięćset, przyzna niejako, że FBI i on sam są winni tej tragedii. Minionego tygodnia był na podwójnym pogrzebie zastrzelonych funkcjonariuszy – popłakał się, gdy ich dzieci składały kwiaty na trumnach. Z perspektywy czasu widział, że FBI popełniło błąd, nasyłając niczego niepodejrzewających lokalnych policjantów na sprytnego i bezlitosnego Rzeźbiarza.

Ale czy dwa tygodnie temu FBI mogło wiedzieć, z jaką sprawą naprawdę ma do czynienia?

„Maszyna do zabijania” – podsumował. – „Zbudowany jak Terminator, nie spocznie, dopóki nie znajdzie właściwego człowieka”.

Tak, równie wyraźnie jak wspomnienie Arnolda Schwarzeneggera prześladowającego

niestrudzenie Sarę Connor, rysował się w umyśle Markhama obraz człowieka, którego chciał teraz znaleźć Rzeźbiarz – mroczny, nieco rozmazany film, w którym Terminator w kominiarce na twarzy ściga po ulicach Providence biały marmurowy posąg.

Film, w którym główną rolę grał *Dawid* Michała Anioła.

## Rozdział 37

Od początku miał zamiar stworzyć *Dawida*, ale to *Pietá* zainspirowała go do pracy – tak, to dzięki niej udoskonalił swoje umiejętności. Dlatego fakt, że to właśnie ona przysporzyła mu w końcu tylu problemów, ogromnie niepokoił Rzeźbiarza.

Przez dwa tygodnie, które upłynęły od chwili, gdy pokazał światu swoją drugą rzeźbę – od chwili, gdy niemal został schwytany – Rzeźbiarz uważnie śledził wszystkie wiadomości na swój temat, które ukazywały się w mediach. Tak, wiele razy widział swoje fotografie – klatki z filmu nakręconego przez policyjne kamery – absurdalne portrety, sporządzone przez grafików FBI, którzy próbowali się domyślić, jak wygląda jego twarz, szczegóły dotyczące wzrostu i wagi, zdjęcia i opis furgonetki, i tak dalej, i tak dalej.

Jednak w gruncie rzeczy wszystkie te szczegóły nie budziły większego niepokoju Rzeźbiarza, wiedział bowiem, że nie mogą mu zaszkodzić. Nie, tym, co naprawdę go dotknęło, była świadomość, że policja i FBI odgadły, gdzie zamierza wystawić *Pietę*. I choć szybko domyślił się, że dokonały tego odkrycia w ostatniej chwili, złożąwszy w całość strzępki informacji podawanych przez media, zrozumiał w końcu, kto mógł podsunąć im właściwe rozwiązanie.

Doktor Hildy. To musiała być ona.

Rzeźbiarz opuścił sztangę, która wylądowała na podstawkach z głośnym brzękiem. Wyciskał dziś na ławeczce znacznie więcej i znacznie dłużej niż zwykle – zdawał sobie sprawę, że w ten nietypowy dla siebie sposób daje ujście głębokiej frustracji. Zwykle prowadził treningi uporządkowanym, metodycznym trybem – spokojnie, zgodnie z planem, bez emocji. Lecz dziś czuł się niespokojny i bezradny – dziś po prostu musiał się wyżyć. Wszystko było już gotowe do stworzenia *Dawida* – film, podstawa i rama, adrenalina, formaldehyd, chemikalia do procesu plastynacji. Przemalował nawet furgonetkę, zdjął z niej atrapę anteny satelitarnej i zastanawiał się, na co ją wymieni, gdy zdobędzie już właściwy materiał. Ponieważ jednak nie wiedział do końca, jak właściwie doktor Hildy i FBI namierzeli miejsce, w którym wystawił *Pietę*, czuł instynktownie, że nie powinien jeszcze wyruszać na łowy, że może się to okazać zbyt niebezpieczne.

I gdzie właściwie szukałby nowego materiału? Na pewno nie na ulicach South

Providence, nie w internecie ani nie w Bostonie, skąd pochodził RounDaWay17, o czym FBI z pewnością do tej pory wiedziało. Nie, to były zbyt oczywiste tropy. Poza tym Rzeźbiarz od początku wiedział, że po wystawieniu *Piety* nie będzie już mógł używać tego rodzaju materiału, że będzie musiał zdobywać go tak, jak robił to w przypadku *Bachusa*.

Owszem, media informowały mylnie, że Rzeźbiarz znalazł materiał na Chrystusa w Bostonie, na Arlington Street. Jeśli FBI wiedziało o koncie RounDaWay17 na portalu Craigslist, to z pewnością nie podzieliło się tą wiedzą z dziennikarzami. Nie, tym Rzeźbiarz się nie przejmował – wiedział, że FBI nie będzie w stanie odtworzyć aktywności RounDaWay17 w sieci po tym, jak on sam włamał się na jego konto i wymazał je.

Nie, najbardziej dręczył go i niepokoił fakt, że wciąż nie miał pojęcia, jak doktor Hildy i FBI namierzili miejsce, w którym wystawił *Pietę*.

„Teraz przynajmniej wszystko jest gotowe” – pomyślał. – „To jakieś pocieszenie”.

Początkowo, gdy zaczynał eksperymentować z kawałkami ciał kobiecych, Rzeźbiarz podróżował po całej Nowej Anglii, włamywał się do zakładów pogrzebowych i kradł po odrobinie formaldehydu – tyle, by nikt nie zauważył ubytku. Podczas tych podróży zauważył, że wiele zakładów pogrzebowych samodzielnie wytwarza formaldehyd, a później, gdy przypadkiem zobaczył w internecie zdjęcie mieszkańca Rhode Island, Toma Campbella – kiedy dostrzegł jego podobieństwo do *Bachusa*, gdy zrozumiał, że to dar od losu, który pozwoli mu zdobyć szerszą publiczność – Rzeźbiarz nie tylko zawiesił prace nad *Pietą*, ale postanowił też wytwarzać swój własny, dwudziestodwuprocentowy roztwór formaldehydu. Robił to w małym laboratorium, urządzone w piwniczce na wino, gdzie produkował również adrenalinę i wyjątkowo silne środki uspokajające. Wykorzystując metodę przetwarzania metanolu, której opis znalazł w internecie, mógł w zaciszu swego domu wyrabiać nie tylko formaldehyd, ale i wszystkie inne potrzebne chemikalia. Kiedy był gotowy do stworzenia kolejnego dzieła, przelewał chemikalia do beczek i wywoził je na zewnątrz, do powozowni.

Był to bardzo efektywny system.

Jednak podobnie jak w wypadku plastynacji, której dokonywał w powozowni, problemem większym niż zdobycie surowców – większość z nich wydestylował z ogólnie dostępnych produktów lub ukradł z magazynów, których nawet nie zamykano na klucz – była wentylacja piwnicznego laboratorium. Choć zamontował w niej mnóstwo kanałów wentylacyjnych, choć pracował zawsze w masce przeciwgazowej, po kilkugodzinnym pobycie w laboratorium czasami dostawał zawrotów głowy. Gdy zdarzyło mu się dotknąć przypadkiem adrenaliny – mocno stężonej syntetycznej adrenaliny, którą również nauczył się

wytwarzać dzięki opisom znalezionym w internecie – zaczynał się obficie pocić, jego serce nagle przyspieszało tempo, a jemu kręciło się w głowie. Rzeźbiarz nie miał jednak nic przeciwko takim doznaniom, uważał bowiem, że w pewnym sensie zbliżają go do jego dzieł.

Nie podobały mu się jednak doznania i emocje, których doświadczał tego dnia na myśl o doktor Hildebrant. Gdy wsuwał na sztangę kolejne dwa obciążniki, nie mógł uwolnić się od przeświadczenia, że urocza historyk sztuki go zdradziła.

Oczywiście, Rzeźbiarz był dość inteligentny, by wiedzieć od samego początku, że doktor Catherine Hildebrant raczej nie przyłączy się do jego projektu, ale po wszystkim, co dla niej zrobił, po tym jak wykorzystał do postaci Maryi ciało jej byłego męża – tego samego dupka, którego śledził od lat, i który zdradzał łatwowierną panią doktor na lewo i prawo – tak, doktor Hildy powinna była przynajmniej poczekać, aż spokojnie zamontuje *Pietę*, i dopiero później zdradzić FBI, gdzie mogą ją znaleźć.

Rzeźbiarz zrobił jeszcze sześć serii ćwiczeń na ławeczce, a gdy w końcu odłożył sztangę na miejsce, czuł się tak, jakby ktoś oczyścił nagle jego umysł. W chwili olśnienia zrozumiał tę brutalną, lecz prostą prawdę, że jeśli rzeczywiście to doktor Hildy doprowadziła FBI do jego *Piety*, to może zrobić do samo w przypadku *Dawida*. Zrozumiał również, że choć nie było to nigdy częścią jego oryginalnego planu, aby zrealizować go do końca, musi pozbyć się doktor Catherine Hildebrant.

Podjąwszy tę decyzję, Rzeźbiarz stwierdził ze zdumieniem, że czuje się o wiele lepiej.

## Rozdział 38

– Chcę wrócić do Providence – oświadczyła Cathy Hildebrant. Pani doktor i agent specjalny Sam Markham stali przed biurkiem Burrella niczym dwoje niegrzecznych uczniów przed obliczem dyrektora szkoły – skruszeni i wystraszeni, a zarazem wyzywający.

– Nie mogę na to pozwolić – odparł Burrell. – Rzuciłbym cię wilkom na pożarcie.

– Nie obchodzi mnie to. Bardziej wam się przydam, kiedy będę pracowała z Samem w terenie.

– Cathy, oglądałaś przecież telewizję przez te dwa tygodnie, czytałaś gazety i internet. Wiesz, że dziennikarze cię szukają, że marzą tylko o tym, by cię dopaść.

– Poradzę sobie. Postaram się nie rzucać w oczy.

– Nie rozumiesz, że po śmierci twojego byłego wszyscy winią właśnie ciebie? Nie jesteśmy już w stanie ochronić cię przed mediami. Teraz sytuacja wygląda zupełnie inaczej – dziennikarze chcą nie tylko rozmawiać z tobą o Renesansowym Zabójcy, chcą zbliżyć się do niego za twoim pośrednictwem. Wiem, że śledziłaś na bieżąco wiadomości. Media i zwykli ludzie czekają na następne dzieło Rzeźbiarza. Wszyscy dobrze wiedzą, co to będzie – posąg Dawida. To tylko kwestia czasu, nim wszyscy młodzi mężczyźni w Rhode Island wpadną w panikę i zaczną się ukrywać.

– Rozumiem to, ale...

– Nie zagwarantuję ci bezpieczeństwa, Cathy, jeśli tam pojedziesz – przerwał jej Burrell, wstając od biurka. – Do diabła, właściwie nie powinienem cię już w ogóle zatrudniać jako konsultantki w tej sprawie.

– Przy mnie będzie bezpieczna, Bill – wtrącił Markham. – Możesz dać jej pokój w moim mieszkaniu. Będę za nią osobiście odpowiedzialny, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Oboje uczestniczyliście dzisiaj w telekonferencji, Sam. Oboje dobrze wiecie, co to za człowiek. Możemy go oskarżyć o co najmniej dziewięć morderstw, w tym Gabriela Banforda i dwóch policjantów. Kto wie, ile zaginionych prostytutek z listy Rachel załatwił jeszcze w ciągu tych kilku lat. Kto wie, o ilu ofiarach nic jeszcze nie wiemy – o prostytutkach, młodych mężczyznach, kobietach, dzieciach. On nie poluje tylko na jeden

wybrany gatunek, Sam. Wybiera według jakiegoś chorego planu, wzorowanego na twórczości Michała Anioła. Kto wie, czy teraz nie spróbuje zabić Cathy?

– Nie mogę ukrywać się przez całe życie – zaprotestowała.

– Nie, ale mogłabyś tu zostać trochę dłużej, do ciężkiej cholery.

W biurze zapadła krępująca cisza, gdy Buldog odwrócił się do nich plecami i zapatrzył w panoramę Bostonu, widoczną za oknem.

– Wiem, co przeżyłaś, Cathy. Wiem, że siedzisz tu z nami już od dwóch tygodni. Na pewno czujesz się odizolowana, bezradna, wiem, że dostajesz powoli świra i tęsknisz za bliskimi ci ludźmi i miejscami. To normalne. Ale tutaj przed zabójcą chroni cię przynajmniej sama odległość, a media nie mają pojęcia, gdzie się ukrywasz. Jeśli wrócisz do Providence, jeśli znów zaczniesz pracować z Markhamem w terenie, ktoś może cię zauważyć i powiadomić prasę. A skoro media dowiedzą się, gdzie jesteś, będzie o tym wiedział również i Rzeźbiarz. – Burrell ponownie odwrócił się do nich. – Posłuchaj, Cathy, jeśli możesz poczekać jeszcze trochę, jeśli wytrzymasz do czasu, aż znajdziemy jakiś obiecujący trop...

– Nie możecie trzymać mnie tutaj wbrew mojej woli.

– Masz rację – odparł Burrell. – Ale mogę cię zwolnić i odsunąć od tej sprawy, jeśli zrezygnujesz z naszej ochrony. Czy tego właśnie chcesz?

Zarówno Cathy, jak i Sam wiedzieli, że Buldog blefuje, ale Markham postanowił go przebić.

– Jeśli ją zwolnisz, ja też odejdę.

Burrell spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Mówię poważnie. – Markham skinął głową. – Dość się już napracowałem dla Biura. Nie możesz mnie zwolnić, Bill, ale ja sam mogę odejść. Polecieć jutro rano do Quantico i wręczyć wypowiedzenie.

Twarz Buldoga poczerwieniała.

– Zostaw nas samych – powiedział do Cathy.

Ta spojrzała z konsternacją na Markhama, a gdy skinął głową, wyszła z pokoju.

– Bill, wiem, co chcesz...

– Gównu wiesz! – ryknął Buldog, zaciskając dłonie w pięści. – Myślisz, że możesz mnie nastraszyć? Myślisz, że coś mnie obchodzi twoja pierdolona rezygnacja?

– Owszem, tak właśnie myślę – odparł spokojnie Markham. – Dobrze wiesz, co ludzie by powiedzieli, gdyby się okazało, że to przez twój upór śledztwo utknęło w martwym punkcie. I dobrze wiesz, co by mówili, gdyby się rozniosło, że już prawie mieliśmy tego faceta na widelcu, ale ty pozwoliłeś mu uciec.



– Na widelcu? Co ty, kurwa...

– Mogę złapać tego gościa – przerwał mu Markham, pochylając się nad biurkiem. – Ale tylko z twoją pomocą, a to oznacza też pomoc Cathy. Bez niej nie dam rady.

Buldog stał w milczeniu i dyszał ciężko.

– To jest w jej książce, Bill. Odpowiedź jest w jej książce. Wiem to. To dzięki Cathy omal go nie dopadliśmy tamtej nocy – to ona domyśliła się, że chodzi o światło, że wystawiając swoje rzeźby, zabójca bierze pod uwagę przede wszystkim otoczenie. Nie rozumiesz tego, Bill? Razem możemy go złapać. Musisz mi zaufać, Bill.

– Nie jestem idiotą, Markham. Wiem, że od paru tygodni zachowujecie się jak para zakochanych nastolatków. Ale bez względu na to, co was łączy, jeśli cokolwiek jej się stanie, będziesz skończony. Osobiście dopilnuję, żeby przenieśli cię do działu pocztowego. Rozumiesz?

– Tak.

Burrell znów odwrócił się do okna i zapatrzył na panoramę miasta.

– Przeniesiemy ją do twojego mieszkania na dwa tygodnie, zmieni kolor włosów i zacznie nosić szkła kontaktowe. Za dwa tygodnie powtórnie ocenimy sytuację. Ale pamiętaj, skoro tylko uznam, że robi się niebezpiecznie – jeśli media dowiedzą się, gdzie mieszka, jeśli ktoś rozpozna ją na ulicy, jeśli tylko coś się spieprzy, ona wypada z tej sprawy, a ty możesz robić, co tylko zechcesz.

– Jasne.

– Postawmy sprawę jasno, Sam. Bez względu na to, co się wydarzy, to ty jesteś za nią odpowiedzialny. Rozumiesz?

– Tak. Dzięki, Bill.

– A teraz wynoś się z mojego biura.

## Rozdział 39

Była to jedyna tego rodzaju kryjówka FBI, jaka została jeszcze w Rhode Island. Początkowo, po atakach z jedenastego września, służyła do obserwacji i znajdowała się na pierwszym i drugim piętrze biurowca w centrum Providence, dokładnie naprzeciwko kancelarii prawniczej człowieka podejrzewanego o współpracę z Al-Kaidą, który został ostatecznie aresztowany i skazany. Potem FBI zmieniło przeznaczenie pomieszczeń, przerobiło je na kilka osobnych mieszkań, w których zatrzymywali się agenci przyjeżdżający na jakiś czas do miasta. Fałszywe tablice umieszczone na fasadzie i wokół budynku głosiły, że na pierwszym i drugim piętrze znajduje się siedziba firmy importowo-eksportowej, ale strzeżony wjazd do garażu i ograniczony dostęp do windy oraz poszczególnych pięter – mogli tam wejść tylko posiadacze kart magnetycznych – czyniły z tego miejsca bezpieczną kryjówkę i doskonałą bazę wypadową dla wszelkich operacji prowadzonych przez FBI.

W pewnym sensie wszystko to wydawało się Cathy całkiem normalne. Lokal wyglądał niemal identycznie jak jej poprzednie mieszkanie w Bostonie, ale dzięki temu, że miała tam mieszkać z Samem Markhamem, czuła się jak w prawdziwym domu – niczym świeżo poślubiona, szczęśliwa małżonka; podobnie było wtedy, gdy urządzali się ze Steve'em Rogersem.

Steve Rogers.

Cathy starała się nie myśleć o swoim byłym mężu, o obrazach z DVD, wyrytych w jej mózgu. W głębi duszy wiedziała, że to nie jej wina i że Renesansowy Zabójca zaczął polować na ludzi, nim jeszcze dowiedział się o istnieniu doktor Catherine Hildebrant. Lecz bardziej niż wyrzuty sumienia związane ze śmiercią jej męża, dokuczały jej teraz mieszane uczucia, które pojawiły się po jego odejściu. O nie, nie życzyłaby takiej kaźni, jaką sprawił mu Renesansowy Zabójca, nawet najgorszemu wrogowi, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że straciła go dwukrotnie, i – choć wstydziła przyznać się do tego nawet sama przed sobą – pierwszy raz był trudniejszy niż drugi.

„Zajmę się tym później, kiedy będę miała więcej czasu” – powtarzała z uporem niczym mantrę, podobnie jak wtedy, gdy jej matka walczyła z rakiem piersi. Lecz w drugiej części tej mantry, zamiast pokrzepiających słów o skończeniu książki i otrzymaniu stałego

etatu, Cathy powtarzała: „Kiedy już złapię Renesansowego Zabójcę”.

Stała przed lustrem w łazience i ściągnęła włosy w kucyk. Nie podobała jej się nowa fryzura, przetykana gęsto jasnymi pasemkami. Uważała, że wygląda w nich szmirowato, jak gwiazda porno, ale musiała na to przystać, jako na część umowy z Burrellem. Znacznie trudniej było jej się przyzwyczaić do szkielek kontaktowych – nigdy ich nie lubiła, drażniły ją i miała podpuknięte oczy. One również były konieczne, choć na wszelki wypadek Cathy miała ze sobą swoje okulary w czarnych oprawkach. Najgorzej jednak prezentowała się w ciemnych okularach. Uważała, że wygląda w nich wyjątkowo idiotycznie, niczym pornograficzna wersja azjatyckiej Nikity.

– Jesteś gotowa? – spytał Markham, wsuwając głowę do łazienki. Jego obecność uspokoiła ją, sprowadziła na ziemię, choć jednocześnie zawstydziła. Tak, pomimo tego wszystkiego, co wydarzyło się od czasu ich pierwszego spotkania, Cathy była szczęśliwa, że znów są ze sobą, tylko we dwoje.

– Tak – odparła. – Jeśli nie wstydzisz się ze mną pokazywać.

Markham pocałował ją w szyję i zostawił samą. Kochali się niemal przez całą noc, niczym para cudzołóżników, a nozdrza Cathy wciąż wypełniał dziwny zapach jej farby do włosów i wody kolońskiej Sama.

Gdy czyściła zęby, przyszła jej nagle ochota zadzwonić do Janet Polk – sięgnąć po komórkę i zostawić swej przybranej matce wiadomość, że u niej wszystko w porządku. „Ale nie wolno mi tego zrobić” – westchnęła w duchu. Tak, Cathy dobrze wiedziała, że nie powinna rozmawiać z nikim spoza FBI, dopóki nie otrzyma oficjalnego pozwolenia ze strony Biura – to również był element umowy z Burrellem, który, podobnie jak farbowane włosy, budził irytację Cathy. Nie rozmawiała z Janet i Danem, odkąd wyszła ze szpitala – dostawała od nich wiadomości za pośrednictwem Rachel Sullivan, ale mimo to miała wyrzuty sumienia, wiedziała bowiem, jak bardzo Janet się o nią martwi.

„Zajmę się tym później, kiedy będę miała więcej czasu”.

Cathy wyszła z łazienki i zastała Markhama na środku salonu, z otwartym egzemplarzem *Uśpionego w kamieniu* w dłoni. Wyglądał jak aktor, który zamierza właśnie odczytać głośno fragment książki.

– Co się stało? – spytała Cathy.

– Nic takiego. Po prostu próbuję pozbierać myśli przed wyjściem. Chyba jestem trochę przemęczony, ale...

– Ale co?

– Od wczorajszej telekonferencji w Quantico nie daje mi spokoju pewien cytat w

twoim rozdziale o *Piecie*; słowa wypowiedziane podobno przez samego Michała Anioła i zapisane przez jego biografa, Ascania Condiviego.

– Masz na myśli cytat dotyczący młodzieńczego wyglądu Madonny?

– Tak. Omawiając różne powody, dla których Michał Anioł mógł przedstawić Maryję jako młodą kobietę, cytujesz słowa, które skierował właśnie do Condiviego: „Nie wiesz, że cnotliwe kobiety wyglądają młodo znacznie dłużej niż te, które nie są cnotliwe? Cóż więc powiedzieć o Maryi Dziewicy, wolnej od wszelakich lubieżnych myśli, które mogłyby odmienić jej wygląd?”

– I dlaczego właściwie nie daje ci to spokoju?

– Zdążyliśmy się już przekonać, że Rzeźbiarz dobrze wie, w jaki sposób współczesny kontekst wpływa na odbiór jego dzieł, to znaczy, jak nasza wiedza na temat danej rzeźby kształtuje nasze postrzeganie tejże. W przypadku *Bachusa* widzimy, jak mitologia i podteksty związane z postaciami boga i satyra przeplatają się z życiem Tommy’ego Campbella i Michaela Wenicka. Patrząc na *Pietę*, widzimy historię Maryi i Chrystusa, ale i prostytutek – lubieżną pożądlivość *ich* życia. Natychmiast dostrzegamy sprzeczność między świętością i grzeszną naturą ludzką.

– Więc myślisz, że ostatecznym przesłaniem tej rzeźby jest bluźnierstwo?

– Nie wiem, ale ciągle mam wrażenie, że coś mi tu umyka – coś, co łączy twój rozdział z *Uśpionego w kamieniu* z prostytutkami z *Piety* Rzeźbiarza. Jestem niemal pewien, że wykorzystał je w tej rzeźbie nie tylko dlatego, że stanowiły dostępny, łatwo osiągalny materiał.

– Wykorzystał tam nie tylko prostytutki – zauważyła Cathy beznamiętnym tonem.

– Przepraszam, Cathy. Wiem o tym. Ale – wybaczone, że o tym mówię – myślę, że chodzi tu nie tylko o zawód ofiar, że tak to ujmę, tylko raczej o koncepcję grzechu, seksualnej nieczystości. Widzisz, w oczach Rzeźbiarza, wszyscy ludzie, których wykorzystał w *Piecie*, popełniali właśnie grzech nieczystości. To z kolei przywodzi mi na myśl jeszcze jedną rzecz, o której napisałaś w książce, omawiając wpływy, jakim mógł ulegać Michał Anioł, tworząc *Pietę*. Chwileczkę, mam tu gdzieś ten fragment... o, właśnie: „Innym powodem, dla którego Michał Anioł mógł przedstawić Maryję jako młodą kobietę, jest fakt, że pozostawał pod ogromnym wpływem *Boskiej Komedii* Dantego. Wiemy, że rzeźbiarz był nie tylko wielbicielem, ale i badaczem dzieła Dantego, z pewnością więc znał modlitwę świętego Bernarda z pieśni trzydziestej trzeciej *Raju*, która zaczyna się od słów „Dziewico, matko, córko twego syna”. Widzimy tu relację Maryi i jej syna, ukazaną na tle wewnętrznej sprzeczności Trójcy Świętej, w której Bóg istnieje w trzech postaciach: Ojciec, Syn (Bóg

wcielony jako Jezus Chrystus) i Duch Święty. Biorąc pod uwagę ten „kazirodczy” kontekst, możemy stwierdzić, że skoro Bóg jest ojcem i synem, to Maryja Dziewica jest zarówno matką Chrystusa, jak i jego córką, a także żoną. Stąd całkiem uprawnione wydaje się przypuszczenie, że przedstawiając Maryję i Jezusa jako osoby w podobnym wieku, Michał Anioł stara się wyrazić tę właśnie potrójną sprzeczność – sprzeczność, w której relacja ojciec-córka/matka-syn/mąż-żona zostaje zniekształcona, istnieje tylko w rzeczywistości duchowej, poza czasem, a wiek fizyczny jest jedynie relatywną, ziemską wartością”.

– Więc myślisz, że *Pietá* może, zdaniem Rzeźbiarza, wyrażać jakieś wypaczone, zawikłane stosunki między matką i synem?

– Nie wiem, Cathy – westchnął Sam. – Może jestem tylko przemęczony. Może niepotrzebnie doszukuję się drugiego dna. Ale kiedy pomyślę o tym, ile trudu zadał sobie Rzeźbiarz, żeby zdobyć *Pietę* Gambardello, zaczynam się zastanawiać, czy nie oceniliśmy błędnie jego stosunku do ofiar. Nie zrozum mnie źle, Cathy. Nadal uważam, że zabójca chciał, by marmur z posągu łączył ofiary z rzeźbami. I choć ten pierwotny plan mógł się zmienić, mógł przybrać inną postać, gdy Rzeźbiarz zaczął się skupiać na *Bachusie*, wiemy już, że rzeczywiście najpierw eksperymentował na kobietach, a dopiero potem zajął się mężczyznami i zaczął tworzyć całe posągi. Ale choć chciał użyć męskiego ciała do postaci Maryi, żeby zachować odpowiednie proporcje i umieścić piersi we właściwym miejscu, a przy tym wyrazić ogólny pogląd Michała Anioła na kobiecą sylwetkę, nie można zignorować różnic w konstrukcji *Bachusa* i *Piety*. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że wykorzystał ciała aż trzech osób do stworzenia postaci Maryi, a także to wszystko, co napisałaś o relacji między Chrystusem i Maryją, jako odzwierciedleniu paradoksu Trójcy Świętej, to trudno nie uznać tego za przedziwny zbieg okoliczności, nie uważasz?

– Owszem.

– Nie wspominając już o wszystkich metaforycznych i moralnych implikacjach, które niesie ze sobą takie odczytanie tej kazirodczej, *nieczystej* trójcy.

– To dlatego znów jedziemy dziś do księdza Bonettiego?

– Tak – przyznał Markham. – Prawdę mówiąc, nie potrafię powiedzieć, dlaczego tak myślę, ale jestem przekonany, że kradzież *Piety* Gambardello ma większe znaczenie, niż przypuszczaliśmy.

## Rozdział 40

Ksiądz Robert Bonetti obserwował przybyłych z okna swojego gabinetu – poprosił ich wcześniej, podczas rozmowy telefonicznej, by weszli do kościoła od tyłu i nie przeszkadzali jego parafianom, którzy przychodzili tego dnia do spowiedzi. Gdy wysiadali z czarnego trailblazera, stary ksiądz początkowo nie rozpoznał jasnowłosej kobiety w ciemnych okularach, która towarzyszyła agentowi Markhamowi. Dopiero gdy przechodzili za jego oknem, Bonetti zrozumiał, że atrakcyjna historyczka sztuki z Uniwersytetu Browna postanowiła w końcu wyjść z ukrycia.

Choć ksiądz Bonetti rzadko kiedy oglądał telewizję czy korzystał z komputera, i choć wolał czytać lub oglądać stare, czarno-białe filmy ze swojej niewielkiej kolekcji, nawet on wiedział, co spotkało Catherine Hildebrant – jasne, przede wszystkim jej byłego męża, ale i ją. Wiedział, że zdaniem mediów to właśnie jej książka, *Uśpiony w kamieniu*, zainspirowała Renesansowego Zabójcę do popełnienia tych wszystkich okropności. Wiedział również, że po śmierci swego byłego męża Cathy Hildebrant zniknęła – prawdopodobnie ukryła się w jakimś lokalu FBI, jak twierdziły gazety. O tak, czytał te wiadomości, widział zdjęcie Hildebrant w programie Meghan O'Neill *Raport specjalny: Renesansowy Zabójca*. Ostatnio pojawiły się plotki, że pierwszy posąg – ten z futbolistą i nieszczęsnym chłopcem z Cranston – również był jej dedykowany.

Gdy usłyszał trzaśnięcie zamykanych drzwi, znów ogarnęło go współczucie dla Catherine Hildebrant – w ciągu ostatnich dwóch tygodni wiele razy myślał ze szczerym współczuciem o tej biednej dziewczynie. Teraz musiał się jednak pośpieszyć i nim jeszcze rozległo się pukanie do drzwi jego gabinetu, wsunął do biurka zakupiony tydzień wcześniej egzemplarz *Uśpionego w kamieniu*.

– Proszę wejść – powiedział.

Cathy weszła pierwsza, Markham tuż za nią.

– Witam panią, doktor Hildebrant – rzekł ksiądz, podając jej rękę. – Pomimo okoliczności naprawdę cieszę się, że znów panią widzę. Nie będę udawał, że nie wiem, co spotkało panią w ciągu ostatnich tygodni. Pozwoli pani, że najpierw złożę wyrazy współczucia z powodu straty i zapewnię panią o moim wsparciu w tych trudnych chwilach.

Mam nadzieję, że jeśli mogę coś dla pani zrobić, powie mi pani o tym.

– Dziękuję księdzu.

Po kolejnej krótkiej wymianie uprzejmości wszyscy troje usiedli przy biurku księdza Bonettiego.

– No dobrze – zaczął kaptan. – Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Chciałbym zadać księdzu kilka dodatkowych pytań – odpowiedział Markham. – Głównie w związku ze skradzioną *Pietą*.

– Sam nie wiem, co jeszcze mógłbym wam powiedzieć. Widziałem zdjęcia policyjne i portret tego człowieka. Nie znam nikogo, kto pasowałby do opisu, ani nikogo, kto byłby w stanie zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za tę rzeźbę.

– Rozumiem to, proszę księdza, ale miałem nadzieję, że mógłby nam ksiądz powiedzieć coś więcej o samym posągu. Mówił ksiądz, że na stronie internetowej parafii było kiedyś jej zdjęcie?

– Tak, fotografia kaplicy, którą pokazywałem wam podczas waszej poprzedniej wizyty i w której stoi teraz druga *Pietà*.

– Czy na stronie był jakiś tekst – podpis albo krótki opis – który zawierałby informację, że to *Pietà* Gambardellego?

– Nie przypominam sobie.

– A czy samo zdjęcie przedstawiało tylko posąg, czy też całą kaplicę?

– Chyba kaplicę. Od wielu lat mamy tutaj taką tradycję, że po Świątce Dziękczynienia przesuwamy piramidę ze świec wotywnych na środek kościoła, żeby zrobić miejsce dla szopki bożonarodzeniowej z figurami naturalnej wielkości. Zdaje się, że zdjęcie zrobiono mniej więcej w tym czasie, więc *Pietę* widać w tle, za postaciami Jezusa, Maryi i Józefa.

– Jak się nazywa rodzina, która ufundowała *Pietę*? – pytał dalej Markham.

– Hm... – Ksiądz opadł na oparcie krzesła i zamyślił się na chwilę. – Za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć. Jak już wam mówiłem, pierwsza *Pietà* pojawiła się w kościele kilka lat wcześniej, nim tutaj przybyłem. Na cokole posągu znajdowała się tabliczka z nazwiskiem fundatorów, ale, oczywiście, została skradziona wraz z rzeźbą. Trochę wstyd mi to przyznać, agencie Markham, jednak chociaż spędziłem tu tyle lat, chyba nigdy nie znałem nazwiska tej rodziny. Dziwne, prawda? Jak można przechodzić koło czegoś codziennie i nawet nie zwrócić na to uwagi?

– Nigdy nie kazał ksiądz odtworzyć tej tabliczki i przytwierdzić jej do drugiej *Piety*?

– Nie. Rodzina, która ufundowała posąg, wyprowadziła się stąd wiele lat temu. O ile mnie pamięć nie myli, to kiedy obejmowałem parafię, ci ludzie nie mieszkali tu już od

dziesięciu lat, przenieśli się do jakiejś bogatszej okolicy. Ufundowanie posągu było sentymentalnym gestem którejś ze starszych kobiet z tej rodziny. Jednak kiedy doszło do kradzieży, jeden z moich współpracowników, który, niestety, już opuścił tę parafię, postanowił odszukać rodzinę fundatorów. Udało mu się dotrzeć do kogoś – córki, zdaje się – ale ta osoba oświadczyła, że wcale nie chcą, byśmy zamawiali drugą tablicę, bo nikt z nich nie chce już być kojarzony z naszym kościołem.

Markham i Cathy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Czy wie ksiądz, jak ten człowiek odnalazł rodzinę? Czy w dokumentacji parafialnej są jakieś dokumenty, dotyczące darowizny?

– Przypuszczam, że znalazł ich nazwisko właśnie w tych dokumentach. Może też wypytywał o to członków parafii.

– Ma ksiądz nadal te papiery?

– Tak myślę. Ale prawdę mówiąc, agencie Markham, nie mam pojęcia, gdzie ich szukać. Wszystkie dokumenty, które mają więcej niż pięć lat, przenosimy do piwnicy i układamy w sterty obok dokumentacji ze starego kościoła, którą zniesiono tam po remoncie, w latach sześćdziesiątych. Niektóre z tych papierów mają już prawie sto lat. Co ciekawe, to właśnie poszukiwania prowadzone przez tego ojca skłoniły nas, żeby wreszcie zacząć porządkować ten bałagan. Przypuszczam, że nawet jeśli znajdzie pan dokumenty dotyczące tej darowizny, i tak będzie pan musiał odszukać żyjących członków tamtej rodziny, jak nasz ksiądz przed trzema laty. Jeśli pan sobie życzy, mogę go odszukać i spytać, czy pamięta nazwisko fundatorów i ich adres. Myślę, że miałbym dla pana te informacje na początku przyszłego tygodnia.

– W innych okolicznościach bardzo chętnie skorzystałbym z tej propozycji, ale po zabójstwie byłego męża Cathy i odkryciu *Piety* wszystko wskazuje na to, że Renesansowy Zabójca uderzy ponownie – i to wkrótce. Dlatego musimy sprawdzać wszystkie tropy najszybciej, jak się da.

– Wiem. – Ksiądz skinął głową. – Czytałem o tym w prasie. Władze i media przypuszczają, że teraz sporządzi posąg Dawida. Jestem pewien, że pani książka, doktor Hildebrant, doskonale się sprzedaje, bo wszyscy domorośli detektywi szukają w niej sposobu zapobieżenia nowej zbrodni, próbują rozwikłać tę zagadkę, zanim zrobi to FBI.

Cathy milczała.

– Prawdopodobnie ma ksiądz rację – zgodził się z duchownym Markham. – Sam więc ksiądz rozumie, dlaczego powinniśmy jak najszybciej poznać nazwisko tej rodziny.

– Pan wybaczy to pytanie, agencie Markham, ale dlaczego FBI interesuje się rodziną,



która ufundowała ten posąg ponad trzydzieści lat temu? Co tych ludzi może łączyć z Renesansowym Zabójcą oprócz faktu, że jak pan sądzi, to właśnie on ukradł *Pietę*?

– Ja *wiem*, że to on ją ukradł. I szczerze mówiąc, sam nie jestem pewien, co przyniosą nam te poszukiwania – oczywiście, jeśli w ogóle uda nam się skontaktować z rodziną ofiarodawców. Co więcej, muszę przyznać, że ów skradziony posąg to jedyny solidny trop, jakim teraz dysponuję, jedyny ślad działalności Renesansowego Zabójcy poza morderstwami i posągami, które sam nam zostawia. Ale wiem też, że ta kradzież nie była przypadkowa, to znaczy, nie sądzę, żeby morderca zobaczył *Pietę* księdza w internecie. Jestem przekonany, że wiedział o niej znacznie wcześniej, być może kiedyś często bywał w tym kościele, może zafascynowała go, gdy był jeszcze dzieckiem. Sam ksiądz powiedział ostatnio, że wszystko się ze sobą łączy.

– Tak, słusznie, tak mówiłem – odparł ksiądz, odbiegając gdzieś myślami.

– Czy byłby ksiądz tak łaskaw i pozwolił nam przejrzeć te dokumenty?

Ksiądz Bonetti uśmiechnął się i skinął głową. Potem zaprowadził Cathy i Markhama do piwnicy, gdzie pod ścianą stały pudła z dokumentacją, ułożone w sterty na szerokość trzech rzędów i sięgające miejscami niemal do sufitu.

– Czeka was trudne zadanie – powiedział kapłan. – Mój współbrat sam zaczął porządkować te dokumenty i zamierzał wyrzucić większość z nich. Na szczęście, jak widzicie, dotarł tylko do roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego, kiedy to go przeniesiono. Pudła z tyłu to dokumentacja ze starego kościoła, więc nie musicie się nimi przejmować. Nie mogę zagwarantować, że znajdzie pan to, czego szuka, agencie Markham, ale jeśli mój współbrat odłożył dokumenty do pudła, w którym je znalazł, to pewnie będzie to gdzieś tutaj, z przodu.

– Dziękuję księdzu.

– Wybaczcie, że zostawię was samych, ale muszę iść na górę spowiadać. Wrócę do was za godzinę. Gdybyście znaleźli coś wcześniej, wyjdźcie sami tylnymi drzwiami. Proszę tylko, żebyście zostawili tutaj oryginał.

– Oczywiście.

– Pożegnaj się z wami już teraz, na wypadek gdybyśmy się później nie spotkali. – Stary ksiądz ujął dłoń Cathy. – Doktor Hildebrant, niech Bóg doda pani sił i odwagi w tych trudnych chwilach.

– Dziękuję księdzu.

Kapłan uśmiechnął się do nich i wyszedł z piwnicy.

Cathy i Markham natychmiast zabrali się do pracy – nie zaglądali nawet do

dokumentacji, którą uporządkował już wcześniej nieznany im ksiądz. Poszukiwania utrudniał jednak fakt, że wiele pudeł zawierało dokumenty z różnych lat, niektóre nawet z różnych dekad, jakby ktoś celowo je przemieszał. Była to naprawdę żmudna, mozolna praca. Po jakichś trzech kwadransach myśli Cathy zaczęły błądzić wokół różnych tematów, przypomniała sobie wtedy pewien teleturniej, który oglądała z matką jeszcze jako dziecko. Program nazywał się „Poszukiwanie skarbu”. Nie pamiętała, na czym właściwie polegał, zachowała w pamięci jedynie obraz kobiet szukających pieniędzy w prezentach, ale prowadzący nazywał się Geoff Edwards, tego była pewna. Pamiętała również, jak matka mówiła, że to przystojny mężczyzna. Nie myślała o tym programie od dziesięcioleci i była tak zaskoczona tą nieoczekiwaną podróżą w przeszłość, że omal nie przegapiła dokumentu leżącego na jej kolanach.

Zebrała myśli i spojrzała ponownie na długą listę nazwisk z roku budżetowego 1976-1977. Na ostatniej stronie, pod nagłówkiem RÓŻNE DAROWIZNY ktoś zakreślił następującą pozycję:

Marmurowa reprodukcja *Piety* Michała Anioła.

Artysta: Antonio Gambardelli.

Ofiarowane dla uczczenia pamięci Filomeny Manzery.

Wartość ubezpieczenia: 10 000 dolarów

Lecz jeszcze cenniejsza była informacja u góry strony:

*Shirley Manzera, 401-555-6641 (E.G.)*

”E.G.” – pomyślała Cathy. – „East Greenwich”.

– Znalazłam! – wykrzyknęła, wręczając Markhamowi dokument.

Agent FBI przebiegł po nim wygłodniałym wzrokiem.

– Mieliśmy szczęście – orzekł. – Numer telefonu – ksiądz Bonetti i jego tajemniczy współbrat odwalili za nas całą robotę.

## Rozdział 41

Dom rodziny Manzerów znajdował się na narożnej działce przy ulicy Love Lane. Zdaniem Cathy, wzniesiono go w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku – była to rozległa parterowa budowla w kształcie litery L z garażem na dwa samochody, połączonym z domem wąską wiatą. W tylnej części posesji, za wysokim kamiennym murem z otworami pełniącymi funkcję okien, znajdował się basen o wymiarach olimpijskich i kort tenisowy. Tak, rodzina Manzerów z pewnością mogła sobie pozwolić na zakup *Piety* Gambardellego.

Sam Markham zawrócił i zaparkował samochód w cieniu wielkiego dębu.

– Pamiętaj, Cathy – przypomniał – masz zamknąć drzwi na zamek i siedzieć cicho. Kiedy rozmawiałem z tą kobietą przez telefon, nie była chętna do współpracy, traktowała mnie niemal jak wroga. Gdyby cię rozpoznała, nic bym już od niej nie wyciągnął. Zgodziła się ze mną rozmawiać, bo myśli, że kradzież posągu jej rodziny jest częścią jakiejś większej afery, związanej z nielegalnym handlem dziełami sztuki, i że będzie coś z tego miała.

– Rozumiem.

– Wracam za moment – rzucił Markham i pocałował ją w policzek.

Cathy patrzyła, jak Sam podchodzi do drzwi domu i dzwoni. Nie widziała kobiety, która mu otworzyła i której Markham pokazał legitymację – podobnie jak robił to kiedyś przed jej drzwiami, w innym życiu. Kiedy agent specjalny Sam Markham zniknął we wnętrzu domu, Cathy zamknęła oczy i czekała.

Nawet gdyby nie odpłynęła gdzieś myślami, gdyby nie zapadła w lekką popołudniową drzemkę, prawdopodobnie nie zauważyłaby porsche 911, które przejechało przecnicą, tuż przed jej samochodem – a nawet gdyby je zauważyła, wcale by jej to nie zdziwiło. Nie w tej okolicy.

Tymczasem Rzeźbiarz od razu zauważył czarnego trailblazera. Zwrócił na niego uwagę nie tylko dlatego, że wydawał się zupełnie nie na miejscu przed domem Manzerów – domem, który mijał codziennie w drodze do własnej posesji – ale i dlatego, że natychmiast rozpoznał w nim samochód FBI. Choć nie ośmielił się przejechać obok niego po raz drugi, nie ośmielił się zajrzeć do środka, by sprawdzić, czy w środku jest doktor Hildy, dobrze wiedział, dlaczego trailblazer stoi właśnie tam.

Tak, teraz Rzeźbiarz wiedział już, jak doktor Hildy i FBI domyślili się, gdzie wystawi swoją *Pietę*. Zrozumiał również, że na samym początku realizacji swojego planu popełnił poważny błąd. Jednak fakt, że FBI pojechało najpierw do domu Manzerów, świadczył o tym, że nie znają jeszcze całej prawdy, nie połączyli rzeźb z jego osobą.

Jeszcze nie.

Ale byli blisko.

I choć to odkrycie bardzo go zaniepokoiło, choć był na siebie zły, że popełnił tak idiotyczną pomyłkę, pocieszał się myślą, że los dał mu okazję, by tę pomyłkę naprawić.

## Rozdział 42

– Przepraszam, że tak długo to trwało – powiedział Markham, wsiadając do wozu. – Ale czeka nas sporo pracy.

Cathy ocknęła się z drzemki zdeorientowana. Czuła się tak, jakby czas nagle przeskoczył do przodu, nie miała pojęcia, ile nie było Markhama.

– Dowiedziałeś się czegoś ciekawego?

– Owszem, pani Manzera sporo mi powiedziała, choć nie wiadomo, czy do czegoś nam się to przyda. Powinniśmy teraz znów usiąść przed komputerem albo – jeszcze lepiej – pojechać do biblioteki, nim ją zamkną.

– Dlaczego?

– No więc tak – zaczął Markham, wyjeżdżając na ulicę. – Na samym początku dowiedziałem się, że osobą łączącą Shirley Manzerę z parafią św. Bartłomieja jest jej zmarły mąż – *Pietá* Gambardellego została ofiarowana, by uczcić pamięć jego matki. Rodzina pana Manzery pochodziła z dzielnicy Silver Lake, gdzie znajduje się ten kościół. Nie znam szczegółów, ale Shirley Manzera mówiła, że jej mąż miał jakąś firmę budowlaną. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że sporo zarobił w latach pięćdziesiątych i przeniósł się z całą rodziną z Providence do bogatszego East Greenwich. Nie chciałem pytać, jak pani Manzera poznała swojego męża, ale dała mi jasno do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z Kościołem katolickim, a w szczególności z parafią św. Bartłomieja i „starą dzielnicą jej męża”, jak to ujęła. Prawdę mówiąc, okropna z niej snobka.

– Jak umarł jej mąż?

– Nie tak, jak myślisz. Zobaczyłem jego zdjęcie na kominku i spytałem. Rozedma płuc, cztery lata temu. Ale to jeszcze nie koniec. Manzerowie mieli czworo dzieci – trzy córki i syna, Damona. Damon był najmłodszy, sądząc po rodzinnych zdjęciach, od najstarszej siostry dzieliło go jakieś dziesięć do dwunastu lat. Wszystkie córki są mężatkami.

– Chwileczkę, powiedziałeś że Damon *był* najmłodszy? Coś się stało?

– Nie mogłem zapytać, Cathy. Nie mogłem wypytywać jej o takie rzeczy tylko z powodu skradzionej rzeźby, sama chyba rozumiesz. Ale widziałaś ten basen i kort tenisowy za domem?

– Tak.

– Nie znam szczegółów, ale pani Manzera powiedziała mi, że jej syn Damon utopił się właśnie w tym basenie, dziesięć lat temu.

– Myślisz, że jego śmierć ma jakiś związek z Renesansowym Zabójcą?

– Nie wiem, Cathy. Myślę, że powinniśmy najpierw poszukać czegoś w gazetach – jakiegoś artykułu o tym wypadku, nekrologu. Jeśli coś wyda nam się podejrzane, poproszę Sullivan, żeby skontaktowała się z policją i wyciągnęła od nich akta tej sprawy, raport koronera i tak dalej. Być może szukam w niewłaściwym miejscu, może to tylko dziwny zbieg okoliczności...

– Wcale tak nie uważasz, prawda, Sam?

Agent FBI wzruszył tylko ramionami. W samochodzie zapadło długie, krępujące milczenie. Gdy dojeżdżali do drogi numer 95, już znowu rozmawiali, zastanawiając się wspólnie, co zrobią, jeśli ten trop okaże się fałszywy.

Żadne z nich nie zauważyło niebieskiej toyoty camry, która wjechała na autostradę tuż za nimi.

## Rozdział 43

Rzeźbiarz starał się nie podjeżdżać zbyt blisko, zachowywał odległość co najmniej trzydziestu, czterdziestu metrów od samochodu FBI. Wcześniej zaryzykował i pojechał do domu, żeby zamienić porsche na toyotę – nie chciał za bardzo rzucać się w oczy, gdyby kierowca trailblazera zauważył, jak wyjeżdża za nim na autostradę. Ryzyko się opłaciło, a Rzeźbiarz miał niepowtarzalną okazję dowiedzieć się, co planuje FBI. Nie mógł zmarnować takiego prezentu od losu.

Przez cały sobotni poranek jeździł bez celu swoim porsche, wypatrując jakiegoś znaku – może doktor Hildy, a może miejsca, w którym później mógłby szukać materiału na *Dawida*. Choć nie znalazł niczego i wracał do domu zawiedziony i sfrustrowany, podobnie jak tego dnia, gdy nieoczekiwanie dostrzegł swojego satyra na ulicy w Cranston, los podsunął mu coś innego i skierował go w okolice posesji Manzerów.

Tak, nikt chyba nie rozumiał tak dobrze jak Rzeźbiarz subtelnych mechanizmów przeznaczenia – nikt nie umiał tak jak on odczytywać znaków boskiej opatrności i kroczyć wąską ścieżką, dzielącą predestynację od wolnej woli. Tę wrażliwość, to niezwykle zrozumienie otrzymał w darze jako dziecko – gdy jeszcze nazywano go Christianem – w chwili gdy po raz pierwszy jego wzrok spoczął na *Piecie* w kościele św. Bartłomieja, do którego chodziła jego matka.

Zabierała go w niedziele właśnie tam, do swojej starej dzielnicy, gdy ojciec wyjeżdżał w interesach. I właśnie tam, w małej kaplicy, chłopiec stał niemal godzinami, wpatrzony w marmurowy posąg Maryi i jej Syna.

– Matczyna miłość to największy dar, jaki może otrzymać chłopiec – mówiła mu matka. – Dlatego właśnie nazwałam cię Christian.

– A ty masz na imię Mary – odpowiadał chłopiec. – Jak Maryja z tej rzeźby.

– Zgadza się – potakiwała matka. – I kocham cię najbardziej na świecie. Jak ta Maryja z posągu.

O tak. Już jako chłopiec Rzeźbiarz *rozumiał*.

Przez lata chodzili we dwoje na niedzielne msze do Świętego Bartłomieja – Mary i Christian, matka i syn – słuchali kazania księdza Bonettiego, a po nabożeństwie szli do

kaplicy, by jeszcze długi czas oglądać marmurowe rzeźby. Matka i syn zawsze zgadzali się co do tego, że *Pietà* jest ich ulubionym posągami.

Ale kiedy chłopiec zwany Christianem nieco podrosł – miał jakieś sześć albo siedem lat, o ile Rzeźbiarz dobrze pamiętał – matka zaczęła kłaść mu dłoń na kroczu, gdy wiozła go do domu po wizycie w kościele i piekarni; zapach świeżego włoskiego pieczywa wypełniał samochód, gdy materiał jego spodni napinał się pod jej ciepłym dotykiem. Chłopiec zwany Christianem uważał, że to dziwne, choć przyjemne uczucie. Jeszcze przyjemniejsze były chwile, gdy siadała obok niego w ten sposób na sofie. W piątki pozwalała mu kłaść się później do łóżka, by mógł obejrzeć w telewizji Victorię Principal – kobietę z *Dallas*, która wydawała mu się niezwykle piękna i bardzo podobna do jego matki. Pewnego wieczoru, gdy chłopiec nazywany Christianem spytał, dlaczego nie siedzi z nim w ten sposób, gdy tata jest domu, matka wyjaśniła, że to ich tajemnica: specjalna tajemnica od Boga, którą mogli znać tylko matka i syn. Gdyby poznał ją ktoś inny, ojciec chłopca pewnie by się zabił, a Bóg zabiłby ją – zamieniłby ją w posąg, jak Maryję w kościele.

Chłopiec zwany Christianem nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego pewnego dnia, gdy miał dziewięć lat, przestali chodzić razem do kościoła. Wkrótce potem zaczęło się bicie, a nieco później rzecz najgorsza – zimne kąpiele. Choć nie lubił dostawać lania, chłopiec zwany Christianem zawsze wiedział, dlaczego matka bije go po głowie; dlaczego uderza go otwartą dłonią, a potem zamyka w łazience z rozlanym wybielaczem. Zdarzało się to tylko w sytuacji, gdy źle się zachował – jak wtedy, gdy wypił trochę jej wina albo wydarł trochę obrazków z jej starych podręczników akademickich.

Ale gdy matka mówiła, że jest *wyjątkowo nieznośny*, gdy wpychała go do lodowatej wody, nigdy nie miał pojęcia, czym tak bardzo ją rozzłościł. Zimne kąpiele zdarzały się mniej więcej raz na miesiąc, zawsze późno w nocy, gdy matka była pijana.

– Wynocha! – krzychała, wpadając do jego sypialni i wnosząc ze sobą paskudny zapach papierosów i alkoholu. Chwytała go za włosy i ciągnęła za sobą do łazienki. Kąpiele zawsze wyglądały tak samo, ale chłopiec nazywany Christianem nigdy do nich nie przywykł. Za każdym razem, gdy matka wpychała go pod wodę, był pewien, że więcej się nie wynurzy, że już nigdy nie ujrzy swego ukochanego ojca.

Lecz gdy zaczynał się w końcu krztusić, gdy jego pierś przenikał lodowaty ból, matka zawsze wyciągała go z wanny. Później, gdy leżał nagi w swoim łóżku i drżał z zimna, przychodziła do niego, wsuwała się pod kołdrę i pieściła go jedną ręką, drugą dogadzając sobie. Ciepło jej nagich piersi, przyciśniętych do jego skóry, przynosiło cudowne, magiczne ukojenie.



– Matczyna miłość – szeptała raz za razem. – Matczyna miłość.

To także była ich tajemnica, której ze względu na dobro rodziny nie mogli nikomu wyjawiać.

Kiedy nieco podrosł, bicie i zimne kąpiele ustały, ale matka nadal przychodziła do niego nocą, kładła się naga do jego łóżka. Pieściła jego penisa dłużej, aż chłopiec nazywany Christianem „zrzucił ładunek”, jak mówili jego szkolni koledzy. Gdy był jeszcze starszy, tuż przedtem, nim ojciec wysłał go do Phillips Exeter Academy w New Hampshire, matka Christiana zaczęła wsuwać sobie jego penis między nogi, instruowała go dłońmi i własnym ciałem, jak ma się z nią kochać.

– Matczyna miłość – mówiła znowu. – Matczyna miłość.

I tak chłopiec nazywany Christianem zmagał się z miłością swej matki przez długi czas – nigdy nie powiedział o tym ojcu, nie mówił o tym nikomu. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że Christian był naprawdę bardzo inteligentny. Wiedział, co miał na myśli szkolny psycholog w podstawówce, mówiąc, że rozwiązuje testy z łatwością geniusza. Rozumiał wszystko, czym zarzucali go nauczyciele w Phillips, nawet technologie opracowane przez jego ojca na potrzeby rozrastającej się firmy software'owej. Tak, młody mężczyzna nazywany Christianem bez trudu przyswajał wszystkie tego rodzaju wiadomości, bez trudu rozwiązywał najbardziej nawet skomplikowane szkolne zadania. Ale jedyną rzeczą, której nie potrafił ogarnąć swym nadzwyczajnym umysłem, była miłość jego matki.

Do czasu, aż przeczytał *Uśpionego w kamieniu*.

Rzeźbiarz uważał jednak, że wszystko zaczęło się w chwili, gdy wrócił do kościoła św. Bartłomieja. Stało się to tydzień po pogrzebie jego matki, tego samego dnia, gdy osiemnastoletni Christian rozmawiał z prawnikiem ojca – starszym panem, który miał mu pomóc w sprzedaży ojcowskiej firmy i uczynić z niego multimilionera. To właśnie wtedy opowiedział mu on o szczegółach wypadku i o romansie jego matki z tenisistą Damonem Manzera – niegdyś obiecującym młodym graczem, który musiał przerwać karierę ze względu na kontuzję i był zaledwie o parę lat starszy od Christiana. Po rozmowie z prawnikiem młody mężczyzna nazywany Christianem włóczył się bez celu po okolicy, szukając jakiejś wskazówki, znaku, który wskazałby mu drogę życiową, aż nogi same zaniósły go do kościoła św. Bartłomieja.

I tak to się właśnie stało – choć daleki był jeszcze od zrozumienia tego wszystkiego, od ujrzenia pełnego obrazu spraw, młodzieniec, który później miał stać się Rzeźbiarzem, po raz pierwszy doznał olśnienia przed *Pietą*, gdy wpatrywał się w arcydzieło Michała Anioła, tak jak robił to niegdyś wiele razy, w ramionach swej matki. Jednak to nie sam posąg, lecz

płytką umieszczoną u jego podstawy pozwoliła Christianowi zrozumieć, dlaczego los przywiódł go tego dnia właśnie w to miejsce. Napis na tabliczce głosił:

*Poświęcone dla uczczenia pamięci*

*Filomeny Manzery.*

Manzera. Damon Manzera.

Ileż to razy chłopiec nazywany Christianem siedział w tym kościele ze swoją matką i słuchał słów księdza Bonettiego, który zapewniał wiernych, że nasz pobyt na tym świecie służy jakiemuś większemu celowi, jest częścią większego planu, w którym każdy z nas odgrywa jakąś rolę, że ludzkie żywoty są ze sobą splecione, że „wszystko łączy się ze sobą”. Po krótkiej kwerendzie młody mężczyzna, nazywany Christianem, dowiedział się, że rodzina, która podarowała kościołowi św. Bartłomieja *Pietę*, jest w istocie tą samą rodziną, która wydała na świat tenisistę Damona Manzerę: tenisistę, który zabił jego matkę i zamienił ojca w warzywo.

I tak jak młody mężczyzna, nazywany Christianem, zrozumiał, że los w przedziwny sposób zetknął ze sobą jego matkę i tenisistę, połączonych jakąś boską więzią z *Pietą* – boską więzią, która dotyczyła jego, miłości matki do swego syna – tak równie oczywisty wydawał mu się fakt, że ten sam los nie bez przyczyny podsunął mu nazwisko tenisisty.

O tak, Christian aż za dobrze rozumiał, co powinien teraz zrobić.

I oto po ukończeniu Phillips Exeter, między wizytami u ojca w domu opieki i nauką w uczelni pielęgniarstwa, młody mężczyzna, zwany Christianem, zaczął ćwiczyć i budować muskulaturę – najpierw na siłowni, a potem w piwnicy swojego domu – przez cały czas skupiając się na dwóch celach: opiece nad ojcem i zemście na Damonie. Kiedy ojciec wrócił już do domu, Christian przez lata śledził Damona, poznając jego zwyczaje i czekając cierpliwie na znak od losu, który kazałby mu przejść do czynu.

Ostatecznie wszystko potoczyło się bardzo szybko. Damon Manzera, który nadal uczył tenisa w country clubie – i który rozpił się po rozpadzie swojego małżeństwa – ponownie wprowadził się na jakiś czas do domu rodziców przy Love Lane, gdzie spędzał wiele ciepłych letnich wieczorów, popijając piwo i pływając w basenie. Jeśli Damon Manzera kiedykolwiek myślał o swojej byłej kochance, jeśli kiedykolwiek czuł się choć w części winny jej śmierci, to w żaden sposób nie okazał tego w obecności Christiana, który przez cztery lata niemal dzień w dzień obserwował go przez lornetkę.

Tak więc, za przyzwoleniem losu, pewnego dnia młody mężczyzna, nazywany Christianem, tuż po zmroku przeskoczył przez wysoki mur, otaczający posesję Manzerów, i czekał w ukryciu między drzewami, aż Damon Manzera się upije. Nie miał jeszcze noktowizora ani strzałek ze środkiem usypiającym, którymi posłużył się, polując na Tommy'ego Campbella; nie musiał nawet obezwładnić trenera tenisa, jak zrobił to w przypadku biednego Michaela Wenicka, którego wciągnął do kanału. Nie, dla młodego mężczyzny, który wkrótce miał się stać Rzeźbiarzem, pierwsze morderstwo było aktem niemal zupełnie pozbawionym emocji; ostatecznie po prostu podniósł nieprzytomnego Damona Manzerę z leżaka i utopii go z taką łatwością, z jaką zmywa się naczynia.

Christian zeskoczył potem z trampoliny i przekradł się do lasu, nie pozostawiając na betonie ani jednego odcisku stopy. Kiedy w ciągu kilku następnych tygodni okazało się, że zabójstwo Damona Manzery uszło mu na sucho, młody mężczyzna, nazywany Christianem, zaczął odczuwać pewną pustkę. Tak, mężczyzna, który miał stać się Rzeźbiarzem, chciał znów zabijać; chciał zabijać kolejnych Damonów Manzerów, pragnął tego tak bardzo, że miał erekcję, kiedy o tym myślał.

Pomimo niezwyklej inteligencji i samoświadomości młody mężczyzna, nazywany Christianem, nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego kiedy był młodszy, gdy uczył się w Exeter, nigdy nie wykazywał żadnego zainteresowania dziewczynami. Nie podniecał się, gdy patrzył na nie w szkole, i z pewnością nie „walił konia”, jak robili to jego koledzy, patrząc na zdjęcia pornograficzne, którymi się wymieniali. To prawda, czasami jego dłoń wędrowała ku kroczu, gdy późną nocą myślał o swojej matce, ale robił się *naprawdę* twardy jedynie na myśl o swoich szkolnych kolegach. Przypominał sobie, jak wyglądają bez koszul lub wtedy, gdy wychodzą spod przysznica – w takich chwilach zawsze odwracał szybko wzrok, by nie podniecić się w ich obecności.

Christian znał tylko jednego chłopca w Phillips, który czuł to samo, co on – „doświadczony” kolegę, który wziął go pod swoje skrzydła i z którym Christian wymykał się czasem w jakieś ustronne miejsce, gdzie mogli się całować, rozbierać do naga i dotykać, brać swoje penisy do ust albo wkładać je sobie od tyłu. Jednak po śmierci matki Christiana wszystko to się skończyło. Po powrocie do Rhode Island Christian przez długi czas zmagał się z tęsknotą do męskiego towarzystwa i dręczącym przekonaniem, że jego homoseksualizm przyczynił się w jakiś sposób do śmierci matki i kalectwa ojca.

Jednak po śmierci Damona Manzery przekonał się, że twardnieje także na myśl o zabijaniu – zrozumiał wtedy, że los podpowiada mu, by wykorzystał swe żądze w sposób bardziej produktywny. Zaczął fantazjować, prowadzić własne badania i eksperymentować z

różnymi metodami. Pomysł z adrenaliną podobał mu się od samego początku, wiedział bowiem, że w ten sposób odtworzy własne przeżycia, chwilę olśnienia, jakiego doznał przed *Pietą* w kościele św. Bartłomieja. A gdy był już gotowy, gdy udało mu się w końcu wytworzyć skoncentrowaną epinefrynę, młody mężczyzna, nazywany Christianem, zaczął szukać odpowiedniego kandydata.

Gabriel Banford od początku miał być pierwszą ofiarą tej nowej metody. Christian śledził go przez kilka miesięcy po tym, jak zauważył go w Series X. Zamierzał zacząć się na niego w ciemnościach jego sypialni. Ale tego wieczoru, gdy powinien był go zabić, gdy natknął się na książkę *Uśpiony w kamieniu*, gdy los kazał mu właśnie wtedy otworzyć ją na rozdziale opisującym *Pietę*, mężczyzna, który od tego dnia nazywał siebie Rzeźbiarzem, zapłakał z radości, porażony boskim olśnieniem – objawieniem przewyższającym to, co przeżył w kościele św. Bartłomieja.

Tak to dzięki błyskotliwej analizie relacji między matką i synem, dokonanej przez tę kobietę, Catherine Hildebrant, relacji będących w pewnym sensie odzwierciedleniem paradoksu Trójcy Świętej i oddanych przez artystę w postaci samej Maryi Dziewicy, młody mężczyzna, nazywany Christianem, zrozumiał w końcu nie tylko własne uwielbienie *Piety*, ale i miłość, jaką darzyła go matka.

Rzeźbiarz był tak oszołomiony tym odkryciem, że opuścił mieszkanie Banforda w szoku. Zostawił młodego mężczyznę przy życiu i wrócił do niego tydzień później, kiedy już kupił własny egzemplarz *Uśpionego w kamieniu* i przeczytał go dziesięć razy od deski do deski, kiedy już rozumiał w pełni, co jest jego celem i dlaczego los doprowadził go do Banforda, do doktor Catherine Hildebrant i do Michała Anioła, człowieka, którego dzieła stały się pierwowzorem jego przeznaczenia.

Wszystko łączy się ze sobą.

Teraz, sześć lat później, gdy jechał za czarnym trailblazerem do centrum Providence, Rzeźbiarz uśmiechał się szeroko do siebie. Tak, choć FBI było już na jego tropie, choć połączyło skradzioną *Pietę* z rodziną Manzerów, Rzeźbiarz wiedział, że los znów stanął po jego stronie. I choć nie odważył się podjechać bliżej do śledzonego samochodu, był przekonany, że za jego przyciemnianymi szybami kryje się osoba, której szukał przez cały ranek.

Tak, coś mówiło Rzeźbiarzowi, że w końcu znalazł doktor Hildy.

## Rozdział 44

Minęła już piąta po południu, gdy Markham i Cathy wyszli z biblioteki publicznej w Providence. Nie wyglądali na zadowolonych. Przez ponad godzinę szukali informacji o śmierci Damona Manzery. Nie znaleźli zbyt wiele materiałów – krótkie notki w gazetach, nekrologi – a w dodatku w żadnej z relacji nie uznano tej śmierci za podejrzaną, nie wspomniano ani słowem o dowodach, które mogłyby podważyć oficjalną wersję wydarzeń. Wręcz przeciwnie, kilkakrotnie cytowano lekarza sądowego, który stwierdził, że w chwili śmierci Manzery poziom alkoholu w jego krwi był „niebezpiecznie wysoki”. Koroner uznał więc, że najprawdopodobniej Manzera albo zasnął w basenie, albo przewrócił się i wpadł do wody. Tak czy inaczej, uznano oficjalnie, że przyczyną śmierci był nieszczęśliwy wypadek; tak czy inaczej, tutaj trop się urywał.

– W tej sytuacji mamy dwa wyjścia, Cathy – mówił Markham, wsiadając do trailblazera. – Mogę wrócić do pani Manzery, powiedzieć jej, dlaczego tak naprawdę chciałem z nią rozmawiać, i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej o jej synu, albo też możemy przepytować znajomych Manzery i liczyć na to, że dowiemy się od nich czegoś ciekawego. Na początek moglibyśmy pojechać do jego żony albo do tego klubu w East Greenwich, w którym podobno pracował.

– Sam, to wszystko działo się ponad dziesięć lat temu. Nie wydaje ci się, że policja już to zrobiła?

– Przypuszczam, że tak. Kiedy dostaniemy policyjne akta tej sprawy, dowiemy się, kogo wtedy przesłuchiwali. Mam tylko nadzieję, że coś przegapili. – Markham zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu i westchnął. – Nie wiem, co innego mógłbym zrobić, Cathy. Zaczynam się zastanawiać, czy cała ta historia z Manzerą ma jakikolwiek związek z Rzeźbiarzem. Być może zabrnąłem w ślepą uliczkę i tak naprawdę nie mam już pomysłu na to, co robić dalej.

– Rozwiązanie jest w książce – powiedziała Cathy, biorąc go za rękę. – Co do tego na pewno się nie mylisz. Wiem o tym. Wszystko, czego potrzebujemy, żeby go złapać, kryje się w *Uśpionym w kamieniu*. Jesteś po prostu zmęczony, to wszystko. Oboje jesteśmy zmęczeni. Może kupimy jakieś chińskie żarcie na wynos, weźmiemy do tego butelkę wina i damy sobie na dzisiaj spokój z pracą? Jutro jest niedziela. Możemy pospać trochę dłużej, a potem wybrać

się nad morze – służbowo, oczywiście. Jeśli się wyśpimy, na pewno będzie nam się lepiej myślało. Co ty na to, agencie specjalny Markham? Dasz się namówić?

Markham uśmiechnął się, pocałował ją czule i ruszył w drogę.

Żadne z nich nie zauważyło niebieskiej toyoty camry, która stała po drugiej stronie ulicy, kilkadziesiąt metrów dalej.

Japoński samochód pojechał za nimi.

Towarzyszył im w drodze do chińskiej restauracji w Cranston, potem do pobliskiego sklepu z alkoholem i w końcu do centrum Providence, gdzie trailblazer zniknął w garażu pod budynkiem ze strzeżonym wjazdem. Niebieska toyota tym razem nie pojechała śladem trailblazera – jej kierowca nie mógł nie zauważyć dwóch wielkich tablic z napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY, nie mógł przegapić kamer ochrony i stalowych bramek, otwieranych kartą. Nie wykluczał nawet, że okolice budynku patroluje kilku strażników.

– Więc tutaj ją trzymają – powiedział do siebie.

Pomimo nowego koloru włosów, pomimo ciemnych okularów w stylu Jackie Onasis, Rzeźbiarz rozpoznał doktor Hildy, gdy tylko ta wyszła z biblioteki. Kiedy czekał, aż historyczka sztuki i towarzyszący jej agent FBI znajdą interesujące ich materiały – materiały, które z pewnością dotyczyły Damona Manzery – doszedł do wniosku, że musi odłożyć na jakiś czas realizację swojego kolejnego projektu, *Dawida*.

Nie przejął się tym. Robił to już wcześniej, w przypadku *Piety*, gdy w końcu zdał sobie sprawę z wagi swojej misji, swojego przesłania, gdy zrozumiał, że tylko i wyłącznie *Bachus* z Tommym Campbellem w roli głównej może wyrwać świat z uśpienia.

Tak, Rzeźbiarz potrafił się przystosować do zmiennych warunków, nie miał nic przeciwko zmianie planów, jeśli tylko czuł, że los prowadzi go w jakieś inne miejsce.

Ale dokąd właściwie los prowadził go tym razem?

Rzeźbiarz potrzebował czasu, by obmyślić plan pozbycia się doktor Hildy, a być może i agenta FBI, który jej towarzyszył. Lecz w odróżnieniu od poprzednich zadań, gdy miał jeszcze mnóstwo swobody, gdy świat nie wiedział o jego twórczości, teraz nie mógł zwlekać zbyt długo. Tak, musiał się śpieszyć – dopaść Hildebrant i agenta FBI, zanim oni dopadną jego. Ale jak? Z pewnością nie mógł liczyć na to, że uda mu się zabić ich w tej fortecy w centrum Providence – byłoby to zbyt ryzykowne, tym bardziej że nie miał pojęcia, jak budynek FBI wygląda w środku.

Rzeźbiarz odjechał więc w końcu spod strzeżonego biurowca, postanawiając, że poczeka na odpowiednią okazję i dopadnie ich gdzieś na zewnątrz.

Uśmiechnął się do siebie, przekonany, że los wkrótce doprowadzi go do doktor Hildy.  
W końcu do tej pory jeszcze nigdy go nie zawiódł.

## Rozdział 45

– Umawialiśmy się chyba, że zrobimy sobie dzisiaj przerwę – powiedziała Cathy.

Stała w drzwiach ich sypialni, okryta jedynie koszulą Markhama, którą szczelnie się otuliła. Spędzili tę niedzielę na wybrzeżu, dotarli aż do Newport, gdzie spacerowali razem wzdłuż klifów, a potem zjedli późny lunch w restauracji z widokiem na zatokę. Kiedy wrócili do domu, czekał już na nich faks od Rachel Sullivan: raport koronera oraz lista nazwisk, które znalazły się w aktach śledztwa w sprawie śmierci Damona Manzery – Sam Markham poprosił o te dokumenty poprzedniego wieczoru. Cathy namówiła agenta, by odłożył je na później, przekonywała go, że nawet jeśli znajdzie jakieś ciekawe informacje, do następnego ranka i tak nie będzie mógł z nimi nic zrobić. Po kolejnym wieczorze, który spędzili na picciu wina i kochaniu się, nieśmiała niegdyś historyk sztuki czuła się dumna, że jej kobiecy urok znów zwyciężył.

– Jest dwunasta piętnaście – odparł Markham. – Północ już minęła, więc teoretycznie jest poniedziałek. Nie złamałem obietnicy, prawda?

– Chyba tak. Ale obudziłeś mnie.

– Przepraszam.

Agent FBI, ubrany jedynie w slipy, leżał na sofie w salonie, który należałoby raczej nazwać centrum dowodzenia: oprócz sofy znajdowały się tutaj dwa fotele, telewizor, dwa biurka z komputerami i drukarkami, kserokopiarka, faks oraz dwanaście monitorów, zakrywających niemal całą ścianę i pokazujących nieustannie widok z kamer umieszczonych na zewnątrz budynku, na korytarzach pierwszego i drugiego piętra oraz w garażu.

Faks od Sullivan leżał na podłodze, odrzucony przez Markhama na rzecz *Uśpionego w kamieniu*. Cathy usiadła obok niego.

– Co cię teraz zaciekało? – spytała.

– Niewiele dowiedziałem się z faksu, więc znów zacząłem czytać o *Dawidzie*.

– I...?

– Ciągłe zastanawia mnie wysokość tego posągu – ponad pięć metrów, zgadza się?

– Tak. Nie można docenić wielkości tej rzeźby, jej majestatu, dopóki nie zobaczy się oryginału na własne oczy.



– Chodzi mi też o sposób, w jaki Michał Anioł przedstawił Dawida – głowa, tors i ręce są nieproporcjonalnie duże w stosunku do dolnej części ciała. Piszesz w swojej książce, że to był celowy zabieg.

– Tak. Istnieje wiele teorii na ten temat. Jak już na pewno czytałeś, nad wielkim blokiem marmuru kararyjskiego pracowało wcześniej kilku innych artystów – między innymi uczeń Donatella – a potem ten sam blok został porzucony na dziedzińcu i leżał tam niemal przez trzydzieści lat, do roku tysiąc pięćset pierwszego, gdy dwudziestosześcioletniemu wówczas Michałowi Aniołowi zlecono dokończenie projektu. Niektórzy uczeni uważają, że Michał Anioł musiał dostosować się do tego, co wyrzeźbiono już wcześniej, ale moim zdaniem, marmur nie był jeszcze zniszczony w takim stopniu. Ponieważ cech, który zamówił *Dawida*, chciał, by posąg umieszczono na przyporze katedry – później zarzucono ten plan – Michał Anioł dobrał proporcje tak, by widziany z dołu *Dawid* wyglądał całkiem naturalnie.

– Zajęło mu to ponad trzy lata – dodał Markham, czytając. – A posąg stanął ostatecznie przed wejściem do Palazzo Vecchio.

– Tak. Figura biblijnego Dawida, pogromcy Goliata i Filistynów, który symbolizował triumf Republiki Florenckiej nad konkurencyjnymi miastami-państwami, stał początkowo przed Pallazo Vecchio – budynkiem przypominającym fortecę, siedzibą władz republiki. Trudno w to uwierzyć, co? Trudno uwierzyć, że Florentyńczycy pozwolili, by dzieło sztuki, które później stało się najsłynniejszą rzeźbą na świecie, było narażone na działanie wiatru, deszczu i ptasiego guana. Przeniesiono posąg pod dach, do Galleria dell'Accademia, niemal czterysta lat później.

Markham milczał, wpatrzony w zdjęcie *Dawida*.

– Myślisz o tym, gdzie go wystawi, prawda? – spytała Cathy. – Zastanawiasz się, co zrobić, jeśli nie uda nam się złapać Renesansowego Zabójcy, nim stworzy swojego *Dawida*.

– Prawdę mówiąc, myślę o tym, gdzie zdobędzie materiał.

– Co masz na myśli?

– Wiemy, że do tej pory nie zgłoszono zaginięcia żadnego młodego mężczyzny o posturze przypominającej *Dawida* – mężczyzny, jakiego trudno będzie mu znaleźć wśród męskich prostytutek, czyli tam, gdzie szukał materiału najczęściej.

– Owszem.

– Jak już mówiliśmy wcześniej, górna część posągu jest nieproporcjonalnie duża w stosunku do dolnej. Rzeźbiarz nie może rozwiązać tego problemu w sposób podobny jak w wypadku *Piety*, czyli używając kilku ciał, łącząc je ze sobą i ukrywając miejsca łączenia pod ubraniami. Nie, Dawid jest nagi, podobnie jak Bachus, dlatego też zabójca będzie musiał użyć

jednego ciała – a więc starannie wybrać materiał. Wygląda zatem na to, że najtrudniej będzie mu stworzyć posąg, który teoretycznie jest najłatwiejszy do wykonania ze wszystkich trzech.

– Chyba że dojdzie do wniosku, że skoro posąg i tak ma być oglądany z normalnej perspektywy, a nie z dołu, to lepiej będzie zachować normalne proporcje ciała.

– Tak. Ale mimo wszystko *Dawid* jest mężczyzną muskularnym, potężnie zbudowanym, co samo w sobie utrudni Rzeźbiarzowi poszukiwania. Trudno mu będzie znaleźć w internecie kolejnego słynnego mieszkańca Rhode Island – bo z pewnością tak właśnie natknął się na zdjęcia Tommy’ego Campbella, na których ten przypomina *Bachusa*. Widziałaś je, prawda? Zdjęcia Campbella z jego byłą dziewczyną, modelką, wykonane kilka lat temu na plaży w Rio?

– Tak. – Cathy skinęła głową. – Więc myślisz, że Rzeźbiarz może szukać swojego Dawida na lokalnych plażach albo na basenie, gdzie mógłby przyjrzeć się dobrze swojemu materiałowi?

– Być może tam właśnie będzie szukał ciała, ale nie drugiej części.

– Jakiej drugiej części?

– Cóż, *teoretycznie* Rzeźbiarz musi zdobyć jedno ciało, które będzie przypominało posąg *Dawida*. Ale co z penisem?

– Co z nim?

– Jest nieobrzezany.

Cathy milczała. Wiedziała już, o czym mówi Markham.

– Jak stwierdziłaś w swojej książce – mówił dalej Markham – o ile biblijny Dawid, jako Żyd, z pewnością był obrzezany, o tyle Michał Anioł przedstawił swojego *Dawida* zgodnie z klasyczną grecką estetyką, w której obrzezanie było równoznaczne z okaleczeniem. Taki szczegół będzie miał ogromne znaczenie dla Rzeźbiarza – na pewno weźmie to pod uwagę. Rozumiesz więc sama, że będzie mu wyjątkowo trudno zdobyć ciało podobne w typie do Dawida, a jednocześnie nieobrzezane. Dlatego zakładam, że będzie szukał tej drugiej części oddzielnie i potem przymocuje ją do *Dawida*, być może pod włosami łonowymi, które uformuje z żywicy epoksydowej.

– Chcesz powiedzieć, że spróbujemy znaleźć ten materiał wcześniej niż on? Że skupimy się nie tylko na tym, gdzie może zdobyć ciało *Dawida*, ale i jego penisa?

– Tak. Tak czy inaczej, spróbujemy zwabić go do nas.

– Co masz na myśli?

– Wiemy, że facet jest bardzo inteligentny, że prowadzi samotny tryb życia i ma świadomość, że szuka go cała policja i FBI w Rhode Island, więc gdzie najprawdopodobniej

będzie szukał swojego *Dawida*?

– W internecie.

– Tak. W miejscu gdzie może spokojnie przeglądać zdjęcia i porównywać je z posągiem, jak robił to zapewne w przypadku Tommy’ego Campbella.

– Chcesz powiedzieć, że możemy zastawić na niego pułapkę?

– Otóż to, Cathy. Nie jest to może zbyt obiecujący plan, ale spróbować zawsze warto. Będziemy oczywiście badać wszystkie inne tropy, łącznie ze sprawą Manzery, ale oprócz tego umieścimy ogłoszenie na Craigslist i innych portalach, używanych przez homoseksualistów. Dodamy do tego zdjęcie mężczyzny o powierzchowności i posturze Dawida i napiszemy, że miejscowy nieobrzezany mężczyzna szuka towarzystwa. Przeglądałem te portale, kiedy badaliśmy trop związany z męskimi prostytutkami. Niektórzy z tych mężczyzn – wielu z nich na pewno też trudni się prostytutką – opisują ze szczegółami swoje części intymne, informują również, czy są obrzezani, czy nie. Jeśli stworzymy naszemu kandydatowi wyjątkowo atrakcyjny profil – to znaczy przedstawimy go jako mężczyznę podobnego do Dawida, a do tego nieobrzezanego – być może Rzeźbiarz nie oprze się pokusie i spróbuje upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Ale skąd wiesz, że Rzeźbiarz nie znalazł już tego penisa?

– Bo żeby zachować odpowiednie proporcje, najpierw musi zdobyć Dawida. Zrobiłem ten błąd w przypadku *Bachusa*, Cathy, kiedy założyłem, że Rzeźbiarz eksperymentował z kozą, zanim upolował górną część satyra. Nie popełnię więcej takiej pomyłki. To oczywiste, że Rzeźbiarz nie znajdzie pięciometrowego mężczyzny. Ale jeśli uda mu się zdobyć ciało kogoś o odpowiednich proporcjach, bez względu na wzrost, to łatwiej będzie również dobrać penisa o odpowiedniej wielkości. Jeśli zaoszczędzimy Rzeźbiarzowi trudu tych poszukiwań za pomocą jednego ogłoszenia w internecie, to być może uda nam się go złapać.

– Myślisz, że Rzeźbiarz da się nabrać na coś takiego?

– Nie wiem, Cathy, ale w tej chwili to jedyny pomysł, jaki przychodzi mi do głowy.

## Rozdział 46

Rzeźbiarz znów jechał za czarnym trailblazerem, podobnie jak robił to przez ostatnie dwa dni – trzymał się za nim w bezpiecznej odległości, za buforem złożonym z sześciu, siedmiu samochodów. Sam i Cathy nie mieli pojęcia, że niebieska toyota towarzyszyła im niemal nieprzerwanie, odkąd odjechali sprzed domu Manzerów w East Greenwich – towarzyszyła im następnego dnia na wybrzeżu, czekała, aż wrócą ze spaceru w Newport, nie opuszczała ich ani na moment podczas romantycznej wyprawy. Tak, Rzeźbiarz był już pewien, że doktor Hildy i agent FBI są parą – świadczył o tym sposób, w jaki się dotykali, w jaki trzymali się za ręce w restauracji, w jaki doktor Hildy tuliła się do swego towarzysza, gdy przysiedli na betonowym murze i patrzyli na ocean. Rzeźbiarz uznał to za pomyślną okoliczność – dzięki temu łatwiej mógł ich zaskoczyć. Gdyby wybrali się nad ocean wieczorem, gdyby w Newport nie było tego dnia tylu turystów, spróbowałby zapewne pozbyć się zakochanej pary już wtedy, podczas spaceru wzdłuż urwiska.

Nie mógł jednak podjąć takiego ryzyka w pełnym blasku dnia, pośród innych ludzi. Wolał poczekać, aż los podsunie mu inną, *lepszą* okazję.

W poniedziałkowy ranek, gdy czarny trailblazer wyjechał z podziemnego parkingu w centrum Providence i ruszył ku położonej kilka przecznic dalej agencji terenowej FBI, Rzeźbiarz wiedział, że doktor Hildy i agent zamierzają przeznaczyć ten dzień na pracę, a nie przyjemności. Przebywali we wnętrzu budynku FBI niemal dwie godziny, a gdy w końcu wyszli na zewnątrz, Rzeźbiarz odruchowo sięgnął do sig sauera<sup>45</sup>, który leżał pod kurtką na fotelu pasażera.

Postanowił już wcześniej, że zabije ich tego dnia, wiedział jednak, że powinien dobrze wybrać czas i miejsce – musiał uważnie kroczyć ścieżką oddzielającą przeznaczenie od wolnej woli.

Jeździł za nimi po całym Rhode Island, ale dopiero, gdy zatrzymali się przy ośrodku rekreacyjno-sportowym w East Greenwich, zrozumiał, jak niewiele brakuje, by go dopadli.

„Kierują się starym raportem policyjnym” – pomyślał.

O tak, FBI z pewnością będzie chciało go przesłuchać, wypytać o Manzerę – podobnie jak zrobiła to policja z East Greenwich dziesięć lat wcześniej, kiedy rodzice tenisisty

twierdzili z uporem, że ich syn nie mógł po prostu sam się utopić. Jednak, szczęśliwie dla młodego mężczyzny, nazywanego Christianem, uganiający się za spódniczkami Manzera narobił sobie wielu wrogów. Uwiódł całkiem sporo mężatek, więc młody mężczyzna nazywany Christianem był tylko jednym z wielu ludzi, którzy przyznawali otwarcie, że śmierć Manzery wcale ich nie zasmuca – do tego grona należała również była żona tenisisty. I tak oto, pomimo zastrzeżeń jego rodziców, z braku dowodów wskazujących na inną wersję wydarzeń policja uznała śmierć Damona za nieszczęśliwy wypadek.

Teraz jednak sytuacja wyglądała inaczej – teraz sprawą zajmowało się *FBI*. Mieli zdjęcia Rzeźbiarza i z pewnością od razu skojarzyliby go z postacią nagraną przez policyjne kamery na cmentarzu Echo Point. Co więcej, zupełnie inaczej niż dziesięć lat temu, gdy młody mężczyzna, nazywany Christianem, miał dopiero stać się Rzeźbiarzem, gdy nawet jeszcze nie zaczął przerabiać powozowni, teraz dowody jego działań były dosłownie *wszędzie*: furgonetka, sprzęt, laboratorium, nie wspominając już o zapasowym materiale.

Nie. Tym razem nie mógł się już tak łatwo wykręcić. Wiedział, że gdy tylko agenci *FBI* wkroczą na jego posesję, prawda wyjdzie na jaw.

Rzeźbiarz wpadł w panikę – czuł, jak serce wali mu w piersiach, miał ochotę pojechać do domu, pozbierać szybko rzeczy i uciec, nim dopadnie go *FBI*. Jednak chwilę później, gdy czarny trailblazer wyjechał z parkingu przy ośrodku i ruszył w stronę jego domu, jakiś wewnętrzny głos podpowiedział mu, że oto nadarza się doskonała okazja. Czarny trailblazer jechał powoli, co oznaczało, że mężczyzna zwany niegdyś Christianem był tylko jednym z wielu ludzi, których *FBI* zamierzało przesłuchać tego dnia – jednym z nazwisk na liście. Świetnie.

Miał jeszcze wystarczająco dużo czasu.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszył w przeciwnym kierunku – pojechał przez las skrótem, dzięki czemu mógł znaleźć się w domu na długo przedtem, nim dotrze tam czarny trailblazer. Był już pewien, że los pcha doktor Hildy i jej chłopaka z *FBI* prosto w jego ręce.

O tak, Rzeźbiarz zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, by zgotować im odpowiednie powitanie.

## Rozdział 47

Rankiem Markham odbył rozmowę z Billem Burrellem, który dość sceptycznie odniósł się do internetowego pomysłu Sama i z wyraźnym ociąganiem przystał na jego realizację. Potem, gdy Rachel Sullivan i jej zespół zaczęli tworzyć profil sobowtóra Dawida, który zamierzali umieścić na Craigslist i kilku innych portalach, popularnych w środowisku gejowskim, przybity i zniechęcony Sam Markham zajął się listą nazwisk z akt policji East Greenwich – osób, które dziesięć lat wcześniej zostały przesłuchiwane w związku ze śmiercią Damona Manzery.

Nie podając prawdziwego powodu swojej wizyty, Markham i Cathy rozmawiali najpierw z byłą żoną Manzery, a potem z byłym mężem kobiety, z którą Manzera miał romans tuż przed swoim rozwodem. Żadne z nich nie rozpoznało Cathy Hildebrant, żadne nie miało do powiedzenia nic ponad to, „co już mówili policji dziesięć lat temu”. Oboje jednak zasugerowali, by Markham i jego partnerka spróbowali dowiedzieć się czegoś więcej od dyrektora country klubu w East Greenwich.

– Nie traćmy nadziei, Sam – mówiła po drodze Cathy. – Manzerowie od początku podejrzewali, że ich syn został zamordowany. Policji nie udało się niczego znaleźć, ale to nie znaczy jeszcze, że i nam się nie uda.

– Spójrz tylko na adresy na tej liście. To prawdopodobnie „kto jest kim” śmietanki towarzyskiej Rhode Island. Widziałas, jacy podejrzliwi, oschli i małowólni byli ci dwoje, była żona Manzery i ten facet – podobnie zresztą jak matka Manzery. Cóż, tak samo jak nasi przyjaciele z Watch Hill, ci ludzie bardziej boją się skandalu niż Renesansowego Zabójcy.

Choć dyrektor ośrodka sportowo-rekreacyjnego w East Greenwich przyznał, że słyszał o Damonie Manzerze, oświadczył jednak Markhamowi, że ponieważ pracuje na tym stanowisku dopiero od roku, wolałby nie powtarzać plotek na temat członków klubu.

– Manzerowie to jedna z najbardziej poważanych rodzin East Greenwich – mówił. – Oprócz trzech siostr Damon Manzera zostawił po sobie starzejącą się matkę, a wszystkie te kobiety od dziecka były klientkami naszego ośrodka. Rozumie pan więc chyba, agencie Markham, że przez szacunek dla tej rodziny nie będę odnosił się do spraw, które – moim zdaniem – są jedynie plotkami i pogłoskami.

– Tak, rozumiem – odparł Markham, przesuwając w stronę menedżera listę nazwisk. – A pan chyba rozumie, że mógłbym bardzo utrudnić panu życie i narobić kłopotów pańskiemu klubowi, gdybym choć przez moment pomyślał, że utrudnia pan śledztwo. Innymi słowy, bez wahania zdobyłbym sądowy nakaz kontroli pańskich dokumentów i dostarczyłbym go do pańskiego biura w towarzystwie pełnej eskorty policyjnej, a pewnie i kilku ekip telewizyjnych.

Dyrektor milczał.

– A teraz może rzuci pan okiem na tę listę i zastanowi się, czy jednak nie zechce mi pan pomóc.

– Oprócz tych dwóch pozycji, które pan już zakreślił – przemówił dyrektor po chwili, przeglądając listę – jedynym nazwiskiem, które kojarzę z okresem, gdy pracował tutaj Manzera, jest Bach. O ile pamiętam, cała rodzina należała kiedyś do naszego klubu, ale potem coś się stało i nie widziano ich tu więcej – zdaje się, że spotkała ich jakaś rodzinna tragedia, ale nie znam szczegółów. Na pewno jednak bywali tutaj za czasów Manzery. Może pan spróbuje dowiedzieć się czegoś od nich. Poza tym słyszałem, że Manzera romansował z mężatkami, ale nie potrafię powiedzieć, czy chodzi o kogokolwiek z tej listy. Mówię prawdę, agencie Markham. Może mi pan wierzyć, bo jak już wspomniałem, pracuję na tym stanowisku dopiero od roku. Jeśli pan chce, mogę zadzwonić do mojego poprzednika. Z pewnością chętnie opowie panu, co działo się w klubie, w czasie gdy zginął Manzera.

– Byłbym wdzięczny. Dziękuję.

Markham i Cathy czekali cierpliwie, gdy dyrektor próbował się skontaktować ze swoim poprzednikiem. Kiedy okazało się, że ten jest nieosiągalny, menedżer podał Markhamowi jego numer telefonu i adres na Florydzie, a potem poprosił, by pozwolono mu już odejść. Agent FBI uznał, że na razie może dać dyrektorowi spokój, dopisał nowe informacje do listy i wraz z Cathy opuścili ośrodek.

– Kto teraz? – spytała, gdy znaleźli się już we wnętrzu czarnego trailblazera.

– Wygląda na to, że rodzina Bachów – odparł Sam Markham, spoglądając na listę. – Ta, o której wspominał dyrektor. Konkretnie Edward i Christian Bach.

– Masz jakieś dodatkowe informacje na ich temat?

– Nie, tyle tylko, że przy ich nazwisku jest krzyżyk, podobnie jak przy innych osobach, które policjanci oznaczyli jako „warte uwagi”. Wygląda na to, że dość szybko wyeliminowali ich z grona podejrzanych. Właściwie wiemy tylko, że Edward to ojciec, a Christian to syn. Matka oznaczona jako zmarła. GPS pokazuje, że ich ostatni znany adres jest niedaleko stąd. Myślę, że wpadniemy tam po drodze, a potem zjemy lunch. Co ty na to?

– Brzmi zachęcająco. Dochodzi druga. Umieram z głodu.

W ciągu dziesięciu minut system GPS poprowadził ich krętą leśną drogą ku bramie osadzonej w kamiennym murze, a potem w górę długiego podjazdu przed dużym dwupiętrowym domem. Po drugiej stronie podjazdu, za pozbawioną wody fontanną, stały dwa samochody, czarny porsche 911 i niebieska toyota camry.

– Pewnie nie cierpisz tych wizyt w slumsach – zażartowała Cathy, a Markham uśmiechnął się w odpowiedzi. Gdyby widział drugi, zarośnięty podjazd, gdyby mógł przebić wzrokiem gęstą zasłonę drzew i krzewów, za którymi kryła się powozownia, zapewne nie byłoby mu do śmiechu.

Markham i Cathy wysiedli z wozu i weszli po czterech szerokich brukowanych stopniach. Potem ruszyli ścieżką wzdłuż boku domu i pokonali kolejne cztery schody, prowadzące do bocznego wejścia. Drzwi stały otworem, jakby właściciel domu ich oczekiwał. Markham zajrzał do korytarza, za którym znajdowała się kuchnia.

– Halo, jest tu kto? – zawołał, pukając w otwarte drzwi.

Agent FBI odwrócił się, by powiedzieć coś do Cathy, lecz w tej samej chwili dojrzał kątem oka jakiś ruch, a potem jaskrawoczerwoną kropkę odbitą od szkła.

– Padnij! – krzyknął, wpychając Cathy do wnętrza domu, z dala od czerwonej kropki. Ale pocisk wystrzelony z wytłumionego pistoletu i tak go dosięgnął – przeorał skórę na jego głowie i oderwał mu kawałek prawego ucha. Gdy przewrócił Cathy na podłogę przedpokoju, jej twarz zrosiły ciepłe krople krwi Markhama.

Niemal w tej samej chwili coś odbiło się z trzaskiem od futryny, a kolejny pocisk trafił w udo Markhama. Agent zawył z bólu.

– Uciekaj, Cathy! – krzyknął, staczając się z niej na podłogę i szukając po omacku broni.

Cathy, oszołomiona i przerażona, zerwała się na równe nogi i dojrzała mroczną postać w drzwiach domu – podświetlonego od tyłu blaskiem słońca, nagiego, łysego i umięśnionego niczym Herkules mężczyznę.

Tak. Znaleźli Rzeźbiarza.

Czerwona kropka przesunęła się po oczach Cathy. Kobieta zamarła – nie widziała, jak Markham podnosi się z podłogi i chwyta Rzeźbiarza za rękę – usłyszała jedynie świst kuli przelatującej obok jej ucha. Oślepiąca laserowym celownikiem pistoletu Rzeźbiarza, wycofała się do kuchni, skąd obserwowała ze zgrozą, jak Markham próbuje wyrwać Rzeźbiarzowi broń. Sapiąc głośno, mocowali się ze sobą, po czym obaj uderzyli ciężko w ścianę korytarza, a dwa pociski wystrzelone z broni Rzeźbiarza wbiły się w podłogę.



Potem Rzeźbiarz ryknął przeraźliwie i odrzucił Markhama niczym szmacianą lalkę. Agent FBI przeleciał przez pokój i uderzył w okrytą mrokiem futrynę. Dopiero wtedy Cathy zauważyła otwarte drzwi piwnicy.

– Sam! – krzyknęła, ale było już za późno. Nim Markham się ocknął, nim wyciągnął w końcu broń z kabury, czerwona kropka znów przesunęła się po oczach Cathy.

*Wizg! Wizg!*

Sam Markham zniknął w mrocznej otchłani – głuchy łoskot jego ciała spadającego po schodach zaparł Cathy dech w piersiach.

Rzeźbiarz strzelił na oślep, w ciemność, po czym błyskawicznie dopadł drzwi piwnicy i zapalił światło na schodach. Cathy nie widziała, gdzie jego kule trafiły Markhama, ale sądząc z zadowolonej miny zabójcy, dosięgły celu. Cathy chciała krzyżeć, lecz głos uwiązł jej w gardle.

Rzeźbiarz zwrócił na nią oczy, które w świetle padającym z piwnicy wyglądały jak wyrzeźbione z lodu.

– Miło wreszcie panią poznać, doktor Hildy – powiedział, podnosząc broń. – Szkoda tylko, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Nagle Cathy odzyskała oddech i uświadomiła sobie, że nogi same ją niosą, prowadzą naprzód wbrew przerażeniu, które nakazywało jej nie ruszać się z miejsca. Znów usłyszała świst kuli przelatującej tuż obok jej ucha, lecz była już w kuchni, a potem w przyległej jadalni. Znalazła się przy drzwiach frontowych, jej śliskie, drżące palce bezskutecznie próbowały przesunąć ciężką zasuwkę, podczas gdy z tyłu dobiegały ją już ciężkie kroki Rzeźbiarza. Cathy odwróciła się i zobaczyła, jak morderca idzie ku niej przez jadalnię. Rzuciła się w lewo, widziała blask słońca w korytarzu na tyłach domu. Przypuszczała, że jeśli przejdzie wzdłuż głównych schodów, trafi w końcu z powrotem do korytarza. Ale nagi, pozbawiony owłosienia mężczyzna, który wyglądał jak łysy Arnold Schwarzenegger, był od niej szybszy. Cathy upadła plecami na schody, a Rzeźbiarz stanął nad nią i umieścił czarną kropkę celownika między jej oczami.

– Nie spodziewałem się tego, doktor Hildy. Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za grubianina.

Nie usłyszała trzasku, jak w filmach – zobaczyła tylko wyraz zdziwienia i rozczarowania w oczach Rzeźbiarza, gdy okazało się, że magazynek jego sig sauera jest pusty.

Cathy nie zwlekała ani chwili dłużej – z całej siły kopnęła Rzeźbiarza w nagie jądra. Mężczyzna zawył z bólu, wypuścił broń i odruchowo złapał się za krocze, a potem runął jak

kłoda na schody, blokując Cathy drogę ucieczki. Kobieta obróciła się na brzuch, zerwała na równe nogi i wbiegła na górę. Przerazona i zdezorientowana minęła zejście dla służby, które zaprowadziłyby ją z powrotem do kuchni.

Gnana strachem biegła między ścianami wykładanymi czerwoną tapetą i drewnem, nieświadomie oddalając się od miejsca, w którym mogła znaleźć drogę ucieczki.

Mijając jedną z sypialni, kątem oka dostrzegła jakąś postać siedzącą przy oknie. Instynktownie ruszyła w jej stronę.

– Pomóż mi! – krzyknęła, wpadając do pokoju i zatrzasnąwszy za sobą drzwi. – Zadzwoń na policję!

Jednak gdy zobaczyła twarz mężczyzny, jego puste oczy i usta, z których wypływała strużka śliny, zrozumiała natychmiast, że nie znajdzie u niego pomocy.

– Albert? – wychrypiął mężczyzna, patrząc gdzieś za nią.

Cathy nie miała jednak czasu uzalać się nad sobą, bo ułamek sekundy później do pokoju wpadł Rzeźbiarz.

– Odejdź od niego! – ryknął, pędząc w jej stronę.

Cathy cofnęła się pod ścianę, chwyciła stalowy stojak do kroplówki i rzuciła nim w atakującego Rzeźbiarza. Plastikowa torebka i metalowe ramię stojaka uderzyły mężczyznę prosto w twarz. Rzeźbiarz odruchowo podniósł ręce do oczu, dzięki czemu Cathy zdążyła przebiec przez łóżko i popędzić do drzwi.

Rzuciła się w stronę schodów, była już przy barierce, gdy potężna mięsista dłoń Rzeźbiarza uderzyła ją w plecy. Nagle znalazła się w powietrzu, przeleciała kilka metrów i uderzyła ciężko o podłogę. Ból w kolanie, pośladkach i łokciu był potworny, ale natychmiast zerwała się na równe nogi i pobiegła ku ciemnym drzwiom na końcu korytarza. Wpadła do wnętrza w ostatniej chwili, zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła zamek tuż przedtem, nim ramię Rzeźbiarza uderzyło w nie z drugiej strony.

Po drugim uderzeniu Cathy odsunęła się do tyłu. W pokoju panowały grobowe ciemności, a ona potknęła się o coś i runęła na podłogę, strącając jednocześnie jakiś przedmiot, który uderzył o drewno z głuchym łoskotem. Kobieta sięgnęła w tę stronę, a jej dłonie zamknęły się na czymś okrągłym i gumowatym, ciężkim, ale jednocześnie miękkim jak dziecięca piłka.

Nagle drzwi rozleciały się z trzaskiem – potężna noga Rzeźbiarza przebiła drewnianą płytę, wpuszczając do wnętrza smugę światła. Mężczyzna zapalił światło w pokoju, a Cathy spojrzała za zgrozą na przedmiot, który trzymała w ręku.

Była to głowa Steve’a Rogersa – ogolona i pomalowana na biało, wyglądała jak z

marmuru.

Cathy wrzasnęła i rzuciła głową byłego męża w Rzeźbiarza, przesuając się jednocześnie do tyłu po podłodze. Nagle zamarła, ujrawszy całe wnętrze pomieszczenia, w którym próbowała się ukryć – pokoju o oknach zasłoniętych grubymi kotarami i pomalowanych na czarno ścianach. Na podstawkach i metalowych regałach leżały dziesiątki części ludzkich ciał – dłonie, ręce i nogi, pozbawione kończyn tułowia, niektóre z głowami, inne bez, wreszcie same głowy, ustawione na specjalnych postumentach. Wszystkie były pomalowane na biało i gdyby Cathy nie trzymała przed chwilą w dłoniach głowy własnego męża, gdyby nie wiedziała, do kogo należy dom, w którym się znalazła, najlepsza na świecie znawczyni dzieł Michała Anioła pomyślałaby, że wszystkie te przedmioty wykute zostały w marmurze.

Tak, Cathy Hildebrant znalazła galerię rzeźbiarską Renesansowego Zabójcy.

Podniosła się z podłogi i cofnęła o krok. Strach całkowicie ją przytłaczał, obezwładniał, gdy Rzeźbiarz zbliżał się do niej w niesamowitej ciszy. Po rozciętym policzku mężczyzny niczym szkarłatna łza spływała kropla krwi. Rzeźbiarz przystanął na moment, by podnieść żelazny postument, na którym spoczywała głowa Steve'a Rogersa. Cathy poczuła za plecami ścianę i zamarła, obserwując w przerażeniu, jak morderca podnosi ciężkie żelazo nad głowę.

Zamknęła oczy.

Nie poczuła jednak bólu, druzgocącego uderzenia, którego oczekiwała. Usłyszała jedynie trzask metalu odstawianego na podłogę, a potem chichot.

Otworzyła oczy.

Rzeźbiarz stał przed nią, uśmiechał się i patrzył jej prosto w oczy, przytykając przy tym palec do ust, niczym dziecko, które właśnie splatało komuś figla i szykuje następny.

– Oczywiście – powiedział. – Ależ ze mnie głupiec...

Cathy wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Chybione strzały, pusty magazynek; los utrzymał cię przy życiu, doktor Hildy. Nie rozumiesz? Los chce, byś zrozumiała, byś się przebudziła, bo tylko dłoń rzeźbiarza może uwolnić postacie uśpione w kamieniu.

To powiedziawszy, Rzeźbiarz rzucił się na nią.

## Rozdział 48

Obudziły ją ciche nucenie i stukot klawiatury. Widziała nad sobą rozmyte kontury jakiegoś prostokątnego przedmiotu, światło padające z prawej strony odbijało się w jego krawędziach. Bolała ją szyja, a plecy i pośladki dotykały zimnej stalowej powierzchni.

Nagle Cathy przypomniała sobie wszystko.

Potężny chwyt Rzeźbiarza. Złapał ją, gdy próbowała przemknąć obok niego, objął ramieniem jej szyję i ścisnął ją od tyłu – Steve stosował ten chwyt, gdy figlowali ze sobą w łóżku. Ale podczas zabawy ze Steve'em nigdy nie czuła tego przerażającego dławienia, nie była z nim nigdy w czarnym pokoju, wypełnionym białymi rękami, nogami i tułowiami, które wirowały jej przed oczami i przybierały czerwony odcień, by w końcu zniknąć za zasłoną białych drobinek, przypominających niewyraźny, zamglony obraz w starych telewizorach.

Wtedy Cathy zrozumiała.

Leżała naga, na plecach, jej unieruchomiona głowa skierowana była prosto w monitor, ręce i nogi skrępowane, przywiązane do metalowego stołu. Tak, teraz wiedziała już, gdzie się znalazła – dokładnie na tym samym stole, który widziała w filmie przesłanym jej przez Renesansowego Zabójcę; na tym samym stole, na którym skonał w męczarniach jej mąż, nim stał się częścią *Piety* Rzeźbiarza.

*Pietá.*

Myśląc o losie swego męża – i o tym, co czekało ją samą – przypominała sobie gorączkowo wszystkie informacje, dotyczące Renesansowego Zabójcy, wszystkie teorie na jego temat, które wysnuli wraz z Markhamem od dnia, gdy pojechała z nim do Watch Hill.

„Sam!” – krzyknął jakiś głos w jej głowie. – „Gdzie jest Sam?”

„C...!” – odpowiedział inny głos. – „Spokojnie. Zajmiesz się tym później, kiedy będziesz miała więcej czasu”.

„*Pietá*” – powtarzała Cathy w myślach, starając się nie ulec panice. – „Sam wiedział, że odpowiedź kryje się w *Piecie*, w interpretacji opisanej w *Uśpionym w kamieniu* i przetworzonej przez chory umysł Renesansowego Zabójcy”.

Tak, Cathy potrzebowała czasu do namysłu – musiała zachować spokój, skupić się na tym jednym jedynym temacie. Choć nie mogła odwrócić głowy, wiedziała, że Rzeźbiarz jest

blisko. Słyszała stukot klawiatury, odległy zaledwie o kilka kroków od niej.

„*Pietà*. Sam miał rację. To była jego pierwsza rzeźba, wszystko kręciło się wokół niej. Wszystko zaczęło się od *Piety*”.

Stuk-puk, stuk-puk, stuk.

„Sam był pewien, że trafił na właściwy trop, że jeszcze trochę, i znajdzie klucz do umysłu Rzeźbiarza. Sekretem był powód, dla którego Michał Anioł postanowił przedstawić Maryję jako młodą kobietę. *Boska Komedia* Dantego, *Raj*, pieśń trzydziesta trzecia. Dziewico, matko, córko twego syna. Wewnętrzna sprzeczność Trójcy Świętej, jej kazirodczy kontekst, nieczysta, niemal niezrozumiała potrójna relacja – ojciec-córka/matka-syn/ żona. Wypaczona relacja między matką i synem”.

Stuk-puk, stuk-puk, stuk.

„Matka i syn, matka i syn, matka i syn...”

Stuk-puk, stuk-puk, stuk.

Syn ma na imię Christian. Christian. Christ. Jak Chrystus. O Boże. Chrystus”.

Stuk-puk, stuk-puk, stuk.

„Czy to możliwe? Czy to możliwe, że widzi siebie jako Chrystusa – to znaczy, że widzi swoją relację z matką poprzez *Pietę*? Odwzorowanie Trójcy? Jakaś wypaczona relacja między matką i synem? Kazirodcza? Duchowe, niezziemskie kazirodztwo, podobne do tego, jakie opisałam w *Uśpionym w kamieniu*? Czy to możliwe?”

Stuk-puk, stuk-puk, stuk.

„Sam mówił, że jego matka nie żyje? Czy nie nazywała się Mary? Maria? Czy to możliwe? Czy to wszystko może być prawdą?”

„Chris! Chrystus! O dobry Boże...”

Nagle Cathy dojrzała kątem oka jakiś ruch po prawej stronie, a potem cień przesuwający się po monitorze nad jej głową.

Sekundę później w jej polu widzenia pojawiła się uśmiechnięta twarz Rzeźbiarza.

– Obudziłaś się, doktor Hildy – powiedział i zaczął chichotać. – Cóż, nie obudziłaś się jeszcze *całkowicie*, ale wkrótce zadbamy i o to.

Rzeźbiarz zniknął jej sprzed oczu. Słyszała jakieś metaliczne skrzypienie, coś toczyło się po podłodze. Serce waliło Cathy jak młotem, gromki głos w głowie powtarzał, że jej wnioski są słuszne, podpowiadał, co musi zrobić, by przeżyć.

– Ale zanim przejdziemy do sedna – odezwał się znowu Rzeźbiarz, wróciwszy do stołu – muszę zrobić kilka poprawek, nadać ci właściwe proporcje. Pośpisz sobie jeszcze przez chwilę, a ja w tym czasie popracuję nad twoimi cyckami. Potem naprawę się

przebudzisz, doktor Hildy. Wyjdiesz z kamienia, jak chciał tego los.

Cathy poczuła coś zimnego i wilgotnego na ramieniu – wiedziała, że Rzeźbiarz przygotowuje ją do jakiegoś zastrzyku.

– Ale najpierw powiedz mi, kim jesteś – poprosił mężczyzna, nieruchomiejąc na moment i patrząc jej głęboko w oczy. – Na pewno w głębi duszy już wiesz, na pewno już rozumiesz. Powiedz mi, kim masz się stać? *Nocą* albo *Jutrzenką*. *Jutrzenką* czy *Nocą*? Ze względu na twoje rysy widziałbym cię raczej jako *Jutrzenkę*. Ale być może ze względu na to, co stało się z twoją matką i jej cyckami, wołałabyś raczej *Noc*. Tak czy inaczej, decyzję pozostawiam tobie. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. Tak, po wszystkim, co ty zrobiłaś dla mnie, jestem ci to winien.

– Mój kochany Christianie – przemówiła nagle Cathy nieswoim głosem. Iskra zrozumienia w oczach Rzeźbiarza dodała jej otuchy i sił, by mówić dalej: – Och, mój synku, mój kochany chłopcze, pozwól, że przytulę cię jeszcze ten ostatni raz.

Rzeźbiarz przekrzywił głowę, zaintrygowany.

– Mary, Maryja, Matka Boża – ciągnęła Cathy, słuchając wewnętrznego głosu, który podsuwał jej właściwe słowa. – Matka, córka i żona Syna. Pozwól, że przytulę cię jeszcze raz, kochany Christianie. Jak w naszej *Piecie*.

Rzeźbiarz pochylił się nad nią.

– Jestem tutaj, mój Christianie. Twoja Mary – twoja matka, twoja córka, twoja żona. Wiedziałam, że to zrozumiesz. Wiedziałam, że mnie odnajdziesz – moja miłości, mój jedyny synu.

– Mama? – wyszeptał Rzeźbiarz, a jego oczy zaszyły mgłą.

– Tak, mój Christianie – odparła Cathy, wciąż przytomna, lecz balansująca na granicy szaleństwa, ku któremu pchał ją gorący, odrażający oddech Rzeźbiarza. – To twoja Mary, twoja żona, twoja matka. Rozwiąż te pasy synu. Chcę ukochać cię jeszcze raz. Chcę ukochać cię w ten specjalny sposób, którego nikt inny nie rozumie – to nasz sekret, nasza tajemnica. Jak wtedy, gdy byłeś jeszcze chłopcem, Christianie. Pozwól, że wezmę cię w ramiona i przytulę cię tak, jak kiedyś, jak w *Piecie*.

– Mama? – powtórzył Rzeźbiarz. – Mamo, to ty?

– Tak, mój Christianie. Pozwól, że znów cię ukocham, jak w *Piecie*.

– Jak w rzeźbie, mamo?

– Tak, mój kochany Christianie. Mary i Chris. Maryja i Chrystus. Matka kochająca swojego syna. Jak w rzeźbie.

Rzeźbiarz nie odsunął głowy, trzymał ją tuż nad twarzą Cathy, ale sięgnął do pasów na

jej nadgarstkach.

– Otóż to, mój synu. Pozwól mi wyjść z kamienia. Pozwól, żebym dotknęła cię zza grobu.

Najpierw prawa, potem lewa – tak, jej ręce były już wolne! Potem Rzeźbiarz położył się na niej, jego usta dotykały jej szyi, nabrzmiały penis wciskał się w jej udo.

– Jestem tu, mammo.

– Mój kochany mały Christian. – Cathy jęknęła, zmagając się z falą mdłości. Przełknęła z trudem ślinę i przeciągnęła paznokciami po muskularnych plecach Rzeźbiarza.

– Pasek na mojej głowie, Christianie, na piersiach i stopach – uwolnij mnie z uśpienia, mój synu. Pomóż swojej matce. Chcę znów kochać się z tobą po wszystkich tych latach. Pozwól, że usiądę i wezmę cię na ręce, jak w posągu.

Cathy czuła się tak, jakby obserwowwała całą tę scenę z boku, niczym widz w kinie. Patrzyła ze zgrozą, jak Rzeźbiarz rozwiązuje paski na jej stopach i głowie, wciąż wpatrując się w jej oczy. A gdy usiadł obok niej na stole, gdy rozwiązał pas na piersiach, Cathy patrzyła w niemym zdumieniu, jak sama siada prosto i bierze go w objęcia.

– Pozwól, że cię przytulę, synu. Będziemy się kochać jak w posągu.

Rzeźbiarz położył się na jej kolanach – zamknął oczy i zaczął ssać jej pierś, podczas gdy mężczyzna nazywany niegdyś Christianem przesunął jej dłoń ku swemu kroczu.

– Mamusi jest przykro? – wymamrotał Rzeźbiarz. – Mamusia znowu mnie kocha?

– Tak, mój Christianie – odparła Cathy, choć czuła, że ostatnia zapora, która utrzymywała ją przy zdrowych zmysłach, jej wola i determinacja, wkrótce pęknie. – Mamusi jest przykro, ale nigdy nie zapominaj, że mamusia cię kocha.

Strach i obrzydzenie zaczęły brać górę nad wolą przetrwania, gdy jej lewa dłoń zamknęła się na twardym członku Rzeźbiarza. W tym samym momencie palce prawej ręki Cathy zamknęły się na igle kroplówki. Bez chwili wahania, nie zastanawiając się ani sekundy, Cathy wbiła gruby stalowy kolec w oko Rzeźbiarza – usłyszała paskudny, wilgotny trzask i poczuła, jak penis w jej dłoni wiotczeje. Mężczyzna gwałtownie podniósł ręce do twarzy i zsunął się z jej kolan niczym martwa ryba.

Cathy zeskoczyła ze stołu i znalazła się zaledwie kilka kroków od Rzeźbiarza, który wciąż wił się z bólu i krzyczał przeraźliwie, choć grube, wyłożone jakimś miękkim materiałem ściany pomieszczenia skutecznie tłumiły wszystkie dźwięki. Pomimo przerażenia Cathy zauważyła monitor komputerowy, nie zatrzymała się jednak, ujrawszy *Jutrzenkę* Michała Anioła, unoszącą się pośród czerni niczym zwłoki na wodzie. Nie, Cathy natychmiast rzuciła się do kamery Rzeźbiarza, pochwyliła trójnog i niczym pałką uderzyła

nią w głowę zabójcy, który podnosił się właśnie na kolana. Choć Rzeźbiarz jedną rękę trzymał przy twarzy, po której spływały strugi krwi, drugą zdołał zamortyzować upadek. Przez chwilę klęczał tylko, oszołomiony, wpatrując się w podłogę. Ale gdy Cathy podniosła trójnog do następnego ciosu, mężczyzna nieoczekiwanie wyrzucił nogi do tyłu, niczym muł, wytrącając jej broń z rąk i rzucając ją z powrotem na stalowy stół. Metalowa płyta zakołysała się na łańcuchach, ustąpiła pod jej ciężarem, gdy kobieta poleciała do tyłu. Rozległ się głośny trzask, a Cathy poczuła nagle, że traci grunt pod nogami i leci w dół.

Nim ułamek sekundy później uderzyła w betonową podłogę, uświadomiła sobie, co się stało – pamiętała dobrze, jak stalowy stół wyglądał na nagraniu ze Stevenem Rogersem, i wiedziała, że spada na niższy poziom. Niestety, jej nogi nie działały równie szybko, jak umysł – nim zdołała wykonać jakikolwiek ruch, uderzyła w podłogę pracowni Rzeźbiarza. Jej lewa noga wygięła się w kostce, która eksplodowała nagle nieopisanym bólem. Cathy zawyła i uderzyła bokiem o furgonetkę, a potem poleciała do tyłu, na stertę grubej folii. Dopiero teraz zauważyła, że pomieszczenie wypełnione jest nikłym blaskiem, padającym z czarno-białego monitora, ustawionego na stole kreślarskim.

Poczuła też zapach. Ostry zapach...

Zmywacz do paznokci?

Nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Słyszała nad sobą kroki Rzeźbiarza. Krzyknęła i pokuśtykała do drzwi garażu – próbowała je otworzyć, lecz nie ustępowały pod jej naciskiem.

– Pomocy! – krzyczała. – Niech ktoś mi pomoże!

Niczym szczur zamknięty w klatce, Cathy przemknęła zygzakami na drugą stronę pracowni – tu również nie znalazła wyjścia i przysiadła na skraju szpitalnej wanny z nierdzewnej stali. Zapach zmywacza do paznokci był tutaj silniejszy, dochodził z wnętrza wanny, która, zdaniem Cathy, wyglądała jak chromowana trumna.

„Chemikalia do plastynacji” – pomyślała. – „Aceton”.

Cathy dojrzała kubek stojący przy zlewie i pokuśtykała szybko w jego stronę. Znalazła się z powrotem przy wannie, w chwili gdy z otworu w suficie wysunęły się nogi Rzeźbiarza. Cathy uniosła pokrywę i zanurzyła kubek w zimnej szczypiącej cieczy. Wyjęła go szybko i ukryła za sobą, przykucając jednocześnie i odwracając się w stronę napastnika. Jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Rzeźbiarza, gdy mężczyzna opadł na podłogę pracowni. Przez chwilę, która wydawała się Cathy całą wiecznością, stał bez ruchu i patrzył na nią, mrugając powoli jednym okiem, podczas gdy z resztek drugiego wypływały strużki krwi.

Nagle zaczął chichotać.



Pomimo paraliżującego strachu Cathy dojrzała kątem oka podświetlony guzik drzwi garażowych – a właściwie dwa guziki, znajdujące się na przeciwległej ścianie pomieszczenia, za maską furgonetki.

– Chodź tutaj – syknęła Cathy, zaciskając mocniej dłoń na kubku. – Nie staję ci przy nikim innym, tylko przy matce, więc pewnie będziesz musiał mnie zabić, ty chory sukinsynu.

W nikłym blasku, wypływającym ze starego monitora, Cathy nie była w stanie zobaczyć, co kryje się w zdrowym oku Rzeźbiarza. Widziała jedynie, jak mężczyzna zaciska dłonie w pięści, zgina ręce w łokciach i pochyla głowę.

W następnym sekundzie Rzeźbiarz rzucił się do ataku.

Cathy błyskawicznie podniosła kubek z acetonem i chlusnęła cuchnącą cieczą w oczy napastnika. Rzeźbiarz zawył przeraźliwie i cofnął się o krok, podnosząc ręce do oczu. Cathy wspięła się na krawędź wanny i wsunęła na maskę furgonetki – jej skręcona kostka objęła się boleśnie o ścianę, nagie ciało tarło o karoserię auta. Dotarła do bocznego wejścia. Nie widziała Rzeźbiarza, gdy ten znów wrzasnął wściekle, a na podłogę runęło coś ciężkiego.

– Pomocy! – krzyczała Cathy. Wciśnięta między furgonetkę i ścianę szarpała się rozpaczliwie z klamką. Potem zobaczyła zasuwkę, którą można było otworzyć, tylko wsuwając do zamka klucze z obu stron. Nie poddała się jednak, nie obejrzała za siebie, usłyszawszy trzask otwieranych drzwi po stronie kierowcy i uświadomiwszy sobie, że Rzeźbiarz idzie ku niej przez kabinę auta. Nie, jej dłoń sięgnęła automatycznie do świecących guzików przy drzwiach garażu.

Lecz drzwi nawet nie drgnęły.

– Nie! – krzyknęła Cathy, naciskając guzik z całych sił. Potem zaczęła przesuwając się do tyłu między ścianą i furgonetką. Nagle drzwi po stronie pasażera otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę. Rzeźbiarz był zbyt duży, by pójść za nią, by wcisnąć się w wąską szczelinę. Cathy zrozumiała jednak, że zabójca wcale nie zamierza za nią iść, gdy dostrzegła, że trzyma w dłoniach dwururkę, którą wyciągnął z kabiny furgonetki.

Tak, teraz Rzeźbiarz musiał tylko dobrze wymierzyć.

– Zły materiał – rzucił mimochodem.

I strzelił.

Zrobił to niezdarnie, niemal na oślep. Śrut oderwał kawałek prawego ramienia Cathy i rzucił ją o ścianę. Kobieta osunęła się na podłogę, ale wciąż nie zamierzała się poddawać. Zabójca oddał kolejny strzał, a ołowiane kulki odbiły się z trzaskiem od betonu tuż po tym, jak Cathy wtoczyła się pod furgonetkę. Rzeźbiarz zawył ze złości, gdy jego ofiara wysunęła się z drugiej strony auta i stanęła na równe nogi – okrwawiona, podrapana i brudna. Zaczęła

drżeć i płakać, nie krzyknęła jednak, gdy mężczyzna otworzył boczne, odsuwane drzwi furgonetki; nie powiedziała ani słowa, gdy przeładował broń. Cofała się tylko powoli, aż jej nagie ciało uderzyło w stół kreślarski.

Rzeźbiarz także milczał. Stał pośrodku swojej pracowni i podniósł dubeltówkę, mierząc prosto w głowę ofiary.

Cathy Hildebrant miała wrażenie, że czas nagle zwolnił, niemal stanął w miejscu, gdy z otworu w suficie spłynął nagle czarny anioł, który wylądował prosto na Rzeźbiarzu. Dwururka wypaliła, śrut poleciał gdzieś na lewo od Cathy, usłyszała syk i trzask, a potem poczuła zapach siarki. Nagle czas znów ruszył z miejsca, a Cathy rozpoznała Sama Markhama, który opadł ciężko na furgonetkę. Krew na jego twarzy i koszuli wydawała się czarna i gęsta jak olej.

– Sam! – krzyknęła, a jej nogi poderwały się nagle do biegu. Nie niosły jednak Cathy wcale ku Markhamowi – nie, gdy ten osuwał się powoli na ziemię, ona pędziła prosto na Rzeźbiarza.

Oszołomiony i wytracony z równowagi mężczyzna przewrócił się jak kostka domina. Nie stawiał Cathy najmniejszego oporu, gdy uderzyła go w całość siły, odpychając go do tyłu i wtrącając do stalowej szpitalnej wanny.

Rzeźbiarz wpadł do acetonu z głośnym chlupotem, rozbryzgując cuchnący środek na wszystkie strony. Cathy była tuż za nim. Opadła na wieko wanny i zatrzasnęła je – jej palce zdołały zamknąć tylko jeden z czterech zatrząsków, nim Rzeźbiarz zaczął napierać od środka niczym wampir, który chce uwolnić się z trumny.

Wtedy Cathy dostrzegła kątem oka płomienie.

Śrut wystrzelony z dubeltówki Rzeźbiarza uderzył w spawarkę i skrzesał iskry, które podpaliły rozlany aceton. Cathy cofnęła się pod furgonetkę, spoglądając z przerażeniem na wannę, rozkołysaną wściekłymi ruchami Rzeźbiarza, i na aceton wyciekający spod niedomkniętego wieka. W blasku rosnących z każdą chwilą płomieni zauważyła kluczyki tkwiące w stacyjce auta.

– Wstawaj, Sam! – krzyknęła. – Wsiadaj do furgonetki!

Przepełniona jakąś nadludzką siłą, Cathy Hildebrant podniosła półprzytomnego agenta i wepchnęła go przez boczne drzwi do wnętrza furgonetki, sama zaś usiadła za kierownicą i przekręciła kluczyk. W tym samym momencie Rzeźbiarz odepchnął zamknięte wieko i wychynął z wanny, rozsiewając dookoła krople acetonu. Sekundę później, gdy wrzuciła wsteczny bieg, zobaczyła, jak Rzeźbiarz staje w płomieniach. Widziała, jak wyciąga rękę w jej stronę, słyszała, jak krzyczy niczym ognisty demon, gdy eksplodowała wypełniona

acetonem wanna. Siła wybuchu pozbawiła ją na moment oddechu; otoczona kulą ognia furgonetka uderzyła w drzwi garażu i wypadła tyłem na zewnątrz. Cathy nie zdejmowała nogi z pedału gazu – wjechała prosto w drzewo, próbując uciec przed płomieniami, które okrywały zbryzganą acetonem przednią szybę – okrywały już *całą* furgonetkę.

– Sam! – krzyknęła, wyciągając go przez boczne drzwi z płonącego auta. Pomogła mu stanąć na nogach, po czym razem pokuśtykali zarośniętą drogą.

Uszli zaledwie jakieś dwadzieścia metrów, gdy kolejna eksplozja rzuciła ich na ziemię i okryła całunem żaru. Cathy nie oglądała się jednak za siebie, nie chciała wcale widzieć, jak powozownia rozpada się pośród podsycanych chemikaliami płomieni. Nie, teraz liczył się dla niej tylko Sam Markham.

– Już po wszystkim, Sam – powiedziała, tuląc go w swych okrwawionych ramionach.  
– Już po wszystkim.

## Epilog

*Rok później, niedzielny poranek,  
gdzieś w Connecticut*

Cathy zamknęła telefon komórkowy i przez chwilę siedziała w milczeniu na tylnej werandzie, popijając kawę i patrząc na rzekę. Wszystko potoczyło się tak szybko, było jeszcze tak nowe, a mimo to czuła się tu naprawdę u siebie w domu. Jednak dopiero co odbyta rozmowa z Rhondą, jej nową agentką literacką, wyraźnie ją poruszyła, wprawiła w dziwne zamroczenie i oszołomienie – do tego stopnia, że kiedy Sam Markham usiadł obok niej, Cathy ledwie go zauważyła.

– Przepraszam, mówiłeś coś do mnie? – spytała.

– Pytałem, czy dolać ci jeszcze kawy.

– Nie, dziękuję.

– Jak poszło?

– Normalnie, zwykła gadanina o procencie od sprzedaży tej nowej książki. Ale ważniejsza wiadomość jest taka, że chcą, żebym poleciała do Hollywood i została konsultantką przy filmie – spotkania przedprodukcyjne i kilka innych spraw, których nie zrozumiałam do końca.

– Już?

– W przyszłym tygodniu.

– Czyli wtedy, gdy mają przyjechać Janet i Dan?

– Tak.

– Cholera, szybko im to idzie.

– Powiedziałam Rhondzie, że nie mogę, a ona obiecała, że sprawdzi, czy zdołają się do mnie dostosować.

– Zuch dziewczyna – powiedział Markham. Pochylił się, by ją pocałować, krzywiąc się przy tym lekko.

Cathy pogłaskała go po ramieniu.

– Mocno ci dzisiaj dokucza?

– Nie – odparł z uśmiechem. – Troszkę tylko boli, bo ostatnio dużo się ruszałem.

Cathy wiedziała, że kłamie – zrozumiała już, że jej Sam nigdy się nie skarży. Pocałowała go czule, a gdy tylko spojrzała w oczy swego męża, gdy przypomniała sobie, jak niewiele brakowało, by go straciła, natychmiast przestała się przejmować rozmową z Rhondą, procentami i filmem opartym na jej niedokończonych jeszcze książce.

O tak, sig sauer Rzeźbiarza poszatkował agenta specjalnego Markhama od stóp do głów – roztrzaskał mu kości lewego ramienia, poważnie uszkodził lewe płuco i oderwał spory kawałek prawej nogi. Lekarze stwierdzili, że ramię Markhama w końcu się zaleczy, co najwyżej będzie go czasem pobolewać przy zmianie pogody, ale musi się pogodzić z faktem, że prawdopodobnie do końca życia będzie lekko kulał. Zaledwie przed tygodniem Samowi zdjęto bandażę po ostatniej z szeregu operacji plastycznych, które miały odtworzyć jego ucho. Cathy zbierało się czasem na płacz, gdy przyłapywała się na tym, że nieświadomie głaszcze go po tej stronie twarzy.

Tak, tylko cudem udało się Markhamowi ująć z życiem; tylko cudem zdołali uratować się nawzajem i wyrwać ze szponów Rzeźbiarza. Ich ślub, który odbył się minionej jesieni, wydawał się w tej sytuacji naturalną konsekwencją wszystkich tych wydarzeń. A fakt, że Cathy postanowiła przyjąć nazwisko męża? Cóż, wiedziała, że jej matka pochwaliby ten wybór. Co jednak powiedzieć o tym, że doktor Catherine Hildebrant, najwybitniejsza znawczyni dzieł Michała Anioła, rzuciła posadę na Uniwersytecie Browna i przeprowadziła się do Connecticut, żeby być ze swoim mężem? Tak, tu z pewnością poddała się losowi.

Właśnie w takich chwilach, gdy siedzieli razem w milczeniu na tylnej werandzie swojego nowego domu, Cathy Markham czuła się zarazem winna i wdzięczna wobec człowieka, który tak drastycznie odmienił jej życie: Renesansowego Zabójcy.

Oficjalny raport FBI, sporządzony po zakończeniu sprawy, przypisywał Christianowi Bachowi (znanemu także jako Renesansowy Zabójca lub Rzeźbiarz) aż dwadzieścia dwa morderstwa, w tym morderstwo Gabriela Banforda i Damona Manzery. Na posesji Bacha znaleziono szczątki jeszcze jedenastu kobiet – osiem z nich zidentyfikowano jako prostytutki z Providence i Fall River w stanie Massachusetts, tożsamość trzech pozostawała nieznana. Niektóre z nich zostały zakonserwowane jako rzeźby w „galerii” Bacha, zwłoki innych Rzeźbiarz zakopał w lesie, za powozownią. I choć przeszukano dokładnie całą posiadłość, choć psy szkolone specjalnie do szukania zwłok nie znalazły nikogo więcej w okolicy miejsca, które prasa nazwała „pracownią śmierci”, Markham czuł instynktownie, że lista ofiar Christiana Bacha może być jeszcze dłuższa.

Sąsiedzi Rzeźbiarza z East Greenwich, nieliczni znajomi mordercy i bogacze z

kręgów, w których obracała się niegdyś jego rodzina, byli zszokowani i oburzeni odkryciem, że *jeden z nich* mógł dopuścić się tak niewyobrażalnych zbrodni. Owszem, wiedzieli, że przystojny i błyskotliwy Christian po śmierci matki stał się samotnikiem. Owszem, wiedzieli też, że praktycznie zerwał wszelkie stosunki z rodziną, by poświęcić się opiece nad chorym ojcem. Ale takie postępowanie nie było niczym niezwykłym w rodzinach z dużymi pieniędzmi – szczególnie z takimi pieniędzmi, jakie miała rodzina Bachów. Tak, nigdy za wiele ostrożności w stosunkach z krewnymi, którzy szukają finansowego wsparcia albo chcą dobrać się do nie swoich pieniędzy – najlepszym przykładem tej smutnej prawidłowości było stado sępów, które próbowało teraz uszczknąć coś dla siebie z majątku Bachów. Poza tym młody pan Bach tak starannie dbał o swoją posiadłość, był taki miły dla dzieci w Halloween, tak hojny dla różnych organizacji dobroczynnych, że... cóż...

Lecz chyba najbardziej zdumiewającym zwrotem w tej historii był fakt, że to właśnie Cathy Markham przypadło w udziale opisać zbrodnicze dokonania Renesansowego Zabójcy. Nieważne, że nie udało się znaleźć ciała Bacha – policja zapewniała, że to całkiem normalne w takich przypadkach, gdy po potężnej eksplozji następuje długotrwały pożar, ogień zaś powstały na skutek spalania chemikaliów osiąga bardzo wysoką temperaturę. Gdy w końcu dogasły już szczątki powozowni, a ludzie pogodzili się z faktem, że Bach w żadnym wypadku nie mógł tego przeżyć, gdy ucichł wreszcie medialny szum wokół całej sprawy, Cathy i Sam Markham pobrali się, a potem ona uległa różnorodnym naciskom i postanowiła opisać dramat nie tylko swój, ale i człowieka, któremu zawdzięczała – cóż, musiała to przyznać – swoje szczęście.

O tak, pomimo wszystkiego, co ją spotkało, Cathy Markham po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę szczęśliwa – i nie miało to nic wspólnego z sześciocyfrową liczbą na umowie wydawniczej, którą właśnie wynegocjowała jej agentka, nic wspólnego z prawami do filmu opartego na nieopublikowanej jeszcze kontynuacji *Uspionego w kamieniu*, ani też z faktem, że ani ona, ani jej mąż już nigdy nie będą musieli pracować. Nie, Cathy była wdzięczna jedynie za Sama. Stariała się nie myśleć o ironii losu, który zetknął ich ze sobą, ani o tym, co powie swoim dzieciom, kiedy spytają ją, jak poznała tatę.

Zajmie się tym później, kiedy będzie miała więcej czasu.

Chłodny wiatr od rzeki owiał jej twarz i poruszył listą uczniów, którą trzymał w dłoni jej mąż. Sama nigdy by go o to nie poprosiła, ale nie kryła radości, gdy podczas miesiąca miodowego Sam powiedział jej, że odchodzi z FBI. Aż się popłakała, gdy wiosną zaskoczył ją po raz kolejny, podejmując pracę w prywatnej szkole średniej w Connecticut, gdzie od września miał uczyć angielskiego.

Tak, Cathy wiedziała wszystko o Michelle i rozumiała, że w ten sposób jej mąż zajmuje się właśnie swoim życiem. Kochała go za to, bo miała świadomość, że robi to dla niej.

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek komórki – Beethoven, *Dla Elizy*. Spojrzała na wyświetlacz i wyciszyła telefon.

– Nie odbierzesz?

– Zastrzeżony numer.

– Pokaż.

– Proszę, Sam, jest niedziela.

Markham pochwycił jej telefon i udawał, że zamierza go otworzyć. Cathy westchnęła – wiedziała, że się z nią droczy – ale nie próbowała mu go odebrać. Tak jak przypuszczała, jej mąż pozwolił, by w końcu włączyła się poczta głosowa. Odłożył aparat na wiklinową sofę i przysunął się bliżej do Cathy. O tak, podobnie jak jego żona, Sam Markham wołał po prostu siedzieć obok swej ukochanej i patrzeć na rzekę.

„Tak” – pomyślała Cathy. – „Zajmiemy się tym później”.

Tymczasem wiele kilometrów dalej agent Bill Burrell zamknął swój telefon komórkowy. Nie zostawił żadnej wiadomości na poczcie głosowej pięknej pani historyk sztuki.

„Biedaczka tyle ostatnio przeżyła” – pomyślał. – „Mam tylko nadzieję, że złapię ich, zanim zrobią to te cholerne sępy”.

Buldog zaciągnął się głęboko papierosem i spojrzał na agentkę specjalną Rachel Sullivan, która stanęła u jego boku.

– Udało się, szefie?

– Żadne nie odbiera telefonu. Wyślij tam jak najszybciej samochód. Mieszkają gdzieś w Mystic, dokładny adres znajdziesz w bazie danych.

– Tak jest.

Gdy agentka specjalna Sullivan zniknęła we wnętrzu domu, Burrell podniósł wzrok nad morze niebieskich kurtek FBI i raz jeszcze spojrzał na białą marmurową figurę po drugiej stronie podwórka. Nie potrzebował pomocy specjalistów, by wiedzieć, kogo przedstawia ta rzeźba – rozpoznałby tego nagiego, muskularnego mężczyznę o kręconych włosach, nawet gdyby nigdy nie słyszał o Renesansowym Zabójcy.

„W co ten sukinsyn nas wpakował?”

Buldog rzucił niedopałek na ziemię, zgniół go obcasem i sięgnął ponownie po komórkę. Zapowiadał się naprawdę długi dzień pracy. Musiał zadzwonić do żony i powiedzieć jej, że nie wróci na noc.

„O nie. Nawet po dwudziestu latach w pieprzonym Biurze wcale nie jest łatwiej”.



## PODZIĘKOWANIA

*Rzeźbiarz* nie mógłby powstać, gdyby nie upór i wiara dwóch ludzi: mojego agenta Williama Reissa z John Hawkins & Associates oraz mojego redaktora, Johna Scognamiglio z Kensington Publishing Corp. Jestem im do zgonnie wdzięczny za ich entuzjazm, przenikliwość i wskazówki. Ustrzegłem się wielu błędów dzięki członkom mojej rodziny, którzy zechcieli przeczytać *Rzeźbiarza*, nim jego ostateczna wersja trafiła do publikacji. Ci wspaniali ludzie to moja kochana żona Angela, która zawsze była moją największą fanką i najsurowszym krytykiem, mój ojciec Anthony, mój brat Michael, moja matka Linda Ise, mój wuj Raymond Funaro i moja ciotka Marilyn DiStefano. Wszystkim winien jestem wyrazy miłości i wdzięczności. Chciałbym również podziękować moim czytelnikom i współpracownikom z East Carolina University: Johnowi Shearinowi, Jill Matarelli-Carlson, Jeffery'emu Phippsowi, Robertowi Caprio i Patch Clark. Na koniec serdecznie dziękuję mojemu studentowi Michaelowi Combsowi za to, że mogłem się od niego czegoś nauczyć.